



PRZEBOBÓJCZYNI

HANNAH
KANER

Przełożył
JACEK
DREWNOWSKI

OLŚNIEWAJĄCY DEBIUT FANTASY,
IDEALNY DLA FANÓW WIEDŹMINA.

BOGÓBÓJCZYNI!



Przełożył JACEK DREWNOWSKI



Tytuł oryginału: *Godkiller*

First published by HarperCollinsPublishers 2023

Copyright © Hannah Kaner 2023

Jacket design by Holly Macdonald © HarperCollinsPublishers Ltd 2023

Jacket illustration © Tom Roberts

Map and interior illustrations © Tom Roberts 2023

Author photograph © Magdalena Kaminska Photo

Copyright © for the translation by Jacek Drewnowski

Redakcja: Joanna Czarkowska

Korekta: Renata Kuk, Magdalena Magiera

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-372-3

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

www.instagram.com/wydawnictwojaguar

www.facebook.com/wydawnictwojaguar

www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar

www.twitter.com/WydJaguar

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Spis treści

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Podziękowania

Mojemu ojcu, który czyta każde słowo



PROLOG

Piętnaście lat temu

JEJ OJCIEC ZAKOCHAŁ SIĘ W MORSKIM BOGU.

Bóg nazywał się Osidisen, a rodzice nadali Kissen i jej braciom imiona w podziękę za jego względy: Tidean – „na fali przyływu”; Lunsen – „księżyc na wodzie”; Mellsenro – „turlające się kamienie”. Na koniec Kissenna – „zrodzona z miłości morza”. Osidisen napełniał im sieci rybami, uczył ich, kiedy zмагаć się z burzą, a kiedy się chować, i co dzień wraz z połowem zapewniał im bezpieczny dom. Kissen i jej rodzina żyli dzięki łasce morza.

Ale morski bóg nie przyniósł szczęścia ziemiom Talicji. Wioski na wzgórzach uległy w końcu pokusom zsyłanym przez boginię ognia Hseth i obietnicom bogactw.

Wszyscy pragnęli żyć w dostatku jako kochankowie ognia. W imię Hseth Talicjanie palili swe łodzie i wycinali lasy, by kuć broń, topić mosiądz i wytwarzać wielkie dzwony, które rozbrzmiewały od nadmorskich klifów aż po górską granicę. Wody Osidiseny opustoszały i nad krainą wzniósł się dym. Wkrótce inne, mroczniejsze opowieści o przemocy poniosły się z miast do wsi. O ofiarach, łowach i oczyszczaniu w płomieniach w imię bogini ognia, o wrogach i starych rodach spalonych dla jej przyjemności.

Pewnej nocy, nocy po dwunastych urodzinach Mellsenra, kiedy rytualnie wytatuowano mu jego imię na palcach, jedenastoletnią Kissen obudził dym dziwnie gęsty i o słodkiej woni. Drapał ją w gardle.

Przecknęła się, a wtedy dotarło do niej, że niosą ją ludzie z twarzami obwiązanymi tkaniną, poznaczonymi węglowym pyłem i z dzwonkami we włosach, rozsiewającymi blask niczym latarenki. Kończyny Kissen nie chciały nawet drgnąć, a jej pierś była ciężka, bo wciąż spoczywały na niej sny. Poznawała ten słodki dym: środek nasenny uzyskiwany przez palenie nasion slessu pomieszany z zapachami roślin, których nie znała. Pod jej domem morze chłostało klify. Osidisen się gniewał.

Próbowała coś powiedzieć, ale usta odmawiały jej posłuszeństwa, a język przylepił się do policzka. Głowa przechyliła się na bok i Kissen zobaczyła także Mella – jego świeżo poznaczona atramentem dłoń przesuwająca się po podłodze.

– Mmmelll. – Spróbowała jeszcze raz Kissen, ale jej brat nawet nie drgnął. Usypiający dym sączył się przez okiennice, przez ściany. Wisiał w powietrzu.

– Cicho – powiedział jeden z tych, którzy ją trzymali, i nią potrząsnął. Znała ten głos, te zielonkawe oczy.

– N-Naro? – spytała nieco silniejszym teraz głosem. Na zewnątrz łoskotały fale, a dym kłębił się, podczas gdy morski wiatr przeciskał się przez szczeliny w plecionych ścianach. Poczowała rześki podmuch słonego powietrza na twarzy, na wargach. Trochę pojaśniało jej w głowie. Naro rzucił jej spanikowane spojrzenie.

– Mówili, że nie obudzą się tak prędko – warknął do kogoś.

– Szybciej. – Drugi głos też rozpoznała. Mit, szwagier Nara. Maski chroniły ich przed środkiem usypiającym. – Szybciej!

Nieśli ją dalej w głąb domu, do paleniska w samym środku.

– Co robicie? – spytała Kissen głosem przytłumionym, lecz wyraźnym. Jej ciało wciąż nie chciało się poruszyć.

Dotarli do paleniska, okrągłego kamienia pod dachem krytym strzechą z otworem umożliwiającym wylatywanie dymu. Wokół żaru pozostałego po wieczornym ognisku ustawiono splecioną klatkę w kształcie dzwonu, wykonaną z drewna i metalu. Rodzice dziewczyny zostali już przywiązani do jej zewnętrznej krawędzi. Braci właśnie krępowano: kostka, kostka, ręce, szyja. Ofiary dla bogów. Kissen była ostatnia.

Naro i Mit pchnęli ją na pręty obok jej ojca. Morski wiatr dmuchał przez dymnik w dachu, omiatając krokwie. Okiennice trzaskały, dom trząsał się, a wokół rozbrzmiewał dźwięk rozgniewanej wody.

– Naro, przestań – powiedziała Kissen, teraz już głośniejszym głosem. Dym ze slessowych nasion prawie już rozpułynał się w powietrzu, lecz wciąż więził jej kończyny. – Dlaczego to robisz?

Naro wykręcał jej nogi, żeby przysnurować je do podłoża klatki, Mit przywiązywał jej ręce do prętów. Lunsen zanosił się urywanym szlochem. Kissen straciła z oczu Mella, znalazła w sobie jednak siłę do stawiania oporu, kiedy ją krępowali, ale byli od niej więksi i silniejsi. Narastający wiatr zagłuszał bijące na zewnątrz dzwony, a dobiegający gwar zdawał się składać z tysięcy głosów, chociaż wioska liczyła zaledwie setkę dusz. Na zewnątrz musieli być wszyscy ich sąsiedzi. Razem zaplanowali, że złapią ulubioną rodzinę morskiego boga. Kissen czuła zapach gorącej smoły tuż obok. Strach ścisnął jej gardło.

– Przykro nam, *liln* – powiedział Mit. Jak śmiał nazywać ją „małą”? To prawo przysługiwało wujom, przyjaciołom. On nie był przyjacielem. Był zdrajcą. – Tak musi być.

Kissen zebrała w sobie siłę i ugryzła go ostrymi zębami. Odskoczył, trzymając się za poduszczkę kciuka, tam gdzie go dziabnęła.

– Zostawcie ją – warknął. – Już czas. Nie będą na nas czekać.

Pobiegli. Kissen się trzęsła. Wypluła krew Mita i łapiąc powietrze, szarpała się w więzach, żeby zobaczyć rodzinę.

– Tato. – Był niedaleko od niej. – Tato!

Bern, jej ojciec, źle oddychał. Wargi miał poszarpane i zakrwawione, twarz poranioną. Musieli go pobić podczas narkotycznego snu. Te zmasakrowane usta całowały kiedyś boga mórz, ale teraz jego czoło znaczył nasmarowany węglem dzwonowaty symbol Hseth.

Powietrze znowu zgęstniało od dymu, tym razem nie słodkiego, lecz gorzkiego i lepkiego, gorącego i czarnego, bijącego przez podłogę. Mieszkańcy wioski podpalili smołę pod palami, na których wznosił się dom.

Kissen zaczęła szarpać więzy rękami i nogami.

– Tato! – krzyknęła. Gdy ugryzła napastnika, zostawili ją, nie przywiązując szyi. Wyginała rękę na wszystkie sposoby, aż kości trzeszczały, i usiłowała przesunąć głowę w stronę bliższej dłoni. Już. Dosięgnęła. Zatopiła zęby w sznurze, gryząc i ciągnąc węzeł. To był impregnowany sznur, wiedziała, że nie miał prawa się strzępić, ale nie chciała zginąć.

Tidean też był przytomny.

– Wy nędzne śmieci! – krzyczał, szamocąc się w więzach i dławiąc, gdy sznur zaciskał mu się na szyi. Zakaszłał od dymu. – Wy tchórzliwi zdrajcy! – Głos miał ochrypły.

Gorąco narastało. Kissen czuła je podeszwami stóp.

– Zachowajcie spokój – rozległ się ciężki od narkotyku głos ich matki. – Zachowajcie spokój, moi kochani. Osidisen nas ocali. Obiecuję.

Kissen jeszcze nie widziała płomieni, ale powietrze falowało. Morski wiatr Osidisena wciąż wciskał się do środka, a dym i powietrze tańczyły razem niczym oliwa i woda. Usta dziewczyny, jej oczy i nos były zupełnie suche. Wbiła zęby w sznur ze zdwojoną siłą.

– Wszyscy za to zapłacicie! – Groźby Tideana brzmiały głośniejsz niż głos matki, ale był związany zbyt mocno, mocniej niż Kissenna. Jego dzika szamotanina nie przyniosła nic dobrego. Podłoga zaczęła miejscami pękać. Spod niej biło jasne światło. Ściany czerniały. A później okruczeństwo żaru, iskra, jęczyczek ognia i drewniane drzwi zajęły się ogniem, sypiąc Tideanowi iskrami w oczy. Zaczął krzyczeć i miotać się jeszcze mocniej.

– Oddychaj głęboko, synu – powiedziała jego matka. – Wszystko jest w porządku, Osidisen się zjawi.

Kłamała, okłamywała ich, żeby ulżyć im w śmierci, okłamywała samą siebie. Osidisen był wodnym bóstwem. Nie mógł sforsować brzegu, nawet dla nich, tak jak

żaden bóg ognia nie odważyłby się pływać w morzu. Bogowie nie mogli ich teraz ocalić.

Sznur haratał delikatne wnętrze ust Kissen, a po jej języku spływała gęsta i gorąca krew. Warknęła, wgrzyzając się mocniej i wykręcając więzy. Ból, zgrzyt w dziąsłach, później trzask. Sznur! Sznur był luźny, lecz tkwił w nim jej wyrwany kieł.

Kissen szarpnięciem uwolniła nadgarstek i zaczęła pracować nad drugim, a jej słona krew spływała po podbródku i kapała na kamień na dole, gdzie syczała i parowała.

Druga ręka wolna! Teraz nogi. Zakrwawiła sobie paznokcie na sznurach, warcząc z desperacji. Uratuje ich. Musi. Oddech miała gorący, oczy ją piekły, ale nie przestawała. Jej matka zaczęła kaszleć.

– Oddychajcie głęboko, moje dzieci – powiedziała. Kissen słyszała łzy w jej głosie. Lunsen teraz skamlał. Tidean szamotał się coraz słabiej. Mell nawet nie drgnął. – Niech dym pograży was we śnie, a Osidisen po was przyjdzie.

Sznury Kissen opadły, jej stopy były wolne. Podłoga stała już w płomieniach, a morski wiatr jedynie rozrzedzał dym, niwecząc szansę, na którą liczyła matka: szansę na bezbolesną śmierć.

– Tato. – Przywiązali jej ojca do metalowych prętów, które robiły się coraz gorętsze. Kissen i tak się po nich wspięła, parząc sobie dłonie.

– Kissenna – mruknął tata przez opuchnięte wargi. W jego oczach lśnił błysk zdumionej ulgi. – Córeczko, uciekaj.

– Uratuję cię – wycharczała między kaszlnięciami. – Uratuję was wszystkich.

Przycisnęła palce do twardych żeglarskich węzłów. Były ciasne, ale mogła sobie z nimi poradzić i uwolnić ojca. Oczy ją piekły. Mell w końcu się obudził i krzyknął, gdy płomienie dotarły do skraju paleniska, liżąc mu pięty. Dobrze, wszyscy przytomni. Przytomni mogli uciekać. Uwolniła lewą dłoń ojca i zajęła się stopami, podczas gdy on sam rozwiązywał sobie prawą rękę. Bicie dzwonów na zewnątrz nasilało się, donośne, zlewające się w jeden ton głośniejszy niż huk ognia.

Płomienie się zmieniały. Splatały się ze sobą, wiły po ścianach, po czym spadały na podłogę w jednym słupie, sypiąc iskrami jak śniegiem. Z kłębow dymu dobiegał rechotliwy śmiech, szorstki i pełen zadowolenia.

Ogień wirował i rozkwitał wachlarzami światła i żaru. Między nimi kręciła się kobieta z szeroko rozłożonymi rękami. Hseth, bogini ognia. Jej włosy połyskiwały odcieniami żółci i brudnej czerwieni. Dobywał się z niej żar, od którego trzeszczały i pękały deski i belki.

– Morski boże! – krzyknęła, po czym zawołała go po imieniu: – Osidisenie! Spójrz, jak się od ciebie odwrócili i oddali mi twoje miłości. Nie możesz mnie tknąć, stary patroszony wodny capie! Ta ziemia należy do mnie!

Hseth nie spojrzała na Kissen ani na jej rodzinę. Nie wzruszyły jej ich krzyki. Wystrzeliła przez powałę jak ognisty bicz i dach runął z łoskotem.

Kissen zamruwała. Czarne gorąco. Później światło. Później ból. Klatka rozprysła się pod ciężkimi belkami. Mell już nie krzyczał. Znowu zamruwała. Jej ojciec tam był, uwolniony z więzów. Bolała ją głowa. Usta miała pełne popiołu.

– Ta... – wydusiła z trudem. Zrzucił z niej odłamki, ale nie mógł podnieść poskręcane metalowego prętu, który wbił się w jej prawą nogę, strzaskał ją poniżej kolana i przygwoździł do podłogi. Czekala ją śmierć. Widziała to w oczach swojego ojca.

– Wszystko będzie dobrze, Kissenno – powiedział, kłamiąc, tak jak wcześniej matka, łagodnym głosem, który tak podziwiał Osidisen. Pogłaskał ją po włosach, jakby kładł ją do snu. – Bądź dzielna, moja kochana, moja córko.

– Uciekaj, tato – powiedziała, tłumiąc przerażony szloch. – Proszę.

– Nie płacz, Kissenno – odrzekł. – Tak będzie lepiej.

Ból. Oślepiający, okrutny ból. Wbił się w nogę Kissen. Wydała okrzyk, ale dym wpełchnął go jej z powrotem do gardła. Ojciec trzymał w dłoni rozgrzany do czerwoności pręt, syczący świeżą krwią ich obojga. Podźwignął go w górę.

– Jej noga za jej ocalenie, Osidisenie! – krzyknął. – Błagam cię, zabierz ją z tego miejsca! Daję ci w zamian moje własne dzieło: jej ciało, krew i kość.

Opuścił pręt ponownie i nim obrócił.

Kissenna znowu krzyknęła, bo ból pożerał ją szybciej niż ogień. Przed oczami miała czerń, biel. Gdy odzyskała zmysły, tata wyciągał ją ze zgliszczy, w których została dolna część jej nogi. Twarz miała czarną od sadzy poprzecinanej łzami, które spływały wprost w jego brodę.

Później zobaczyła morze pod roztrzaskanymi ścianami. Rozszalałe, bezsilne, bijące w podstawę urwiska. Wznosiło się do nich słone powietrze. Na chwilę otrzeźwiło Kissen. Fale chwyciły każdy kawałek drewna, który odpadał od domu, i rwały go na strzępy.

– Moje życie, Osidisenie! – zawołał jej ojciec. – Moje życie za jej, ostatnia rzecz, o jaką kiedykolwiek poproszę.

– Nie! – wychrypiła Kissen ledwie przytomna.

– Jesteś mi to winien! Mój kochanku, mój przyjacielu. Teraz jesteś to winien jej. Moje życie za życie Kissenny!

Morze uniosło się, pnąc się po klifie, jakby chciało go dosięgnąć. Z fal wyłoniła się twarz Osidisena o oczach równie ciemnych jak głębiny. Przez chwilę Kissen miała nadzieję, że bóg odmówi, że uratuje także jej ojca.

Lecz bogowie kochają męczenników.

Skinął głowę.

Kissenna próbowała walczyć. Nie chciała od boga obietnicy. Chciała swojego ojca, swojej matki, Tideana, Lunsena i Mella. Chciała swojej rodziny. Tata ostatni raz przycisnął ją do piersi, podrapał jej twarz brodą i ją pocałował.

– Kocham cię – powiedział i rzucił córkę wprost w fale.

PRZYPOMINA SIĘ WSZYSTKIM OBYWATELOM MIDDRENU

ZGODNIE Z EDYKTEM, KTÓRY WYDAŁ

KRÓL ARREN DRUGI



BOHATER BLENRADENU, WSCHODZĄCE SŁOŃCE
ZACHODU, OBECNIE W TRZECIM ROKU PANOWANIA

Po ocaleniu Naszego Kraju przed Bogiem Wojny

ODDAWANIE CZCI BOGOM JEST ZAKAZANE W OBRĘBIE GRANIC MIDDRENU



Prawo obowiązuje od PÓLNOCNO-WSCHODNIEJ granicy z GROŹNYMI ZIEMIAMI
TALICJAŃSKIMI po ZACHODNIĄ CIEŚNINĘ i WYSPY KUPIECKIE

UKRYWANIE MIEJSC KULTU,
TOTEMÓW, AMULETÓW
i SYMBOLI związanych z dowolnym
BOGIEM, któremu nadano imię,
jest PRAWNIE KARALNE

PIELGRZYMKI do MIEJSC
ŚWIĘTYCH będą skutkowały
GRZYWNĄ, WIĘZIENIEM
i PUBLICZNĄ CHŁOSTĄ
NIELOJALNYCH STÓP

VEIGOWIE, ZABÓJCY BOGÓW,
DZIAŁAJĄ OBECNIE W IMIENIU KRÓLA



Jeśli WIDZIAŁEŚ albo PODEJRZEWASZ obecność
MIEJSCA KULTU, BÓSTWA lub WYZNAWCÓW
będących w istocie PRZESTĘPCAMI, ZGŁOŚ TO
DO NAJBLIŻSZEGO ARBITRA

PRZYPOMINA SIĘ WSZYSTKIM OBYWATELOM MIDDRENU

ZGODNIE Z EDYKTEM, KTÓRY WYDAŁ

KRÓL ARREN

DRUGI

BOHATER BLENRADENU, WSCHODZĄCE SŁOŃCE ZACHODU, OBECNIE W TRZECIM
ROKU PANOWANIA

Po ocaleniu Naszego Kraju przed Bogiem Wojny

ODDAWANIE CZCI BOGOM JEST ZAKAZANE W OBREBIE GRANIC MIDDRENU

*Prawo obowiązuje od PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ granicy z GROŹNYMI ZIEMIAMI
TALICJAŃSKIMI po ZACHODNIĄ CIEŚNINĘ i WYSPY KUPIECKIE*

UKRYWANIE MIEJSC KULTU, TOTEMÓW, AMULETÓW i SYMBOLI związanych
z dowolnym BOGIEM, któremu nadano imię, jest PRAWNIE KARALNE

PIELGRZYMKI do MIEJSC ŚWIĘTYCH będą skutkowały GRZYWNĄ, WIĘZIENIEM
i PUBLICZNĄ CHŁOSTĄ NIELOJALNYCH STÓP

VEIGOWIE, ZABÓJCY BOGÓW, DZIAŁAJĄ OBECNIE W IMIENIU KRÓLA

Jeśli WIDZIAŁEŚ albo PODEJRZEWASZ obecność MIEJSCA KULTU, BÓSTWA lub
WYZNAWCÓW będących w istocie PRZESTĘPCAMI,
ZGŁOŚ TO DO NAJBLIŻSZEGO ARBITRA

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Kissen

TRUDNO ZABIĆ BOGA W TYM ŻYWIOLE, przypominała sobie Kissen z każdym przeklętym krokiem, który stawiała, wdrapując się na strome zbocza w środkowo-zachodnim Middrenie, kraju, który niegdyś był silniejszym sąsiadem Talicji. Był nim do czasu utraty swojego wschodniego miasta handlowego, Blenradenu, wraz z połową mieszkańców, co nastąpiło w wyniku kłótni bogów. Straszne wydarzenie dla Middrenu, ale dobre dla sakiewek bogobójców takich jak Kissen.

Poranne powietrze było wilgotne i zimne. Middren dopiero zaczął się otrząsać z uścisku zimy. Mimo że prawa noga Kissen została stworzona do wędrowki i choć podwójnie obwiązała sobie kolano, już czuła, że w miejscu, gdzie proteza styka się z mięśniem, robią jej się pęcherze, które później przyniosą ogromny ból.

Wąska droga przez las była pełna gęstego błota i na wpół rozmiękłych brył lodu, ale Kissen dostrzegła tu i ówdzie w mchu kształt stopy, przewrócony kamień, a nawet krople krwi, i to wszystko mówiło jej, że idzie we właściwym kierunku. To była jedna z tych ścieżek, na których ludzie się modlili.

Kissen była wytrawną tropicielką, a mimo to słońce wisiało już wysoko, zanim znalazła znak – rząd białych kamieni na skraju szlaku, gdzie poziom gruntu zrównywał się z pobliskim strumieniem. Próg. Rozruszała ramiona i zaczerpnęła

powietrza. Mogła zapewne zwabić tego boga do mniejszej świątyni, ale to by wymagało czasu i cierpliwości. Nie miała ani tego, ani tego.

Przekroczyła kamienie.

Dźwięki się zmieniły. Zniknął poranny śpiew ptaków, podobnie jak zapach liści i ściółki. Zamiast nich słyszała płynącą wodę, czuła głębię i zimny kamień, a także słaby ślad woni kadzidła... oraz krwi.

Trudniej było unicestwić bóstwo, niż je stworzyć. Nawet takie niedawno narodzone jak to, ledwie kilkuletnie. Jeszcze trudniej było zwabić monetą czy paciorkiem bóstwo, które zasmakowało już w ofiarach.

Zapach kadzidła narastał, gdy Kissen ostrożnie stąpała wzdłuż brzegu. Bóstwo wiedziało, że ona tu jest. Zatrzymała się na nabrzeżnych kamieniach, godząc się z bólem nogi, zimnem poranka i ostrym swędzeniem pęcherzy. Nie obnażyła miecza, jeszcze nie. Rzeka była płytka, ale miała rwący nurt, biały od piany z pobliskiego wodospadu.

Powietrze stało się chłodniejsze.

Nie jesteś tu mile widziana, bogobójczyni. Myślomowa bogów była gorsza niż igła wbita w czaszkę. Kojarzyła się jej z rozrywaniem umysłu, z inwazją.

– Byłaś pazerna, Ennerast – powiedziała Kissen. Powietrze zasyczało. Imiona mają moc i bogowie odczuwali swoje niczym szarpanie haczyka wbitego w skrzela, wyciąganie ich na światło. Ale Ennerast nie zamierzała dać się wywabić jedynie za pomocą imienia.

To było tylko trochę krwi, stwierdziła bogini, *zaledwie cielak albo dwa. Żadnego człowieczego pomiotu.*

– Daj spokój, głodziłaś ich, aż złożyli ci ofiarę – powiedziała Kissen, rozglądając się, badając otoczenie. – Sprawiałaś, że ich woda cuchnęła zarazą. Zaciągałaś ich dzieci i starców na swój brzeg i groziłaś im śmiercią. – Z miejsca, w którym stała, mogła wykorzystać kilka elementów dających jej przewagę. Rzeka omywała jej buty.

Doprawdy miejscowy arbiter mógł wcześniej wezwać veigę. Żaden szanujący się przywódca miasta wielkości Enneronu nie powinien pozwolić bóstwu żyć na tyle długo, żeby zyskało taką siłę. Mimo że zakazano świątyń, bogowie wciąż się pojawiali. Istoty mocy, duchy obdarzone życiem i wolą za sprawą ludzkiej miłości i strachu, emocji na tyle silnych, by z nich czerpać. Ludzie byli głupi, a bogowie – okrutni.

– Krzywdziłaś ich – powiedziała Kissen. Woda u jej stóp przestała płynąć, zamiast tego wirowała i falowała przy brzegu.

Mam prawo. Jestem boginią.

– Ha! – Kissen roześmiała się bez wesołości. – Żerujesz na złęknionych, Ennerast. Jesteś szczurem, a ja jestem szczurołapem.

Kissen sięgnęła w głąb swojego płaszcza z woskowełny, przebiegając palcami po kieszeniach z relikwiami i totemami, instrumentami i kadzidłami, narzędziami swojego zawodu. Znalazła to, czego szukała, po drobnych oznaczeniach na słoiczku i wcisnęła paznokiec pod korek, żeby go zdjąć. Wewnątrz znajdował się kłębek skóry pokrytej napisami.

Powietrze wokół zgęstniało, nerwowe i podekscytowane. Woda zaczęła się pienić.
Co to jest?

Kissen nie wyczuwała tego, co bogowie: strachu, nadziei, rozpacz – emocji, którymi lubili się bawić, ale o które nie dbali. Wiedziała jednak, co ich porusza, czego pragną.

– To modlitwa – powiedziała, nie wyjawiając wszystkiego.

Chcę ją.

– Modlitwa młodego mężczyzny z odległej wioski. – Kissen kciukiem wysunęła korek. – Chce, żeby go wybawić od suszy i pożarów lasu, uratować jego plony i trzodę. Rozpaczliwie potrzebuje wody.

Daj mi ją.

– Obiecuje wszystko, Ennerast. – Kissen uśmiechnęła się. – Wszystko.

Moja.

Woda uniosła się, przeobrażając się w zielony strumień, który przybrał formę postaci o głowie gładkiej niczym kamień, z rękami gęstymi od wodorostów. Pośrodku, w tułowi z płynącej wody, widniała ciemna bryła: serce pełne krwi. Sięgnęła ku Kissen, która mocniej stanęła na nogach i jednym płynnym ruchem wyciągnęła broń, odcinając Ennerast palce. Bogini wrzasnęła, cofnęła się, a woda uformowała się na nowo, tam gdzie wodne ciało zostało rozszarpane.

– Parzy – powiedziała głośno, raczej z zaskoczeniem niż z bólem. Oczy miała płaskie i szare niczym otoczaki. Miecz był lekki i twardszy niż stal, solidny, wykuty z mieszanki żelaza i rudy brydytu, tak jak noga Kissen. Mógł przeciąć materię boską równie pewnie jak ludzką, zarówno u małego bóstwa rzeczy zgubionych, jak u potężnego boga wojny. Bóstwa takie jak Ennerast, niedawno objawiona w tej górskiej rzece, nigdy wcześniej nie doznały krzywdy od brydytowego ostrza.

Bogini obnażyła podobne do ości zęby i uderzyła w brzeg pod nogami Kissen. Brzeg ustąpił i Kissen runęła do rzeki. Próbowwała wypłynąć, ale wodorosty zaczęły oplatać jej nadgarstki i wciągać ją głębiej. Woda wypełniała jej usta i nos, szukając płuc.

Mimo wiążących ją wodorostów Kissen udało się wyciągnąć miecz i zatopiła klingę w rzeczonym dnie. Broń wbiła się w kamień i znieruchomiała. Prawa noga dziewczyny mocno uderzyła o podłoże i zapewniła jej trochę równowagi. Kissen z ogromną siłą

wyszarpnęła miecz, krawędzią tnąc wodę i wodorosty. Wyprostowała się i przecięła rękę Ennerast, która usiłowała wepchnąć ją pod powierzchnię.

Ciało Ennerast rozpadło się w wodną kaskadę. Krzyknęła i nurt osłabł, tak jak jej koncentracja, a Kissen dostrzegła to, czego szukała. Za wodospadem zauważyła błysk kości, łopotanie kolorowej wstążki i kamień – świątynię rzecznej bogini. Ennerast nie była jednym ze starych bóstw, które dysponowały tyłoma świątyniami i tyłoma modlitwami, że mogły na zawołanie przemierzać świat. Była nową boginią i mimo że przysłała na świat w dzikiej głuszy, do życia potrzebowała swojej świątyni.

Kissen nie dała bogini czasu na ponowne przybranie formy i skoczyła naprzód, wznosząc broń do ataku.

Ennerast wpadła w pułapkę. Rzuciła się, żeby chronić swoją świątynię, a bogobójczyni obróciła się w ostatniej chwili, opierając się na kolanie i wznosząc miecz jak najwyżej.

Klinga opadła i pomknęła przez ciemny korpus Ennerast prosto w krwawą masę jej serca. Bogini zarzyczała niczym pękająca tama. Chwyliła trzymającą miecz rękę Kissen i ścisnęła mocno, niemal miażdżąc kości.

– Proszę – powiedziała. – Daj mi żyć, veigo. Możesz mnie jeszcze potrzebować.

– Nie potrzebuję bogów – odparła Kissen.

– Mówi to ktoś z obietnicą Osidisena wciąż odcisniętą w sercu.

Woda to wielka pleciuga. Informacje przekazywane są od kropli do wodospadu, od strumyczka do morza. Nic nie może powstrzymać plotek docierających do wodnego bóstwa.

– Mogę cię od tego uwolnić, wiesz – powiedziała Ennerast, nachylając się nad klingą i przysuwając twarz do twarzy Kissen. – Od tej obietnicy, blizn, wspomnień. – Pogładziła Kissen po policzku.

– Potężniejsi niż ty bogowie składali mi takie propozycje, Ennerast – oznajmiła Kissen – a i tak ich zabiłam.

Ennerast syknęła.

– A zatem cię przeklinam! – wykrzyknęła. – Jeszcze...

Kissen przeszła mieczem ciało bogini. Poniósł się fetor krwi oraz stęchłej wody, a świątynia za wodospadem rozpadła się. Bogini nie wydała żadnego dźwięku, kiedy jej ciało na powrót połączyło się z nurtem i wtopiło w rzekę, kierując swą energię na miasto i wioski i niosąc im dobrobyt bądź klęskę. Zdołała jednak ostatni raz wbić się w umysł Kissen.

Kiedy Middren przypadnie bogom, twoja rasa zginie pierwsza.

Dźwięki rzeki ucichły i słodki zapach kadzidła na nowo ustąpił miejsca woni mułu i wilgoci. Powrócił śpiew ptaków.

Kissen zadrżała. Przemokła do suchej nitki, ale jej praca jeszcze nie dobiegła końca. Bogini nie żyła, lecz bogowie potrafili wracać. Świątynia skrywała jej wspomnienia, jej ofiary, kotwiczyła ją w świecie.

Veiga zbliżyła się do świątyni. Była uszkodzona, a nie doszczętnie zniszczona. Dwie czaszki zwierząt rozpadły się na kawałki. Większość bogów żądała ofiar zwierzęcych przed ludzkimi. Zebrała szczątki i rzuciła w las, żeby uległy rozkładowi. Kadzidło się rozpadło, ale popiół pozostał. Wsypała część do małej szklanej fiolki, resztę wrzuciła do wody. Wiele ze złożonych u Ennerast ofiar wciąż było nietkniętych. Gdyby je pozostawić, wystarczyłyby do przywrócenia jej do życia. Kissen zachowała wstążkę utkaną z jedwabiu, z wplecioną modlitwą i krwią wsiąklą we włókna. Wyglądała na prośbę o miłość. Wielka pokusa dla bóstwa. Niewiele innych modlitw było wartych zabrania. Usypała stertę ze szczątków świątyni i podłożyła ogień, z dala od wody i w obrębie kręgu kamieni. Przyglądała się uważnie, gdy prowizoryczny stos pogrzebowy spalał się na popiół. Zatrzymała sobie jeszcze tylko jeden przedmiot: totem z piaskowca, rzeźbioną głowę z wysokimi kośćmi policzkowymi i płaskimi oczami. Mniej więcej wielkości jej dłoni. Pękł na pół, kiedy Ennerast poniosła śmierć. Ale to z niego bogini zaczerpnęła swój kształt.

Kissen cuchnęła parą, błotem i smolistym dymem, kiedy w końcu zabrała swojego konia z początku szlaku u podnóża góry i pokonała długą drogę powrotną do miasta Ennerton i arbitra, który ją wezwał. Arbitrzy byli szumnie nazywani opiekunami, przydzielanymi do poszczególnych miast i obszarów, żeby pilnować interesów szlachty, właścicieli danej ziemi, w tym wypadku rodu Craierów. Kissen nie dbała o to, kto był właścicielem tego czy innego spłachetka błota, to nie miało znaczenia, dopóki płacił prawdziwym srebrem.

Zastukała do drzwi gmachu sądu. Starsza kobieta, która otworzyła, powitała ją ze skrzywioną miną, wycierając plamy atramentu ze swojej ciemnooliwkowej skóry.

– Kiedyś wy, veigowie, korzystaliście z tylnego wejścia.

Kissen uśmiechnęła się, ukazując złoty ząb. Przed wojną o Blenraden bogobójcy nie byli nikim więcej niż łowcami czy tępicielami. Kissen i veiga, który ją szkolił, otrzymywali zapłatę pod stołem.

– Dzisiaj mamy królewskie błogosławieństwo – stwierdziła chłodno. – A może chcesz poruszyć tę sprawę z poległymi z Blenradenu?

Kobieta zarumieniła się i wpuściła ją, a Kissen posłała jej całusa. Nie musiała już udawać, że jej powołanie jest grzechem.

Arbiter w swoim gabinecie notował coś w rejestrach przy dużym dębowym biurku stojącym dumnie pod portretem króla Arrena w jaskrawej ramie. Gdy weszła, podniósł

z rezerwą głowę, a miedziane kolczyki w jego lewym uchu zagrzecotały i zalśniły w świetle lampy. Miał od nich niebieskie ślady na bladej małżowinie.

– Zrobione? – spytał.

– Też cię witam, arbitrze Tessys – powiedziała Kissen. – Sądziłam, że ziemie Craierów są raczej gościnne.

Tessys miał kwaśne oblicze, jakby zbyt wiele razy ktoś na nie nadepnął.

– Będę potrzebował dowodu. – Wydawał się dość niepewny. Dowodem był dym, wciąż unoszący się w ten mokry dzień nad górą, dokładnie tam, gdzie znajdowała się świątynia Ennerast. Dowodem był zapach gniewu, który wciąż trzymał się Kissen niczym ładunki elektrostatyczne po dogasającej burzy. Nieważne. Mali ludzie lubili trzymać wielkie przedmioty.

Położyła na biurku pęknięty totem z piaskowca. Arbiter z pewnością wiedział, że taki przedmiot mógł zostać zabrany jedynie ze świątyni. Wbił w niego przestraszone spojrzenie.

– Zniszcz to – poleciła Kissen, po czym z kieszeni płaszcza wyciągnęła oprawione w skórę dokumenty veigi i pchnęła je po blacie biurka. – I zmyj obawę ze swojego serca albo ona wróci jeszcze przed zimą.

Zerknął z irytacją najpierw na nią, a później na papiery, i wziął pióro.

– Mówiłaś, że ją zabiłaś.

– Bogowie to pasożyty. Powracają, jeśli jest strach, na którym mogą żerować.

Odrodzona Ennerast prędzej czy później udałaby się w to samo miejsce, nawet bez wspomnień o swojej świątyni. Wszyscy bogowie pragnęli tego samego: miłości, ofiar, krwi.

Arbiter pociągnął nosem. Czy Kissen mogła donieść, że nie zajął się usunięciem świątyni Ennerast wcześniej? Musiałby zapłacić wysoką grzywnę, a może nawet straciłby palec. Może powinna to zrobić, ale to by nie zmieniło jego natury. Bogowie rodzili się z modlitw ludzi, a nikt nie chciał być w nich wymieniany po niewłaściwej stronie. Gdyby skarżyła się najbliższemu rycerzowi za każdym razem, gdy ktoś potrzebował veigi, wkrótce nie miałaby pracy.

Arbiter wyciągnął z szuflady pieczęć wraz z woreczkiem srebrników. Jego kamień pisarski był już mokry, więc przycisnął stempel najpierw do niego, a później do jej papierów w miejscu, gdzie widniał trójkanciasty symbol veigi. Kissen najpierw wzięła srebrniki i zważyła je w dłoni. Może na niego nie doniesie, ale policzyła mu wysoką stawkę.

– Idź już – powiedział, pchając dokumenty przez biurko i odprawiając ją gestem, niezdolny do spojrzenia jej prosto w oczy.

– Nie ma innych spraw, które mógłbyś mi zlecić? – spytała Kissen. Bo dlaczego by nie?

– Nie mamy tu innych problemów z bóstwami – odparł arbiter, uśmiechając się przez zaciśnięte wargi. – Poślę list do twojego lokalnego arbitra w Lesscji, jeśli trzeba.

Kissen wzruszyła ramionami i schowała srebro.

– Nie zniszczysz tego, prawda? – odezwała się, wskazując totem Ennerast. To nie było pytanie. Bał się. Nie tylko martwej bogini, ale też jej wyznawców. Na pewno będą szukać winnego, a to arbiter wezwał bogobójczynię. Może zachowa przedmiot. Może pozwoli im się przekupić, jeśli zechcą go odzyskać.

Ostatnie słowa Ennerast znowu rozbrzmiały w jej głowie. *Kiedy Middren przypadnie bogom...*

Kissen wyciągnęła miecz i błyskawicznym ruchem roztrzaskała totem płazem klingi. Mężczyzna odskoczył, gdy twarz Ennerast rozkruszyła się na blacie, pozostawiając w nim dużą szczerbę i mnóstwo białych drobinek.

– Jak śmiesz... – zaczął, ale urwał, kiedy Kissen odstłoniła w uśmiechu złoty ząb i skierowała wzrok na portret króla zawieszony za biurkiem. Stopa władcy spoczywała na łbie jelenia, a za jego plecami ponad miastem stojącym w płomieniach wschodziło słońce. To jego musi słuchać, bez względu na opinię mieszkańców. Arbiter pohamował gniew.

– Dziękuję – wycedził przez zęby.

Kissen wyszła z gmachu, próbując wyrzucić te słowa ze swojej głowy. Wielcy bogowie byli rozproszeni, ich łowy toczyły się w przypadkowy sposób, a wojna w Middrenie dawno dobiegła końca. Słowa Ennerast nic nie znaczyły, były tylko ostatnim rozpaczliwym tchnieniem umierającego bóstwa.

Dotknęła dłonią klatki piersiowej, gdzie wyrażona w morskiej mowie obietnica Osidisena i ofiara jej ojca wciąż ciążyły jej na sercu.

ROZDZIAŁ DRUGI



Inara

INARA CRAIER WSTRZYMAŁA ODDECH, kiedy wóz z drewnem, w którym się schowała, zwolnił i się zatrzymał. Dzisiaj, jak co tydzień, w Ennertonie wożono drewno, nie miała jednak pojęcia, dokąd je dostarczano. Przycisnęła swojego kudłatego towarzysza, Skediego, do piersi pod kamizelką i wyjrzała przez płótno, którym przykryty był wóz. Stanęli przed wielką bramą na ruchliwej brukowanej ulicy. Za nią ludzie ćwiczyli walkę przy użyciu mieczy i tarcz, a wszyscy byli ubrani w blade błękit i szarość rodu Craierów. Nad bramą widniał znak przedstawiający trzy drzewa i lecącego nad nimi ptaka. Herb jej matki, Lessy Craier, głowy rodu. To musiały być jakieś koszary.

– Oddychaj głęboko – powiedziała sobie Inara, odsuwając się od plandeki, a szept dobył się z jej ust w postaci mgły. – Oddychaj głęboko.

Jeszcze nigdy nie była w Ennertonie. Właściwie nigdy nie była poza terenem posiadłości Craierów, ani razu przez wszystkie dwanaście lat życia. Otoczenie było tu cuchnące i hałaśliwe. I jasne. Zbyt jasne, ze zbyt wieloma kolorami.

Jest na tyle głośno, że nikt nas nie zauważy, stwierdził jej towarzysz. *Rób, co ci pokazałem, nie zajmuj się kolorami.*

Inara przełknęła ślinę i wymknęła się z boku wozu. Jej matka była dzielna, pewna siebie i silna. Inara też musiała taka być, dla matki. Dla Skediego.

Nikt na nią nie patrzył, kiedy oddalała się od wozu, wszyscy bowiem pochłonięci byli swoimi sprawami: coś nieśli, pracowali, krzyczeli, śmiali się. Kolory otaczały wszystkich w Ennertonie niczym obłok światła, spadały z dłoni, falowały wokół ramion, tańczyły nad głowami. Niestały, ruchomy kalejdoskop, który skrzył się i znikał, lśnił jak błyskawica, a później przygasał. Inara wzięła głęboki wdech. Tylko ona i Skedi widzieli te kolory. Musiała patrzeć poprzez nie na ulicę, na ludzkie twarze. Barwne migotanie wtopiło się w tło.

Nie biegnij, polecił jej mały przyjaciel, wpełzając jej do rękawa, by schować się w zgięciu łokcia. Po prostu idź. Powoli.

Inara omal nie „weszła powoli” w kobietę niosącą martwą kozę, przywiązaną za nogi do drąga opartego na ramieniu, która wyłoniła się tyłem z najbliższych drzwi.

– Przepraszam! – powiedziała.

– Daruj sobie przeprosiny, mały głuptasie – odparła kobieta, omijając ją. Jej kolory rozcapierzyły się, pomarańczowe i agresywne. Inara wstrzymała oddech.

Idź dalej. To tylko ich emocje, nie mogą wyrzucić ci krzywdy.

Inara opatuliła się ciaśniej płaszczem. Skedi miał rację, powinna się już przyzwyczaić do kolorów, słabych i rozkwitających wokół służby na dworze Craierów czy też pracowników opiekujących się sadami, ogrodami albo bydłem. Zaczęła je widzieć, kiedy przyszedł do niej Skedi lub niedługo później. Pięć lat kolorów i tajemnic.

Była rześka wiosenna noc, zimowy chłód wciąż trzymał, więc wyszła w pikowanej kamizelce i podróżnym płaszczu oraz chuście na głowie. Tylko ona była tak grubo ubrana. Tutaj, w mieście, kilka godzin jazdy wozem od jej domu, powietrze było cieplejsze. Inara mocniej zacisnęła chustę i pochyliła głowę, żeby jej nie rozpoznano. Tutaj wszyscy podlegali władzy jej matki, ale na nią nikt nie zwracał uwagi, nikt nawet nie poświęcił jej drugiego spojrzenia. Inara oddaliła się od koszar i natychmiast weszła aż po kostki do kałuży wypełnionej odpadami z pobliskiej rzeźni. Otrząsnęła z nich stopę i zdołała odskoczyć, umykając przed czyimiś ściekami wylanymi z okna powyżej. Serce waliło jej w piersi. To było głupie. To był obłąd. Ryzykowała wszystko i nie wiedziała, dokąd iść.

– ...czy veiga musi tu zostać, arbitrze Tessys? – Do Inary dotarł urywek rozmowy, gdy obok przeszło dwóch mężczyzn. Ten, który mówił, nosił kołnierz związany zmiętą jedwabną taśmą. Drugi miał pełno miedzianych kolczyków w całym uchu. Jego szaty wykonano z przedniej wełny, a guziki z masy perłowej. Był kimś ważnym. – Wiesz, że wyznawcy ze wzgórz Ennarast będą szukali kłopotów. Lepiej, żeby sobie poszła.

– Jest grubiańską, dumną kobietą i chce, żebyśmy wszyscy o tym wiedzieli – stwierdził ten z miedzianymi kolczykami. Miejski arbiter, na to wyglądało. Parę razy

podstuchiwała, jak matka o nim mówiła. – Nie zgadzam się poświęcić jeszcze choćby chwili na rozmowę z nią. Poza tym podobno jest zbyt zajęta flirtowaniem z oberżystką Rosalie. – Gestem wskazał pobliską gospodę. Otaczali ją ludzie sączący napitki z parujących kubków pachnących grzaniem winem. – Bądź rozsądny i idź gdzie indziej.

Ten pierwszy wydawał się nieswój.

– A jeśli...

– Zapłaciłem jej. Moja rola skończona.

Inara zobaczyła, że lokal nazywa się Wola Króla, a na szyldzie widnieje słońce nad płonąącym miastem. Blenraden. Oczywiście. Inara pamiętała z dzieciństwa, jak przez mgłę, jedynie okruchy wojny, jakieś pojedyncze sceny, ale żadne dziecko nie zapomniałoby powrotu matki do domu w tych najmroczniejszych dniach, rannej, załamanej i milczącej.

W umyśle Inary wyraźniej rysował się dzień, w którym dobiegło to końca. Miała dziewięć lat, kiedy otworzyli w piwnicy beczki z winem i winiakiem oraz zorganizowali dla służby fajerwerki. Lady Craier trzymała wtedy Inarę mocno i blisko. Ale dziewczynka strzegła już tajemnic.

Teraz dobre czasy minęły, a tajemnice pozostały. Lessa Craier spędzała większość czasu daleko, w Sakre, stolicy, próbując na nowo wkraść się w łaski króla, tak twierdzili służący. Jej wizyty w domu były krótkie.

Tego akurat ranka pojawiła się na śniadaniu, prosto z drogi, z włosami zaplecionymi w schludne warkocze przerzucone na plecy, i poświęciła Inarze wiele uwagi, wypytując ją o lekcje, lektury, łucznictwo, nie okazując przy tym swojego niewątpliwego zmęczenia.

Później zjawiła się kurierka. Niespokojna kobieta z biura arbitra, speszona faktem, że zastała panią domu, bo liczyła, że po prostu zostawi wiadomość o wysłaniu bogobójczyni na rozprawę z miejscową wodną boginią Ennerast. Inara nie powinna tego słuchać. Miała się chować, kiedy tylko do domu przychodził ktoś nowy, i tak zrobiła, ale teraz wiedziała, gdzie może się schować tak, aby wciąż wszystko słyszeć.

Bogobójczyni.

Bogobójców rzadko widywano w tych stronach, a nawet jeśli było inaczej, Inara nic o nich nie słyszała. To była jej szansa. Ich pierwsza szansa na wolność. Kiedy Skediemu trafi się następna? Kurierka wyszła i Inara zebrała się na odwagę.

Jej matka ślęczała w swoim gabinecie nad listem i pisała odpowiedź. W powietrzu wisiał zapach cytryn, cierpka i jasna woń cytrusów. Ostatnio wszystkie listy, które pisała, pachniały cytrynami.

– Ina – odezwała się Lady Craier, gdy ją dostrzegła, po czym odłożyła papier, który czytała. Wcześniej jednak, w chwili krótkiej jak mgnienie, Inara dostrzegła symbol

odciśnięty brązowym tuszem, przypominający gałąź drzewa. Jej matka wydawała się udręczona i zaniepokojona, ale inaczej niż u większości ludzi, jej kolory były ukryte. Mimo pełni jasnego dnia na jej biurku stała zapalona świeca.

Inara przełknęła ślinę. Skedi chował się w jej kieszeni i wsunęła tam dłoń, żeby przycisnął do niej nosek.

– Chcę z tobą porozmawiać o bogach.

Trwało to krótko, ten kolor, który wystrzelił z jej matki. Rozdwojona smuga szarości i bieli niczym błyskawica. Zniknęła, ale Inara zdążyła się zorientować, co oznacza: panikę.

– Nie – odparła Lady Craier. – Nie wolno ci mówić o bogach, Inaro, to niebezpieczne.

– Mamo, to ważne. – Chciała jej powiedzieć o Skedim, o kolorach, wyjaśnić, dlaczego tak długo trzymała to w tajemnicy. Może gdyby to wyjaśniła, matka zabrałaby ją na spotkanie z bogobójczynią w mieście. Może uzyskaliby odpowiedzi.

– Kiedyś zrozumiesz.

– Ale...

– Dosyć. – Wokół niej zamigotał gniew, szybko jednak doszła do siebie i delikatnie odgarnęła niesforny kosmyk za ucho Inary, tak jak często robiła, kiedy córka była mała. Dłonie Lessy miały ciemną złotobrązową barwę, podczas gdy Inara miała jaśniejszą cerę. Włosy Lessy były czarne i proste, a Inary – kasztanowe i kręcone. Lessa powiedziała kiedyś, że córka wygląda jak jej ojciec, ale nigdy nie wyjaśniła tej kwestii bardziej szczegółowo. – Mówię poważnie. Wybij to sobie z głowy, kochanie. Proszę. Dla mnie. Tak? – Wstała i jej ramiona przesłoniły światło z okna. Lessa rzadko bywała w domu, a kiedy już się zjawiała, nie chciała słuchać. Nawet nie próbowała. Zanadto się różniły. Inara musiała zrobić to sama.

Kłam, powiedział jej wówczas Skedi.

Więc Inara kłamała.

– Tak, mamo.

Teraz Inara wśliznęła się do gospody. Powietrze było gęste od dymu i gorąca płynącego z palenisk, cuchnęło przy tym potem, psami i octem. Pili tutaj głównie miejscowi. Inara poznawała to po ubraniach z czesanej, barwionej wełny i bawełny, podobnych do strojów służby. Niektóre, bogatsze, obrębiono barwnymi taśmami w fantazyjne wzory. Byli też inni, w podróźnych ubiorach, wełnianych okryciach i grubych butach. Było to miasto kupieckie, jak wiedziała od swoich guwernantów, przewijało się tu wiele osób.

Pomimo wychowania pod kloszem natychmiast zauważyła veigę. Kobieta siedziała przy stole ubrana w skórę, która wydawała się na tyle twarda, żeby służyć za zbroję,

a zarazem odsłaniała tatuaż nad piersią, coś w rodzaju niedbale nakreślonej spirali. Nikt by jej nie wziął za handlarkę czy chłopkę. Rysy miała talicjańskie. Była blada i piegowata, a jej kasztanowe włosy były przycięte nad uszami i zaplecione niestarannie w warkocze; całość przytrzymywała skórzana opaska.

Veiga gawędziła z oberżystką, a gdy się uśmiechała, blask oświetlał blady kontur blizny przypominającej pajęczynę, utkaną od lewego oka do podbródka. Dreszcz wstrząsnął Inarą. Widziała takie rzeczy tylko w zwojach i księgach. Martwa klątwa.

Musiała wyrzucić komuś krzywdę na tyle poważną, że ten zawarł układ z bóstwem, żeby rzucić klątwę. Albo też rozgniewała jakiegoś boga tak bardzo, że odcisnął na niej czarne piętno swojej mocy, nie czekając na modlitwę czy też ofiarę innej osoby. Martwa klątwa oznaczała, że veiga zabiła bóstwo albo w jakiś sposób pokonała jego wolę i piętno stało się białe niczym odbarwiona kość.

Może to nie jest dobry pomysł, odezwał się Skedi.

– Ten pomysł był twój – szepnęła Inara. Pomógł jej skłamać, żeby wcześniej iść spać, choć matka ledwie to zauważyła, a następnie wydostać się z posiadłości pod nosem wszystkich. Czuł ekscytację, że ucieknie ze znanego terenu, wyrwie się na szeroki świat, ale teraz, na widok bogobójczyni, poczuł strach. Czy ona też powinna się bać?

Gdy Inara patrzyła, veiga ujęła dłoń oberżystki i pocałowała ją w nadgarstek. Czuły, ludzki gest. Karczmarka uśmiechnęła się i pochyliła, by dolać jej piwa, wykorzystując ten ruch i szepcząc jej coś do ucha. Uśmiech veigi był szeroki, gdy wybuchnęła śmiechem, a jej szare niczym morze talicjańskie oczy rozjaśnił szelmowski błysk. Inara nie widziała kolorów jej emocji, tak samo jak w wypadku swojej matki, musiała więc próbować je odczytać z wyrazu twarzy.

Jakaś grupa siedząca w głębi sali wzywała oberżystkę, agresywnie wymachując kufłami i uderzając nimi o stół. Ich kolory były wyraźnie widoczne – drażniąca barwa szafranu i słony róż. Nie podobało im się, że veiga flirtuje z ich kelnerką. Karczmarka odsunęła dłoń bogobójczyni, przeciągając ten gest na tyle, by musnąć jej podbródek, po czym podeszła napełnić im kufle.

Inara już się tu znalazła, nie było odwrotu, więc wykorzystwała tę chwilę jako zaproszenie.

Uważaj, zalecił Skedi.

Wśliznęła się na krzesło naprzeciwko bogobójczyni i czekała.

Veiga zerknęła na nią nad krawędzią swojego kubka, pociągając długi łyk. Przed nią stał talerz pełen okruchów i ogryzionych kości. Inara poczuła, że burczy jej w brzuchu. Już dawno powinna spać, a planując potajemną wyprawę, zanadto się denerwowała, żeby coś zjeść. Nieważne, naje się po powrocie do domu. O ile wróci.

Zacisnęła zęby. To był problem na później. Problemem na teraz była kobieta naprzeciwko, której złamana klątwa wydawała się z bliska jeszcze bardziej martwa. Na jej dłoniach też lśniły blizny, stare oparzenia, które pomarszczyły skórę.

– Czego chcesz? – spytała bogobójczyni.

Inara zamrugnęła, nieco zaskoczona, że rozmówczyni odezwała się pierwsza i to tak obcesowo. Z nerwów zrobiło jej się sucho w ustach.

– Jesteś bogobójczynią, prawda? – zaczęła. Veiga uniosła brwi i nic nie odpowiedziała. – Kurierka powiedziała, że przybyłaś wykończyć Ennerast, tę, która dla krwi głodziła rzekę.

– A dlaczego jakąś szlachetną dziewczynkę to obchodzi?

Inara zarumieniła się. Zasłoniła włosy i włożyła najprostszy, najcieplejszy strój do jazdy konnej. Sądziła, że jest ubrana jak służba... Skąd więc veiga wiedziała?

– Nie jestem szlachetna.

– Jasne. – Veiga wzruszyła ramionami, wyraźnie pokazując, że ta kwestia ani trochę jej nie interesuje. – Kimkolwiek jesteś, zmiataj, *liln*.

Liln, talicjańskie słowo oznaczające „małą”. Bogobójczyni mówiła z middreńskim akcentem, naznaczonym jednak krągłą, głęboką melodią talicjańskiego, kojarzącą się z ukrytymi pod powierzchnią morza ostrymi dawniej kamieniami, teraz wygładzonymi przez wodę.

Nie mów jej prawdy.

– Nazywam się Ina. Potrzebuję twojej pomocy.

– Więc zgłoś się do garnizonu. – Veiga uderzyła się pięścią w klatkę piersiową i beknęła. – Nie jestem najemną robotnicą ani niańką.

– Oni nie mogą mi pomóc – stwierdziła Inara, próbując ukryć obrzydzenie. – Nie w tej sprawie.

Przy palenisku rozległ się zgiełk, gdy dwóch klientów zaczęło siłować się na rękę i ludzie zaczęli zakładać się o srebrniki. Oberżystka przeszła obok, nie zważając na hałas.

– Rosalie! – zawołała ją Kissen.

– Veiga? – odrzekła z uśmiechem. Inara poczuła niemal ulgę na widok tego flirtu, bogobójczyni wydawała się za jego sprawą bardziej ludzka.

– Proszę wina. Przynieś kubek dla siebie i pozwól mi spławić tego darmozjada. – Inara skuliła się, gdy Kissen wskazała ją gestem. – Do którego szlachetnego rodu należy? Do Craierów?

Rosalie omiotła ją spojrzeniem i Inarze stanęło serce, ale kolory oberżystki były spokojne i szarawe – żadnego rozpoznania, żadnego zaskoczenia.

– Nie ma tu szlachetnych dzieciaków – stwierdziła. – Lady Craier nie ma teraz dzieci, a rodzina żyje w separacji. To pewnie córka kupca.

Inara potrzebowała chwili, żeby pohamować swój dumny protest. Była dziedziczką ziem Craierów. Mieszkańcy Ennertonu mogli nie być bezpośrednio zatrudnieni przez Lady Craier, ale powinni przynajmniej wiedzieć o istnieniu Inary. Co zresztą znaczyło „teraz”? Skedi szturchnął ją głową.

Lepiej być zirytowaną niż złapaną.

A zatem Inara zachowała milczenie, a tymczasem Rosalie mrugnęła do veigi.

– Przyniosę ci wino, kiedy będę gotowa – oświadczyła.

– Jeśli to nie kłopot. – Veiga skinęła głową w stronę grupy, która je wcześniej rozdzieliła.

– O, są nieszkodliwi – powiedziała Rosalie. – Po prostu mają swoje przyzwyczajenia. Ale jeśli mam ochotę poflirtować z veigą, niech zachowają je dla siebie.

Kissen uśmiechnęła się.

– W takim razie cieszę się, że postanowiłam zostać.

Rosalie odeszła, a Inara poczuła się znużona tym, że otwarcie ją ignorują. Wystarczająco długo znosiła to ze strony matki.

– Wiesz o bogach, tak?

Bogobójczynie westchnęła.

– Jeśli szukasz kapłanki lub uczonej, nie jestem ani jedną, ani drugą. – Wyraźnie liczyła na to, że Inara zniknie.

– Nie, ja... – Inara ściszyła głos. Pragnęła udowodnić, że bogobójczynie nie ma racji i że warto jej wysłuchać. Ostatnią rzeczą, której chcieli ona i Skedi, było pojmanie przez mieszkańców Ennertonu. Nie mogła mieszać w to nazwiska swojej matki, ale ta kobieta miała obowiązek jej pomóc. – Mam problem z bóstwem.

Spojrzenie veigi skupiło się na niej, pełne niedowierzania, i Inara przez ułamek chwili widziała złoty kieł bogobójczynie, gdy ta wydawała się gotowa parsknąć śmiechem. Inara się skrzywiła.

– Wyjdź, Skediceth – powiedziała.

Nie umawialiśmy się na to, zaoponował.

– Proszę. Dla mnie.

Skedi przeczołgał się przez jej rękaw.

Wcale mi się to nie podoba.

Czegokolwiek spodziewała się bogobójczynie, z pewnością nie był to zajęczy pyszczyk i poroże bóstwa wielkości wiewiórki, które wyściubiło nos z rękawa Inary,

mocno przyciskając pierzaste skrzydła do grzbietu. Skedi wyglądał jak skrzyżowanie zająca, jelenia i ptaka.

W ułamku sekundy w dłoni veigi znalazł się sztylet. Skedi skulił się do wielkości myszy i umknął z powrotem w głąb rękawa Inary, gdy ostrze wbiło się w drewniany blat.

– Nie rób mu krzywdy! – wykrzyknęła Inara, znowu przykładając rękę do piersi i chroniąc roztrzęsionego Skediego. Metalowe ostrze było jeszcze bardziej szare niż żelazo. Bryddyt. Widziała go wcześniej w komnatach matki. Miecz, który przywiozła z wojny, wykonano z bryddytu. Broń mogła zabić Skediego w jednej chwili.

– Gdzie jest świątynia? – spytała veiga. Parę osób zerknęło w ich stronę, ale w tawernie wciąż panował gwar. Inara przygryzła wargę. – Odpowiedz mi, dziewczyno.

– Nie możesz mi rozkazywać – odparła Inara tonem swojej matki. Bogobójczyni nie była zadowolona. Ale potrzebowali jej. Oboje. – Nie ma świątyni – uległa.

– Wszyscy bogowie mają świątynie. Nawet dzicy. – Veiga wyciągnęła sztylet z blatu.

– Myślisz, że dlaczego tu jestem? – syknęła Inara, rozglądając się dookoła. Ona i Skedi przez długi czas ukrywali się, żywili nadzieje, skradali się, szukali. Bogobójczyni przygryzła policzek i odchyliła się na krześle. – Po prostu się pojawił. Pięć lat temu. Jest... jakoś ze mną związany.

Była zaledwie dość duża, żeby naciągnąć łuk, gdy pewnego ranka się obudziła, a w jej łóżeczku był bożek, który nie mógł się od niej oddalić bardziej niż na dwadzieścia kroków. Kiedy próbowali, oboje odczuwali ból.

– I nie możemy nikomu powiedzieć, bo mnie aresztują – dodała Inara. – Albo moją matkę, a jego zabiją. To nie jego wina. Nie pamięta, co się stało.

– A dlaczego myślisz, że nie każę cię aresztować i nie zabiję tego małego dla srebra?

Inara wstrzymała oddech. Nie, tego właśnie nie chcieli, a nie powiedziała nawet veidge o kolorach, które widziała. Co by wtedy pomyślała o niej bogobójczyni? Czy i ją by zabiła? Czy to wszystko było na nic? Czy tylko pogorszyła sprawę?

Uciekajmy, powiedział Skedi w jej głowie. Nie mogli uciekać. Zostaliby złapani albo wróciliby do punktu wyjścia.

– Ponieważ, bogobójczyni – powiedziała Inara – przeczytałam wszystko w naszej bibliotece i nie znalazłam nic o bóstwach bez świątyni ani o tym, dlaczego trzymamy się razem. Ponieważ to nie jego wina, że żyje, ale staram się zachować jak należy i wypuścić go, nie wpędzając swojej rodziny w tarapaty. Ponieważ gdybyśmy mieli inne możliwości, nie siedzielibyśmy naprzeciw gburowatej, cuchnącej veigi i nie prosilibyśmy jej o pomoc.

Oczy bogobójczyni zwęziły się, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się krzyk spod drzwi gospody.

– Tam jest! To ona!

Inara odwróciła się i zobaczyła chłopca trzymającego prymitywnie wykonaną kuszę, którą zawodowy wytwórca broni wstydziłby się wystawić na sprzedaż. Mierzył z niej prosto w bogobójczynię.

– Do kurwy nędzy – powiedziała veiga, gdy Skedi pomknął dalej w głąb szaty Inary, by się ukryć. Bogobójczyni jedną ręką porwała stojący obok stołek i cisnęła nim przed Inarą. Stołek zatrząsł się od uderzenia, gdy trafił w krzesło tuż obok dziewczynki.

– Oj! – jęknęła Rosalie. – Nie w mojej...

– Giń, bogobójczyni! Za Ennerast! – Jeszcze trzech ludzi wpadło przez boczne drzwi gospody. Jeden z nich dzierżył najzwyklejszą siekierę drwala.

Bogobójczyni obróciła sztylet, łapiąc go za ostrze, i cisnęła nim tak, jakby rzucała kamieniem i chciała puszczać kaczki. Rękojeść uderzyła go mocno w oko. Upadł, a siekiera wylądowała mu na piersi. Ostrzem do góry. Szczęśliwie. Inara poczuła szarpnięcie za kołnierz i krzyknęła z zaskoczenia, gdy veiga poderwała ją z miejsca i mocno cisnęła w kąt przy oknie, z dala od zamieszania.

Kissen zrobiła dwa kroki i walnęła chłopca z kuszą stołkiem w potylicę. Runął na podłogę. Kobieta obok niego miała mniejszą siekierę i głośno krzyknęła, gdy ją uniosła, ale bogobójczyni przyłożyła stołkiem prosto w jej szczękę, a później jeszcze pchnęła ją nim w brzuch.

Nie zauważyła czwartego typka, który zakradł się za nią.

– Uważaj! – krzyknęła Inara. Zamachnął się kosą, którą wyprostował z grubsza, przerabiając na broń, i wbił ją w prawą nogę veigi z przyprawiającym o mdłości dźwiękiem.

Bogobójczyni nawet się nie zachwiała i sama wyprowadziła cios stołkiem w jego kolana. Nogi się pod nim ugięły, a ona wyjęła miecz z pochwy przy pasie i przytknęła mu czubek klingi do gardła. Ostrze było ciemne – znowu bryddyt. Jego grdyka szybko podskoczyła, gdy przełknął ślinę.

– No dalej – powiedział. Jego łamiący się głos skrzypiał jak nienaoliwione koła. – Zabiłaś naszą boginię. Równie dobrze możesz zabić i mnie.

Inara wstrzymała oddech. Nie robi tego, prawda? Skedi przemówił w jej umyśle.

Jest zbyt niebezpieczna.

Bogobójczyni prychnęła.

– Nie zabijam ludzi – oznajmiła i odłożyła miecz. Młodzieniec cofnął się, resztki odwagi go opuściły i w końcu zalał się łzami. Reszta gospody pograżyła się w ciszy, w oczekiwaniu, czy wydarzy się coś jeszcze.

Veiga podniosła wzrok na Rosalie, która zrobiła zbolaną minę.

– W porządku – powiedziała bogobójczyni z westchnieniem. – Już pójdę.

Nie przeprosiła. Nie ona odpowiadała za te drzazgi i bałagan.

Wróciła do stołu zmienionym krokiem, ale najwyraźniej bez bólu i pozbierała swoje sakwy, zanim skrzyżowała spojrzenia z Inarą. Dziewczynka nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy raczej bać, że Kissen o niej pamiętała.

– Ty – powiedziała veiga z taką miną, jakby zaraz miała rzucić klątwę. – Chodź ze mną.

Nie mając pojęcia, co mogłaby zrobić innego, Inara wyszła za nią na zewnątrz. Na placu było pusto i ciemno, słońce już zaszło, ale księżyc jeszcze się nie pojawił.

– Co to za bóstwo? – spytała veiga.

– Bóg niewinnych kłamstewek – wyjaśniła roztrzęsiona Inara, oglądając się na chaos przy kontuarze. Skedi uczeplił się jej nadgarstka.

– Fantastycznie – odparła bogobójczyni głosem ociekającym sarkazmem. – Dobra. Odprowadzę ciebie i tego pasożyta z powrotem do twoich rodziców. Możesz mi mówić Kissen.

ROZDZIAŁ TRZECI



Elogast

ELOGAST UWIELBIAŁ ZAGNIATAĆ CIASTO: RAZ I ODWRÓCIĆ, drugi raz i odwrócić. Proste, absorbujące zajęcie. Uspokajało go, kołysało myśli, łagodziło bicie niespokojnego serca.

Chleb był żywą istotą, miłą i wierną. Ciepło bijące z pieca, otwartego, by uwolnić trochę żaru, buchało mu na policzki, powietrze orzeźwiało zapachem drożdży. Rzeński wiosenny dzień dobiegał końca, a jego piekarnia na zachodniej nizinie Middrenu zarobiła dziś dobre pieniądze.

Teraz zaczynał wyrabiać chleb, który miał dojrzeć przez noc i rano trafić do pieca, a także szykował się na wieczorne przyjęcie robotników, brygady górniczej, która zaczynała zmianę przy wydobywaniu srebra z pobliskich złóż. Górną część kuchennych drzwi otworzył na oścież, aby schłodzić pomieszczenie i wpuścić umilający pracę zapach rosnącego u sąsiada krzaka bzu. Drobne przyjemności, powiedział sobie, gdy jego dłonie wybijały swój rytm.

Bogowie, ależ się nudził.

Raz i odwrócić, drugi raz i odwrócić. Ciasto marszczyło się, gdy obtaczał je w mące na drewnianym blacie. To była duma jego piekarni, blat wykonany na zamówienie z irisjańskiego dymnego drewna, z krainy jego matek, o tej samej pięknej, ciemnej i cieplej, brązowej barwie, co jego skóra, a biała pszenna mąka odcinała się na tle jednego i drugiego niczym gwiazdy albo śnieg. Ten blat miał lepszą powierzchnię niż

te w zatłoczonych kuchniach Dworu w Sakre, pałacu w stolicy Middrenu, gdzie dawniej służył. A zdecydowanie gładszą niż płaskie kamienie i błoto na polu bitwy.

Przestał zagniatać, jego palce zatrzęsły się lekko, a ból ścisnął mu ramię i klatkę piersiową. Oddychał powoli i znów wepchnął dłonie w ciasto, czując jego miękkość, jego delikatną naturę. Cudowne. Ból ustąpił, a razem z nim drżenie.

Elo przykrył ciasto i wstawił je do chłodniejszego pomieszczenia, żeby dojrzało. To było niespieszne życie. Dziwne. Miał ledwie trzydzieści lat, ale już odłożył miecz i machnął ręką na zaszczyty, dla których zaczął się szkolić jako dziewięciolatek. Po trzech latach wciąż nie czuł, że się do tego przyzwyczał. Jakby nosił cudzą zbroję.

Zajął się teraz nameenami, podpłomykami przystrojonymi orzechami, nasionami i ziołami. Orzechy laskowe, olej i tymianek łatwo było kupić od miejscowych ogrodników, ale irisjańskie przyprawy były teraz w Middrenie droższe – szczypta pikantnego zioła cytrynowego, prażone ziarna sezamu. Jego wciąż żyjąca matka przysyłała mu hojne paczki, kiedy tylko mogła. Danie też pochodziło z północnej Irisji, było jednak dość rozpowszechnionym robotniczym posiłkiem po drugiej stronie Morza Kupieckiego. Elo udoskonalił recepturę przy ogniskach podczas Bożej Wojny. Dobrze się jadło te podpłomyki w jasne poranki pod Blenradenem, kiedy słońce wznosiło się nad miastem i jego zburzonymi wieżami. Wciąż to widział, kiedy zamykał oczy: wieże i swoich przyjaciół, a wtedy bolało go serce, szarpane emocjami: żalobą i... tęsknotą. Był tam też król Arren, wówczas jeszcze księżę, który w porannym świetle wydawał się jeszcze młodszy, niż był w istocie. Elo myślał wtedy, że nic nie zdoła zachwiać ich przyjaźnią.

Krok przy drzwiach. Pierwszym odruchem Elo wciąż było położenie dłoni na nożu u pasa, którego już tam nie nosił.

Znowu zaszurało i Elo dostrzegł błysk na przeciwległej ścianie. Ostrze.

Wziął wałek, którego używał do ciasta, i odwrócił się, uderzeniem odrzucając na bok miecz, który wbił się w drewniany blat, a następnie złapał za gardło dzierżącego broń.

– Widzę, że nie ubyło ci umiejętności, panie Elogacie – powiedział intruz.

Elo puścił. Król Arren się uśmiechał, a jego klinga wciąż tkwiła wbita we wspaniały blat. Nie miał na sobie oficjalnych szat, lecz spodnie z owczej skóry, wełniany płaszcz z podszewką i szorstką brązową koszulę z konopi, którą musiał ukraść albo kupić od jakiegoś robotnika.

– A ja widzę, że nadal nie zatrudniłeś strażników na tyle dobrych, żeby nie pozwolili ci się wymykać, Arrenie. – Podstęp był okropny. Serce Elo wciąż biło bardzo szybko. Mimo wszystko nie umiał powstrzymać uśmiechu.

– Pamiętam, że tobie też nie najlepiej wychodziło trzymanie mnie w zamknięciu, przyjacielu. W zasadzie stale namawiałem cię, żebyś poszedł ze mną.

Chociaż jego wizyty były rzadkie, Arren zawsze pojawiał się bez ostrzeżenia, bez listownej zapowiedzi, a najczęściej także bez żadnego powodu. Tego wieczoru było w nim jednak coś innego, jak gdyby to myśli Elo o przyjacielu wywołały jego obecność. W jego oczach płonął też nowy zapał. Dwór dzielił od piekarni w wiosce Estfjor niemal dzień jazdy i król wydawał się zdyszany, jakby przebiegł całą tę drogę.

– Co się stało? – spytał Elo.

Arren zamrugał, usta mu zadrżały i pokręcił głową.

– A musiało się coś stać? – odrzekł. Wciąż uśmiechał się krzywo niczym niesforny giermek, którym kiedyś był.

Matki Elo, Ellac i Bahba, zamożne kobiety posiadające po kilka statków, wysłały syna do zamku na służbę na jego własne życzenie. Sznurki, za które pociągnęły, załatwiły mu łóżko blisko ognia i ledwie kilka kroków od tego dziecka czwartego z pięciorga, a zarazem księcia najmniej kochanego przez królową. Arren był wówczas jedynie giermkiem, tak jak oni wszyscy, wymykającym się z lekcji i wpędzającym Elo w kłopoty.

– Nadal kiepski z ciebie kłamca, Wasza Wysokość – stwierdził Elo. Powstrzymał ochotę, żeby dotknąć swoich włosów i sprawdzić, czy wszystko z nimi dobrze. Wyrosły mu długie, delikatne czarne loki, wymagające więcej nawilżenia i pielęgnacji, niż kiedy był rycerzem. Podobnie zresztą rzecz się miała z brodą. Wtedy zawsze był gładko ogolony albo nosił ochronne warkocze.

– Daj spokój, przestań z tymi tytułami, Elo, to ja – powiedział Arren. Widział już Elo bardziej rozczochranego niż dzisiaj, skacowanego w poranki, gdy trzeba było stanąć do sparingu, czy też wkładającego zbroję dopiero podczas szarży.

Elo pokręcił głową. Odkąd porzucił służbę u króla, starał się myśleć o nim jak o swoim władcy, a nie przyjacielu. Nie wychodziło. Arren zawsze będzie dla niego Arrenem, bez względu na nieporozumienia czy na fakt, że Elo go opuścił po niemal dwóch dekadach przyjaźni i wojnie, z której ledwie wyszli cało.

Arren podniósł garnuszek z olejami i nasionami, gdy Elo schował uwalane mąką ręce za plecami, by ukryć drżenie, które przychodziło wraz z myślami o Blenradenie.

– Pachnie znajomo.

Elo wiedział, że coś jest nie tak. Arren po prostu jeszcze nie wiedział, jak wyjaśnić, co go trapi. Zawsze taki był. Wina jego matki. Królowa nie dbała o to, czy chłopak jest bity, besztany albo dręczony. W efekcie to Elo go bronił. Elo znał króla, jakby był jego rodzonym bratem, i widział teraz, że niepokój otacza go niczym peleryna. Nie mógł wytrzymać w jednym miejscu.

– To na sprzedaż dziś wieczorem? – spytał Arren, zamiast powiedzieć, co mu siedzi w głowie. – Mogę pomóc?

Elo westchnął. Najlepiej poczekać, niech mówi, kiedy będzie gotowy. Może chodziło o politykę. Zwykle starali się omijać ten temat, trzymając się wątków z dzieciństwa i uroczych dziwactw mieszkańców wioski. Nie chcieli zanadto przybliżyć się do kwestii, dlaczego Elo jest tutaj i sprzedaje chleb, a nie w Sakre – gdzie obaj się urodzili i wychowali – w roli dowódcy rycerzy Arrena, tak jak kiedyś.

– Pomoc zawsze się przyda – skłamał Elo. Wziął jedną z brył ciasta, które czekały na swoją kolej, i rozpląszczył ją za pomocą wałka, a następnie podał przyjacielowi. Arren uśmiechnął się, zanurzył palce w worku mąki, po czym wziął ciasto i zaczął smarować je grubą warstwą pasty z ziół i orzechów, nie naruszając przy tym gładkiej powierzchni. Elo uśmiechnął się. Arren nie zapomniał, czego się nauczył. Dobrze było widzieć, że przyjaciel tak delikatnie wykonuje swoją pracę. Zawsze miał sprawne ręce, nazbyt często umazane krwią. Czasami swoją, czasami cudzą.

Błysk złotej zbroi w zupełnej ciemności. Rozbryzg czerwieni. Krzyki.

Elo pokręcił głową, a potem nadał pracy rytm, wałkując ciasto i podając je Arrenowi.

– Nadal jesteś tu szczęśliwy? – spytał w końcu Arren przy osiemnastym nameenie.

– Tak – znowu skłamał Elo. – A co, spróbujesz mnie namówić, żebym znowu z tobą uciekł? – To miał być żart, ale Arren spoważniał.

– To nie ucieczka, kiedy wracasz.

Elo roześmiał się, ale w sercu czuł poruszenie. Nie taka znów mała część jego duszy pragnęła uciec od samego siebie, od nocnych koszmarów, od wspomnień, od dumy i przeszłości.

– Arrenie, jesteś królem.

– Elo. – Arren przyjął ten sam ton i drwiąco się uśmiechnął. – Zauważyłem. – Uśmiech nie dosięgnął jego oczu. – Nie wiem, jak królowa tego dokonała.

Rzadko nazywał swoją matkę „matką”. Kiedy był mały, pierwsze i ostatnie dziecko zapadły na czerwoną gorączkę. Najstarsze, Elisiah, zmarło w ciągu kilku dni, a młodszy Mosen ledwie trzymał się życia. Aby go ocalić, królowa zawarła układ z bogiem. Cokolwiek obiecała, bóg się zgodził. Później spędzała coraz więcej czasu w Blenradenie, a nie w stolicy, w towarzystwie bóstw, szlachty i najdroższego Moseny. Arren nie był ani najstarszym z rodzeństwa, które przeżyło, Caną, ani jedyną córką, Bethine. Najmniej kochany Arren, zepchnięty na margines.

Teraz król.

Cana i Mosen nie żyli, zabici wraz z królową, kiedy wojna wybuchła podczas jednego z jej wystawnych przyjęć w Blenradenie. Bethine, jego starsza siostra, także

poległa, gdy próbowała ratować poddanych przed starymi dzikimi bogami, którzy miażdżyli uchodźcze statki w blenradeńskim porcie. Arren został sam i musiał zakończyć wojnę, której nie zaczął.

Nie sam. Elo zgniół ciasto w dłoni, wyciskając zeń część powietrza. Poluzował uścisk. Tamten czas minął. Wojna się skończyła. Przeżyli, nawet jeśli tylko ledwo, ledwo. Arren miał się dobrze. Był pełen dziwnej energii, ale miał się dobrze. A przede wszystkim żył, mimo że wszyscy otarli się o śmierć. Elo żałował, że jego widok przywołuje tak wiele złych wspomnień.

– Porozmawiajmy o tym później – powiedział. – Włóż pierwszą partię.

– Tak jest, szefie – odrzekł Arren i za pomocą łopaty zaczął wkładać podpłomyki do pieca w nienerwowej ciszy, której wypracowanie trwało lata.

Gdy pierwsze nameeny rumieniły się w piecu, z ulicy dobiegł tupot butów. Elo podszedł do drzwi i rozłożył półkę, którą zamontował na dolnym skrzydle. Był tam duży kosz na pieczywo i mniejszy na monety. Napełnił ten większy świeżymi nameenami.

– Hej, Elo! – zagaił Kelthit, brygadzysta, który prowadził pozostałych do pracy. Włożył cynową monetę do koszyka i wziął podpłomyk. Elo nie narzucał górnikom wysokich cen za kolację. Odkąd Arren wprowadził zakaz wyznań, większość z nich nie miała już bogów, którzy dawniej strzegli ich w ciemnościach pod wzgórzami. Nie płacono im zbyt dobrze za narażanie życia pod ziemią. – Twój kumpel przyszedł pomóc, tak? – Z ciekawością zerknął na stojącego tyłem i wpatzonego w piec Arrena. Liczne portrety króla, które wisiały w biurach arbitrów, sądach, oberżach i innych miejscach publicznych w całym Middrenie, nie zawsze wyglądały jak prawdziwy on, tak samo jak mosiężne figurki, które ludzie stawiali w mieszkaniach na parapetach. Niemniej wystarczyła para bystrych oczu i średnio sprawna pamięć, żeby skojarzyć Elo z rycerzem dowodzącym Elogastem, a jego przyjaciela z królem Middrenu, niszczycielem bogów.

– Po prostu był w okolicy – powiedział Elo.

Kelthit wzruszył ramionami. Miał dosyć na głowie, żeby jej sobie nie zaprzętać królami, bogami i rycerzami.

– Moja córka chce, żebyś przyszedł jutro na śniadanie i przyniósł jej miodowe przysmaki. Tym razem się zgodzisz?

– Słowo daję, Kelthit – powiedziała jakaś kobieta, łokciem wypychając go z drzwi, żeby wrzucić cynową monetę i wziąć swoją kolację – ona chce tylko popatrzeć na jego śliczną buzię. – Mrugnęła do Elo. – A Kelthit chciałby, żebyś się z nią ożenił, wtedy sam przestanie pracować.

Elo uśmiechnął się.

– Następnym razem – powiedział. Jutro Kelthit znowu zapyta. Może pewnego dnia Elo powinien się zgodzić. Powinien spróbować. Był jeszcze młody. Ale nie wiedział, jak zadomowić się w tym miejscu. Pracujący lud Estfjoru wydawał się odległy o cały świat od pałacu i bogów, i od śmierci.

Kolejka ciągnęła się dalej za Kelthitem i każdy wymieniał brzęczącą monetę na pieczywo. Parę osób zamiast monety wrzuciło kamyk ze swoimi inicjałami. Obietnica zapłaty w przyszłym tygodniu albo kiedy tylko będą mogli. Wymieniali kilka słów o pogodzie czy nagłym kwitnieniu bzu, błogosławieństwa dla króla, które z pewnością wywołały uśmiezek Arrena. Elo urządził tu sobie samotne, ale dobre życie. Powinien się nim cieszyć. Lecz nie potrafił.

Kiedy klienci poszli, Elo zamknął drzwi, za którymi ciemniało wieczorne niebo, a także okiennice, po czym zapalił świece wśród żaru z pieca i zapachu drożdży. Arren rozerwał zostawiony dla siebie podpłomyk i podał kawałek Elo, który go wziął.

– Przypalony – zauważył Elo, odgryzając kęs. Był smaczny, ciasto wyszło wystarczająco lekkie, chociaż do ziół dodał o szczyptę soli za dużo.

– Tylko troszkę, wybrednisiu. – Arren zlizywał okruchy z palców, a na jego twarzy malowały się dziwne, sprzeczne emocje.

– Nikt nie przyjdzie tu do rana – powiedział Elo. – Wina?

Podejrzewał, że będzie im potrzebne, by omówić temat, z którym przyszedł tu Arren. Kiedy ten skinął głową, Elo wyciągnął jeden z chłodnych kamiennych dzbanów, trzymany nad piwnicą. Gdyby wino było dla niego, rozcieńczyłby je wodą, ale Arrenowi hojnie nalał pełny kubek, po czym poszedł wyjąć z pieca swoją kolację. Przygotował ją, zanim wziął się do szykowania pieczywa, i wstawił nakryty garnek w głąb, na powolne pieczenie. Kiedy uniósł pokrywkę, buchnęła para. Rzeczna ryba na pokrojonej cukinii, cytrusach i ziołach. Posypał ją grubo mielonymi ziarnami i orzechami, które zarumieniły się na wierzchu.

Porcja była za mała dla nich obu. Elo postawił rybę na blacie, gdy Arren podniósł swoje wino, po czym zaczął otwierać niektóre słoje z przetworami z zeszłego lata. Marynowana cebula i owczy ser, biały i kremowy, zakonserwowany w słoju z olejem i ziołami. Wyłożył je wraz z oliwkami, krągłymi już i pulchnymi po moczeniu się w solance od jesiennych zbiorów, oraz pastą z płatków róży i papryki, która znakomicie smakowała z pieczywem.

Nameen już zniknął, ale Elo miał jeszcze pół bochenka chleba, który upiekł rano, miękkiego, ze skórką posmarowaną oliwą i posypaną solą oraz rozmarynem. Chleb południowomiddreński, w sam raz na szybki posiłek. Ulżyło mu, że zdołał coś szybko przygotować, i sobie też nalał trochę wina. Jego przyjaciel wpatrywał się w piec, na jego twarzy tańczyły świetliste refleksy żaru.

Żaru, którego błysk lśnił w oczach Arrena. Elo poczuł znajome napięcie, które przebiegło mu przez plecy prosto do płuc. Zupełnie jakby strach zakaził mu ciało, wsączył się w krew i kości, i teraz, trzy lata później, stale naznaczał każdy jego dzień. Dłonie wciąż mu od niego drżały. Wojna. Wojna zawsze do niego wracała, nieważne, jak daleko za sobą ją zostawił.

– Nie opuszczę cię.

– Musisz!

Uderzenie. Rozbryzg. Krzyk.

Elo podniósł kubek trzęsącą się dłonią i pociągnął niepewny łyk. Nawiedzony, tak, był nawiedzony.

– Musimy wrócić – powiedział Arren, jakby wyczuwał echo wspomnień przyjaciela.

Elo omal się nie zakrztusił.

– Co?

– Wiedziałeś, po co przyjechałem, Elo – stwierdził Arren. – Zróbmy to. Wracajmy.

Elo prawie się roześmiał, ale mina Arrena była stężała i poważna.

– Arrenie, nie możesz. My nie możemy. Zgodnie z twoim własnym prawem tylko rycerze, którzy bronią Blenradenu, mogą tam wchodzić...

Arren podszedł popatrzeć na rozłożone potrawy.

– Nie chcesz wrócić? Pogrzebać przeszłości? Pomimo dzielących nas różnic, pomimo tego, jak to się skończyło... wspieraliśmy się tam nawzajem. Dokonaliśmy niemożliwego.

Elo zawahał się. Było w tym wiele racji. Wygrali wojnę, która pochłonęła całą rodzinę Arrena i połowę wyszkolonej armii, a także wygnała ich z własnego miasta. Ale to dlatego, że mieli po swojej stronie bogów. Bogów szczęścia, kowalstwa, rybołówstwa i innych. Zwerbowali do wojska zwykłych ludzi w zastępstwie rycerzy, którzy uciekli, i nastawili ich na zemstę za rodzinę królewską, wzbudzili w nich gniew na dzikich bogów i zburzenie miasta.

Później Arren poszedł z zemstą jeszcze dalej i zwrócił się nawet przeciwko bogom, którzy walczyli po ich stronie, zniszczył ich świątynie, zakazał wstępu na swoje ziemie. I Elo nie mógł mu tego wybaczyć.

„Różnice” oznaczały, że matki Elo wróciły do Irisji, żeby w Middrenie nie tracić wolności wyznania, pomimo pierwszorzędnych portów handlowych od wschodu po zachód. „Różnice” były tak duże, że Elo porzucił wszystko, na co pracował, swojego zaprzysięgłego brata, przyjaciół, tytuły i bogactwa, żeby mieszkać samotnie w Middrenie, niezdolny do opuszczenia krainy, w której się urodził i za którą walczył – a wszystko dlatego, że nie mógł stać na straży praw Arrena.

Arren poklepał go po ramieniu.

– Chodź, usiądź, pomyśl o tym. Napełnię ci talerz. Na pewno jesteś zmęczony.

Zabrał się do nakładania jedzenia, a Elo zdecydował się usiąść i przyciągnął sobie stołek bliżej ognia. Chciał wrócić do Blenradenu i pogrzebać przeszłość, skończyć z ciągłym wracaniem pamięcią do wojny, zobaczyć te potrzaskane ruiny miasta i zniszczone świątynie, pozwolić, by wspomnienia wyblakły. A jeszcze bardziej chciał pogadać z Arrenem, by rozmową skrócić dystans, który podzielił ich za sprawą decyzji przyjaciela. Aby było między nimi jak dawniej.

Nie mogli tego zrobić. Nie powinni.

Arren podał mu talerz, po czym oparł się o blat nad własnym i chrząknął z aprobatą, gdy zanurzył kawałek chleba w różanej paście i ugryzł. Elo stracił apetyt i dłubał w jedzeniu. To było takie niespodziewane. Arren nie zjawiłby się u niego, gdyby nie czuł się zdesperowany.

– Potrzebuję cię do jednej ostatniej walki, Elo. Tylko jednej. Proszę.

– Co się stało, że chcesz, żebym to zrobił? – spytał Elo. – Zabroniłeś ludziom przebywać w Blenradenie, żeby tamtejszych bogów zapomniano i żebyś z czasem mógł odbudować miasto. Co się zmieniło?

Po twarzy Arrena przebiegł cień goryczy, ale szybko znikł. Przyłożył sobie rękę do piersi, a Elo zmarszczył brwi, czując przeszywający go zimny dreszcz.

– Ludzie szybko zapominają, co nam zrobili bogowie. Chcą ich powrotu, ich obłędu, modlitw. Chcą mojego odejścia.

– Odejścia? Dlaczego?

– Jest szesnaście domów, Elo, i żaden nie darzy mnie miłością. – Odsunął swój talerz i skrzyżował ręce, przez co wyglądał tak jak w dzieciństwie, kiedy bracia zapędzili go do kąta: przestraszony, a jednak wciąż uparty. – Niektórzy nawołują do sprzeciwu – dodał. – Buntu.

– Chcą cię zdetronizować?

– To bardzo uprzejmy eufemizm na „zamordować” – odrzekł Arren z krzywym, smutnym uśmiechem.

Elo odstawił talerz.

– Kto? – spytał, ogarnięty teraz gniewem.

Zatrzymał swój miecz po odejściu z wojska. Był ukryty za obudową kominka. Miecz, którym go pasowano, prezent od Arrena. Jego palce wreszcie przestały drżeć i świerzbiły go, żeby po niego sięgnąć. Może i rzekł się tytułów, ale Arren wciąż był jego przyjacielem. Elo chronił go przed prześladowcami w dzieciństwie i zamierzał chronić go także teraz przed wrogami.

– Jeszcze nie wiem dokładnie – powiedział Arren. – Mam swoje podejrzenia. Podważają moje prawa, sprzecząją się o władzę, kiedy próbujemy budować państwo.

Oslabiają nas.

– Nie można tego załagodzić?

Arren mlasnął językiem i wstał, po czym w ciemności zaczął chodzić w kółko pomiędzy blatem a rozgrzanym piecem.

– Załagodzić? – powtórzył. Twarz miał bladą. – Nie, Elo. Ze wszystkich stron otaczają nas Talicja, Restish, Irisja i Usic i wszyscy chcieliby naszego upadku. To niemożliwe. Nie możemy znów dopuścić do wewnętrznych konfliktów między bogami czy rodami, napuszonymi własną chwałą i władzą. Widziałeś na własne oczy, jakie szkody może spowodować owa władza, zniszczenie, które bogowie przynieśli mojej rodzinie, setkom rodzin. – Zacisnął dłonie w pięści. Wydawał się niezdrów, zmęczony. – Teraz się nie ugnę – oświadczył. – Ani przed naszymi sąsiadami, ani przed buntownikami, ani przed nikim.

– Arrenie, odebrałeś ludziom podstawowe wolności. Bogom zaś prawo do istnienia. W Irisji...

– Tu nie Irisja, Elo – powiedział Arren, odwracając się do niego twarzą. – Middren ma zbyt wielu bogów, różnych i bez wyjątku zdesperowanych. Robią i robili nam krzywdę. Oni nas zabijali.

Tak wiele razy toczyli ten spór. Co jeszcze mógł powiedzieć Arrenowi, ostatniemu ze skrzywdzonej przez bóstwa rodziny, próbującemu utrzymać jedność królestwa, które od rozpadu dzieliło tylko jedno miasto?

– Nie możemy teraz uciec do Blenradenu. Zresztą po co? – powiedział jednak. Zaczepnął powietrza. – Wracajmy. Do Sakre. Pomogę ci. – Może chciał go nakłonić, żeby zmiękł, żeby przyjął ludzi z powrotem.

– Nie. – Arren pokręcił głową i zaczął chodzić jeszcze szybciej, mocno zaciskając wargi. – Blenraden to nasze rozwiązanie. To ważne, żebyśmy się tam udali. Tobie jednemu mogę ufać. – Był teraz jeszcze bledszy.

– Ważniejsze niż przewrót?

Arren nie odpowiedział. Wzdrygnął się, a później potknął i padł na blat.

– Arren! – Elo przyskoczył, żeby go złapać, ten go jednak odepchnął, a w następnej chwili osunął się na kolana. Nie było napastnika, okna pozostawały zamknięte, nie otrzymał żadnego ciosu.

– Nie – warknął Arren, trzymając się zbielełymi kłykciami za pierś. Posłał Elo desperackie spojrzenie. – Jeszcze nie.

– Co...

– Czekaj... – Wstrząsnęły nim spazmy, przechodzące przez pierś aż do nóg. Skulił się z bólu, osuwając na bok. – Proszę, nie. Nie chciałem, żebyś... to widział.

Elo ogarnęło przerażenie. Widział to. Widział to teraz, tak jak i wtedy. Postanowił, że nie da się odepchnąć, uniósł głowę Arrena z podłogi, próbując go powstrzymać przed robieniem sobie krzywdy.

Krew na podłodze. Ostatnie oddechy, chrapliwe i milknące. Później iskra. Płomyk.

Wstrząsy spowolniły. Oddech Arrena był nieregularny, świszczący. Elo czekał, aż oddech króla się uspokoi. W końcu Arren podniósł rękę, by mocno złapać go za ramię.

– Nic mi nie jest – powiedział słabym głosem. – Nic mi nie jest, Elo.

Elo pomógł mu wstać i usiąść, po czym przysunął sobie spod pieca drugi stołek. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a ciszę zakłócał jedynie trzask płomieni.

– Mój przyjacielu – odezwał się w końcu Elo – czego mi nie mówisz?

Arren podniósł błagalny wzrok, po czym się odwrócił, jakby zawstydzony.

– Ja nie... nie chciałem cię martwić, przynajmniej dopóki tam nie będziemy. – Elo podał Arrenowi jego kubek z winem, a przyjaciel niepewnie ujął naczynie. – Tak wiele dla mnie zrobiłeś, chciałem, żeby tu chodziło o nas, a nie... nie o to.

Elo sięgnął do guzików jego koszuli. Arren wykonał ruch, by go powstrzymać, gdy jednak Elo posłał mu wymowne spojrzenie, król zabrał dłonie.

Blizna zaczynała się tuż pod lewym ramieniem Arrena. Głęboka szrama w jego ciele, w miejscu, gdzie kość i płuco ustąpiły. Skóra była tam ciasno zwinięta i ciemna od dymopisma, boskiego języka. Oddech Elo przyspieszył, zaschło mu w ustach. Minęło dużo czasu, odkąd widział miejsce, gdzie blizna robiła się szersza, a skóra otaczała mroczny fragment... coś, co było niemożliwe do wyobrażenia. Coś, co nie powinno istnieć, ale uratowało jego przyjacielowi życie. W ciemnym wnętrzu ciała Arrena widniały patyczki, tworzące małe gniazdo. Otaczał je mech, one zaś okalały płomyk jarzący się tam, gdzie niegdyś znajdowało się serce króla.

Ten płomyk zanikał.

ROZDZIAŁ CZWARTY



Skediceth

BOGOBÓJCZYNI PACHNIAŁA STARĄ SKÓRĄ, mokrą wełną i potem, co Skediemu w ogóle się nie podobało.

Nie podobało mu się też, że nie potrafi rozpoznać jej myśli. Śmiertelnicy stanowili myślowy chaos i bogowie widzieli wytwarzane przez nich kolory, a przy silniejszych emocjach poruszające powietrze wokół nich. Kolory każdej osoby były inne, zawsze jaskrawe i podatne na manipulację. Skedi odróżniał kłamcę od zakochanego, żartownisia od oszusta. Nie w przypadku veigi. Jej emocje były ciasno zawinięte, ukryte. Kissen. Dziwne imię, pomyślał Skedi, jak na kobietę o tak surowym wyglądzie.

Nie podobało mu się także dzielenie z nią konia, wałacha w średnim wieku, który niósł ich w górę pylistego traktu, którym zjechali wcześniej z Inarą, wreszcie, pierwszy raz od pięciu lat. A przede wszystkim nie podobało mu się, że znajduje się w zasięgu bryddytowego sztyletu veigi, bez względu na to, dokąd popełźnie. Siedział teraz w zgięciu między szyją a ramieniem Inary, osłonięty peleryną jej włosów, i niespokojnie spoglądał na rękojeść broni.

Inara na szczęście posłuchała jego rady, żeby na razie trzymać język za zębami. Musiał wymyślić sposób na wyciągnięcie ich obojga z tej sytuacji.

Powiedz matce, że po prostu znalazła cię w lesie, przemówił Skedi prosto do umysłu Inary.

Myślisz, że mi uwierzy?, odparła. Mówiła mi, żebym nigdy nie opuszczała posiadłości. Sprawię, że ta wersja przejdzie. Ona nie musi wiedzieć. Możemy znaleźć inną drogę.

Inną drogę do wolności. Inara go chroniła, robiła, co w jej mocy. Skedi był jej za to wdzięczny, ale wiedział, że jego miejsce nie jest przy niej. Pewnego dnia ktoś ich odkryje i wtedy go zabiją. Nie chciał ginąć, chciał tylko być sobą. Bóstwem. Chciał mieć dom, świątynię.

Nie mogę znowu okłamywać matki, powiedziała mu Inara.

Ona okłamuje ciebie.

Inara poruszyła się niespokojnie. *Robi to, co dla mnie najlepsze.*

Skedi nie chciał zbyt mocno naciskać. Kobieta nawet nie zauważyła, że się wymknęli, inaczej spotkaliby po drodze grupę poszukiwawczą. Ale Lady Craier była jedyną oprócz Skediego osobą, z którą Inarę łączyło jakieś uczucie. Chwile, które dziewczyna spędzała z matką, podczas gdy Skedi ukrywał się w jej kieszeni, były jej najukochańszymi chwilami na świecie.

Nie chcę zginąć, Ina, powiedział jednak.

Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził, odparła z naciskiem. Lecz tak naprawdę, jaką miała moc? Dla nich obojga było niespodzianką, że oberżystka nie wiedziała nawet o istnieniu dziedziczki Lady Craier.

Kissen ściągnęła wodze i siedziała bez ruchu, wdychając woń wiatru.

Skedi też zaczął niuchać. Ślad dymu, chwilę był, później zniknął. Znajdowali się już daleko od Ennertonu i ciemność była gęsta, zakłócana drobniutkimi ruchami zwierzątek w poszyciu, trzepotem nietoperza w powietrzu, tuż poza zasięgiem światła z lampy Kissen, którą trzymała nad drogą. Tuż obok wyczuwał tylko chaotyczne dziecinne uczucia Inary i stonowane odcienie emocji bogobójczynie.

Ina, spytaj veigi, co się stało.

– Co się stało? – burknęła dziewczynka, udręczona chłodem i perspektywą bury.

– Cicho.

Pojawiło się więcej dymu, tym razem gęstszego. Veigę przeszedł dreszcz i Skedi przez chwilę zobaczył jej emocje, świecące czerwienią i gniewem. Przestraszony przytulił się mocniej do szyi Inary. Kolory zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, ale kiedy Kissen się odezwała, jej głos zgrzytał niczym piła o kamienie.

– Mówiłaś, że wasz dom jest największy w okolicy? – zagała.

Wszystko jest w porządku, powiedział szybko Skedi do Inary.

– A co? – spytała zdenerwowana dziewczynka. Ona też widziała te kolory. Gdy Kissen posłała jej karcące spojrzenie, odpowiedziała: – Tak. Posiadłość z przyległościami i zagrodami. To ledwie...

Kissen zdmuchnęła lampę i ponagliła konia do galopu. Popędzili traktem, który Skedi ledwie widział, zawierając otępiałym zmysłom wierzchowca. Śmiertelnicy powinni być ostrożniejsi. Nie wracali do zdrowia tak jak bogowie. Skedi uznał, że veiga jest teraz zbyt pochłonięta czymś innym, żeby go zabić. Zebrał się na odwagę i wskoczył na głowę Inary, wyciągając nos w górę i obnażając zęby. Tak, dym. Zbyt wiele dymu.

– Skedi, co się dzieje?

– Wszystko będzie dobrze – odpowiedział Inarze, tym razem na głos. – Veigo – spróbował nadać swemu głosowi największy możliwy nacisk – powinniśmy zawrócić. – Cokolwiek tak nagle napełniło ją przerażeniem, nie było to coś, czemu chciałby jechać naprzeciw. Nie z Inarą.

Bogobójczyni nic nie powiedziała. Jedną ręką trzymała Inarę, a drugą wodze konia, którego kopyta łomotały o kamienie na trakcie. Oczy zapiekły ich od dymu, gdy okrążyli wzgórze. Dotarli do miejsca, gdzie nie rosły drzewa, i ujrzeli płomienie.

Posiadłość płonęła. Nie tylko dom. Dziedziniec, spichlerze, stajnie, wszystko stało w ogniu, podobnie kilka bardziej oddalonych zagród. Cała dolina była skąpana w blasku. Kissen wstrzymała konia. Inara oniemiała na ten widok, a panika sprawiła, że jej kolory zbladły aż do białości.

– Co... co się stało? – spytała Inara, jakby ogień mógł odpowiedzieć. Skedi patrzył, jak dach rezydencji się zapada. Drzewa w sadach zaczęły zajmować się ogniem, który przeskoczył z budynku. Zadrżał. Czyżby ktoś się o nim dowiedział? Nie, to było coś innego. Coś poważniejszego.

– Mamo... – szepnęła Inara i Kissen zwróciła na nią wzrok. Jej matka była w domu. Akurat teraz i ona powinna tam być.

Musimy im pomóc, powiedziała Inara w głowie Skediego, po czym powtórzyła to głośno.

– Musimy im pomóc. – Głos miała ochrypły.

Kim byli „oni”? Nie widzieli, żeby ktoś próbował gasić ogień, nie było krzyków, nie były żadne ostrzegawcze dzwony. Trakt, którym nadjechali, był jedyną drogą do miasta, pozostałe przebiegały w odległości kilku mil, a nie minęli ani jednej osoby, która szukałaby pomocy. Skedi nie widział nic z wyjątkiem gęstych kłębow dymu.

Złożył skrzydła, przyciskając je do tułowia. Zginęli najpewniej wszyscy, których Inara kiedykolwiek znała. Jej matka, jedyny rodzic. Musiał ją okłamywać, musiał.

– Będzie dobrze, Inaro – powiedział. Kochał ją, niemal tak bardzo, jak kochał własne pióra. Musiał chronić ją przed prawdą.

Oni nie żyli.

– Musimy pomóc! – powtórzyła znowu Inara, próbując ponaglić konia. W jej kolorach panował chaos. Koń ani drgnął. Inara wyswobodziła się i zeskoczyła, zanim bogobójczyni zdołała ją złapać, i ruszyła biegiem ze Skedim wciąż uczepionym jej włosów.

– Ino, proszę – powiedział, pospiesznie zeskakując jej na ramię. Od płonących zabudowań wciąż dzieliła ich długa droga. – Stój. To niebezpieczne! Zabijesz nas.

Bogobójczyni zsiadła z wierzchowca, by ruszyć za nimi, ale była już za daleko. Tylko Skedi mógł powstrzymać to dziecko. Wywołał u siebie wzrost, powiększając się do rozmiarów kociaka, zająca, psa, przybierając przy tym na wadze. Trzymał się pleców dziewczynki i wbijał pazury w jej płaszcz, ciągnąc w dół. Czuł na twarzy gorąco, nawet z takiej odległości. Nie został tam nikt. A on chciał żyć.

– Nie! – Inara zrzuciła go z siebie. Nie odbiegła daleko, zanim Skedi nie poczuł mocnego szarpnięcia za serce. Inara wydała stłumiony okrzyk i upadła, gdy niewidzialny łańcuch, który ich spajał, naprężył się. To był nieznośny ból, jakby sama jego esencja próbowała się wyrwać z jego piersi. I jej też. Oboje siedzieli skuleni na ziemi, gdzieś na samym skraju połaci lasu.

Tętent kopyt. Kissen wsiadła na konia i pognała za nimi. Pochyliła się i jedną ręką zręcznie poderwała Inarę z ziemi, po czym popędziła w zarośla przy trakcie. Inara, wciąż oszołomiona, nie mogła się przeciwstawić. Skediceth rozłożył skrzydła i leciał obok nich, na wpół oślepy z bólu. Veiga zeskoczyła z siodła, zmusiła wierzchowca, żeby się położył, i mocno przytrzymała Inarę, zaciskając dłoń na jej ustach, by powstrzymać piski.

Kissen w samą porę zauważyła coś, co im umknęło. Skedi usłyszał więcej koni, oddalały się od pożaru. Nie wyczuł ich wcześniej, tak skupił się na zatrzymaniu Inary. Zrobiło mu się lżej na sercu, ale tylko do chwili, gdy usłyszał ich jeźdźców. Śmiali się.

Konie weszły między drzewa, było ich około dwudziestu, a dosiadający ich ludzie nosili ciemne, szorstkie szaty. To nie te kolory przestraszyły Skediego, tylko emocje: od fioletu przez czerwień po lśniące srebro. Wszyscy ci ludzie widzieli świat nieco inaczej, ale migotali tak samo, jak dogasający ogień. Jaśnieli przemocą.

Cisza, zachowaj ciszę, zwrócił się do Inary. Tym razem usłuchała.

– Ta stara narobiła hałasu, ta z warkoczem.

– Na szczęście dobrze strzelasz, Deegan.

– Ale to nie powstrzymało jej wrzasków. Nie miała dość rozumu, żeby wybrać grot strzały zamiast ognia.

– Ano, Caren wygrał zakład, kiedy się poddadzą.

Tethis, ich stara zarządczyni, spała z włosami zaplecionymi w długi warkocz. Zapewne opisywali właśnie ją, inaczej musiałyby chodzić o matkę Inary, ona jednak

była młoda, po trzydziestce.

– To była dobra robota. Dopadliśmy wszystkich. Ród Craierów jest skończony.

Powiew wiatru rozwiął dym i księżyc wyjrzał zza drzew. Skedi zobaczył kolczugi pod skórzanymi kaftanami. Żołnierze albo rycerze. Nie nosili barw konkretnego rodu, ale końskie uzdy były w świetnym stanie, wyglansowane, a wszystkie siodła wyglądały tak samo. Na rękach mieli krew, czuł jej zapach. Gdy podjechali bliżej, dostrzegł w ich kolorach niuanse, połyskiwanie lekkości, satysfakcji, dumy. Wiary.

Zobaczą ich. Pewnie, że zobaczą. Veiga odciągnęła ich ledwie kilka kroków od traktu. Każdy, choćby ze słabym słuchem, usłyszy ruch gałęzi wracających na swoje miejsce, ich oddechy. Ich strach.

Jeden się zawahał, ściągnął wodze. Skedi zobaczył, że Kissen kładzie wolną rękę na mieczu, i musiał dokonać wyboru: zaryzykować z bogobójczynią, która jeszcze ich nie zabiła, czy z tymi rycerzami, których kolory malowały śmierć. „Dopadliśmy wszystkich?” Nie Inarę. Inara uciekła. A jeśli ją też chcieli zabić? Jaki los czekałby jego?

Wyszeptał niewinne kłamstewko.

Nikogo tu nie ma. Nikogo. Nikogo nie ma.

Siłą woli wypchnął je w szeroki świat, pozwolił, by niczym pajęczyna oplotło kolory męzczyzny, który się zatrzymał, wiążąc jego umysł z wolą Skediego. Poczł muśnięcia ludzkich emocji, ukłucie przemocy, tak jakby to były jego własne uczucia. Skedi położył uszy na płasko tak bardzo, jak się tylko dało.

Nikogo tu nie ma. Pora iść. Nikogo nie ma. Wszyscy nie żyją.

Żołnierz odwrócił się i dołączył do reszty. Kissen nie poruszyła się, dopóki wszyscy nie pojechali dalej. Inara płakała cicho, a jej łzy spływały po palcach veigi.

Kiedy zniknęli, bogobójczyni uwolniła Inarę, po czym dziewczynka i bożek usiedli, łapiąc dech. Skedi zachowywał milczenie, przerażony, że ściągnie na siebie uwagę veigi. Aby przeżył, Inara też musiała pozostać przy życiu. Jeśli ona zginie, pęknie więź, która pozwalała mu istnieć bez świątyni. Był tego pewien.

– Kim byli? – wyszeptała Inara.

Veiga splunęła, jakby chciała pozbyć się smaku dymu z ust, po czym zwróciła się do Skediego:

– Coś ty zrobił, pasożycie? Był o jedno tchnienie od tego, żeby nas zobaczyć.

Skedi nie odpowiedział, tylko zrobił się jeszcze mniejszy.

– Uratował nas – szepnęła Inara, biorąc go w dłoń. Poczł, jak trzęsą się jej zimne palce. – Mówiłam ci. Jest bogiem niewinnych kłamstewek. – Jej głos brzmiał tak słabo. Skedi mimowolnie urósł do rozmiarów zająca i przycisnął pyszczek do jej policzka. – O mało nas nie zabiłaś, veigo – powiedziała Inara z większą siłą.

– I kto to mówi. Pognałaś prosto do ognia – odparła Kissen. Wstała i popatrzyła z zasepioną miną na płomienie w dole. – Gdybym miała zgadywać, szczęśliwym trafem umknęłaś przed masakrą. – Jej oczy zwróciły się z powrotem na Inarę. – Więc kim ty, kurwa, jesteś?

ROZDZIAŁ PIĄTY



Elogast

ELO SPAŁ NA PODŁODZE, ODDAWSZY ARRENOWI ŁÓŻKO. Pierwszy raz od dawna nie obudziły go koszmary, a dopiero oblicze świtu.

Usiadł i zobaczył, że Arren też się porusza, a jego koszula jest szeroko rozchylona tam, gdzie w uścisku gałązek palił się biały płomyk.

Krew na podłodze. Oddechy Arrena, rzadsze, lżejsze, odleglejsze.

To powinienem być ja.

Elo ukrył twarz w dłoniach. W innym życiu jego przyjaciel miałby całe serce i nie dźwigałby brzemienia monarszej władzy w kraju, w którym bogowie zwrócili się przeciwko sobie nawzajem.

– Elogast? – odezwał się Arren i usiadł. Elo podniósł wzrok i zacisnął dłonie w pięści, by zamaskować drżenie.

– Powinniśmy byli o tym pomyśleć – powiedział.

– To nie była twoja wina – odparł Arren.

Na wspomnienie dawnych wydarzeń Elo zatrzęsł się ze wstydu, próbując oddychać pomimo bólu w piersi. Żaden z nich nigdy o tym nie mówił. Poczucie winy pograżyło ich w milczeniu. Elo czuł się winny dlatego, że nie zdołał uratować przyjaciela. Arren dlatego, że wybrał życie z woli bóstwa, a nie śmierć.

To powinienem być ja.

– Bogowie mają długą pamięć – powiedział Elo. – Jeśli pojedziesz do Blenradenu, będą pragnęli twojej krwi na kamieniach. Nawet bogini, która cię uratowała, teraz cię zabija. – Nie wypowiedali imienia Hestry na głos. Nie wiedzieli, czy nie przywoła jej to poprzez płomienne serce Arrena. – Chciała czegoś od ciebie, a ty jej tego nie dałeś.

Arren nie zaprzeczył. Nie mógł.

– O nic nie prosiła... – powiedział ponuro. Decyzji podjętej na lodowatym skraju śmierci nie dało się cofnąć.

– Sam mówiłeś, że bogowie nic nie dają, nie biorąc nic w zamian. – Elo powoli wstał. – Myślała, że ochronisz jej moc, a ty tego nie zrobiłeś, więc zabiera ją z powrotem. – Poglądził własną starą ranę na lewym ramieniu, czując węzły tkanki bliznowatej, i podjął decyzję: – Arrenie, nie możesz jechać do Blenradenu, nie teraz. Nie pozwolę, żebyś ty, ostatni przedstawiciel twojego rodu, zginął w tym przeklętym mieście.

Arren skrzywił się i zsunął nogi z łóżka.

– Nie mam wyboru – stwierdził. – Tylko w Blenradenie mogły zostać jakieś świątynie dawnych lub dzikich bogów, które możemy zastać niestrzeżone.

Ale to starzy bogowie, którzy nie lubili nowych, mrowili się wokół całego Morza Kupieckiego, słuchając modlitw i spełniając życzenia. Nie podobało im się, że królowa zaprosiła tych uzurpatorów do swoich pałaców i kazała wznieść ich świątynie wzdłuż Boskiej Drogi, żeby mogli odwiedzać dwór w Blenradenie. Bogowie narodzeni ledwie przed dekadą byli czczeni obok tych, którzy żyli od tysiąca pokoleń, oraz dzikich bóstw, które pojawiły się dawniej, niż sięga pamięć, przed Middrenem. Pozostawało kwestią czasu, jak łaska królowej przerodzi się w przelew krwi. Teraz o tym wiedzieli.

– Tamci bogowie zabili ci rodzinę ze złości – powiedział Elo.

On i Arren razem wdarli się wreszcie do Blenradenu po sześciu miesiącach ciężkich walk, tylko po to, żeby znaleźć zwłoki dworzan, jego matki i braci... rozczłonkowane, okaleczone, gnijące do kości. Bogowie unicestwili elitę i zdobyli miasto, po czym przeprowadzili dzikie łowy w obrębie jego murów, nikogo nie wpuszczając ani nie wypuszczając. – Jak myślisz, co zrobią z twoim życiem, zanim zdążysz otworzyć usta, żeby się o nie targować? Pójdę sam.

– Elo, nie. – Ale Elo już ruszył. Arren podążył za nim do salonu przylegającego do piekarni, z którego Elo niemal nie korzystał. Elo podszedł do kominka i sięgnął pod obudowę. Tam wyczuł rękojeść z głową lwa. Wyciągnął swój miecz. – Nie pozwolę ci.

– Pojadę w sekrecie – ciągnął Elo. – Zatrzymam się w Lesscji i znajdę jakąś pielgrzymkę, która zna szlaki z dala od głównych traktów. Pewnie przez Bennity.

Popatrzył na rękojeść. Na nowych mieczach dla rycerzy Arrena umieszczano wschodzące słońce i łeb jelenia. Elo nie potrafił, nie mógł ich dotknąć, nie jelenia. Był

przywiązany do dawnego symbolu księcia, do lwa. Będzie musiał go zawinąć, zasłonić. Jeśli ktoś rozpozna w nim rycerza, da radę po jego śladach dotrzeć do Arrena. A nikt nie mógł wiedzieć, że pogromca bóstw potrzebuje jednego z nich do życia.

– Pielgrzymkę? – Arren śmiał się przez chwilę. – Myślisz, że ludzie będą tak otwarcie łamać moje prawa?

– Radzę ci na to liczyć – powiedział Elo, unosząc brwi i grzebiąc w skrawkach tkanin, których używał do łątania swoich ubrań, w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego do owinięcia rękojeści. – Jeśli tak, to znaczy, że masz rację i potężni bogowie wciąż tam są. – Wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej, ludzie nie zmieniają się tylko dlatego, że ich o to prosisz. – Znalazł długi kawałek białej tkaniny i starannie okręcił nim lwią podobiznę. Ukrywanie jej sprawiło mu przykrość. Miecz był najlepszym prezentem, jaki ktokolwiek mu dał.

– A powinni – odparł Arren z wyniosłością, która na chwilę w budzący grozę sposób przypomniawszy Elo o nieżyjącej królowej. Efekt złagodził krzywy uśmiech króla. – Nie sądziłem, że ktoś może być równie uparty jak ty.

– Ha – mruknął Elo.

– Elogaście. Proszę. – Arren znowu był blady i oddychał z wysiłkiem, chociaż próbował to ukryć.

Elo zatrzymał się. Arren opierał się o kominek. Nie mógł zamaskować, jak słabo czuł się tego ranka. Dlaczego w ogóle ruszył w podróż? Wkrótce ktoś zauważy jego nieobecność, o ile już do tego nie doszło.

– Ile masz czasu?

Król się zawahał.

– Nie wiem – przyznał po chwili. – Jeśli dalej będzie gasnąc w takim tempie... może miesiąc.

Miesiąc. Elo podniósł oczy na krokwie, zbierając się w sobie z nadzieją, że Arren nie zobaczy, jak bardzo go to przeraziło.

– Jeśli masz rację – powiedział – i rody planują bunt, twoja nieobecność będzie dla nich okazją do przejęcia władzy. Co gorsza, jeśli zginiesz, Middren pogrąży się w chaosie. Wiesz o tym. Wiemy, co by się stało. Tylko lęk przed bogami powstrzymał wojnę domową lub inwazję, kiedy walczyliśmy o miasto.

– Lęk i świadomość, jak szybko my dwaj moglibyśmy zwerbować wojsko – odparł Arren. – Lęk i ty, Elo. Powiedziałeś, że powinniśmy rekrutować ludzi z gminu, objąłeś dowództwo, gdy nikt inny nie chciał, i walczyłeś u mojego boku, nawet kiedy miałeś już dość. Pragnę, żebyś zrobił to ze mną, a nie dla mnie. – Położył rękę na rękojeści

miecza przyjaciela, a później zawahał się i ujął jego dłoń. – Może nie mamy już wiele czasu razem. Chcę, żebyśmy zachowywali się jak bracia, może ostatni raz.

W odpowiedzi Elo też zacisnął dłoń na ramieniu Arrena.

– Wasza Wysokość – powiedział z naciskiem. – Już raz obroniliśmy świat przed rozpadem i zrobimy to ponownie. Ale tym razem będziesz dzierzył władzę w Sakre. – Arren był odpowiedzialny za królestwo, a nie za Elo. – Podtrzymuj wiarę poddanych w ciebie i... proszę... podtrzymuj własną wiarę we mnie. Kiedy wziąłem od ciebie ten miecz, obiecałem ci swoje życie, krew, serce. Mówiłem poważnie.

Arren pokręcił głową.

– Ale nie swój honor. To mi powiedziałaś, kiedy odchodziłaś. Twój honor należy do ciebie.

– I mój honor tego potrzebuje. – Elo zabrał dłoń z ramienia Arrena i przesunął ją na dziurę w jego piersi, czując stygnący żar serca. W twarzy króla walczyły ze sobą wszystkie emocje: od nadziei po ból. – Ja tego potrzebuję. Wrócić, wszystko naprawić i pogrzebać przeszłość.

Wtedy może, tylko może, mógłby ruszyć naprzód.

– Przysięgam ci, mój bracie – powiedział Elo – nieważne, co się między nami zmieniło, pojedę poprosić potężne bóstwa pozostałe w Blenradenie o dar i przywrócić ci życie, którego potrzebujesz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY



Kissen

CO ONA ROBIŁA, DO SŁODKIEJ CHOLERY?

Kissen postanowiła zostać na jedną noc w Ennertonie, pieprzyć arbitra. Chciała się napić po robocie, trochę potarzać z Rosalie. Czy prosiła o zbyt wiele? Zwykle kiedy ktoś miał z nią problem, pluł i krzyczał, ewentualnie posyłał jej mroczne spojrzenie, które wydawało mu się bardzo groźne. Łatwizna. Była jednonogą sierotą, wyłowioną z morza i sprzedaną przy pierwszej okazji. Słowa nie mogły jej zranić. Nie planowała, że zaatakuje ją hałastra niewdzięczników. Ani że będzie ją dręczyć dziewczynka, która nie chciała, żeby jej pasożytnicze bóstwo zginęło. Ostatnim, czego się spodziewała, był widok siedziby rodu Craierów spalonej do szczytu i osamotniona córka tego rodu siedząca jej na głowie.

Kissen nie wiedziała, co robić. Jej życie legło w gruzach, kiedy była mała, dlatego nie mogła po prostu zostawić Inary Craier porzuconej i samotnej, bez względu na bóstwo. Co więcej, był to problem, z którym nie mogła mierzyć się sama. Potrzebowała pomocy.

Od Lesscji dzieliły ich trzy dni jazdy na krzepkim koniu. Veiga nazwała swojego wierzchowca Nogi – taki żarcik z samej siebie, bo miał ich zdecydowanie więcej niż ona. Inara siedziała w milczeniu na jego grzbiecie, poszarzała i małomówna po stracie.

Zeszli w dół doliny, żeby obejrzeć dom, na co nalegała Inara, ale gdy nastał świt, stało się oczywiste, że nikt nie przeżył. Było zbyt gorąco, żeby choć zbliżyć się do budynków, ale Kissen widziała przed frontem jednego z nich przynajmniej cztery ciała tych, którzy próbowali uciec od ognia, najeżone strzałami i poczerniałe od żaru. Według Inary jej matka była w domu, a dziewczynka nie знаła nikogo z rodziny poza tymi murami. Separacja od rodziny to luksus szlachty, pomyślała Kissen, chociaż to nie tłumaczyło, dlaczego oberżystka nawet nie słyszała o Inarze.

Podpierając się kulą, Kissen szła obok konia, czując ból w mięśniach i kościach; jej noga była w takim stanie, w jakim była. Gdy jednak kazała iść Inarze, posuwali się cholernie wolno. Mała potykała się i człapała jak we śnie. Obdarzone porożem bóstwo wyglądało czasami z wnętrza jej kaptura, poruszając swoimi zajęczymi uszami. Żadna z osób mijanych po drodze nie wydawała się zainteresowana ich małą drużyną, co budziło zdziwienie. Kissen często przyciągała spojrzenia – rudawa Talicjanka z długim mieczem, kordelasem i złamaną klątwą na twarzy. Minęło trochę czasu, zanim sobie uświadomiła, że to ten bożek niewinnych kłamstewek kieruje wzrok postronnych gdzie indziej. Kiedy skupiła się, tak jak ją uczono, słyszała jego szepty, czające się na skraju jej umysłu, tak jak i innych umysłów.

Na ziemi leży kawałek srebra. Kamyk wpadł ci do buta, lepiej sprawdź. Zobacz, czy to deszczowe chmury? Nie widzisz nas. Nie ma w nas nic ciekawego.

Niewinne kłamstewka. Nieszkodliwe, jak mógłby twierdzić. Na nią nie miały wpływu. Kissen nauczyła się opierać woli i mocom niektórych bóstw pod przewodnictwem starego bogobójcy imieniem Pato. Ludzie w większości nie wyczuwali presji boskiej woli, zwłaszcza jeśli się jej nie spodziewali, zatem ich uwaga ani na chwilę nie kierowała się na dziwną grupkę. Gdyby nie użyteczność jego działań, Kissen już by go wykończyła. Ktokolwiek zaatakował posiadłość, chciał, żeby wszyscy zginęli, i gdyby się dowiedział, że córka Lady Craier jeszcze żyje, zapewne zacząłby ją ścigać. Musieli pozostać niezauważeni.

Inara przez większość czasu udawała, że śpi, żeby veiga nie zadawała jej pytań. Kissen nie miała o to pretensji, przypuszczała, że kiedy tylko dziewczynka zamknie oczy, widzi ogień płonący pod wzgórzem. Musiała ją nakłaniać, żeby napiła się wody albo przełknęła kęs jedzenia. Była jeszcze zbyt wstrząśnięta, żeby płakać. Płacz przyjdzie z czasem.

Kissen burczało w brzuchu, kiedy wreszcie dotarli do Lesscji. Szli teraz wśród straganów targu zewnętrznego. Trzy dni ciężkiej wędrówki, ale się udało. Między rzędami kramów ludzie nosili beczki z rybami, olejem, suszonymi owocami i pierwszymi wiosennymi nowalijkami, przepychając się między sobą łokciami. Z wielkiego kotła z ryżem i warzywami buchała para, a niedostatecznie wysuszone

drewno nieco zanadto dymiło. W Lesscji najważniejszym towarem była wiedza: papier, manuskrypty, gobeliny, druki, atrament, dzieła sztuki. Miejskie biblioteki wypełniały się przez wieki pod pieczęią bogatego rodu Yetherów, którego żółte flagi powiewały na ścianach co kilka kroków.

Przy bramie do miasta strażnik przystrojony żółtą szarfą pobieżnie omiótł ich spojrzeniem. Kissen już go wcześniej widziała i zauważyła w jego wzroku błysk rozpoznania, a później niechęci, gdy się jej przyglądał, by w końcu gestem wskazać, że mogą jechać. Kissen zerknęła na słupy w bramie, kiedyś wyrzeźbione w postać bogini sztuki i nauki, która założyła miasto i zdominowała jego świątynie. Nazywała się Scian, a teraz jej posągi, które podtrzymywały łuk bramy, zostały przekute w nierówne kamienne bryły. Zamiast niej pojawił się duży mosiężny relief przedstawiający króla trzymającego jeleni łeb z oświetlającymi go promieniami słońca.

– Po co tu w ogóle jesteśmy? – mruknęła Inara. Gdy minęli bramę, podniosła wzrok na budynki, które miały trzy lub cztery piętra i pięknie namalowane szyldy na frontach.

– O, czyli ciągle masz język i możesz mówić – powiedziała Kissen. Nogi stukał podkowami po płaskich, równych kamieniach, którymi wyłożono miejskie ulice. Lesscja była ładne pachnącym miastem, ponieważ cały handel artykułami spożywczymi odbywał się na zewnątrz. Kissen dziwiła się temu, jako dziecko była przyzwyczajona do zgiełku, a jako dorosła do samotności. Lesscja leżała gdzieś w połowie drogi.

– To nie jest bezzasadne pytanie, veigo – stwierdziła dziewczynka. Kissen lekko się uśmiechnęła. Mała miała przynajmniej jeszcze trochę ikry.

– Tu jest dom – powiedziała Kissen. – Mam tu przyjaciół, którzy mogą mi poradzić, co z wami obojgiem zrobić.

– Mieszkasz tutaj?

Może zbyt wiele ikry. Kissen wzruszyła ramionami. Jedynymi ludźmi, jakich mijali o tak wczesnej porze, byli szaro odziani archiwiści oraz służący, zmierzający na zewnętrzny targ lub niosący kupiony tam towar do swoich domów czy też do tych, którym służyli.

– W pewnym sensie – odpowiedziała. Inara się skrzywiła. Może dlatego się nie odzywała; nie podobało jej się, co Kissen miała do powiedzenia.

Przekroczyli trzy mosty nad kanałami, z których zalatywał lekki fetor, naturalny w tak dużym mieście. Nad niektórymi z kanałów wznosiły się domy zbudowane z kamienia na stałym gruncie. Nad innymi drewniane budynki z rozwieszonym

między nimi praniem stały na dziesiątkach długich pali, niczym owady przyczajone na swoich odnóżach na powierzchni wody, liczące, że nie połknie ich żaden potwór.

Byli już w głębi miasta, niedaleko od jednego z czystszych kanałów, gdy Kissen zatrzymała konia. Stanęli przed solidną, dużą bramą, nad którą widniał symbol młota i koła. Budynek za nią był niski, jednopoziomowy, z szerokimi drzwiami frontowymi na wpeł porośniętymi bluszczem.

Dom.

Kissen wyciągnęła klucz z jednej z kieszeni płaszcza i wsunęła go do zamka. Przekręcił się w nim, ale drzwi ani drgnęły. Zaryglowane. Zakłęła. Poranne słońce wyjrzało znad dachów, oświetlając ich na tej cichej ulicy.

– Yatho! – zawołała półgłosem Kissen, jednocześnie waląc w drzwi tak, że zatrzęśły się w zawiasach. – Już świta, Yatho, zaspana dziewucho! – dorzuciła głośniejszym głosem i mocno kopnęła w drewno niesprawną nogą. Wywołało to ból przeszywający ją całą, od stopy, której nie było, po kręgosłup. Czuła szarpanie gdzieś z boku głowy, jakby coś mocno pociągało ją za mózg, a gdy skupiła się na tym uczuciu, usłyszała głosik bóstwa.

Nie słyszycie nas, nie widzicie, nie słyszycie.

– Naprawdę uważasz, że ta twoja maskująca pieśń teraz pomaga, pasożycie? – warknęła, spoglądając na czubki jego poroża wypychające ramię pięknego płaszcza Inary.

– Przestań go tak nazywać – zaprotestowała Inara.

– Będę go nazywać, jak zechcę.

Inara już miała odpowiedzieć, gdy drzwi zaskrzypiały – Skedi skurczył się do rozmiarów monety i przytulił do szyi dziewczynki – i otworzyła je Yatho, blada, potargana i rozeźlona. Najwyraźniej dopiero podniosła się z łóżka i przesiadła na swój inwalidzki wózek, jej umysł wciąż był na wpeł pogrążony w sennych marzeniach.

– Co jest, Kissen? – spytała. – Stosujesz pobudkę Maimee? Przy drzwiach własnego domu?

– To ty je przede mną zamknęłaś, Yath. – Kissen wzruszyła ramionami. – To mi przypomina Maimee.

Już świta, maleństwa, czas zarabiać pieniądze.

Tego głosu w swojej głowie Kissen nie lubiła bardziej niż głosu bóstwa. Złośliwa Maimee, która kupowała niechciane dzieci i przygotowywała je do roli żebraków i złodziei. Jeśli im się udało, były chwalone, w przeciwnym razie – bite. Ech. Odrzuciła te myśli, gdy Yatho się uśmiechnęła.

– Głupio było zakładać, że pojawisz się o przyzwoitej godzinie, a może nawet nas uprzedzisz – powiedziała, zatrzymując wózek i wstając, żeby przytulić Kissen, która odwzajemniła uścisk, trzymając ją blisko i długo. Ręce Yatho były szerokie

i muskularne, rękawy jej koszuli niemal pękały w szwach. Minęły dwa miesiące, odkąd Kissen widziała swoją przybraną siostrę i cieszyła się, że Yatho dobrze wygląda, choć brwi miała na wpół przypalone.

– I tak najwyższa pora, żeby wstać – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Już minął brzask. Trzeba napalić w piecach, nie?

– Mamy teraz od tego chłopaka – oznajmiła Yatho, z powrotem siadając i turlając swój wózek do tyłu. Zauważyła Inarę i uniosła osmalone brwi, ale o nic nie zapytała. – Powiem, żeby otworzył bramę i dał ci wpuścić Nogiego. Ryglujemy ją od czasu kradzieży.

– Ktoś was obrabował?

– Ktoś próbował.

Inara skuliła się, gdy Kissen odwróciła się, bezceremonialnie zsadziła ją z konia i wepchnęła do domu. Następnie zaprowadziła konia do bramy, która chwilę później otworzyła się na oścież, pociągnięta przez mniej więcej szesnastoletniego chudzielca. Z szacunkiem dotknął swojej głowy, ale unikał oczu veigi. Później wyminął płaczącą się po podwórku kozę, poklepał ją i poszedł prosto do kuźni.

Yatho i Telle nie trzymały co prawda koni, ale zawsze wszystko było przygotowane na przyjęcie wierzchowca Kissen. Znalazła czyste koryto, siano i worek owsa. Nogi poczuł ulgę, gdy Kissen zdjęła z niego siodło i uprzęż, po czym odwiesiła je i zajęła się jego szcztokowaniem, wiedząc, że Yatho pomoże Inarze odnaleźć się w środku. Trącił ją łbem, żeby pogłaskała go po chrapach.

– Nie rozumiem, na co się skarżysz – powiedziała Kissen, spełniając prośbę. – Dziewczynka jest łżejsza ode mnie.

Udało im się. Były bezpieczne. Lecz teraz wpuściła bóstwo do ich własnego domu, domu Yatho i Telle, wraz ze szlachetnie urodzoną dziewczynką, o której istnieniu najwyraźniej nikt nie wiedział i której ojciec był nieznan.

Co teraz?

Po wejściu do środka Yatho rozpała ogień pod kociołkiem, w którym prażyła się garść migdałów, pachnących bardzo smakowicie. Inara wpatrywała się w płomień, nie płacząc i ściskając w dłoniach kubek czystej wody.

– Ogień to zawsze ogień – powiedziała Kissen zmęczonym głosem. Była niemal pewna, że jeśli usiądzie, nie zdoła wstać z powrotem, ale jej własny wózek wisiał tuż przy palenisku. – Tak jak wcześniej.

– Wiem o tym – mruknęła Inara, gdy zdjęła wózek.

Do wieszania składał się płasko, ale przy wysiłku podczas wpychania drążków na miejsce robiło się z niego w pełni funkcjonalne skórzane siedzenie. Veiga usiadła z głośnym westchnieniem ulgi. W jej lewej nodze promieniował ból mięśni stopy

i łydki, prawą szczypały odparzenia przy kolanie. Czuła też fantomowy ból prawej piszczeli i kostki. Nachyliła się, żeby rozmasować sobie obute golenie, obie nogi jednocześnie. Ból w prawej nodze osłabł, ale nie ustał. Przyszła Yatho z nakrytym garnczkiem mleka i workiem owsa.

– Masz – powiedziała i rzuciła Kissen worek w obłoku pyłu, a następnie podała mleko. Kissen dodała wszystko do kociołka, z którego rozległ się syk, i rozsunęła butem szczapy drewna, zmniejszając płomień. – Nalej też trochę wody z czajnika – dodała Yatho i Kissen spełniła polecenie, a schłodzona masa zamieniła się w breję.

– Wiesz, że ty jedna mi rozkazujesz? – spytała.

– I daj mi spojrzeć na tę nogę.

Skrzywiła się.

– No weź, Kissen, znam to utykanie.

– Nie chcesz tego.

Yatho posłała jej TO spojrzenie. Kissen westchnęła i schyliła się do swojej prawej nogi, by odwiązać sznurki, które łączyły spód jej bryczesów z kolaniem, a następnie poluzować klamerki przy kostce. Zapewniały jej łatwiejszy dostęp, kiedy musiała coś naprawić, nie żeby była w tym szczególnie dobra. Tkanina rozsunęła się i Kissen starała się nie patrzeć na minę Yatho, gdy odsłoniła duże pęknięcie w protezie powstałe w czasie bójk w gospodzie. Sztuczna noga była starannie wykonana, połączenie brydzytu i stali zawinięte w skórę, ruchome płytki lekkie niczym kość i połączone z wewnętrznym mechanizmem, który zapewniał jej większą ruchliwość, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała. Yatho skrzywiła się, niezbyt uszczęśliwiona widokiem zniszczeń w misternym dziele swoich rąk.

– Co się, do licha, stało, Kissen? – spytała Yatho, gdy Kissen majstrowała przy paskach zapiętych na swoim kolanie. Tymczasem rzuciła okiem na swoją sztuczną nogę, ale miała wrażenie, że gdyby przyjrzała się uważniej, wszystko mogłoby się rozpaść. Bardzo się nie myliła. Większość płytek była nie do uratowania. Cud, że konstrukcja pozwoliła jej przebyć drogę od ziem Craierów do Lesscji. Zerknęła na Inarę, która pomimo swojej żalosalnej sytuacji patrzyła na to zafascynowanymi oczami, po czym szybko odwróciła wzrok.

– Jakiś dzieciak w oberży myślał, że jestem kępą trawy – powiedziała Kissen. Odwiązała górną część nogi i palcami pomacała skórę, która miała kontakt z protezą. Była szorstka i szczypała. Gdy na talicjańskiej plaży znalazła ją grupa wędrownych kupców, jej wybawiciele musieli usunąć potrzaskane fragmenty kości, a później zszyć wszystko równo. Następnie przemycili ją poza Talicję, gdzie ślady oparzeń mogły naznaczyć ją jako nieudaną ofiarę dla bogów. Dobrze się spisali, nawet jeśli chcieli ją, półżywą i budzącą się z krzykiem, jedynie sprzedać Maimee.

– Tego się nie da naprawić – powiedziała Yatho, odrywając metal. – To jest zrobione tak, żeby było lekkie, Kissen, a nie żeby wytrzymać cios toporem.

– To była kosa – sprostowała Kissen. – A, nie szkodzi. Oddaj.

– Nie. – Yatho trzymała protezę poza jej zasięgiem. – Uszkodzisz sobie obie nogi. Środek ciężkości jest niewłaściwy. Potrzebujesz maści?

Kissen burknęła i odchyliła się w tył.

– Nie – zełgała i udawała, że nie widzi, jak kaptur Inary poruszył się, kiedy schowany tam bożek wyczuł kłamstwo. Nie chciała, żeby Yatho się o nią martwiła.

– I tak robiłam elementy do nowej nogi – oznajmiła jej siostra. – Wiedziałam, że prędzej czy później wpadniesz w tarapaty. To nie potrwa długo, ale muszę cię zważyć przed ostatnimi modyfikacjami.

– Ech, ważę tyle samo.

– Niewielka zmiana może zakłócić działanie całego mechanizmu... – Yatho urwała, gdy Kissen zaczęła ją bezgłośnie przedrzeźniać, po czym parsknęła śmiechem. – Mieszaj w tym przeklętym kociołku, awanturnico – powiedziała, zamiast kontynuować, po czym skierowała uwagę na Inarę. – Więc kto to jest?

Inara, która wreszcie pociągnęła łyk wody, omal się nie zakrztusiła. Nie wyglądała zbyt dobrze. Piękne czarne włosy schowane pod chustką były potargane, na twarzy malowały się strach i smutek. Jej spojrzenie było odległe i Kissen wiedziała, że rozmawia ze swoim bożkiem, myśląc o kłamstwie.

Nie w tym domu.

– Jest córką Lady Craier, tak twierdzi – powiedziała Kissen, zanim z ust dziewczynki dobył się jakiś fałsz – i ma problem ze szkodnikiem, przy którym potrzebuję pomocy Telle.

Mała popatrzyła na Kissen wzrokiem, od którego mleko by się zsiadło.

– Tej Lady Craier? – spytała Yatho, przechylając się na bok krzesła. – Nie wiedziałam, że ma dzieci. – Uśmiechnęła się ujmująco do Inary, która nie odwzajemniła uśmiechu.

Rosalie też nie wiedziała, pomyślała Kissen. Wierzyła dziewczynce, nawet pomimo obecności jej kłamliwego bożka. Gdyby miała dokąd pójść, nie zostałaby z nią, tego Kissen była pewna. Może była dzieckiem z nieprawego łoża, chociaż w Middrenie nie miało znaczenia, kto cię spłodził albo zrodził, o ile tylko ktoś uznał się za twojego rodzica. Nawet król i jego mniej szczęśliwe rodzeństwo mieli różnych ojców, kochanków królowej Aletty. Trzymano to jednak w sekrecie.

Mieszkańcy Ennertonu byli poddanymi Craierów – dlaczego mieliby nie wiedzieć o dziecku miejscowego szlchetnego rodu?

A na dodatek jak mała weszła w kontakt z bogiem nieposiadającym świątyni? Odsuwając na bok współczucie, jeśli Kissen nie pozbędzie się bóstwa, nikt nie przyjmie Inary pod swój dach, łamiąc królewskie prawo, nawet jej własna rodzina. Może Kissen powinna była zabić bożka, kiedy dziewczynka spała, ale widziała, jak oboje padają, kiedy zanadto się od siebie oddalili. Ich więź była głęboka. Czy jego likwidacja zabiłaby także ją?

– Naprawdę wyglądasz na dziedziczkę – powiedziała Yatho, nadal próbując zachowywać się w miły sposób. – Tragarze w Blenradenie opowiadali historie o twojej matce, to prawdziwa łowczyni przygód, z tego, co mówili.

– Yatho – ostrzegła Kissen – ta dama nie żyje.

Nie było powodu, żeby z prawdą obchodzić się jak z jajkiem. Nie mogła się rozbić. Prawda to prawda. Co nie powstrzymało donośnego szlochu Inary ani łez lejących się z jej oczu. Ramiona dziewczynki opadły, kubek wysunął się z rąk. Przycisnęła dłoń do twarzy.

– O cholera – powiedziała Kissen w chwili, gdy kulka ze skrzydeł i uszu, ukryta wcześniej w płaszczu Inary, wyskoczyła na zewnątrz, wielkości kota, nie dość blisko, żeby Kissen uderzyła, ale dosyć, żeby machaniem skrzydeł wzburzyć płomień.

– Jak mogłaś? – wykrzyknęło bóstwo. – Jak śmiesz być taka okrutna?

– Kissen, co to, kurwa, jest? – Yatho wzdrygnęła się.

Bóg nieco się skurczył, uświadomiwszy sobie, że jest na otwartej przestrzeni, nieosłonięty.

– A to – powiedziała Kissen – jest ten szkodnik.

ROZDZIAŁ SIÓDMY



Inara

GDYBY INARA WIEDZIAŁA, ŻE WIDZI JĄ OSTATNI RAZ, nie okłamałaby matki i nie wymknęła się w ciemną noc. Przytuliłaby Tethis, zarządczynię, z której niemal na pewno nabijali się żołnierze, i Ermana, swojego guwernera. Podziękowałaby im, że zawsze przynoszą jej ciastka pistacjowe i miód. Zostałaby. Spłonęłaby.

Teraz przebywała w dziwnym, niskim, zabałaganionym domu, pełnym kawałków metalu i drutu, z bogobójczynią i jej przyjaciółkami, i nie miała dokąd pójść. Yatho miała miłe kolory, zgaszony chabrowy i liliowy, a jej czarne włosy zostały przycięte na tyle krótko, że widać było ładnie wytatuowane liście za uszami. Ale Inara nigdy nie poznała nic innego niż matka, dom, jego mieszkańcy. To były rzeczy pewne w jej życiu. Niczym kamienne mury więziły ją, ale też zapewniały bezpieczeństwo. Jej i Skediemu. A teraz zniknęły.

Później Kissen cisnęła w nią prawdą niczym tępym narzędziem i uderzenie roztrzaskało delikatną osłonę, którą Inara wytworzyła wokół serca. I już. Jej matka nie żyła, a wszystkie jej tajemnice, skrywane listy, posiadane przedmioty spaliły się razem z nią. Wszystko przepadło.

A teraz Skedi był oburzony, odsłonięty. Dla niej. Inara nigdy nie widziała go w takim gniewie. Nigdy wcześniej nie popełnił ze złości podobnego błędu. Ale

wszystkie prawdy w posiadłości Craierów owijano w bawełnę, upiększano. Zawsze mówił jej, że to leży w jego naturze. Dla niego to było zło.

– Nie można tak... ranić – powiedział Skedi ze złością. Przez łzy Inara zobaczyła, że urósł do rozmiarów małego królika mimo morderczego spojrzenia Kissen i przerażonego wzroku Yatho.

Drzwi się otworzyły, rozległy się trzy wyraźnie gniewne kroki, i dziewczynka poczuła na swoich plecach dłoń ciepłą i stanowczą. Pojawiła się jeszcze jedna kobieta, która z zakamarków swojej szaty wyciągnęła chusteczkę i zaczęła nią ocierać łzy Inary. Dłonie miała suche i szorstkie, ale ciepłe, tak jak Tethis. Kląsknęła językiem o zęby. Kolory też miała takie jak zarządczyni – świeże i jasne, spokojne zielenie i szarości. Inara wzięła chusteczkę i przytrzymała ją, żeby wchłonęła łzy. Kiedy oddała szmatkę, kobieta podała jej kubek ze świeżą wodą, po czym usiadła obok. Zmoczyła ściereczkę i przycisnęła ją do karku Inary. Kojące, chłodzące uczucie.

Inara uspokajała się, oddychając urywanie, aż w końcu zebrała się na odwagę, żeby podnieść wzrok. Kobieta uśmiechnęła się do niej. Była ładna, miała ciemne oczy i cienkie brwi, nacięte trzema prostymi bliznami biegnącymi jej przez środek twarzy. Jedna tworzyła głęboki rozszczep w jej górnej wardze.

To zapewne była Telle. Popatrzyła znacząco na Kissen. Kissen, która nie wydawała się ani trochę zawstydzona, zaczęła ruszać dłońmi w mowie znaków, co zaskoczyło Inarę. Dotąd nie widziała nikogo posługującego się mową znaków, poza swoją matką i jednym ze służących. Lady Craier nauczyła tej mowy Inarę jako tajnego języka używanego przez piratów i ludzi z problemami ze słuchem.

Skąd wiedziałaś, że to ja?, gestami dłoni Kissen zwróciła się do Telle, która roześmiała się i odpowiedziała w ten sam sposób.

Yatho nie doprowadza dzieci do płaczu.

– Płacz jest zdrowy – Kissen jednocześnie pokazała i powiedziała na głos, wyraźnie na rzecz Inary, nie wiedziała bowiem, że ta rozumie każde słowo. Telle musiała być głucha. – Jest z rodu Craierów, a jej dom spalił się trzy dni temu razem z jej matką i służbą. Ona i jej szkodnik przeżyli. Mieli szczęście.

Szczęście. Inara wzięła długi, urywany wdech. Nie miała poczucia, że to szczęście. Czowała się przede wszystkim porwana. Ukradziona przez złośliwy los.

Szkodnik, pokazała Yatho. Jest tym, czym myślę?

Wszystkie popatrzyły na Skediego, któremu opadły skrzydła. Z porożem pochylonym do przodu w obronnym geście poczołgał się z powrotem w stronę Inary. Mimo wszystko Inara była wdzięczna za jego wybuch oburzenia w jej obronie. Czowała się dzięki temu mniej samotna. Wyciągnęła rękę, by go podnieść i wziąć na kolana, gdzie usiadł na tylnych łapach.

Yatho zacisnęła usta. *To niebezpieczne, powiedziała. Bogowie są nielegalni. Wreszcie nas tu szanują po naszym przybyciu z Blenradenu. Jeśli pod tym dachem znajdzie się bóstwo, doniosą na nas.*

Blenraden. Drugi raz o nim wspomniała. Czyżby kobiety pochodziły z tego miasta?

Kissen zdjęła mocno bulgoczący kociołek z ognia za pomocą narzędzia z długim uchwytem. Podała go Telle, która opuściła go na zawalony stół stojący na środku niskiego pomieszczenia. Yatho poszła po miski, a Inara zachowała ciszę, obserwując ich konwersację. Może straciła wszystko inne, ale wciąż miała oczy, uszy i Skedicetha. Powiedziałby jej, gdyby padły między nimi kłamstwa, pomagając jej zinterpretować kolory Yatho i Telle.

To coś więcej, powiedziała Kissen w mowie znaków, rzucając ukradkowe spojrzenie w stronę Inary. Ogień podłożyli żołnierze. Być może z innego rodu. Jej matka była w coś wplątana i wszyscy jej ludzie przypłacili to życiem. Nie wiem, czy mała jest bezpieczna.

Trzeba było bardziej interesować się polityką, odparła Telle, wykonując szybkie gesty, po czym podała Kissen miszkę owsianki i ciągnęła: Rodzina Craierów od pokolenia jest podzielona. Lady jako jedyna cieszyła się łaską króla.

Inara zmarszczyła brwi. Łaską? Nie, było to coś przeciwnego. A podział... Lady Craier nigdy nie wyrażała się niemiło o swojej rodzinie. Kiedy Inara o nią pytała, matka odpowiadała, że pewnego dnia dziewczynka ją pozna.

Nikt nie spaliłby własnej ziemi, stwierdziła Yatho. Nie poza Talicją. Skrzywiła się do Kissen i jej kolory zamigotały smutnym błękitem, ale bogobójczyni wzruszyła ramionami.

– Może iść na dwór – powiedziała. – Poprosić tego króla o ochronę.

– Nie nazywaj go „tym królem”, jakby nie był twoim – zwróciła jej uwagę Yatho. – To dzięki niemu jesteś bogata.

– Muszę patrzeć na jego chłopięcą twarz, dokądkolwiek pójdę – powiedziała Kissen – jakby było tylko jedno bóstwo zamiast setek. – Sięgnęła w głąb swojej szaty i rzuciła brzęczący worek na niski stół przy ogniu.

Telle podała Inarze miszkę gorącej owsianki.

– Kissen, ile razy ci mówiłyśmy, żebyś zachowała swoje pieniądze?

– Nie mam co z nimi robić. Za to wy dwie macie swój interes, swoje życie.

– Świetnie radzimy sobie bez nich. Po prostu je odkładamy, żebyś mogła...

– Co... Przestać wykonywać swoją pracę? – powiedziała Kissen z drwiącym uśmiechem. Yatho skrzywiła się.

– Możesz robić coś bezpieczniejszego. Coś, co cię nie zabije.

Inara podejrzewała, że toczą tę rozmowę regularnie.

Król nie ukrywałby bóstwa, przerwała Telle. Inara opuściła wzrok na Skediego, w którego żółtych oczach malował się niepokój. Oczywiście, że król Arren nie przyjąłby boga pod swój dach. Zabiłby go na miejscu, a nazwisko Craier mieszano by odtąd z błotem. Właśnie dlatego Inara w ogóle poszła do Kissen. To nie było w porządku.

Wiem, powiedziała Kissen. *Dlatego potrzebuję twojej pomocy, Telle. Ci dwoje są jakoś związani. On nie ma swojej świętyni. Czytałaś coś o tym?*

Telle pokręciła głową, podnosząc swoją owsiankę. Zjadła dwie łyżki, zanim zawahała się nad trzecią, a jej usta ściągnęły się wokół blizny, która je rozdzielała. Następnie wykonała gest jedną dłonią. *Może*, powiedziała. *Dzisiaj poszukam*. Odłożyła miskę i wygładziła swoją szatę, szykując się do wyjścia. Inara poczuła, że drży jej serce. Telle jej pomoże. Wydawała się jakby znajoma, w przeciwieństwie do dwóch bardziej szorstkich kobiet, po których w równym stopniu mogła się spodziewać zniewag, co czułości.

Jedz więcej, bo będziesz głodna, Yatho poleciła Telle. Ta przewróciła oczami, wzięła jeszcze dwie łyżki i z policzkami wypełnionymi owsianką podeszła, by pocałować ją w usta. Później przycisnęła wargi do czoła Kissen, posłała Inarze krzepiący uśmiech i wyszła bez dalszych pytań, zdziwień czy pretensji do Kissen o sprowadzenie bóstwa i dziwnej dziewczynki do ich domu.

– Też muszę popracować – oświadczyła Yatho, kierując się ku drzwiom. – Mam trzy zamówienia i kolejny zestaw listów.

– Tylko nie zapomnij wykuć dla mnie miecza – zażartowała Kissen.

– Tak jakbyś mi pozwoliła – odparowała. – Prześpij się trochę. Fatalnie wyglądasz.

– Ruchem głowy wskazała Skediego. – I trzymaj tę bestię w ukryciu.

Skedi przycisnął grzbiet do brzucha Inary, podczas gdy ona podnosiła owsiankę na łyżce i pozwalała jej spadać z powrotem do miski. W domu jadała na śniadanie kozi ser i suszone figi z zimnym jogurtem z piwnicy, polanym miodem i posypanym różnymi płatkami. Czasami kucharz robił nieduże ciastka w kształcie kwiatów nadziewane migdałami i czerwonymi pomarańczami. Inara przytknęła język do łyżki. Owsianka nie miała smaku czy choćby szczypty słodczy. Mleko przypaliło się w kociołku.

Szczęście.

– Mam się uważać za szczęściarę? – spytała w końcu. Jej łyzy zniknęły i czuła gorąco, suchość. Gniew.

– Tak. – Kissen westchnęła i odchyliła się na krześle. – Powinnaś uważać się za szczęściarę, ale przez jakiś czas nie będziesz.

– A co ty o tym wiesz?

– Wystarczająco dużo.

Kolejna nic niemówiąca odpowiedź. Inara wykrzywiła wargi. Rozkazywano jej, ponieważ nia, zabrano daleko od domu i rodzinnej ziemi. Nie pozwoli do siebie mówić jak do jakiegoś głupola albo zwierzęcia. Matka trzymała ją w ukryciu, owszem, ale mimo wszystko ją wychowała.

Twoim przeznaczeniem jest wielkość, skarbie, powiedziała jej pewnego razu. *Kiedyś to dostrzegą. Sam król zobaczy, kim jesteś.* Inara próbowała złagodzić gorycz w swoim sercu. Matka zostawiła ją samą, bez żadnej innej osoby, do której mogłaby się zwrócić.

– Nie pozwolę, żebyś zrobiła mu krzywdę – oświadczyła Inara, wsuwając palce w sierść Skediego. – Nie wiem, jakiej nagrody się spodziewasz za pomaganie mi, ale nie mam powodu ci ufać.

U każdej innej osoby umiała rozpoznać kłamstwo, tak samo jak bóg. Ale przy ukrytych kolorach Kissen nie miała punktu zaczepienia.

Kissen roześmiała się.

– Przytargałam tu twój niewdzięczny tyłek – stwierdziła. – A co to tego tu stwora...
– wskazała Skediego – później porozmawiamy. Teraz musisz jeść.

Inara wykrzywiła się na owsiankę. W brzuchu jej burczało, ale czuła się chora i zagubiona.

Zjedz to szybko, powiedział kojąco Skedi. *Udawaj, że jest słodkie, a będzie mieć znośny smak.* Zwracając się do Kissen, spytał: – Dlaczego jesteśmy w Lesscji? Co to za ludzie?

Dziwne, że nie bali się Skediego, jakby nie był pierwszym ani ostatnim bogiem, którego mogli mieć okazję tego dnia zobaczyć. Kissen przygryzła policzek i nie odpowiedziała.

– Nie możesz udawać, że nie istnieję, bogobójczynie – dodał Skedi śmiałym głosem.
– Nie nosisz w sobie sztuki kłamstwa.

Kissen najwyraźniej nie wiedziała, czy to zniewaga, czy komplement. Chrząknęła.

– To moja rodzina – stwierdziła. – Wszystkich nas sprzedano do Blenradenu, ponieważ kobieta, którą nazywaliśmy Maimee, uznała, że dzieci z problemami mogą wydusić pieniądze z wrażliwych i bogobojnych kieszeni. Nasza niedola pozwoliła jej zarobić sporo srebra. – Usta veigi na chwilę wykrzywiła odraza, gdy wypowiadała imię kobiety, a później spojrzała na monety, które położyła na stole, nietknięte przez Yatho ani Telle.

Blenraden. Czyli naprawdę przybyły z martwego miasta, zniszczonego przez wojnę. Nic dziwnego, że jej przyjaciółek nie poruszył widok Skediego. Dla Inary był jedynym bogiem, jakiego widziała w swoim życiu, ale one musiały widzieć ich tysiące.

– Nie mają czasu na bogów – dodała Kissen – a tym bardziej na niewinne kłamstewka, więc nie próbuj żadnych pochlebstw, szkodniku. Telle jest archiwistką

w Kloszu i jedną z nielicznych osób, którym wciąż wolno czytać stare pisma o bogach.
Jeśli ktokolwiek może znaleźć sposób na rozdzielenie waszej dwójki, to właśnie ona.

ROZDZIAŁ ÓSMY



Elogast

ELOGAST NIE POTRZEBOWAŁ WIELE CZASU, żeby spakować swój skromny dobytek. Zabrał niedużo, tylko drożdże i dwa małe worki z mąką na drogę, a także część swoich własnych ziołowych mieszanek z oczyszczoną usicańską solą pustynną. Za zbroję miał jedynie swoje naramienniki i skórzany kaftan oraz kamizelkę nałożoną na koszulę, nic więcej i przez to wydawało mu się, że jest nagi. Mimo wszystko, mając składniki do pieczenia, a także brodę i włosy zgolone do gołej skóry, jakoś czuł, że wszystko będzie dobrze.

Pierwszy statek z Estfjoru zabrał go przez początkową część sieci kanałów, którą budował Arren, do ubożego miasta Sorin, gdzie kanał przecinał rzekę Roan i skręcał na zachód, w kierunku przeciwnym do Lesscji. Sorin było kiedyś miastem na skrzyżowaniu szlaków, wyspecjalizowanym w wytwarzaniu mosiężnych dzwonów, lecz później talicjańscy ludwisarze zalali zamorskie rynki swoimi produktami. Teraz najlepszym, co mógł zrobić, było wypożyczenie najmniej wymizerowanej klaczy i wyruszenie szlakiem wschodnim do Lesscji.

Lesscja zawsze była idealna dla pielgrzymów szukających dysputy, historii i pisma zamiast pełnych blichtru obietnic i kieszonkowców z Blenradenu. Odkąd Blenraden upadł, Lesscja była drugim – po stolicy, Sakre – pod względem wielkości miastem w Middrenie. Wzdłuż całego szlaku rozmieszczono strażę, dbającą o jego

bezpieczeństwo, a trakt był utrzymywany w dobrym stanie, żeby handel między miastami i miasteczkami mógł kwitnąć. W obecnych czasach wystarczyło półtora dnia, żeby dotrzeć do Lesscji z Sorinu, a kiedy Elo był mały, on i jego matki pokonywali tę drogę w cztery dni z kucem, namiotami i wozami.

Elo przybył na peryferie miasta sztuki później, niż zamierzał, a te były dalej od centrum, niż pamiętał. Ostatnio był tu, kiedy wracał do domu ze zwycięskim pochodem Arrena. Ustawił się wtedy na samych obrzeżach tłumu, już nie jako ktoś z królewskiej świty. Doprawdy powinien był sam udać się w drogę powrotną z Blenradenu, ale ponieważ w piersi Arrena płonęło sekretne serce, chciał dopilnować, żeby jego przyjaciel bezpiecznie wrócił do Sakre. Nigdy nie poznał słów, które wypowiedział Arren, ale widział rozbijanie posągów bóstwa, które ozdabiały bramę od dwustu lat. Wokół niego tłum eksplodował wrzaskiem i zdecydowanym aplauzem, skandując imię Arrena. Jeśli pojawiły się łzy wstydu, Elo ich nie widział.

Teraz nie widział bram zza odleglejszych domów, których liczba się potroiła, a jedynie morze lamp w gęstniejącym mroku, który w ten wiosenny wieczór zapadał jednak jeszcze wcześniej, po zimowemu. Zostawił klacz w gospodzie na obrzeżach miasta, ale dopiero kolejne pół mili dalej natknął się na schludne stragany i handlowy gwar targu zewnętrznego, gdzie sprzedawano żywność. Ubrani w żółte szaty strażnicy Yetherów patrolowali przejścia, pomagali sumować transakcje i naliczać należny podatek od zysków.

Elo szybko pokonał miejskie ulice i ruszył krętą ścieżką w dół do mostów na mokradłach, które rozciągały się za Lesscją. Tutaj handlowali bardziej obdarci kupcy, zbyt biedni na stoisko w centrum. Matki zawsze mu mówiły, żeby tu nie przychodził, bo strażnikom rzadko chce się zaglądać w te rejony, w których na dodatek hulały wiatry znad wielkiej rzeki Daes, a straganów nie chroniły miejskie mury. Oczywiście kiedy on i Arren byli mali, te wszystkie niebezpieczeństwa stanowiły dla nich dodatkową pokusę. Właśnie tutaj obaj zawierali nielegalne zakłady, a raz, za mnóstwo monet i dwie butelki winiaku, sprzedali parę kielichów skradzionych z pałacu.

Gromada zakrwawionych i kostropatych kogutów zaskrzeczała, gdy Elo przeszedł obok ich ciasnych klatek, oznaczonych stawkami na wieczorne walki. Omiótł wzrokiem stoiska, na których sprzedawano przekąski i usługi: pierogi, przypalone ciastka, dostarczanie przesyłek, cerowanie ubrań. Gdy cienie się wydłużały, zapuścił się między rzędy straganów, szukając bodaj jednego przyjaznego spojrzenia, odruchu zaufania.

Po pewnym czasie zauważył gorące chlebki z curry, sprzedawane przez mężczyznę z jednego z licznych ludów Usicu, kraju sąsiadującego z Irisją. Przy jego glinianym piecu wisiał błyszczący amulet. Ledwie trzy kroki dalej trójka bladych mężczyzn grała

w płytki. Zamiast monet używali działających nasennie nasion slessu, kupionych od handlarza o gburowatym wyglądzie, który kłócił się z ich psem. Elo poczuł, że burczy mu w brzuchu i uświadomił sobie, jak bardzo zgłodniał.

Kupił chlebek z curry i jadł go na ciepło przed straganem, napawając się domowym smakiem, którego w Estfjorze zaznawał tylko wtedy, gdy gotował sam dla siebie. Jego wzrok przyciągnął kołyszący się przy piecu amulet. Wisiołek mógł mieć za zadanie jedynie przynosić szczęście albo być znakiem wytwórcy pieca, ale przenikliwy wiatr wprawił go w wirowanie i Elo widział, że ma pośrodku wyryty wzór, ręcznie pomalowany na niebiesko. Dłoń hojności, znak boga dobrego losu – który najwyraźniej wciąż żył.

Elo uśmiechnął się w duchu. Wiedział, że Lesscja dokonała słusznego wyboru. Arren pozbył się bogów, wygnał ich z Middrenu, ale to nie wystarczyło, żeby dokonać czystki w bibliotekach Lesscji i duszach ludzi, których bóstwa przyciągały.

Ugryzł kolejny kęs chlebka z curry i pochwycił spojrzenie właściciela straganu.

– Powiesz mi coś, jeśli spytam w dobrej wierze?

Właściciel popatrzył na miecz Elogasta i odwrócił się do pieca, po czym przez chwilę obracał chlebki.

– Kto chce wiedzieć?

– Pielgrzym – odparł Elo, siląc się na urzekający uśmiech. Do licha, minęło wiele czasu, odkąd musiał kogokolwiek urzekać. – Pielgrzym, który zgubił drogę.

– Pielgrzymi ofiarowują dary – powiedział mężczyzna z naciskiem. Elo się roześmiał. Bogowie bogactwa rzadko przyciągali szczodrych. Ze swego zawiniątka z monetami i sztabkami wydobył srebrną połówkę, wartą całkiem pokaźną sumkę, i pokazał ją między palcami tak, żeby było wyraźnie widać wybitą na niej wagę i oznaczenie. U niego w Estfjorze za tyle srebra można by kupić konia, ale tutaj była to zaledwie niezła łapówka. Sprzedawca chlebków z curry mógłby tym może opłacić dzień lub dwa na najwyższych poziomach rynku zewnętrznego.

Usicańczyk wyciągnął kolejny chlebek, wepchnął do środka trochę curry i położył go na beczce obok dłoni Elo. Ten oddał mu połówkę sztabki i srebro zniknęło w krótkim błysku światła.

– Droga Królowej – powiedział szybko. – W wąskich zaułkach na północny zachód od Klosza. Dobre miejsce dla pielgrzyma, żeby przepłukać gardło.

Elo cofnął się. No jasne, Droga Królowej. Ktoś wciąż miał słabość do monarchini, która doprowadziła ich na skraj upadku.

– Ścieżki nas zgubiły, przyjacielu – dodał właściciel straganu. – Znowu nas odnajdą. Wkrótce.

Elo zawahał się. Co mężczyzna miał na myśli? Skinął głową w podziękowaniu i zawrócił ku miejskiej bramie. To nie było nic takiego. Arren wiedział, że szykują się kłopoty. Wróci do Sakre, gdzie będzie pod strażą, bezpieczny.

Strażnik z żółtą szarfą przeszukał sakwy Elo, gdy wjechał przez bramę do Lesscji, ale przewożone w nich rzeczy nie odpowiadały definicji towarów mogących uszkodzić manuskrypty. Elo wjechał do miasta w chwili, gdy zabiły wieczorne dzwony.

Ruszył głównymi ulicami w stronę Klosza, dużej miedzianej kopuły w samym sercu miasta, gdzie przechowywano najcenniejsze archiwa. Lesscja była ruchliwa. Wózkowi biegali w niepotrzebnym pośpiechu z oficjalnymi godłami na strojach i w towarzystwie strażników, o dziwo, w niebiesko-złoty barwach Arrena, a nie w żółci Yetherów. Warsztaty wciąż działały, mimo wieczornej pory. Elo minął kaflarnię, w której kilkoro dzieci pętało się pod nogami dorosłych, podnosząc spadłe na ziemię kawałki gliny. O zmierzchu kopuła Klosza i białe budynki dookoła zdawały się świecić.

Szerokie ulice robiły się coraz węższe. Poziom gruntu podnosił się. Kanały stawały się coraz mniej liczne i bardziej od siebie oddalone w labiryncie uliczek po północnej stronie miasta. Ta lądowa strona Lesscji niemal przypominała Sakre: bezładna, kręta, pełna świateł z tawern i pensjonatów, kuźni i warsztatów szewskich. Elo poczuł przenikającą go falę nostalgii za rodzinnym miastem, które on i Arren znali równie dobrze, jak siebie nawzajem.

W końcu znalazł gospodę, bez widocznego szyldu, ale malowidło na drzwiach wystarczyło: troje pielgrzymów podążających za kobietą w koronie. Elo pokręcił głową. Droga Królowej, zaiste.

Elogast spotkał królową Alettę przy okazji inspekcji straży. Spodziewał się chłodnej kobiety, powściągliwej, ale żarliwość biła od niej jak słoneczny skwar, paląc nieskruszonych. Ostatni raz znalazł się tak blisko niej, kiedy wdarli się do Blenradenu. Nie było wtedy słońca, nie było mocy. Elo wiedział, że nigdy nie zapomni miny Arrena, kiedy znaleźli zwłoki książąt. Mosen skończył ledwie piętnaście lat. Starsza siostra Arrena, Bethine, królowa-której-nigdy-nie-było, wprawdzie ubrana w zbroję, jednak uciekła i padła na kolana, szlochając z przerażenia i bólu. Lecz Arren był pełen gniewu.

– *Ilu ludzi zginęło, gdy próbowali się tu dostać* – powiedział cicho, kiedy jego siostra płakała – *bo ona pozwoliła, żeby to się stało?*

– *Arrenie...* – spróbował Elo. To była dopiero pierwsza z okropności. W bezwzględnej wojnie, która rozgorzała później o miasto, czciciele i bóstwa stawali po którejś ze stron, chwytając za broń przeciwko własnym sąsiadom, a nawet wojskom Middrenu. Elo nie znał liczby ofiar wśród cywilów, wiedział tylko, ilu rycerzy trzeba

było pokonać, żeby przewyciężyć kamienie, burze, koszmary i strzały bogów oraz ich wyznawców.

– *Odpowiedz mi, proszę.*

– *Dwanaście tysięcy* – powiedział Elo. Arren czekał. – *I pięćdziesiąt sześć.*

– *Dwanaście tysięcy i pięćdziesiąt sześć* – powtórzył Arren. – *Z każdego rodu, z każdej prowincji. Poległych. Za jej głupotę. Oszczędź mi łez, siostrze. Moje łzy dla niej wyczerpały się, kiedy miałem rok.*

A to były te lepsze dni.

Elo wziął się w garść i wszedł do gospody. Była zagracona i ciasna, w palenisku żarzyły się węgle, które miały rozproszyć wiosenny chłód, ale napełniły niewielkie pomieszczenie dusznym skwarem. Okna zasłaniały kawałki grubego szkła połączone ołowiem, a cuchnące łojowe świece płływające w misach z wonną wodą w bardzo niewielkim stopniu rozświetlały mrok.

Elo ruszył do baru. Oberżysta udawał, że poleruje kubek, ale tak naprawdę obserwował go w rzędzie wypukłych mosiężnych zwierciadeł za butelkami i beczkami. Kosztowny, lecz sprytny sposób, żeby mieć klientów na oku. Mężczyzna o szczupłych ramionach miłośnika bijatyk miał na sobie kamizelkę. Na odsłoniętym karku wytatuowane miał coś, co wyglądało jak runa albo rozstaj dróg. Tusz rozchodził się na barki i nagie ręce. Sięgał od szyi do wierzchów dłoni. Tatuowanie musiało być bolesne.

– Dla mnie to samo – powiedział Elo, wskazując kielich siedzącej obok kobiety, napełniony czystą ciecżą z warstwą syropu na dnie. Dolatywał z jego strony przyjemny zapach, cytrusowy, może skórki pomarańczowej.

Karczmarz odwrócił się i wyprostował, stukając odstawanym kubkiem. Włosy miał czarne, lekko przyprószone siwizną, a jego jasne oczy omiotły Elo od stóp do głów, zatrzymując się na naramiennikach, później na mieczu. Elo nosił broń tak, jakby nie zamierzał jej używać, na plecach, wraz ze swoim tobołem. Z owiniętą rękojeścią miecz mógł wyglądać na kradziony. Liczył, że będzie sprawiać na tyle podejrzane wrażenie, żeby ludzie nie zadawali pytań.

– Ostatnio nie widzimy tu wielu Irisjan – stwierdził oberżysta, mimo że kobieta, która teraz pospiesznie zbierała swoje papiery, była przynajmniej pół-Irisjanką. Pozostali zaczęli coś szeptać przy ogniu i Elo poczuł, jak przechodzi go dreszcz.

Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby sprawdzać każdy możliwy stragan i oberżę w Lesscji. Musiał zniknąć wśród tajnych szlaków, z których korzystali pielgrzymi w górach. Powiedział sobie, że nieufność Drogi Królowej wobec nowo przybyłych ma wiele sensu. Równie wiele sensu miał brak portretu Arrena wiszącego nad kominkiem.

– Ja... – Już chciał powiedzieć, że urodził się i wychował w Middrenie, ale zmienił zdanie. Wielu Irisjan porzuciło Middren, żeby gdzie indziej swobodnie praktykować

swoją religię. To mogło wzbudzić większe zaufanie. – Długo nie byłem w Irisji – powiedział z uśmiechem. Oberżysta zawahał się, a w jego bladych oczach zalśnił blask. – Brakuje mi tych obyczajów.

Elo podejrzewał, że gdyby miał boskie zmysły, wyczułby teraz, jak tamten nieco się odpręży.

– Musi być ciężko tak daleko od domu – powiedział mężczyzna.

Elo rozpoznał jego akcent, pochodził z lesistych obszarów rozciągających się od północy Blenradenu do południowego skraju Talicji. Samogłoski u mieszkańców tych stron były przeciągnięte, a nie ucięte i ostre jak w Sakre. Jak wielu ludzi z tych terenów, niegdyś bogatych, a dziś na wpół opustoszałych, przeniosło się tutaj? To by tłumaczyło szybki rozrost targu zewnętrznego.

– To jak się nazywasz? – zerknął za plecy Elo. Kobieta wyszła, dopiwszy destylat ledwie do połowy, ale reszta została. – I czego chcesz?

Sięgnął po czysty kielich, który zadzwieczał, postawiony przed Elo, po czym wyjął niewielki kilof zza kontuaru i odrąbał kawałek lodu z wiszącego za nim bloku. Wrzucił go do naczynia. Wprawdzie nie należał do roślących ludzi, ale jego mięśnie były wyraźnie zarysowane, a nos wyglądał jak po co najmniej dwóch złamaniach. Gdy się odwrócił, Elo wyraźniej zobaczył tatuaże, na których kilka razy powtarzał się motyw rozwidlonej ścieżki. Zapewne znak bóstwa, ale poprzecinany innymi wzorami, pasmami i spiralami, a w jednym miejscu, na przedramieniu, także lśniącymi bliznami. Nosił owe tatuaże tak otwarcie i swobodnie, że Elo poczuł prawdziwy wymiar zagrożenia buntem, o którym mówił Arren. Władza śniła się nie tylko rodom, ale też zwykłym ludziom. Jeśli tak było tu, to kto wie, jak daleko w głąb Middrenu sięgał ten trend?

To nie była jego walka, nie dzisiaj. Przybył tu tylko po to, żeby ratować swojego brata. Najpierw musi ocalić życie królowi, później będzie mógł zajmować się buntem.

Oberżysta wyjął zza baru cynową flaszkę, nawet na nią nie patrząc, i polał zawartością lód, po czym dodał łyżkę melasy z granatów z otwartego słoja z muchą w środku. Gęsta masa opadła na spód kielicha.

– Oczywiście to autentyczny irisjański likier – oznajmił, popychając naczynie przez kontuar, zanim Elo zdążył coś odpowiedzieć. – Robi się go z daktyli, prawda? W zeszłym tygodniu specjalnie zamówiłem skrzynkę. Możesz mi mówić Canovan.

Elo bez zastanowienia podniósł irisjański napitek. Zmarszczył czoło, patrząc w szkło. Nigdy nie widział takiego likieru ani o nim nie słyszał, ale z drugiej strony, raczej nie nadążał za modą. Nie od razu pociągnął łyk, lecz przechylił naczynie, żeby pojedyncza kropla spadła na podłogę. Tak robiła jego matka, zanim się czegoś napiła,

dziękując bóstwu przemian za jego dar. Kiedy był mały, posadzki i wykładziny po przyjęciach były lepkie od wina palmowego. Canovan patrzył.

– Jestem tu, bo szukam przejścia do zaginionego miasta – powiedział cicho Elo. – Nazywam się Elo.

Canovan przymrużył oczy.

– Elo – powtórzył, jakby gryzł monetę i sprawdzał, czy jest prawdziwa. – A dlaczego chciałbyś tam iść?

W pytaniu czaiło się niebezpieczeństwo.

– Czy to coś, co musisz wiedzieć? – odpowiedział pytaniem Elo, starając się, żeby zabrzmiało to jak najłagodniej.

– To zależy – odparł Canovan. Przesunął językiem po zębach, zanim odpowiedział.

– Niektórzy szukają pociechy. Niektórzy wspominają zmarłych. – Skrzyżował ręce. – Inni szukają łask i władzy. Tacy zwykle budzą moje podejrzenia. – Jeszcze raz otaksował przybysza wzrokiem. – To jest rycerski miecz.

Elo zawahał się.

– Był – powiedział.

– Nie widziałem takiego miecza, odkąd rycerze porozbijali wszystkie świątynie w Blenradenie. – Kciukiem gładził trzonek kilofa.

– Byłem tam – odrzekł Elo. To zaskoczyło Canovana. W jego oczach odmalowała się niepewność. – Szedłem za królem, kiedy jego rozkazy miały dla mnie sens, ale już przed laty odszedłem z wojska. – Wyciągnął dłonie przed siebie, pokazując je oberżyscie. – Zobacz, odciski od miecza są ledwie widoczne. – Wciąż miał mąkę za paznokciami, a także zgrubienia na opuszkach palców od zagniatania ciasta. – Nie jestem rycerzem. Nie kocham króla. Wędruję w poszukiwaniu pokuty za to, co zrobiłem.

Canovan popatrzył na dłonie Elo, a później na jego twarz, i zacisnął szczęki. Nie wierzył mu. Może nie musiał.

– Pokuty – powtórzył. Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał, zerkając na powietrze wokół Elo, po czym oparł obie ręce na kontuarze i uśmiechnął się, tak nagle i tak chłodno, że Elo aż się cofnął. – Tak... Możesz odbyć pokutę. Przepraszam. – Elo miał poczucie, że ci, którzy stali za jego plecami, cofnęli dłonie od noży czy amuletów. – Usiądź, panie Elo, zaraz do ciebie dołączę.

Elo głęboko odetchnął i wybrał miejsce zwolnione niedawno przez kobietę. Rozlała coś na stół, gdy spieszyła się na zewnątrz – sok cytrynowy. To tłumaczyło zapach. Tym niemniej zdjął miecz z pleców i oparł go sobie o nogę. Pokazując Canovanowi dłonie, uświadomił sobie, że nie radzi już sobie tak sprawnie jak kiedyś ani z ludźmi, ani z bronią. Gdyby powiedział coś niewłaściwego, przypuszczalnie miałby do

czynienia z kilofem, a karczmarz wyglądał na kogoś, kto umie się bić. Elo już nieraz narażał się na niebezpieczeństwo, podobnie jak Arren. Gdyby przyszedł tu razem z Arrenem, bijatyka w gospodzie rozpętałaby się na całego.

Pociągnął łyk. Trunek był dość mocny, żeby wycisnąć mu łzy z oczu, zupełnie inny niż rozwodnione wino, do którego przywykł. Po chwili z zaplecza wrócił Canovan. W ręce trzymał piwo, a pod kamizelką miał koszulę zasłaniającą tatuaże. Usiadł dość blisko Elo, zbyt blisko, żeby można było zachować swobodę, i Elo poczuł z jego brody zapach kadzidła. A także mroczną, leśną woń, jakby błota i mchu.

– Trzeba odwagi, żeby dostać się do Blenradenu – powiedział. – Niebezpieczne miasto świątyń, bardzo niebezpieczna droga. Mogę ci ofiarować mapę. Dobre wskazówki, miejsca na postój. Mogę ją nawet oddać za miecz, jeśli pozwolisz mi spojrzeć na klingę.

Czyli ten Canovan postanowił przeistoczyć się z psa stróżującego w spryciarza. Chciał zobaczyć klingę, żeby sprawdzić zawartość brydzytu? Elo nie był taki głupi, żeby mu go pokazywać. Nietrudno było odróżnić lśnienie stali od matowego metalu do zabijania bogów.

– Będę szedł w grupie – powiedział Elogast, pociągając kolejny łyk. Do licha, że też Irisjanie nie chcieli sami upijać się wesoło tą palącą cieczą. – Znam drogę. – To nie do końca było kłamstwo. Znał normalną drogę głównymi szlakami. – Szukam bezpieczeństwa, jakie daje większa liczebność. – Nie wspomniał o mieczu. – I chcę ruszyć jutro.

– Po co taki pośpiech? – spytał Canovan.

– To sprawa między mną a moimi bogami – odparł Elo.

– Nie podoba mi się rycerz, były czy nie, w pośpiechu szukający szlaku do Blenradenu.

– Nie będę płacił za to, żeby ci się podobać, prawda? – Elo się uśmiechnął.

Canovan też wykrzywił się w uśmiechu, ale po jego ramionach wciąż było znać napięcie.

– Siedem i jedna złota – oznajmił – żeby ruszyć z końcem tygodnia. – Cena była znacznie zawyżona. Elo kupił całą swoją piekarnię za sześć srebrnych i dwie.

– Zapłacę pięć – powiedział. – I im szybciej, tym lepiej. – Jeden miesiąc. Nie było czasu, żeby się ociągać. Osiem dni trwała podróż do Blenradenu głównym traktem. Przez góry musiała zajmować przynajmniej dziesięć.

– Sześć i pół – odparł Canovan, kciukiem gładząc paznokiec.

– Pięć albo wychodzę.

Co on wyprawia? Ledwie go zaproszono, żeby usiadł, ale gdyby wydawał się zbyt skory do rozstania ze swoim złotem, podejrzenia mężczyzny znowu by wzrosły. Tak

czy inaczej, jego matkom byłoby za niego wstyd, gdyby pozwolił się oskubać jakiemuś gburowi. Canovan nie chciał kłótni, jak się zdawało, a przynajmniej takiej z prawdziwego zdarzenia. Jeśli był wichrzycielem, a Elo nie miał co do tego wątpliwości, wolał nie przyciągać uwagi do swojej gospody.

Wstał, licząc na swoją intuicję. Karczmarz wstał wraz z nim, mocno chwytając go za ramię. Zapach mchu stał się silniejszy niż przedtem.

– Sześć i jutro – wycedził przez zęby, sprawiając wrażenie wyczerpanego. – Zgoda, tak? Mam pielgrzymów, którzy wyruszają jutro w południe.

Przez ramię Elo przeszedł nieprzyjemny chłód, gdy zacisnęła się na nim dłoń Canovana. Złapał nadgarstek mężczyzny i odsunął jego rękę, wykręcając ją w chwycie łowcy. Zdawało mu się, że dostrzegł jakiś cień znikający w rękawie Canovana, ale było to chyba jedynie migotanie światła lampy na jego tatuażach.

– Sześć i jutro – powtórzył Canovan, wyraźnie pobladły, bez śladu wcześniejszego gniewu i brawury. Krótko i z niesmakiem ucisnął dłoń Elogasta. Przechytrzonego i to mu się nie podobało. – I jeszcze – dodał – dwa miedziaki za napitek.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



Kissen

POWRÓT TELLE WYBUDZIŁ KISSEN Z NIESPOKOJNEJ DRZEMKI w wózku przy ogniu. Przespała dzwony i niebo już ciemniało. Na zewnątrz ucichł odgłos walenia młotkiem przez Yatho. Zapewne wzięła się za jakieś spokojniejsze zajęcie, żeby przestrzegać miejskich przepisów o ciszy nocnej.

Jedno bezradne dziecko, z uśmiechem pokazała Telle w mowie znaków, i twoje mury obronne pękają.

Kissen wykonała wulgarny talicjański gest, wsuwając palec wskazujący w zgięcie kciuka, a Telle parsknęła śmiechem. Nalała piwa sobie i Kissen, wciąż pocierającej oczy, żeby się dobudzić. Jako dziecko nienawidzące wszystkiego, Kissen nienawidziła i młodszej od siebie Telle, która ze swoim uroczym usposobieniem była ulubienicą Maimee i wszystkich innych niechcianych dzieci. Dbała o to, żeby miały co jeść i w co się ubrać, a nawet uczyła je czytać, jeśli wyraziły zainteresowanie – Kissen nie wyraziła – jak również posługiwać się mową znaków. Kissen przystała na to niechętnie, lecz przeważała potrzeba znajomości języka, którego nie znała Maimee. Yatho cały czas nadskakiwała ślicznej Telle na oczach Kissen, za co ta nią gardziła.

Ale kiedy Kissen postanowiła uciec, aby podążyć za bogobójcą zwanym Pato i nauczyć się jego rzemiosła, pomogła jej właśnie Telle. Posłuszeństwo było jej tarczą, A ciche uprzejmości – drobnymi buntami po tym, jak oddano ją Maimee. Kiedy

wybuchła wojna bogów, a Kissen była już daleko, Telle i Yatho opiekowały się pozostałymi do czasu, gdy Kissen mogła wrócić i wszystkich uratować.

Teraz cenią Telle – już jako żonę Yatho i własną siostrę – bardziej niż swoje ręce. Kto by pomyślał, że jedna z dziewczynek posyłanych na żebrzy przez Maimee zostanie archiwistką obok niepierworodnych szlachciców i dzieci kupców?

To życie ci służy, pokazała veiga na migi. Wyglądasz bardzo dobrze.

Telle żartobliwie udała zawstydzenie, ale była zadowolona. Nabrała pewności siebie, odkąd wyrwała się z dławiącego uścisku Maimee. Wybaczyła też Kissen jej łobuzerską gniewną młodość – wróciła po inne dzieciaki i tylko to się liczyło.

Jak twoja noga?, spytała Telle.

Kissen prychnęła.

Dobrze. Yatho zachowuje się głupio.

Język znaków nie był subtelny. Był bezpośredni, trafiał prosto w sedno. Tak naprawdę noga Kissen wciąż bolała, zawsze bolała, ale czuła się lepiej, niż kiedy się tu zjawili. Wózek był błogosławieństwem. Nie przyzwyczała się jeszcze do niego i ciągle miała ochotę podskoczyć, ale czuła ulgę, że jej biodra mogą spocząć.

Znalazłaś coś?

Inary nigdzie nie było widać. Wysłała wcześniej dziewczynkę do swojego własnego łóżka. Może jeszcze spała. Może uciekła. Kissen nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby mała i jej szkodnik uciekli.

Trochę, pokazała gestami Telle. *Wszyscy są w kuźni. Popchać cię?*

Warsztat Yatho był otwarty na podwórze, oświetlony lampami i gorącym blaskiem pieca. Kissen zdziwiła się, widząc, że Inara pompuje powietrze miechem, którego uczeplił się jej mały bóg. Robota nieskomplikowana, ale ciężka. Skedi przycupnął na górze, podczas gdy dziewczynka z determinacją naciskała rączkę w dół. Machał skrzydłami, gdy opadał, i mocno trzymał drążek, gdy się wznosił. Zachowywał się jak zabawka, jakby nie wiedział, czym jest. Kissen świerbiły ręce, żeby chwycić za broń. Swoją płaszcz z woskowełny zostawiła w środku razem ze wszystkimi narzędziami.

Yatho obrabiała długi, wąski grot z rozjarzonego metalu, pracując jednym z najmniejszych młotków, jakie Kissen widziała, a dźwięk, jaki przy tym powstawał, nie był dość głośny, żeby nieść się daleko. Za nią leżała noga Kissen w kilku częściach ze schłodzonego bryddytu. Cacko. Yatho zaczęła wykonywać podobne rzeczy, kiedy szukała sposobu, żeby w kolano Kissen nie wbijały się drzazgi z kiepskich drewnianych nóg, które znajdowała dla niej Maimee. Każdą wolną godzinę spędzała w kuźniach przy świątyni boga wojny w Blenradenie, obserwując, jak powstają różne rzeczy, poczynając od tar i wyżymaczek do prania aż po elementy zbroi. Wkrótce jej zainteresowanie objęło także stolarzy, rymarzy, a także rzemieślników wykonujących

mechaniczne zabawki dla zamorskiej szlachty. Yatho urodziła się po to, żeby wytwarzać przedmioty, patrzeć, jak są składane w całość i rozbierane na części.

Teraz zanurzyła cienki kawałek metalu, który według przypuszczeń Kissen miał być jej nową piszczelą, w wiadrze z zimną wodą, żeby go zahartować, po czym podniosła wzrok, gdy buchnęła para. Jej twarz rozpromieniła się na ich widok, ale wciąż trzymała metal, aż para zelżała, a później ostrożnie go podniosła i obejrzała. Pokiwała z satysfakcją głową i zanurzyła go na kilka kolejnych chwil w innym wiadrze, po czym odłożyła na specjalną ramę.

– Rozgarnij żar, Inaro – poleciła. – Skończyliśmy. Skedi, użyj skrzydeł, żeby żar nie leciał jej w twarz, rozumiesz?

Oboje pokiwali głowami. Kissen się skrzywiła. Mimo że Inara wciąż miała zaciętą minę, Yatho w jedno popołudnie zdołała wywołać u niej więcej życia niż Kissen przez trzy dni. Kissen potrzebowała lat, żeby ponownie zbliżyć się do ognia tak blisko. Nawet teraz płomienie były niesamowicie gorące, sięgnęła więc do fiolki, którą nosiła na sznureczku na szyi, bo wołała trzymać ją w pobliżu otwartego ognia, tak na wszelki wypadek. Yatho się zbliżyła, rozpinając skórzany fartuch, który uszyto jej jedynie do wózka.

– Dziwna z nich parka – powiedziała do Kissen, kiedy Telle podeszła pocałować ją na powitanie. Zgromadziły się przy wciąż żarzącym się palenisku od strony dziedzińca, z dala od Inary i jej bóstwa.

– Zagoniłaś małą szlachciankę do pracy? – spytała Kissen i pokazała to samo na migi, żeby włączyć Telle do rozmowy.

– Potrzebowała zajęcia – odparła Yatho w ten sam sposób. – Strata to dziwna rzecz. Niektórzy tłamszą ją w sobie, inni atakują. Ona nie różni się tak bardzo od ciebie.

– Chybaby się nie ucieszyła, gdyby to usłyszała.

Telle roześmiała się i usiadła na stołku przy palenisku. Był pogodny wieczór, wiał przenikliwy i chłodny wiatr. W błocie przy kuźni zaczęły się pojawiać zielone kielki, które wkrótce zakwitną, kiedy dni zrobią się cieplejsze, mimo że kilka już zżarła koza. Kissen spojrzała wyczekująco na Telle. Znając ją, niecierpliwiła się, żeby podzielić się tym, czego się dowiedziała.

Nie ma danych o bogach bez świątyń, oznajmiła, tylko starzy albo potężni bogowie mogą się przemieszczać między kilkoma swoimi świątyniami, tacy jak bóstwo zgubionych rzeczy albo bezpiecznej przystani. Im więcej wiernych, im więcej świątyń, tym dalej mogą podróżować. Czasami da się ich przyzwać za pomocą symbolu albo runy poza świątynią, ale tylko na krótko. Jeśli główna świątynia zostanie zniszczona, bóstwo może czasem przeżyć, trzymając się jednej z pozostałych.

Kissen westchnęła z irytacją. Wiedziała to wszystko.

Bogowie tego nie mają?, spytała Telle i Kissen pokręciła głową. Z nielicznych informacji uzyskanych od Inary zrozumiała, że gdyby Skedi mógł opuścić dom Craierów, zrobiłby to. Bóg mógł przyjść do bogobójczyni, tylko jeśli nie miał wyboru. *Przyciąga go jedynie do niej,* powiedziała Kissen. *Nie uwierzyłabym w to, ale widziałam ich ból, kiedy się od siebie oddalali.*

Telle skinęła głową, jakby się tego spodziewała.

Myślałam, że bogowie umierają bez swoich świątyń, stwierdziła Yatho.

Nie zawsze, odparła Kissen. *Nie od razu.* Bogowie zaczęli jako duchy zwabione do miejsc, którymi ludzie podróżowali i mogli ich potrzebować. Pewnego dnia mogli nabrać wystarczającej siły woli, żeby zdmuchnąć pył na drodze we właściwą stronę albo sprawić, że w idealnym momencie łuk złodzieja źle strzeli. Później ktoś mógł podziękować, złożyć ofiarę, nadać im kształt. *Nawet kiedy świątyni już nie ma, ich moc może się utrzymać. Świątynia jest jak kil okrętu. Utrzymuje ich w całości.*

Telle rozpromieniła się i wyrzuciła ręce w górę. *Tak, właśnie.* Wywrzeć wrażenie na Telle – to było coś nowego. *Kil utrzymuje ich w równowadze między rzeczami, które ich stworzyły: woda, po której żeglują, to miłość ludzi, utrzymująca ich na powierzchni. Wiatrem jest duch, energia, która ich tworzy i obdarza mocą. Bez kila się rozpadają, wywracają, ulegają zniszczeniu.*

– Utkaj z mojej przędzy złoto, dlaczego by nie? – powiedziała Kissen na głos ze śmiechem.

Dlaczego bóg jest związany z dziewczyną?, spytała Yatho.

Telle podniosła ręce i pokręciła głową na znak, że nie wie. *Ale nagłe rozłączenie byłoby jak złamanie kila. Zabiłoby go i ją być może też.* Nie to chciała usłyszeć Kissen i Telle o tym wiedziały. *To nie jest problem, który może rozwiązać ostrze albo pięść.*

I tak nie mogłabyś tego zrobić, wtrąciła Yatho. *Bawią się razem. Jest jej przyjacielem.*

Kissen zmarszczyła nos i zastanawiała się nad ciętą ripostą, a Telle mówiła dalej.

Znalazłam pewien tekst, powiedziała. *Mówił o przenoszeniu boga i jego totemu z miejsca kultu, żeby dołączyć do innego, potężniejszego bóstwa w jego świątyni. Może być w tym ziarno prawdy. Jeśli bóstwo powraca do miejsca mocy, może...* – Z trudem szukała właściwego słowa. Przeliterowała je palcami i Yatho skinęła głową.

– Co to było? – spytała Kissen.

– Nadal nie nauczyłaś się liter? – zdziwiła się Yatho, jakby o tym nie wiedziała.

– Zamknij się, Yatho.

Telle cmoknęła, żeby zwrócić ich uwagę. *Bóstwo może być zdolne do...*

– Splątania się, tak powiedziała – dorzuciła Yatho.

...splątania się z inną świątynią.

Świątynia. W Middrenie były nielegalne, ale Kissen wzruszyła ramionami. *Możemy znaleźć tysiące świątyń,* stwierdziła. Mała rzeźba w czyjejś kuchni, wotum w szufladzie, żeby się łyżki nie kleiły, stosik kamieni przy drewnie, żeby drewno było suche. Kissen nie wchodziła ludziom do domów, żeby niszczyć te małe jaskinie szaleństwa, ale wiedziała o ich istnieniu.

Nie rozumiesz, oznajmiła Telle. Nie wystarczy byle świątynia. To musi być świątynia potężnego bóstwa, na tyle silnego, żeby to mniejsze mogło żyć na jego „wodzie”, miłości, która nadała mu cel. Zawahała się. W Middrenie jest tylko jedno miejsce, które wciąż ma taką moc.

Yatho wzdrygnęła się, a Kissen poczuła, że upada na duchu. *Blenraden,* pokazała na migi. Telle przytaknęła.

Nie zabiorę małej dziewczynki do tego pożartego przez bogów miasta, oświadczyła Kissen. Najpierw doprowadzi mnie do obłędu, a później zabiją ją bogowie, demony, rycerze albo wszyscy naraz.

Druga możliwość to zabrać dziewczynkę z bogiem w sercu do króla. Wiesz, co by zrobił?

Kissen przygryzła wargę.

Możemy ukryć ją tutaj, podsunęła Yatho.

Nie poproszę, żebyście trzymały boga pod swoim dachem po tym, jak to wszystko zbudowałyście.

Nie musisz, odparła Telle.

Kissen westchnęła. Pieniądze, które zostawiła w środku na stole, wciąż były nietknięte. Nie potrzebowała ich, zarabiała dosyć na życie, ale Yatho i Telle ciągle wydawały swoje fundusze na biedne rodziny i dzieci. Dowiedziała się, że nawet ten chłopiec, Bea, którego Yatho odesłała dziś rano z zapłatą do domu, żeby nie zobaczył Skediego, należał do ich dobroczynnej siatki, bo jego brat nie mógł się nim opiekować. Czy mogły trzymać tu Inarę przez czas, być może kilku miesięcy, potrzebny na znalezienie Skediemu innego miejsca?

Jeśli ją weźmiecie, mogę ruszyć do Blenradenu.

– Kissen – odezwała się Yatho, gdy Telle pokręciła głową. – Przysięgłyśmy, że nie wrócimy.

– Złamałam tę przysięgę, kiedy ostatnio ją złożyłam – odrzekła Kissen – i nie żałuję.

Yatho zmarszczyła brwi. Mimo że ona i Telle były już w pełni dorosłe, kiedy wybuchła wojna, wciąż należały do Maimee. Były jej własnością. Może zdołałyby uciec, ale to by oznaczało pozostawienie młodszych dzieci, a nie miały serca, żeby to zrobić.

Ale Kissen wróciła w samą porę. Kiedy wojska wtargnęły do miasta i próbowały ewakuować uchodźców, bogowie zrobili się jeszcze gorsi. Dzikie bóstwa zatopiły statki i z krzykiem przemierzały ulice, polując na ludzi, wzniesając po drodze pożary. We trzy zmusiły Maimee do uwolnienia dzieci i Kissen wyciągnęła je z miasta. Trzy lata później wszystkie maluchy pierwszy raz miały domy, a Yatho i Telle były wolne. Jeśli Inara gdziekolwiek była bezpieczna, to przy nich.

Dowiem się, czy mogę ją tam zabrać, dodała Kissen w mowie znaków. *I...*

Nie mogła zapomnieć o tym, co powiedziała Ennerast. *Kiedy Middren przypadnie bogom...* Kissen nie darzyła Middrenu jako kraju miłością, ale to był jej dom i tam mieszkali jej pobratymcy. Nie chciała kolejnej wojny, chciała robić swoje. Prawdę mówiąc, nie miała nic przeciwko odwiedzinom w martwym mieście, tylko dla potwierdzenia, że nadal jest martwe.

Blenraden to miejsce, gdzie znajdę parę odpowiedzi, stwierdziła. *Może nakłonię jakieś bóstwo, żeby się tam ukazało, jeśli zadbacie o bezpieczeństwo dziewczynki...*

– Nie.

Kissen obróciła się na wózku. Pomimo prowadzonej głównie bezgłośnie rozmowy, żadna z nich nie zauważyła, jak Inara zakradła się pod kuźnię, trzymając w ramionach Skediego, który poruszał uszami. Puściła go, a on wspiął na ramię i tam usiadł, rozkładając skrzydła dla zachowania równowagi. Inara opuściła rękę.

Pojadę do Blenradenu, oznajmiła chłodno.

Kissen była niemal równie zdumiona jej umiejętnością porozumiewania się na migi, jak samą deklaracją. Wiedziała, że Skedi zrozumiałby ich rozmowę – bogowie mieli niesamowitą umiejętność rozumienia wszystkich języków – ale Inara? Mową znaków częściej posługiwało się pospólstwo niż szlachta.

– Nie zabiorę cię do tego przeklętego miasta – oświadczyła.

– Nie zostanę tu jak bezdomny kociak, którego przygarnęłaś – odparła Inara. – Skedi to mój przyjaciel i jeśli znajdę mu bezpieczne miejsce, będę mogła pójść do króla i spytać, dlaczego to wszystko spotkało moją matkę i nasz lud. – Inara położyła dłoń na sierści bożka. Naprawdę traktowała go bardziej jak królika niż jak boga. – Skedi też należy do mojego ludu. Jeśli możemy zapewnić mu wolność, to... to jest to jedyne, co mogłam... ocalić.

Zachwiała się i wydało się, że emocje mogą eksplodować, ale oczy miała suche i zdeterminowane.

– Będziecie bezpieczni tutaj – powiedziała Yatho jednocześnie na głos i na migi. – Oboje. – Skierowała ostrzegawczy wzrok na Kissen, która od razu odpowiedziała podobnym spojrzeniem.

Inara z zacięciem pokręciła głową.

– Może to tajemnica mojej matki, ale nadal jestem jej córką – stwierdziła. – Nie mogę tu siedzieć i czekać, aż zdarzy się jeszcze coś złego.

Blenraden to jest coś złego, tam się wiele zła już zdarzyło, pokazała Telle w mowie znaków.

Skedi siedział w ramionach Inary, unosząc poroże i uszy. Wąsiki mu drgały. *Nie możemy zostać tu na zawsze,* powiedział boskim głosem, który wwiercał się im wszystkim w głowy. *Im dłużej jesteśmy razem, tym bardziej prawdopodobne, że nas znajdą. Wybór to albo Blenraden teraz, albo Blenraden później. Jeśli Inara mówi, że teraz, ja jej ufam. Zasluguje na sprawiedliwość za to, co ją właśnie spotkało, a ja nie chcę stawiać jej na drodze.*

Yatho ściągnęła brwi. Próbowano tu wyrzucić na nią wpływ.

– Yath, nie – powiedziała Kissen.

Mówiłam, że jest taka jak ty, odparła. Kissen zmarszczyła czoło.

Nie, to zbyt trudna droga, powiedziała szybko Telle do Yatho. *Co dopiero dla dziecka, które wszystko straciło.*

Moja kochana, odpowiedziała Yatho na migi, *wiemy, jak to jest stracić wszystko. Czy to nas kiedyś powstrzymało?*

Kissen popatrzyła na Inarę, ignorując trzepotanie dłoni obok siebie. Dziewczynka napotkała jej spojrzenie, niewzruszona, pewna siebie i gniewna. Kissen zobaczyła w niej samą siebie. Westchnęła.

– Obym tego nie żałowała, *liln.*

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



Inara

– DZISIAJ WYRUSZA POCHÓD PIELGRZYMÓW – powiedziała Yatho, przyłączając się do porannego posiłku. Inara sączyła słodką czarną herbatę, którą naląła jej Telle, a Kissen ziewała naburmuszona przy ogniu. Spała na fotelu obok paleniska, wyciągnięta niczym wielki kot. Inarze przypadło łóżko bogobójczyni w pokoiku wyposażonym w krzesło, kołdrę zszytą z kawałków różnych tkanin i złamany pulpit do pisania. Inara nie umiała sobie wyobrazić, że można nie potrafić czytać i pisać.

– Jak długo już nie śpisz? – odezwała się Kissen niewyraźnym głosem.

– Wystarczająco długo. – Widząc blask w oczach Yatho i worki na podłodze, Inara zastanawiała się, czy kobieta w ogóle się kładła, czy też całą noc pracowała nad nogą veigi.

Kissen westchnęła.

– Która godzina? – spytała. Skubała wcześniej kurę na obiad, gdy już zjadła śniadanie w postaci suszonych owoców kaki maczanych w miodzie i soli, przysmaku, który dzień wcześniej przyniosła Telle.

Słońce już wysoko, odparła Yatho na migi, ale resztę powiedziała już na głos. – Spod Fontanny Wielu Twarzy. Mieli ruszyć z końcem tygodnia, ale ten śliski drań Canovan z Drogi Królowej przyspieszył wymarsz.

Lepiej byś nie uprawiała hazardu z tym cwaniakiem, powiedziała Telle, czytając z ruchu jej warg. *Same z nim kłopoty.*

On tylko... gniewa się na świat, stwierdziła Yatho, po czym dodała, zwracając się do Kissen i Inary: *Był żonaty z tą rzemieślniczką, która robiła takie małe metalowe śpiewające ptaszki.* Kolory Yatho nabrały smutnych odcieni fioletu i Inara podejrzewała, że rzemieślniczka nie robi już śpiewających ptaszków.

– A to nie ten, który nienawidzi króla? – spytała Kissen. – Zgodził się wysłać bogobójczynię do Blenradenu?

Yatho uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Trzeba go było trochę ponamawiać. Właściwie zgodził się, dopiero kiedy powiedziałam, że jesteś veigą. Może chce, żebyś była mu winna przysługę.

– Muszę dbać o swoją reputację, Yatho.

– Reputację ponurej nudziary.

Telle pokazała żartobliwie na migi, że są nieuprzejme. Inara starała się nie dziwić temu, jak się do siebie odnoszą. Arogancko i szorstko, ale bez ranienia? Matka jej na to nie przygotowała. Matka nie przygotowała jej w ogóle na nic.

Kissen wzruszyła ramionami i zerknęła na Inarę. Starała się na nią uważać, jakby myślała, że może popchnąć dziewczynkę w złym kierunku, a ta wtedy rozpadnie się na kawałki.

– Dziś jest równie dobry dzień, jak każdy inny – powiedziała.

Kissen nie chciała, żeby Skedi znalazł się blisko jej rodziny. Czego się bała? Że go polubią albo on polubi ich? Bożek siedział na stole, czyszcząc sobie poroże, i miał wielkość nowo narodzonego kociaka. Teraz, gdy go wypuszczano, stał się śmielszy niż kiedykolwiek wcześniej. Nie przerwał swojego zajęcia, ale przemówił bezpośrednio do Inary.

Chodźmy teraz, powiedział.

Na pewno nie było jeszcze za wcześnie? Inara wciąż była załamana i czuła się pusta po swojej stracie. Skedi jednakże palił się do drogi. Poczł zapach wolności i dziewczynka próbowała zdusić w sobie lekkie ukłucie lęku, że tak bardzo chce ją opuścić. Bał się veigi, nie chciał spędzać zbyt wiele czasu w jej towarzystwie. W istocie gdyby przyłączyli się do pochodu pielgrzymów, przynajmniej otaczaliby ich ludzie, którzy kochali swoich bogów na tyle, że byli gotowi narazić dla nich własne bezpieczeństwo.

Po co czekać?, spytał łagodnie Skedi. *Co to da?*

Inara zgrzytnęła zębami, upominając siebie, że pragnienie wolności Skediego nie jest niczym złym.

– Mogę ruszyć dzisiaj – powiedziała pomimo chłodu w piersi i pokazała te same słowa dłońmi, żeby zobaczyła je Telle. Skedi z ekscytacji zatrzepotał skrzydłami.

Kissen skinęła głową.

– Yatho...

Yatho już kierowała się ku drzwiom.

– Jest gotowa do poskładania – oznajmiła. – Grzeje się na słońcu.

Telle wstała i z westchnieniem otrzepała spódnice. *Mam trochę ubrań, które mogą na ciebie pasować*, zwróciła się do Inary. Przez jej czoło ciągnęła się świadcząca o napięciu bruzda. Lecz była to jedyna oznaka jej niepokoju. *Ale możesz potrzebować grubszego płaszcza. Noce na szlaku pielgrzymki będą zimne. Nie będzie postojów w gospodach.*

Kissen dźwignęła się z fotela i wstała, wyciągając kikut nogi w bok, a później do przodu. Pochyliła się, żeby ulżyć plecom. Usiadła z powrotem i rozwiązała spodnie. Inara zauważyła, że mimowolnie jej się przygląda. Noga została wyraźnie przypalona, a nie tylko odcięta. Skóra była poznaczona bliznami.

– Dlaczego dołączamy do pielgrzymki? – spytała Inara. – Nie powinniśmy pozostać w ukryciu?

Kissen wyciągnęła z kieszeni kawałek cienkiej tkaniny i podniosła skrzynkę z maściami, którą Yatho ostentacyjnie zostawiła na stole. Starannie wtarła balsam w sękaty kikut, po czym owinęła go tkaniną.

– W grupie bezpieczniej – wyjaśniła. – Poza tym nie mam wprawy w przekupywaniu strażników. Słyszałam, że trzeba sporych sum, żeby wpuścili cię do miasta, a także dobrych znajomości. Ja nie mam ani jednego, ani drugiego.

Zgrabnie zawiązała miękką bawełnę, żeby się nie zsuwała, po czym nałożyła na nią warstwę grubszego materiału przypominającego rękawicę.

– Co ci się stało w nogę? – spytała po dłuższej chwili Inara.

– Nie twoja sprawa.

– A jeśli na trakcie napadną nas zbójcy czy coś? Mówiłaś, że to niebezpieczne.

Kissen roześmiała się.

– Jeśli ktoś napadnie na nas na trakcie, schowasz się albo uciekniesz, i to błyskawicznie. O mnie się nie martw.

Inara musiała przyznać, że dopiero kiedy tamten chłopak wbił kosę w nogę Kissen, dotarło do niej, że kończyła nie jest częścią ciała. Bogobójczyni walczyła jak demon. Mimo wszystko dziewczynka skrzyżowała ramiona.

– Nie możesz mi rozkazywać – oświadczyła, siląc się na głos równie spokojny i pewny jak głos jej matki. – Pokładam w tobie zaufanie, Kissen. Potrzebuję też

twojego zaufania. – Ona właśnie coś takiego by powiedziała, prawda? Coś stanowczego, słusznego.

– To mówi twój bóg?

– On nie mówi za mnie.

– O, naprawdę. – Zabrzmiało to lekko, ale nie było to pytanie.

– Czy ci się to podoba, czy nie, bogobójczyni – powiedział Skedi – pielgrzymka nie pozwoli ci, ot tak, po prostu dołączyć. Mam nadzieję, że przygotowałaś dobre kłamstwo. Wy dwie nie wyglądacie na tyle podobnie, żeby podawać się za matkę i córkę.

Kissen omal się nie zakrztusiła.

– Myślisz, że ile mam lat, bożku? – spytała w chwili, gdy Telle weszła z powrotem do środka. *Telle, na ile lat wyglądam?*

Telle włożyła podać Inarze ubrania. Były szorstkie i ciężkie. *Czy to podchwytliwe pytanie?*, spytała.

Jestem bogiem, odparł Skedi lekceważąco, *i nie rozumiem ludzkiego wieku.*

Kissen spojrzała na Inarę, która liczyła na uniknięcie kontaktu wzrokowego. Dziewczynka sądziła, że veiga z tą ogorzałą twarzą, tatuażami i obrażeniami może być mniej więcej w wieku jej matki. Kissen skrzywiła się, widząc jej spanikowaną minę.

– Ech – mruknęła. – Mam dwadzieścia sześć lat... – *Zresztą i tak nikt by nie uwierzył w nasze pokrewieństwo*, dodała na migi. *Ty jesteś ewidentnie wysoko urodzona, a ja...* – Wskazała na siebie, w ten sposób kończąc zdanie. Inara nie miała pewności, co powiedzieć. Yatho wróciła, dzierżąc coś, co wyglądało bardziej jak dzieło sztuki niż noga. Kissen odwróciła się do niej. – Canovan nie sprzeciwi się kłamstwu, prawda?

– Canovan skłamię bez mrugnięcia okiem, jeśli mu dobrze zapłacisz – stwierdziła Yatho, po czym gestami powtórzyła swoje słowa Telle, która uśmiechnęła się drwiąco i podeszła do protezy z zachwytem w oczach.

– Jakiego cudu znowu dokonałaś? – spytała Kissen rozkojarzonym tonem. Zeskoczyła z fotela i przytrzymała się stołu, żeby pomóc sobie zająć miejsce obok Yatho. Konstruktorka obracała protezę w dłoniach, demonstrując jej mechanizmy. Precyzyjne metalowe elementy pod obudową sprężynowały i poruszały się, naprężając się niemal jak prawdziwe mięśnie. Inara podeszła bliżej. Wnętrze przypominało konstrukcję łuku, ale gdy Yatho z powrotem zatrzasnęła płytkę goleni, całość nabrała kształtu nogi.

– Byłoby lepiej, gdybyś nie upierała się przy wciskaniu jej do buta – stwierdziła Yatho, podając Kissen protezę.

– Lepsze to, niż kiedy cię oceniają – odrzekła Kissen, podnosząc swój but. Ze środka wyjęła sfatygowane drewniane prawidło i wsunęła tam nową nogę. Następnie

z trzaskiem odczepiła czubek protezy i nałożyła go sobie na kolano, przypinając skórzanym paskiem owiniętym wokół uda i dwoma wąskimi kawałkami tkaniny, sięgającymi pod spód i wokół mechanizmów. Spodnia część tego czubka była wyposażona w cieńsze skórzane paski, którymi okręciła nogawkę spodni i przypięła do skózanego pasa nad biodrami. Mocowania pozwalały jej wygodnie poruszać nogą, a zarazem gwarantowały, że proteza nie odpadnie. Było jasne, że Yatho zaprojektowała pas, a zapewne także samodzielnie go zrobiła.

– Mówisz o ludziach, którzy sądzą, że twoje nogi są z trawy?

– Właśnie o nich.

– Jesteś już wystarczająco znana, żeby wszyscy wiedzieli, że masz jedną nogę.

– Więc tym ważniejsze, żeby nie wiedzieli którą.

Kissen wstała, opierając swój ciężar na sztucznej nodze. Przechylała się, obracała, sprawdzała równowagę i promieniała. Inara spodziewała się, że osoba, która zabija bogów, sama też będzie poniekąd potworna, ale Kissen zachowywała się jak dziecko z nową zabawką.

Dalej masz te bóle?, spytała Telle, opierając się o stół.

Kissen przytaknęła, wykonując kilka skoków.

– Co to za bóle? – spytała Inara, na migi pokazując jedynie: *Co?*

Kissen udawała, że w dłoni trzyma miecz, i na próbę wyprowadziła pchnięcie, po czym przykucnęła i odskoczyła w tył.

– Prawdziwa z ciebie geniuszka, Yatho – powiedziała. Nie musiała tego tłumaczyć na mowę znaków. Jej radość mówiła wszystko. Przez chwilę była młoda, promienna i energiczna. – Jest taka...

Zbalansowana?, spytała Yatho. *Widzisz, jaka jest dopracowana? Szykowałam ją kilka tygodni.*

Telle zwróciła na siebie uwagę Inary. *Nadal czuje, że boli ją noga*, powiedziała. *Palce, kostka, goleń, nienamacalny ból.* Gestem wskazała blizny na własnej twarzy. *Ciało nie zapomina, co kiedyś miało.* Zerknęła na Kissen ze smutkiem, po czym dodała dyskretnymi gestami: *Serce też nie.*

Inara spojrzała na odzież w swoich rękach. Wciąż miała na sobie rajtuzy i spódnicę, w których wyszła z domu, a do tego wełnianą kurtkę i zapinaną kamizelkę. Według słów jej matki, perłowe guziki pochodziły z jednej z szat babci. Były wyjątkowe. Całe jej ubranie pachniało leśną wilgocią i koniem z dodatkiem słabego śladu dymu. Ale między złymi wspomnieniami było miejsce dla mydlin i kwiatów jabłoni, pasty do drewna i kamiennych murów po wiosennym deszczu.

– Mogłabyś być moją ochroniarką – stwierdziła Inara.

Kissen popatrzyła na nią z urazą. Telle poprosiła o powtórzenie. Skedi usiadł na tylnych łapach, dumny, że wymyśliła własne kłamstwo.

Czasami nasi słudzy na jakiś czas odsyłali swoje dzieci, powiedziała Inara. Na szkolenie, tak mówili. Ale ja słuchałam. Co innego miało do roboty dziecko z bóstwem, niż podkraść się, podsłuchiwać i dowiadywać różnych rzeczy? Wysyłali je po błogosławieństwa. Możemy powiedzieć pielgrzymom, że po to tam jestem, po błogosławieństwo.

– Nie jestem ochroniarką – powiedziała Kissen, dłońmi pokazując „nie” z więcej niż odrobiną rozdrażnienia.

– Możesz więc równie dobrze powiedzieć wszystkim pielgrzymom, że zamierzasz uśmiercić ich bogów – powiedziała Inara butnym głosem, którego tak nie lubiła Tethis. Yatho roześmiała się.

– Masz za dużą wiedzę jak na szlachetnie urodzone dziecko – powiedziała Kissen podejrzliwie.

Jest bystra, odparł Skedi i zatrzepotał jednym z dużych uszu, po czym ze śmiałością dodał: Bystrzejsza niż większość ludzi, których spotkałem.

Inara posłała mu spojrzenie. Miło było mieć go na widoku, ale to nie był dobry moment, żeby drażnić bogobójczynię zniewagami. Miał teraz rozmiar zająca, większy niż jeszcze przed chwilą.

Inara nigdy nie zdoła uchodzić za kogoś z gminu, stwierdziła Yatho, zanim Kissen zdążyła uznać, że ją obrażono. Wystarczy, że otworzy usta, a się zorientują.

Mogę przekonać ich do większości kłamstw, oświadczył śmiało Skedi. Jeśli jesteś zbyt dumna, żeby odgrywać ochroniarkę, będzie trudniej i będę potrzebował pomocy. Może kosmyka włosów albo...

– Jeśli sugerujesz, żebyśmy złożyły ci ofiarę, przekraczasz granice – powiedziała Yatho, zanim Kissen zdążyła się odezwać. Skedi skulił się, gdy nastrój w pomieszczeniu uległ zmianie. *Jesteś w tym domu, ponieważ moja żona i ja zapewniamy schronienie zagubionym dzieciom. To nie znaczy, że darzymy sympatią takich jak ty.* Inara spojrzała na Telle, która miała beznamietną minę. Sądziła, że za łagodnym traktowaniem obojga przybyszów może się skrywać słabość do bóstw, której Kissen nie miała.

Ja potrzebuję schronienia, powiedział Skedi.

Jesteś związany z małą dziewczynką, odparła Telle szybkimi i mocnymi gestami. Ona nie ma nic do powiedzenia w tej kwestii.

Ja też jestem powiązany!, zaprotestował Skedi.

– To nie jego wina – wtrąciła Inara.

Ten bóg może mieć kilkaset lat, zauważyła Telle. Celowo czy nie, pamiętany czy nie, wykorzystuje cię jako tarczę. Wszyscy widzieliśmy zniszczenia dokonane przez bogów.

Inara czuła się dotknięta i zaskoczona. Rodzina Kissen okazywała jej troskę i przyjaźń, ale teraz stało się jasne, że Skedi mógł liczyć najwyżej na tolerancję.

Telle spróbowała gestami złagodzić napięcie. *Mała ma jednak rację, wciąż żyje wiele rodzin, które mogłyby posłać dzieci po błogosławieństwa. Nieliczne decydują się na Blenraden, ale w wypadku najbardziej pobożnych to możliwe. Inara mogłaby być córką kupca.*

Kissen westchnęła i przewróciła oczami.

– Ciekawe, czy Król Zburzonych Świątyń wie o tych drobnych buntach – powiedziała.

– Król ma zapewne poważniejsze zmartwienia – odparła Yatho. – Na przykład tajemnicze pożary posiadłości albo to, jak jego prawa dzielą Middren na dwie części: wiernych i bojaźliwych.

Myślisz, że szykują się kłopoty?, spytała Kissen, poruszając się gwałtownie.

Yatho wzruszyła ramionami. *Nie wychylamy się, stwierdziła, rozsiewając ponure kolory. Ale spalenie domu Craierów nie wróży niczego dobrego...*

Telle przełknęła ślinę i zerknęła znacząco w kierunku Inary.

To nie dla dzieci, powiedziała.

Dlaczego mówiły o kłopotach? Każdy z rodów przysięgał po wojnie wierność królowi Arrenowi. Matka Inary także. Przyłączyła się do jego wielkiego pochodu, maszerującego traktem z powrotem do Sakre w aurze zwycięstwa. Inara pamiętała lśnienie szat swojej matki, przygotowywanie powozu Craierów, odmalowanego i przystrojonego bluszczem, jaśminem i wiązówką.

Kissen potarła podbródek. *Będę ochroniarką*, zwróciła się do Inary. *Ale kiedy zaczniesz wydawać mi rozkazy, będziesz mogła sama iść do Blenradenu.*

Telle pokręciła głową.

Nie porzucisz jej.

To był żart, odparła na migi Kissen.

To nie jest tak jak wtedy, kiedy uratowałaś nas, dzieci Maimee. Musisz trzymać nerwy na wodzy. Westchnęła i podeszła do niej. *Muszę iść do pracy. Kissen, obiecaj.*

Wszystko będzie dobrze, powiedziała Yatho.

– Obiecaj – powtórzyła Telle na głos. Po chwili dodała, starannie dobierając słowa: – Obiecaj, że jej nie zostawisz.

Kissen mogłaby się obrazić. Pokręciła lekko głową, ale przyłożyła dłoń do piersi Telle, a później do własnej.

– Przysięgam – powiedziała wyraźnie – na życie, którym obdarzył mnie ojciec, że nie zostawię Inary Craier na pastwę losu. – I z drwiącym uśmiezkiem dodała: – Choćbym nie wiem jak wielką miała ochotę.

Godzinę później Yatho poprowadziła ich z powrotem poza mury Lesscji po zapasy. Zabawiała Inarę, wskazując drobne rzeczy, które lubiła: rytownika tworzącego piękne grafiki, które aż lśniły w blasku słońca, introligatora posługującego się interesującymi narzędziami z Curuliu, sklep, gdzie sprzedawano świetną bridhidańską rudę czy antyboskie amulety. Skedi schował się w torbie, którą Yatho dała Inarze. Nie mówił wiele, odkąd opuścili dom, nawet do niej. Długie uszy położył po sobie i utrzymywał rozmiary myszy, nieruchomy niczym kamień. Nadąsany. Inara wsunęła dłoń do torby i delikatnie pogładziła jego poroże, próbując go pocieszyć.

Przed granicą miasta zatrzymali się w talicjańskim sklepie, który znała Kissen. Jego właściciel, którego jasna skóra miała szorstki, zużyty wygląd znoszonego zamszu, niezupełnie się do niej uśmiechnął, ale wyciągnął rękę, żeby uścisnęli sobie nadgarstki. Rozmawiała z nim krótko łamanym talicjańskim, który guwerner Inary, Erman, nauczył ją rozpoznawać. Odwrócił się, by obejrzeć Inarę od stóp do głów. Akcent Kissen był mocny, podobnie jak jego odpowiedź. Inara zdołała rozpoznać tylko jedno słowo: „miękki”.

Podszedł do swojego krytego wozu i poszperał w środku, po czym wyciągnął kłęb tkaniny, który po rozwinięciu okazał się zapinanym na guziki płaszczem, nieco podobnym do płaszcza Kissen. Rozłożywszy go na deskach swojego straganu, zdjął z Inary miarę za pomocą kciuka i odciął od spodu płaszcza dobre dwie jego długości, po czym zapalił niewielki kaganek i przeciągnął go wzdłuż postrzępionego rąbka. Materiał zaskwierczał, gdy płomień trawił luźne nitki. Kiedy sprzedawca skończył, Inara patrzyła, jak podaje odcięte kawałki tkaniny i płaszcz Kissen, która z kolei przekazała je Inarze, a następnie wręczyła mężczyźnie całą sztabkę srebra. Postukał nią w swoje nieliczne zęby, po czym schował do kieszeni, emanując szarymi, pełnymi satysfakcji odcieniami.

– *Telic haar* – powiedział do Kissen. „Bądź pozdrowiona”. I usiadł z powrotem na swoim stołku.

Inara podejrzliwie przyglądała się zawiniątku. Czowała ten zapach z sześciu kroków, ale z bliska aż wyciskał łyzy: owcze runo i spalony olej.

– Mam własny podróżny płaszcz – powiedziała, zapinając swoje okrycie, gdy się oddalały. Miała na sobie także bawełniane spodnie Telle, podwinięte niemal o pół długości, wciągnięte na rajtuzy i pod spódnicę. Jej kurtka znajdowała się w sakwach przy siodle Nogiego, ale włożyła kamizelkę z perłowymi guzikami. Rozważała

pozostawienie jej ukrytej gdzieś w bezpiecznym miejscu, jednak nie potrafiła się na to zdobyć.

– Przemoknie w ciągu jednej nocy – odparła Kissen. – Ktokolwiek ci powiedział, że nadaje się do podróży, wcisnął ci kit. Oddaj go Yatho.

Matka powiedziała jej, że to płaszcz podróżny, po tym jak Inara przez kilka tygodni suszyła jej głowę, żeby jechać z nią do Sakre. Lady Craier zawsze wracała z dokumentami, mapami i planami i nigdy nie pozwalała Inarze na nie spojrzeć. Dziewczynka uświadomiła sobie teraz, że matka kupiła jej płaszcz dla świętego spokoju. Nawet przez chwilę nie zamierzała zabrać córki do pałacu.

– Nie chcę – zaprotestowała, żałując, że nie ma tu jej matki, żeby sprzeciwiła się Kissen. Lady Craier umiałaby pokazać veidze, gdzie jej miejsce.

– Przechowam go dla ciebie – powiedziała łagodnie Yatho – ale ona ma rację. Nie ma to jak talicjańska woskowiełna. Będiesz z niej zadowolona w zimne dni i mokre noce, a żałowałabyś, gdybyś niosła dwa płaszcze. Nogi nie wszystko zniosą.

– On śmierdzi.

– Przyzwyczaisz się – odparła Kissen. – Nie pójdziesz, jeśli nie będziesz odpowiednio ubrana.

Inara przesuwiała palcami po tkaninie swojego płaszcza. Kissen mogła mieć rację, już teraz czuła, że trochę marznie, a przecież były na dworze całkiem niedługo. Westchnęła, zdjęła płaszcz i oddała go Yatho, która złożyła go starannie na swoich kolanach. Nie była pewna, czy się przyzwyczai. Talicjańska woskowiełna znacznie bardziej ciążyła jej na ramionach i była szorstka.

Szybko kupiły na targu wszystko, czego potrzebowały: twarde owcze sery z owocami i pistacjami, suszoną fasolę, pomarszczone kasztany i grzyby, a także suchary. Kissen dorzuciła do worka nieco porządnie zapakowanego suszonego mięsa i sezonowych warzyw zdolnych wytrzymać trochę obijania. Nogi zachowywał się na targu spokojnie, pozwalając napełniać sakwy przy swoim siodle i co jakiś czas węsząc przy jakimś straganie. Kissen kupiła mu jabłka i owies z miodem w zamian za kawałki tkaniny odcięte od płaszcza Inary. Dziewczynka przypuszczała, że materiału powinno wystarczyć na parę okropnie cuchnących mitenek.

Kiedy wróciły do miasta, okazało się, że za dnia było tam głośniej, zwłaszcza gdy mijały place i sklepy z otwartymi frontami. Ludzie tłoczyli się w pozornie przypadkowych miejscach, spierali się, wymieniali słowa i kosztowne papiery w rozmaitych językach. Inara wyłapywała kilka innych, których nauczył ją Erman: irisjański, talicjański, beltyjski, a nawet południowo-wschodni harisyjski z okolic, w których urodził się jej ojciec.

Podążały drogami do zachodniej części miasta, gdzie weszły na wielki plac, tak duży, że można by na nim posadzić sad albo ścigać się końmi. Był tu tłum ludzi, ich kolory, ich nastroje, ich kłótnie. Inara odetchnęła głęboko, próbując nie dać się przytłoczyć.

Znajdowały się tu dwie fontanny. Z większej wznosiła się wysoka kamienna kolumna, na której wyrzeźbiono sceny blenradeńskich bitew pod wschodzącym słońcem z łbem jelenia w cieniu jego promieni. Znak króla.

Fontanna Wielu Twarzy była mniejsza i w porównaniu z tamtą wręcz nijaka. Może kiedyś budziła zachwyt, ale jej splendor już przygasł. Czysta woda tryskała w górę z obciętej kolumny niewiele wyższej od Inary. W kamieniu wyrzeźbiono spirale i znaki, które dziewczynce z czymś się kojarzyły, a także setkę twarzy. Niektóre miały zamknięte oczy, inne posyłały przechodniom kamienne spojrzenia. Przy jej brzegach zgromadziła się grupa podróżnych, a także gromadka młodzieży, niewiele starszej niż ona. Wszyscy mieli jasnoszare stroje i słuchali jakiegoś mężczyzny w ubraniu ciemniejszym niż to, które miała na sobie Telle.

Po drugiej stronie fontanny osioł pił wodę z jej misy, ogonem odganiając nieistniejące muchy. Obok niego siedział mężczyzna w zapiętej pod szyję koszuli z wysokim kołnierzem. Splunął do wody, a chwilę później złożył dłonie, zaczerpnął jej i się napił.

– Hej, Canovan – zagadnęła Yatho. Mężczyzna podniósł wzrok, a osioł wierzgnął i się cofnął. Canovan przełknął wodę, którą miał w ustach, i dotknął głowy na znak powitania. – Krew ci leci z ramienia.

Canovan ze zdziwieniem spojrział na swoje ramię. Wąska strużka krwi przeciekła przez materiał koszuli.

– Pewnie jakieś szkło – powiedział. Na widok Yatho lekko się uśmiechnął, ale mina mu zrzędła, gdy dostrzegł Kissen i Inarę. Miał napiętą, gniewną twarz i harde spojrzenie. – Nie mówiłaś, że będzie jakiś dzieciak. – Kolory miał przygaszone, niemal tak jak Kissen, ale było ich wiele i przybliżały się do powierzchni niczym ryby w rzece. Inara nie mogła ich rozróżnić.

– Mówiłam, że dwie osoby – powiedziała Yatho. – To jakiś problem?

Canovan otarł usta, popatrzył na niebo, później na ziemię, a w końcu na Kissen. Inara poczuła, że się kuli, podchodząc do bogobójczynie.

– Nie – odrzekł wreszcie.

– Koń? – Dołączył do niego inny mężczyzna z kasztanowo-siwą brodą, którą kołysał wiatr, odsłaniając zbiór zawieszonych na sznurkach na szyi i ukrytych za nią błyszczących cynowych monet. Dosłownie kipiał irytacją, którą Inara widziała unoszącą się wokół jego ramion w postaci rozbłysków brzoskwiniowej barwy. – Nie.

On nie pójdzie. Przeklęty koń? Dwie zmiany w naszej umowie w niecały dzień, Canovan. Mogę ci przypomnieć, że jesteś mi winien pieniądze? Nie rozumiem, dlaczego wyświadczam ci te przysługi.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że konie są nielegalne – powiedziała Kissen z krzywym uśmiechem.

Inara prychnęła, a pielgrzym wyciągnął się w górę na podobieństwo Skediego, który rósł, kiedy czuł dumę.

– Uspokój się, Jon – zwrócił się Canovan do bogacza, klepiąc go odrobinę zbyt mocno w plecy. – To jest Yatho... Na pewno słyszałeś o jej kowalskich zdolnościach? Znam ją, odkąd była mała. Chodziła za moją żoną krok w krok jak cień.

Yatho posłała Canovanowi życzliwy uśmiech i zablokowała hamulec swojego wózka.

– To jest córka mojej klientki, Tethis – powiedziała, wskazując Inarę. Zdecydowały, że podadzą fałszywe imiona, a Inara chciała przy tej okazji zachować jakąś drobną pamiątkę z domu. – Moja przyjaciółka Enna służy jej za ochronę – dodała Yatho. Kissen kiwnęła głową na powitanie.

Inara słyszała na skraju świadomości, że Skedi coś szepcze, tłocząc swoją wolę w kłamstwo Yatho. Dąsy dąsami, ale nie chciał, żeby go złapano. Irytacja Jona ustąpiła.

– Więcej osób, większa dola – mruknął zrezygnowany. – Tym razem właśnie tego oczekuję.

– Porozmawiamy, kiedy wrócisz – odparł krótko Canovan. Skinął głową do Yatho.

– Jestem ci za to winna ten nowy szyld – powiedziała Yatho.

Usta Canovana drgały, gdy toczył wzrokiem po innych pielgrzymach. Inara podążyła za jego spojrzeniem, które zatrzymało się na chwilę na wysokim mężczyźnie z mieczem na plecach. Canovan, jakby podjął decyzję, wyprostował się i przyjął przyjemniejszy wyraz twarzy.

– Co się stało, to się nie odstanie – stwierdził. – Nie jesteś mi winna żadnych przysług, Yatho.

Yatho wyciągnęła rękę i ścisnęła przedramię Kissen. Nie tak czule, jak ją wcześniej witała, ale musiały podtrzymywać kłamstwo. Przyjaciółki, nie rodzina.

– Trzymaj się – rzuciła, a później ściszyła głos. – I napluj ode mnie na próg Maimee. Tylko nie mów tego Telle.

Kissen wyszczerzyła się w uśmiechu i poklepała ją po głowie.

– Dla ciebie wszystko.

– Wracaj szybko. Przypilnujemy twoich monet.

– Nie martw się o mnie. Zawsze prędzej czy później wracam.

Yatho podała rękę Inarze, która ujęła dłoń poznaczoną starymi bąblami, z paznokciami albo połamanyymi, albo wręcz oderwanymi.

– Powodzenia – powiedziała. – Zawsze jesteśmy silniejsze, niż się ludziom wydaje. Inara mocno ją ścisnęła.

– Dziękuję – odparła. – Tobie i Telle. Nie zapomnę tego.

– Nie pozwól Ennie, żeby cię dręczyła. Nie jest taka twarda, jaką udaje.

Inara nie uwierzyła jej, ale się uśmiechnęła. Yatho ostatni raz ścisnęła jej rękę, puściła oko do Kissen i skierowała się z powrotem do swojej pracy i swoich pieców.

Inarze nie podobało się, że odchodzi. Wiedziała, że będą się z Kissen wzajemnie tolerować, dopóki się nie rozstaną, i to jej wystarczało. Później Inara uda się do Sakre, gdzie znajdzie sposób, żeby odzyskać swoje ziemie i pomścić swój ród i matkę. Gdyby tylko Yatho i Telle mogły wyruszyć z nimi. Byłoby jej łatwiej w takim towarzystwie.

Skierowała spojrzenie na ich grupę, w której wszyscy czekali, okazując różne poziomy cierpliwości. Wydawali się dość uprzejmi. Trzy dzielne z wyglądu starsze kobiety już się do niej uśmiechnęły. Młody mężczyzna o rudych włosach i z torbą o dziwnym kształcie nucił pod nosem, wpatrując się w fontannę, obok niego siedział jakiś niespokojny typ i kobieta, która trzymała go za rękę. Inara rozpoznała ich zdenerwowanie, które ukazało się jej pod postacią wspólnej dla obojga skrzęcej się aureoli w kolorze jasnopomarańczowym jak żółtko jajka. Ten, na którego patrzył wcześniej Canovan, stał osobno. Omiótł wzrokiem Inarę, a później Kissen. Jego emocje poruszały się powoli, ale w sposobie, w jaki przyglądał się innym, kryła się czujność. Co jakiś czas jego kolory mieniły się złotem, a później błękitem. Inara nie miała pewności, co oznaczają.

– Zbierzcie się – powiedział Jon, władcym gestem pokazując im, żeby podeszli bliżej, i ściszył głos. Canovan cofnął się i patrzył, jego rola najwyraźniej dobiegła końca. Odwrócił się i Inara dostrzegła pod jego koszulą linie wyrysowane tuszem, grube i ciemne, o kształtach, które wydawały się jakby trochę znajome. Ale gdy wokół niej zaczęli gromadzić się inni, straciła je z oczu.

– Naszym celem jest dojście do wzgórza Haar przed zmierzchem – oznajmił Jon. – Gdyby ktoś pytał, jesteśmy wędrownymi muzykami, którzy prowadzą ze sobą kilka starych praczek i kucharek. – Zerknął na starsze kobiety i jedna z nich cmoknęła z irytacją. – To nas zabezpieczy przynajmniej przed rycerzami – dodał z naciskiem.

– Mowa o strażnikach rodu Yetherów? – odezwał się człowiek z mieczem. Jon przewrócił oczami.

– Nie, mówię o królewskich patrolach. – Wymacał cynowe monety pod swoją brodą i nakrył je kurtką. – Na traktach wiele z nich wypatruje pielgrzymów. W najlepszym razie wychłostają nam stopy i wsadzą na jakiś czas do mamra.

Inara skrzywiła się. Chłosta stóp nie brzmiała zbyt przyjemnie.

– Mam swoje zasady – dorzucił Jon.

– O, całe szczęście – mruknęła jedna ze starszych kobiet, za co otrzymała kuksańca od innej towarzyszki. – Au, Svenka – syknęła na nią.

– To ważne – powiedział młody mężczyzna, który wcześniej nucił. Wydawał się równie zdenerwowany jak Inara.

– Czy powinniśmy o tym otwarcie dyskutować? – spytała inna ze starszych kobieta.

Jon czekał, krzywiąc się, aż ucichną.

– Żadnych modłów, dopóki nie pozwolę. Żadnych pogawędek z nikim i niczego nie kupować. Nigdy nie wiadomo, kto jest podstawiony przez króla. Uzupełniajcie wodę na postojach, na których powiem. Nie wszystkie strumienie są bezpieczne. Jeśli ktoś zachoruje, zostawimy go. Jeśli kogoś złapią, zostawimy go. Jeśli kogoś napadną i poranią, zostawimy go. Żadnego obgadywania. – Zgromił wzrokiem Kissen, która najwyraźniej już go wkurzyła. Dobrze jej to wychodzi, pomyślała Inara. Kissen posłała mu promienny uśmiech, głaszcząc konia po chrapach i błyskając złotem jednego ze swoich kłów. – Żadnego płaczu – tu zmarszczył brwi w stronę Inary – i żadnego zbaczania ze szlaku. – Zmrużył oczy na staruszkę, która mamrotała coś pod nosem na jego zasady. – Jeśli ktoś się zgubi, zostawimy go, więc lepiej dotrzymujcie tempa albo wracajcie do domu.

– Tak, jaśnie panie – mruknęła Kissen, Inara cmoknęła z dezaprobatą. Mimo wszystko komentarz wywołał cichy chichot mężczyzny z mieczem, który nie podążył za innymi, gdy ruszyli spod fontanny, tylko został i dłużej przypatrywał się Kissen. Odpowiedziała spojrzeniem, taksując go tak jak on ją. Ku zaskoczeniu dziewczynki uśmiechnęła się.

– Coś za jeden, przystojniaku? – zagadnęła. – Jakiś rycerz?

Mężczyzna zamrugał, a jego kolory zafalowały.

– Jestem piekarzem – odparł chłodno i w końcu się odwrócił, by podążyć za Jonem.

– Tak – powiedziała Kissen – a ja jestem grejpfrutem.

– Nie umiesz być miłą, Enno? – spytała Inara, podkreślając jej fałszywe imię. – To był twój pomysł, żeby dołączyć do tych ludzi.

– Jestem, kim jestem – odrzekła Kissen, równając krok z pochodem. Patrzyła na plecy człowieka, którego nazwała rycerzem. Ramiona miał proste, a krok równy i pewny.

Uważaj na niego, powiedział Skedi. Nosi kłamstwa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY



Elogast

ELOGASTA NIE OBCHODZILI UCZESTNICY PIELGRZYMKI, którzy dołączyli w ostatniej chwili, bez względu na ich uzbrojenie czy łądunek, ani biała blizna na twarzy kobiety, ani treść tatuaży na jej klatce piersiowej. Dostrzegł przez chwilę szeroką i poskręcaną spiralę tuszu, która wystawała ponad kirys Talicjanki tuż pod szyją. Wystarczająco długo służył w wojsku, żeby na pierwszy rzut oka rozpoznawać przekleństwa, i wiedział, że tatuaż głosi „pierdol się” po talicjańsku.

Obchodziło go natomiast słońce, które przesunęło się już poza zenit, kiedy ruszyli w drogę.

Obchodził go też fakt, że ta młoda dziewczyna, Tethis, wyglądała na bogatą i delikatną. Pod grubym talicjańskim płaszczem miała wyszywaną kamizelkę z dopasowanymi guzikami. Jeśli miała ich spowalniać, lepiej by było, gdyby jechała konno. To nie była podróż dla dziecka.

Dziwna też była relacja między wysoko urodzoną dziewczynką a jej ochroniarką. Jeśli szlachtetne rody wykazywały drobne przejawy buntu, wysyłając dzieci na niebezpieczne trakty po błogosławieństwa, była to kolejna oznaka niepokojów. Elo miał poczucie winy, że schował głowę w piasek w Estfjorze, w swojej piekarni. Ta dziewczynka mogła mieć najwyżej dwanaście lat. To nie było w porządku, że wysłano

ją w taką podróż z surową strażniczką, która – to dawało się zauważyć – nie darzyła wielkim szacunkiem ani jej, ani nikogo.

To nie była jego sprawa. Dopóki one nie będą wchodziły mu w drogę, on nie będzie wchodził im.

Podążyli wzdłuż miejskich kanałów ku bramie północnej, która prowadziła na Drogę Pielgrzymów, teraz przemianowaną przez Arrena na Marsz. Przeszli przez nią bez przeszkód, po dwie, trzy osoby, opowiadając historyjkę, którą przekazał im Jon, a po drugiej stronie znowu połączyli się w grupę. Przez pierwszą godzinę wędrowali szybkim tempem, niemal nie zważając na siebie nawzajem i pospiesznie przechodząc przez targ zewnętrzny. Zdawało się, że minęło sporo czasu, zanim ciasna zabudowa rozrastającej się Lesscji rozluźniła się i ustąpiła miejsca polom uprawnym.

Oprócz nich na trakcie było wielu innych ludzi, głównie majątnych kupców, prowadzących karawany kuców i wozów, ale Elo dostrzegwał tu i ówdzie drobniejszych handlarzy, wędrownych szewców i pasterzy, prowadzących owce z jednego pastwiska na drugie. Paru gburów niosących ciężkie kije szło za nimi przez jakiś czas, szukając być może ofiary do złupienia, ale wycofali się, gdy zorientowali się w liczebności grupy oraz obecności w niej dwóch osób z mieczami.

– Co cię skłoniło do tej podróży, przyjacielu? – Mężczyzna z siedzącej wcześniej razem dwójki, który miał ciepłą, brązową twarz pod czarnym zarostem, zrównał krok z Elo, wyraźnie pragnąc nawiązać nić znajomości. Być może zauważył, jak ci z kijami odeszli na widok broni Elo. – Jak się nazywasz?

– Elo. – Na pierwsze pytanie nie odpowiedział.

– Ja jestem Berrick – powiedział tamten. – A to Batseder, moja żona. – Oznajmił to z dumą. Batseder, która miała ciemną, migdałową skórę z południowego Middrenu, gdzie od wieków mieszała się krew z różnych stron Morza Kupieckiego, skinęła głową i przełożyła sobie pakunek na drugie ramię. Nie wyglądali na ludzi, którzy często podróżowali. – My idziemy w sprawie błogosławieństwa płodności – powiedział, rozglądając się ostrożnie, ale nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. – Pierwszy raz opuszczamy ziemie Yetherów.

– To z pewnością bardzo powszechne – odrzekł Elogast. Nie był przekonany, czy chce zawierać nowe przyjaźnie. I bez tego miał dosyć zmartwień.

– O, chcemy jego usunięcia – wyjaśnił Berrick. – Rodzice Batseder przekazali jej to błogosławieństwo, kiedy była mała, ale teraz bogini akuszerstwa nie żyje.

– Berrick – odezwała się Batseder ostrzegawczym tonem. – Nie obciążaj tego biednego człowieka naszymi kłopotami.

Berrick wzruszył ramionami i wydawał się bardzo zadowolony z połajanki.

– Wiesz, że nie mogę ci pozwolić na „kobiece ryzyko” – powiedział, dodając do Elo:
– Tak nazywała to moja matka. Moja kuzynka zmarła przy porodzie, tak jak siostra Batseder, obdarzona tym samym błogosławieństwem.

Batseder gorzko westchnęła.

– Zastanawiam się, czy król choć przez chwilę pomyślał o nas, kobietach, zanim zwrócił się przeciwko bogini akuszerstwa.

– Arren nie zabił Aii – odezwał się cicho Elo, bez chwili namysłu stając w obronie monarchy.

Batseder wbiła w niego spojrzenie, ale nucący facet, który wcześniej gapił się na Fontannę Wielu Twarzy, wtrącił się do rozmowy.

– Piekarz ma rację – stwierdził. Elo przypomniał sobie, że mężczyzna nazywa się Mikle. – Bóg wojny zabił Aię w zemście za atak króla. – Z dumą pogładził swoją czarną brodę. – Jestem uczonym, wiecie. Studiujemy pieśni Blenradenu.

– Aha – mruknęła Batseder, wyraźnie wcale niezainteresowana.

– No to skoro tak dobrze znasz pieśni Blenradenu – powiedział Berrick, wyciągając z kieszeni jakieś zawiniątko – po co z nami idziesz? Myślisz, że potrafisz zaśpiewać lepiej od setki bardów, którzy byli przed tobą?

Uszy Mikle’a poczerwieniały i pospiesznie ruszył naprzód. Niesiony przez niego pakunek miał dziwny kształt, w którym Elo rozpoznał teraz harfę. Poczł pewną sympatię do Berricka, który okazał się bardziej przenikliwy, niż się wydawał.

– Chcesz jednego? – spytał Berrick, podsuwając mu zawiniątko, w którym znajdowały się pulchne białe pierożki.

Sympatia Elo jeszcze wzrosła.

– Poproszę – powiedział, biorąc pierożek i ciesząc się, że trzyma w dłoni coś przygotowanego w piecu. To go uspokajało. Spojrzał na dar. Ciasto było schludnie sklezione wokół farszu.

Odgryzł kęs, starając się nie skrzywić z powodu lepkiej konsystencji ciasta. To go rozczarowało, ale pachnące szałwią i grzybami nadzienie było pyszne.

– Niezłe, co? – zagadnął Berrick, podając drugi pierożek żonie. – Jestem szewcem, a nie piekarzem, ale lubię próbować sił w różnych dziedzinach.

– Dobre – powiedział Elo, udając entuzjazm. Wystarczająco skutecznie, żeby zarówno Batseder, jak i Berrick rozpromienili się z wdzięczności.

Tętent kopyt na trakcie zaskoczył ich. Wszyscy wokoło skulili się i rozpierzchli na boki, by przepuścić dwóch jadących od strony Lesscji rycerzy w niebiesko-złoty strojach, nie w żółtych barwach Yetherów.

– Z drogi! Z drogi! – krzyczeli, rozganiając ludzi. Uliczny handlarz z tacą pełną cynowych monet podobnych do tych, które miał Jon, wrzasnął na ich widok

i próbował uciec. Lecz rycerze nachylili się do niego, złapali go za kołnierz i pchnęli na ziemię. Jeden zsiadł z konia i dwa razy go kopnął.

– Sprzedajesz na trakcie medaliki pielgrzymkowe? – warknął, podczas gdy drugi wstrzymywał wierzchowca. – Myślisz, że król Arren by się na to zgodził? Myślisz, że możesz przynosić wstyd swojemu królowi?

Grupa Jona zbiła się w ciasną gromadkę. Jon zasłonił brodą własne medaliki, pamiątki wszystkich swoich pielgrzymek. Najwidoczniej był zbyt uparty, żeby je zdjąć.

Handlarz szlochał, miał krew na zębach. Elo nic nie mógł na to poradzić. Używali imienia Arrena jak pałki. To nie było w porządku. Położył dłoń na mieczu, wyczuwając kształt lwiej głowy na rękojeści.

– Nie robiłabym tego na twoim miejscu – mruknęła rudowłosa kobieta z blizną i koniem. – Jakiegokolwiek honorowe brednie chodzą ci po głowie, wyrzuć je stamtąd albo wszyscy będziemy mieć przesrane.

Przepchnęła się obok niego, ciągnąc za sobą konia z siedzącą na nim dziewczynką. Elo przyjrzał się uważniej bliźnie na jej twarzy – biała siateczka była hasłem nakreślonym pismem pełnym krzywizn i spiral. Klątwa. Śmiertelna klątwa. Widział już z bliska klątwy i dary, takie jak napis na piersi Arrena. To było znamię bóstwa.

Elo poczuł falę bólu, która spłynęła mu po plecach i ścisnęła żołądek. Każdy może być przeklęty, powiedział sobie. Może to nic takiego. Ale w jej zachowaniu była jakaś pewność, która wydawała się znajoma. Była wojowniczką, być może nawet dawną żołnierką albo jakąś najemniczką. Z taką klątwą mogła być nawet bogobójczynią.

Tylko po co veiga wybierałaby się do zaginionego miasta świątyń?

Kimkolwiek była, miała jednak rację. Zsunął dłoń z rękojeści, włożył do kieszeni, maskując drżenie palców, i ruszył przed siebie, odsuwając się od krzyczącego handlarza.

Gdy pola uprawne wokół nich zastąpił las, Jon sprowadził ich z traktu. Mżawka, niesiona przez zachodni wiatr, wkrótce ich przemoczyła, ale wydawało się, że w mroku między drzewami jest bezpieczniej niż na otwartej drodze, gdzie mógł się pojawić jakiś polujący na nich rycerz. Podążył za Jonem, który prowadził ich przez gęstwinę, posługując się, jak się zdawało, wyłącznie pamięcią. Jedynymi znakami świadczącymi o tym, że idą w dobrą stronę, były kopczyki zwieńczone małymi figurkami. Niektóre poświęcono nieżyjącemu bogu bezpiecznej przystani, którego wierni wciąż próbowali sprowadzić z powrotem siłą swojej miłości. Inne przedstawiały bogów dróg, szczęścia, bóstwo strumienia, a jedna nawet boga szewców i na tym kopczyku Berrick położył ostatni ze swoich pierożków. Tutaj, w spokoju lasu, z dala od uczęszczanych szlaków, miejsca kultu wciąż były nietknięte.

Dotarli do wzgórza Haar tuż przed zachodem słońca. Samo wzgórze było kopcem o płaskim wierzchołku i Jon poinformował ich, że rozbiją pod nim biwak. Nawet z dołu Elo widział ostatnie kamienie z ruin na szczycie, ich cienie wydłużały się w miarę jak światła robiło się coraz mniej. Sądząc po wyglądzie, spłonęły i zostały porzucone już dawno temu.

U stóp wzniesienia płynął głęboki strumień, prawdopodobnie dopływ rzeki Daes. Tu też stała mała świątynia, powiązany wstążkami szałas z bluszczu poświęcony jakiemuś bożkowi wzgórza.

Trzy starsze kobiety, które, jak już się dowiedział, nazywały się Svenka, Haoirse i Poline, zatrzymały się w cieniu wzgórza i Berrick ruszył w ich stronę, żeby im pomóc. Jon poszedł pozbierać kilka kamieni rozrzuconych przy ozdobionej wstążkami świątynce.

– Możemy rozpalić ogień – powiedział. – Od dłuższego czasu nie było tu rabusiów, a rycerzy bardziej interesują łatwe ofiary.

– Poczyszaję – mruknęła Haoirse pod nosem.

– Patrole mogą się mimo wszystko pojawić – ciągnął Jon, ignorując ją – żeby niszczyć świątynie, szukać takich jak my, więc żadnych hałasów, żadnych śpiewów. Jeszcze daleko nam do prawdziwie dzikich terenów. – Zaczął coś mamrotać, układając kamyki w krąg i na każdym za pomocą kawałka węgla wyciągniętego z kieszeni kreśląc inny symbol. Zakłęcie ochronne. Elo zerknął na ochroniarkę, ale ta jedynie przewróciła oczami.

Dziewczynka, Tethis, usiadła naburmuszona na wilgotnym gruncie. Słońce przedarło się przez chmury na horyzoncie, oblewając ich bladym złotem.

Poline podeszła do wody i zajrzała w głąb.

– Ryby na kolację – powiedziała – jeśli wszyscy pomogą.

– Ja nazbieram drewna – zgłosił się Elo. Niewiele czasu zostało do chwili, gdy światło zniknie do reszty. Mikle usiadł przy strumieniu i wyciągnął z worka harfę. Trzącał struny i podśpiewywał pod nosem.

– Pomogę – powiedziała Enna, podchodząc do Elo znad brzegu strumienia, w którym poila konia. – Tethis, pomóż pozostałym z rybami.

– Ale...

– Albo możesz poszukać rozpałki.

Tethis skrzywiła się i odprawiła ją machnięciem ręki. To był niewątpliwie gest szlachetnie urodzonych.

– Ja to zrobię! – wykrzyknął radośnie Berrick i podążył za veigą, dosłownie deptając jej po piętach. – Co jest potrzebne na rozpałkę?

– Sosnowe korzenie – odparła Enna opryskliwym tonem.

– Co masz na twarzy? Czy to tatuaż? Co oznacza?

– Oznacza: zostaw mnie w spokoju – odpowiedziała w sposób oznaczający koniec rozmowy i zaczęła się od niego oddalać. Berrick wzruszył ramionami, ale Elo widział, że trochę mu przykro.

– Dwie wystarczą, Berricku – oznajmił Elo. – Może uprzątniecie miejsce na ognisko z Miklem? – Chłopak z harfą nieśmiało podniósł wzrok.

Elo podszedł do Enny, która dłubała nożem w ziemi u podnóża sosny, i przykucnął. Chmury przesłoniły zachodzące słońce, a krople wody na drzewach i krzewach skrzyły się w ostatnich promieniach światła. Jej nóż błysnął, gdy wyciągnęła korzeń, i dostrzegł matowy metal, z którego go wykonano: bryddyt.

– Ciekawy sztylet – powiedział, gdy wstał i zaczął udeptywać ziemię wokół drzewa. Schowała nóż, policzyła wyciągnięte korzenie, po czym odwróciła się do niego i uniosła brwi.

– Ciekawe wpięprzanie się w cudze sprawy – odparła. Widział, że do niczego z nią nie dojdzie.

– Dlaczego mnie powstrzymałaś przy patrolu? – spytał.

– Przed wszczęciem rozróby, kiedy staramy się nie rzucać w oczy? – odparła z sarkazmem. – Ciekawe.

Roześmiał się.

– Słusznie – przyznał. Też widział, jak spory między rycerzami przeradzają się w otwarte bijatyki, kiedy napięcie było duże, ale teraz panował pokój. – Zawsze tak to teraz wygląda? – spytał. – Rycerze atakują ludzi na trakcie?

– W której jaskini się chowałeś? – odrzekła, rozglądając się dookoła. Elo się skrzywił. – Pomożesz mi znaleźć trochę drewna czy nie?

Wzięła jego rękę i wcisnęła w nią zebrane korzenie. Czuł zapach sosnowej żywicy wymieszany z wonią jej potu i poczuł dreszcz oczekiwania. Oczekiwania na co – nie miał pewności. Przypominało to chwilę, w której zmienia się zapach chleba w piecu tuż przed tym, jak skórka zacznie twardnieć.

– Na co tak patrzysz? – spytała. – Posuń się.

Elo wskazał cienie i promienie wieczornego słońca.

– Ty pierwsza.

Gdy wrócili do obozowiska z naręczami najsuchszego drewna, jakie udało im się znaleźć, Berrick już rozpalał kupkę mchu i suchych liści, a Batseder pomagała mu osłaniać żar przed wiatrem. Elo dorzucił sosnowe korzenie, które zaczęły trzaskać, gdy zajęły się ogniem, wydzielając cudowny zapach. Dwie ze starszych kobiet, Poline i Haoirse, uczyły dziewczynkę łapać pstrągi w strumieniu w dogasającym świetle dnia, a ich towarzyszka Svenka stała na brzegu i patroszyła już złowioną rybę. Haoirse stała

w wodzie ze spódnicą podwiązaną do pasa. Atmosfera była miła, przyjazna. Elo pozwolił sobie trochę się odprężyć.

Ryba wyrzucona z wody przez Poline poleciała prosto w ręce Svenki. Dziewczynka się śmiała. Elo pierwszy raz widział u niej uśmiech. Nie miał wielkiego pojęcia o dzieciach, tym niemniej wiedział, że zazwyczaj nie są tak poważne jak Tethis. Przytroczyła swoją torbę do końskiego siodła, ale zauważył, że co jakiś czas zerka w jej stronę.

– Możecie być cicho? – warknął Jon, który siedział wewnątrz swojego kręgu kamieni.

– Chcesz mieć ryby czy nie? – broniła się Haoirse. Jon cmoknął z niezadowoleniem, a Svenka wypatroszyła kolejnego pstrąga i wrzuciła wnętrzności do strumienia.

Elo znalazł płaski kamień, położył go przy ogniu, po czym rozwinął na nim swoją matę do przygotowywania posiłków i posypał ją mąką, którą ze sobą zabrał. Nie miał dziś czasu na pieczenie rosnącego chleba. Zamierzał zrobić szybkie podpłomyki. Kiedyś często jedli takie z Arrenem. Kiedy przyjaciel musiał objąć rządy, połowa dowódców służących u Bethine nie żyła, a większość pozostałych uciekła. Elo i Arren zaczęli wszystko planować: werbunek, zaopatrzenie w prowiant, negocjacje z bogami w celu zakończenia krwawej waśni, którą młody król odziedziczył. Kiedy tylko panował spokój, wieczory spędzali przy podpłomykach. Potrzebowali tych prostych przyjemności, chwil wytchnienia od krwi i strategii. Jeszcze przed ostatnią bitwą, walką z bogiem wojny, gdy Elo oznajmił już, że odchodzi, podzielili się pieczywem. Elo zacisnął zęby na to wspomnienie.

Berrick i Batseder przygotowywali teraz ryby, używając do tego ziół ze swoich toreb, a Mikle z błyskiem w oczach i drżeniem palców, jakby grał na swojej harfie, pisał coś w oprawnym w skórę notesie. Zapowiadała się dobra kolacja. Elo niemal żałował, że nie było tu Arrena. Podobałoby mu się.

Ostre cienie na wzgórzu zlały się w półmrok, a blade światło stało się srebrzyste i jeszcze słabsze. Słońce zaszło.

Elo potrzebował chwili, żeby się zorientować, że coś jest nie tak. Szmer wody stał się głośniejszy, podobnie jak szum drzew na wieczornym wietrze. Ptaki uciekły albo umilkły. Wśród woni dymu Elo wychwycił ślad czegoś ciemnego i głębokiego. Jakby krwi i mchu. Przeszedł go dreszcz. Zobaczył, że ochroniarka wstaje. Węszyła wokół niczym ogar. Czy Enna to było prawdziwe imię? Dłoń Elo powędrowała do miecza.

Pierwszy to zobaczył. Poruszający się, prześlizgujący między drzewami ciemny kształt. Za niski na człowieka – wielkości dużego psa albo wilka.

– Co to? Rycerze? Złodzieje? – spytał Jon, kucając wraz z Elo wewnątrz kręgu, który ułożył z kamieni. Tylko oni dwaj znajdowali się w jego obrębie. Batseder, która

właśnie stanęła za kręgiem, podniosła zaskoczony wzrok.

– Nie wiem – odrzekł Elo. – Zachowajcie spokój.

Elo zauważył, że Enna przesunęła się w stronę strumienia i swojej podopiecznej, która wciąż chwyciła ryby z Poline i Haoirse.

– Tethis, nie ruszaj się – poleciła.

Cień między drzewami prześliznął się w kierunku Elo i kręgu kamieni. Ciekły mrok. I wtedy Elo zobaczył jego zęby. Jasne połamane kości wyginały się w szeroką szczękę osadzoną pośrodku łba. Stwór miał maleńkie błędne ogniki w miejscu oczu niczym rozżarzone węgielki, ale otwierał w powietrzu paszczę, jakby już czuł smak zdobyczy.

Mikłe jęknął, tuląc do siebie harfę, jakby unieruchomiony.

– Batseder – syknął Berrick, gdy stwór krążył, jakby czegoś szukał – wracaj do kręgu.

Żona zignorowała polecenie, lecz zbliżyła się do niego i zacisnęła pięści. Pięści tu nie pomogą. Elo położył rękę na mieczu. Tylko bryddyt mógł powstrzymać boską istotę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY



Kissen

ISTOTA NIE BYŁA BÓSTWEM, ALE BÓSTWO JĄ WEZWAŁO. Sądząc po zapachu, była podporządkowana bytowi przynajmniej półdzikiemu, bogu lasu albo mokradeł. Zapewne prastaremu, skoro dysponował mocą pozwalającą przyzwać demona cienia. Ale dlaczego tutaj i kogo ścigał? Inara była tuż za nią, gramoliła się z wody wraz z dwiema kobietami. Kissen wykonała ruch, żeby ją chronić, tak jak obiecała. Szlag, i jej małego bożka też. Co takiego powiedziała Telle? Jeśli on umrze, dziewczynka może także odejść.

Bestia przypuściła szarżę na krąg kamieni, w którym stali Elo i Jon, ale odbiła się od niewidzialnej bariery, gdy kamienie wygięły się do wewnątrz.

Inara krzyknęła i rzuciła się ku swojej torbie. Kissen była bliżej, złapała ją i odciągnęła dziewczynkę w chwili, gdy stwór się wyprostował. Kiedy odzyskał równowagę, rzucił się na tego, kto był najbliżej – Mikle’a, który zamarł, wstrząśnięty.

– Uciekaj! – krzyknęła Kissen, ale było za późno. Przyzwana istota znalazła ofiarę.

Jej cień niemal pochłonął Mikle’a, gdy zatopiła zęby w szyi i ramieniu chłopaka, przerywając jego krzyk i miotając nim niczym szmacianą lalką. Kissen rzuciła się naprzód, wyciągnęła swój bryddytowy miecz i cięła bestię prosto przez mordę. Stwór cofnął się z wrzaskiem, pozostawiając swoje kościane zęby w ciele Mikle’a.

Piekarz Elo obnażył swój miecz w chwili, gdy pysk bestii zaczął na powrót nabierać kształtu, i wykończył ją jednym ciosem przez sam środek łba. Ze środka dobył się biały dym, ciężki, płożący się po ziemi. Stwór zasyczał i się rozpadł, zęby odpadły od jego ciała, jeszcze zanim obróciły się na ziemi w białe popioły.

To był bryddytowy miecz. Kissen i rycerz popatrzyli po sobie. Oboje wiedzieli, kim są. Rycerz i veiga wędrują pielgrzymkowym szlakiem i stają się celem ataku potworów stworzonych przez bogów. Brzmiało to jak początek kawału, tyle że nikt się nie śmiał.

Na szczęście trzymał język za zębami. Schował broń do pochwy i opadł na kolana obok chłopaka. Mikle miał konwulsje, dławił się od krwi, która płynęła z rozszarpanego gardła, a na dodatek z ramienia. Elo przycisnął dłoń do rany.

– Szlag – syknęła Kissen, po czym wyciągnęła palec w stronę Inary. – Zostań tutaj.

Inara przełknęła ślinę, a Kissen uklękła obok Elo i trzymała Mikle'a nieruchomo, żeby ułatwić mu dostęp do rany. Chłopak płakał, chociaż nie mógł mówić.

– Czy ktoś tu jest uzdrowicielem?

Po chwili oboje wiedzieli, że jest za późno. Elo napotkał jej spojrzenie i przebiegła między nimi iskra porozumienia. Ilu ludzi już trzymał, gdy wypływało z nich życie? Bo Kissen zbyt wielu.

Większość grupy zamarła w przerażeniu. Inara mocno ścisnęła swoją torbę z bogiem w środku, jej oczy były szeroko otwarte ze strachu.

– Ja jestem uzdrowicielką. – Haoirse w końcu wygramoliła się na brzeg strumienia z pomocą Svenki. Podbiegła do nich, wyciągając zza pasa brzeg zielonej spódnicy. Zastąpiła dłoń Elo tkaniną, przyciskając ją do szyi Mikle'a, by zatamować krwawienie. Materiał szybko jednak nasiąkł i pociemniał. Ranny patrzył na nią, usiłując oddychać, próbując coś powiedzieć, ale zamiast tego pluł krwią. Na bogów, słyszeli jedynie jego cichnące oddechy. Haoirse zacisnęła usta, gdy krew ani trochę nie przestawała płynąć. Przygarbiła się i położyła dłoń na włosach Mikle'a.

– W porządku, chłopcze – powiedziała, gdy się zatrząsał. Głos miała ciepły, matczynej. – Uspokój się teraz. Masz prawo odpocząć.

Mikle jęknął. Wciąż drżał na całym ciele, na niczym nie skupiając wzroku.

– Mój ojciec... – spróbował. – Powiedzcie mojemu ojcu... – Inara podeszła bliżej, sprawiając wrażenie chętnej do pomocy.

– Cofnij się – powiedziała Kissen surowo, z naciskiem. Nie chciała, żeby dziewczynka na to patrzyła. Batseder zbliżyła się, żeby ją odciągnąć, ale Inara odepchnęła jej rękę, stłumiła szloch i podbiegła do konia. Wtuliła twarz w jego szyję, a on jej na to pozwolił.

Mikle przestał się trząść, wciąż niezdolny dobyć z siebie słowa. Już nie chwycił tak łapczywie powietrza, Haoirse uspokajała go cały czas. Kissen zobaczyła, że krew

wsiąkła w ziemię, w kolana kraciastych spodni Elo, w rąbek jego koszuli. W końcu przestała płynąć.

Batseder i Berrick tulili się do siebie. Poline wciąż stała w wodzie i trzymała Svenkę za rękę. Jon popuścił w spodnie.

– Czy... ktoś zna jego ojca? – spytała Batseder, spoglądając na Jona. Bez słowa pokręcił głową.

Kissen wstała i kopnęła popiół, który pozostał po stworze. Patrzyła, jak Elo podnosi harfę chłopaka, zostawiając ślady na drewnie umazanymi ziemną palcami. Dwie struny się zerwały, rama pękła.

Przekłęci bogowie. Jak zwykle władowali się w dobre, porządne życie i je zniszczyli. Kissen popatrzyła na Inarę, która łkała w końską grzywę. Przez chwilę widziała też ucho jej bożka, który schował głowę z powrotem do torby. Bogowie byli ucieleśnieniem chaosu. A ci pielgrzymi, ten chłopak, wciąż chcieli się wydurniać i prosić ich o przysługi, włącznie z rycerzem. Jeszcze raz kopnęła popiół, ale po przyzwanej istocie nic więcej nie zostało.

Elo położył harfę na piersi Mikle'a.

– Co to było? – Haoirse w końcu wstała i przerwała milczenie. Podeszła do strumienia, żeby zmyć krew z dłoni i spódnicy. Oczy miała suche, ale Poline płakała.

– Boża istota – powiedział szeptem Jon. Ścisnął swoje cynowe medaliki na szyi, drobne skarby z pielgrzymek całego życia, jakby mogły mu pomóc.

– To był demon cienia – stwierdziła Kissen. – Bestia stworzona przez dzikie bóstwo. Nie sądziłam, że zostało ich wiele i że są na tyle silni, żeby coś przywołać. – Zerknęła na Elo, a później przeniosła wzrok na Jona. – Wkurzyłeś kogoś ostatnio, Jon?

Mężczyzna przełknął ślinę.

– N-nie – zapewnił. – Już bym tego nie robił, gdyby moi pielgrzymi nie wracali do domu. – Jego rozkazujący ton zniknął. Wpatrywał się w zwłoki Mikle'a. To był jego podopieczny. Nie żył. Znów przeniósł spojrzenie na Kissen. – A co ty w ogóle o tym wiesz, ochroniarko? – Jego ton był ciężki od podejrzeń.

Kissen zawahała się, ale ku jej zaskoczeniu do rozmowy wtrąciła się Inara, chociaż głos jej drżał.

– Zostaw ją w spokoju. – Z twarzą mokrą, lecz pełną determinacji odeszła od Nogiego. – Moja ochroniarka właśnie pomogła nas uratować. Myślisz, że mój ojciec wysłałby mnie po błogosławieństwo z kimś, kto nic nie wie o bogach?

Wywarło to na Kissen duże wrażenie. Później się skoncentrowała: w głębi słów Inary poczuła, niczym gorący oddech na swojej skórze, jej króliczka, który używał swojej magii, żeby bardziej jej uwierzyli. Skrzywiła się.

– Cięłaś go – nalegał Jon. – Wasze miecze. – Spiorunował wzrokiem Kissen, a później odwrócił się do rycerza. – To bryddyt. Zrobiono je do zabijania bogów.

Przez twarz Elo przebiegł cień lęku, szybko zastąpiony czarującym uśmiechem.

– W dzisiejszych czasach noszenie bryddytowego miecza ma wiele sensu – powiedział, wyraźnie próbując udobruchać Jona. – Na traktach jest niebezpiecznie.

Kissen rzuciła mu spojrzenie z ukosa i widziała, że je dostrzegł. Miała jednak własne problemy bez żadnego związku z Elo. Takie bestie jak ta nie pojawiały się bez powodu. Coś musiało je przyzwać. Coś, co wciąż żyło. Dlaczego istota przyszła do ich grupki? Klątwy nie były czymś powszechnym. Cel musiał się znajdować blisko bóstwa.

Kissen zerknęła na Inarę, która trzymała rękę wewnątrz torby. Dziewczynka i bóg kłamstw. Niewinnych czy nie. Może za pożarem posiadłości Craierów kryło się więcej tajemnic, niż mała wiedziała. A jeśli destrukcja podążała za nimi krok w krok?

– Dosyć – ucięła Poline. – Przestańcie się kłócić. Biedny chłopak zginął. – Trzęsła się od zbyt długiego przebywania w wodzie.

Kissen westchnęła.

– Kto umarł, ten trup – powiedziała. – Powinniśmy iść dalej, dopóki w naszych nogach ciągle jest życie. – Im bardziej zbliżali się do rozdzielenia dziewczynki i bożka, tym szczęśliwsza się czuła.

– Mów za siebie – rzuciła Svenka.

Jon wpatrywał się w drzewa, czekając, aż cienie się poruszają. Jak na kogoś, kto odbył tyle pielgrzymek, wydawał się wyjątkowo nieswój na widok istoty przyzwanego przez bóstwo.

– Powinniśmy go pochować – stwierdził Elo. – To mu się należy. – Podszedł bliżej do Kissen. – Są zmęczeni i zmarznięci. Nie dadzą rady wędrować nocą.

Kissen prychnęła. Skąd wykopali tego szlachetnie urodzonego gnojka? Większość rycerzy, których miała nieprzyjemność poznać, była łajdakami lubującymi się w bandyterce albo dupkami czczącymi swojego króla ponad wszelką miarę i rozum. Zamierzała się spierać, ale wtedy przemówiła Inara.

– Enno... proszę... – powiedziała. – Możemy go pochować?

Kissen westchnęła. Dziewczynka była wstrząśnięta do głębi, straciła matkę, a teraz widziała kolejną śmierć. Co by zrobiła Telle?

– Dobrze, jak sobie chcecie – oparła.

– Jon – rzucił obcesowo Elo – odbuduj kamienny krąg. Dobrze się sprawdził. Poline, znajdź odpowiednie miejsce dla chłopaka. Batseder, Berrick, ziemia będzie za twarda na kopanie. Nazbierajcie ze strumienia kamieni na kurhan. Enna...

Kissen dopiero po chwili przypomniała sobie swoje fałszywe imię. Ten człowiek wykrzykiwał komendy, jakby się z tym urodził.

– Pomóż mi z ciałem – powiedział i wytrzymał jej spojrzenie. – My, pielgrzymi, powinniśmy trzymać się razem.

Kissen popatrzyła na niego przez zmrużone powieki. Teraz już oboje poznali się na sobie nawzajem. Musiała tylko skupiać jego uwagę na sobie, żeby nie nabrał podejrzeń wobec Inary.

– Jasne. Głupio by było wpaść jeszcze na jakieś potwory. Albo rycerzy. – Obdarzyła go uśmiechem. – To zawsze źródła najgorszych kłopotów.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY



Skediceth

NASTĘPNEGO RANKA SKEDI POCZUŁ, jak wilgoć wciska się do jego torby, podczas gdy grupa zbierała się do drogi.

Księżyc już dawno wzeszedł, gdy wieczorem poszli spać, kuląc się na ziemi w obrębie nowego kamiennego kręgu Jona. Inara, po tym jak pomagała w pogrzebaniu chłopaka, zasnęła z wyczerpania, mocno tuląc do siebie torbę ze Skedim. Wszystkie kolory Mikle'a zniknęły i pozostało jedynie ciało. Czy pewnego dnia także Inara będzie właśnie tym? Samym ciałem bez kolorów?

Rycerz jako pierwszy objął wartę, Kissen druga, i zmieniali się co kilka godzin, osiągnąwszy jakieś milczące porozumienie. Skedi wyczuwał wokół siebie ruiny emocji. Pielgrzymi szeptali ciche modlitwy, ulatujące w powietrze w strzępach barw, a później znikające w drodze do bóstwa, do którego były kierowane. Skedi wyglądał ze swojego więzienia i patrzył tęsknie, jak znikają. Nie były przeznaczone dla niego.

Zawsze wiedział, że jest jednym z wielu, nawet kiedy król prawnie zakazał ludziom miłości do bogów. Nie miał jednak żadnych wspomnień z wcześniejszych spotkań z innymi istotami obdarzonymi mocą. A cień był potężny, chaotyczny. Wyczuwał jego związek z czymś większym i jeszcze silniejszym. Zastanawiał się, czy powinien bardziej się bać. Tak jak ludzie.

Teraz, gdy znowu ruszyli w drogę, Skedi wyjrzał ze swojej kryjówki.

Ciche modlitwy wciąż dobywały się z ust pielgrzymów – dary dla innych bogów. Inara też była zupełnie przerażona. Widział, że dziewczyna nie wie, co robić, jest zdolna tylko do tego, żeby iść i się modlić. Łącząca go z Inarą więź nie była efektem jego wyboru, a przynajmniej tak mu się wydawało. Ledwie pamiętał cokolwiek z tego, co było przed nią, potrafił przywołać wyłącznie przebłyski, jeśli mocno się skupił. Wodna kipiela i krzyki, gruboskórne, krwawe bestie. I walka, kolory strachu. A później, co gorsza, wszystkie kolory zgasły. Pustka. A w końcu pojawiła się Inara.

Pragnął tylko być wolny i latać, dokąd zechce, doświadczając ciepła pragnień innych ludzi i snując dla nich drobne kłamstewka, których potrzebowali. Chciał być kochany. Bogowie potrzebowali celu. Potrzebowali miłości i modlitw.

Musieli dotrzeć do Blenradenu. Musiał być wolny.

Skedi wyściubił nos na zewnątrz. Miał wielkość sikorki i skrywał się w cieniu torby.

Spojrzał na Inarę. Miała mokre oczy i gmerała przy guzikach swojej kamizelki. Czuł jej tęsknotę za matką.

Potwora już nie ma, zwrócił się do niej. *Jesteśmy bezpieczni i możemy iść dalej.*

Wiem, odpowiedziała mu w myślach. *Nie mam do czego ani do kogo wracać.* Obróciła swoją ściągniętą twarz ku ziemi, żeby nikt nie widział.

Nie ma do czego wracać, zgodził się, *ale ja tu jestem.* Obiecał nie okłamywać Inary, ale to nie oznaczało, że nie mógł się z nią nie zgadzać. *Przetrwaj to, Ina. Wyjdziemy z tego razem.*

Przy tych słowach posłużył się słabą presją swojej mocy, swojej woli, tej niewielkiej siły, jaka mu pozostała bez świątyni i bez ofiar. Jego wola oplotła jej kolory, zmieniając je, uspokajając. Tyle wystarczyło, żeby ją wesprzeć. Chlipnęła cichutko, ale poczuła ukojenie. Jej kolory przybrały odcień ciemnej żółci podobnej do promieni brzasku. Skedi był zachwycony, że się udało. Kissen, która szła obok nich, popatrzyła na nią z niepokojem. Sięgnęła w głąb płaszcza po kilka słodkich owsianych grudek, które kupiła na targu, po czym dała jedną koniowi i dotknęła dłoni Inary.

– Prowadź, Nogi – powiedziała. – Lubi cię. Utrzymuj go na twardym gruncie, a ja pójdę na zwiad. – Inara wyprostowała się, otarła twarz i skinęła głową. Gdy wzięła wodze do rąk, jej emocje jeszcze bardziej złagodniały. Skediego to zastanowiło. Veiga jej nie okłamała, nie powiedziała, że wszystko będzie dobrze, nie próbowała niczego naprawić. Po prostu dała jej zajęcie.

Bożek skierował uwagę na innych, którzy szli dalej z przodu. Starsze kobiety były obolałe i niepewne, a Batseder i Berrick szeptali nerwowo między sobą. Jon był niespokojny, dotykał swoich amuletów i pomrukiwał pod nosem. Skedi czuł, że mężczyzna ufa wielu bogom, ale najwyraźniej żadnemu na tyle, żeby tylko jemu

zawierzyć. Poprzedniego wieczoru widział pielgrzymkowe medaliki i przyglądał im się z pożądaniem. Może pewnego dnia ktoś będzie nosił medalik na jego cześć.

– To nie jest bezpieczne. Nie powinniśmy zawrócić? – Ledwie słyszalnie mruknęła Batseder do Berricka. – Może Aia jeszcze się odrodzi? A może uda nam się uniknąć ciąży. Są takie korzenie...

– Mogą być groźne dla zdrowia – odparł Berrick. – To twoje ciało, kochana. Twój wybór.

– Na pewno tego chcesz?

Skedi dostrzegł cienką warstewkę melancholii, której Berrick nie mógł przed nim ukryć. Szewc smucił się, że nie będą mieli własnych dzieci, z jej oczami i jego podbródkiem, lecz jednocześnie myślał, że kocha ją bardziej niż jej łono i krew. Takie emocje w połączeniu ze strachem mogą być potężne. Pragnął ich, chciał je przynajmniej czuć.

I gdy Berrick stąpał po cienkiej linii pomiędzy mówieniem prawdy a kłamstwem, do akcji wkroczył Skedi, swoją wolą dotykając kolorów mężczyzny. Czuł jego złożone emocje niczym miotające łodzią fale, które przyprawiły jego własne serce o trzepot.

Nie bądź smutny, przekazał mu siłą woli, ścisząc głos do najłżejszego szeptu. Swoim smutkiem wywołasz w niej poczucie winy.

Kolory Berricka zmieniły się, gdy kłamstwo chwyciło. Stały się mocniejsze, jaśniejsze.

– Na pewno – powiedział. – Jeśli narażać życie, to tutaj, razem, a nie tylko twoje.

Czy będzie wiedział, że pomogło mu bóstwo? Czy poświęci kilka słów modlitwy takiej istocie jak Skedi, z tą miłością, która dawała mu siłę? Uniesiony swoim sukcesem Skedi skupił się na starszych kobietach, które szły najszybciej, jak mogły, mimo nadwyrężenia i bólu kończyn. Tak długie życie było w tym świecie rzadkością. Już tylko z tego powodu budziły uznanie.

– Ej, Poline, wszystko w porządku? – spytała Svenka, gdy towarzyszka odgryzła kęs słodkiego placka, którym podzieliły się we trzy. Poline do głębi przenikał żal z powodu chłopaka. Drżał w jej kościach i Skedi odczuwał go niczym ból. Piekącymi skrzydłami spróbował objąć jej kolory. Straciła kogoś. Dziecko. Dlatego tak ciężko zniosła jego śmierć.

To nie jest twoje dziecko, Poline, przemówił do niej Skedi siłą woli. To inny chłopak. Inne życie.

– Nic mi nie jest, Svenko, nie bądź wścibska. A ty jak?

Powiedz jej, że nie boli.

Svenka była cała obolała, a także zmęczona i zmarznięta, bo rosa osiadła na jej kołnierzu i mankietach, szczypiąc skórę.

– Nic się nie dzieje – skłamała rażno Svenka. – Dobrze, że nasza Haoirse mogła przejąć kontrolę na sytuacją. – Haoirse machnęła na nią ręką. Wszystkie trzy się rozpromieniły.

Skedi bardziej wysunął się z kryjówki, czując dreszcz władzy. Mógł zmieniać różne rzeczy po kawałeczku. Mógł zmieniać ludzi, cały ich gwar, ich dzikie pragnienia, mógł ich wzruszać. Skedi poczuł, że torba się unosi, i odwrócił się do Inary z triumfalną miną, lecz okazało się, że to veiga wzięła jego schowek. Cofnął się, ale zdążyła wcześniej mocno potrząsnąć torbą.

Uważaj, szkodniku. Opuściła gardę, żeby zwrócić się do niego tak mocnymi myślami, z tak gwałtownymi barwami, że Skedi poczuł, jak jego ciało się kurczy. Nie zdawał sobie sprawy, że urósł taki duży, jego poroże i zad aż naprężyły paski. Kissen rzuciła torbę do Inary, która złapała ją z zaskoczeniem.

– Pilnuj swoich rzeczy – warknęła veiga i odmaszerowała.

Nie ma za co, odparował do niej Skedi, ale zablokował go kamienny mur wrogości. Nie było dostępu do umysłu Kissen, nie istniał sposób, żeby ją zmienić. Nie była bezpieczna ani dla niego, ani dla Inary. Gdyby nawet udało mu się znaleźć sobie świątynię, to czy naprawdę mógł zostawić przyjaciółkę z tą nieuwważną morderczynią boskich istot? Co więcej, czy gdyby nie był już powiązany z Inarą, nadal mógłby uniknąć ostrej klingi veigi?

Skedi zatrzymał wzrok na mężczyźnie z mieczem. Kissen wprost nazwała go rycerzem i chociaż zaprzeczył, jego kolory mówiły co innego. Zazwyczaj były jednostajne, ale czasami trzaskały emocjami przypominającymi błyskawice przedzierające się przez chmury: wielkim bólem i wielkim żalem. Były potężne.

Skedi nie śmiałby myśleć o nim jak o rycerzu takim jak ci na drodze, ale widział, że ten próbował ich zatrzymać. Wyruszył do Blenradenu wbrew woli króla. Był też miłszy niż Kissen. Lepiej pasował do szlachetnie urodzonej dziewczynki. I znacznie lepiej pasował do boga niż veiga...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY



Kissen

TRZY DNI PÓŹNIEJ WCIAŻ ZNAJDOWALI SIĘ W GŁĘBI LASU, ale wspinali się wyżej, gramoląc na wilgotne zbocza nasiąknięte resztką wody z roztopów. Dni i noce stawały się chłodniejsze, a góry przed nimi coraz bliższe. Kissen była zaskoczona, choć wdzięczna, że ich chaotyczny korowód po zamęcie z pierwszej nocy wciąż pozostawał nietknięty. Za sprawą interwencji bożka albo czystego przypadku nie poddali się. Może Kissen nie doceniała ich szacunku wobec bogów. Przynajmniej nie widzieli już więcej demonów.

Kissen wierzyła w zbiegi okoliczności. Czasami wydarzenia następowały bez powodu albo dlatego, że ktoś gdzieś zrobił coś bardzo głupiego – zazwyczaj ktoś, kto miał więcej szlachetnej krwi i srebrnych monet niż rozumu. Niemniej jednak w jej opinii nie istniało coś takiego jak przeznaczenie i była dość szczęśliwa, mogąc rozwalać na strzępy wszelkie plany czynione przez bogów. Przeznaczenie było bajeczką i to gównianą. Niech lepiej się pieprzy i idzie zawracać głowę komuś innemu.

Ale nawet ona musiała przyznać, że zbiegi okoliczności są zbyt poważne i szybkie, żeby mogła je lekceważyć. Wodna bogini na odludziu szepcząca o upadku Middrenu, dziewczynka z rogatym kłamczuchem pojawiająca się przy jej stole, siedziba wielkiego rodu spalona na popiół, a teraz demon cienia, kłapiący w ich stronę kościanymi

zębami. To było coś więcej niż zbieg okoliczności – to był problem. Kissen postukała palcem zapieczętowaną fiolkę na swojej piersi.

A teraz najgorszy był ten rycerz. Podejrzewała, że nim jest, odkąd go tylko zobaczyła, a później doszło jeszcze wydawanie wszystkim poleceń i władanie mieczem. Jaki piekarz nosi miecz? Idiota. Jak mógł myśleć, że ktoś uwierzy w te bzdury? „Zaufajcie mi, jestem piekarzem, jestem przystojny i umiem piec chleb, a w dodatku wszystkim wokół rozkazuję. Powinniście mnie kochać”. Tkwiło jej to w gardle. Przynajmniej nie był zupełnie bezużyteczny. Umiał posługiwać się bronią. To więcej, niż mogła powiedzieć o większości rycerzy, jakich spotkała.

Wiedziała też, że teraz ją obserwuje, ponieważ także się domyślił, że ona nie jest osobą, za którą się podaje. W porządku. Jeśli ją sypnie, popamięta. Ale gdyby zaczął zwracać nadmierną uwagę na Inarę, Kissen zabrałaby Nogiego i dziewczynkę i wróciła prosto do Lesscji. Była na to gotowa, dlatego oszczędzała zwierzę, nie objuczając go zanadto. Widziała zbyt wiele koni zajechanych tak, jakby były przedmiotami jednorazowego użytku. Gdyby trzeba było uciekać, wierzchowiec będzie gotowy i wypoczęty.

W przeciwieństwie do Kissen, która była zmęczona i nadąsana. Lewa noga bolała ją tak, jakby trzymano ją w imadle, więc w nocy niewiele spała, zwłaszcza że jednym okiem wypatrywała stworów cienia, drugim obserwowała rycerza, a całą resztę zmysłów skupiała na roгатym bożku kłamstw, który snuł nitki wpływające na całą grupę. Zmieniał decyzje pielgrzymów, czuła to i wcale jej się to nie podobało. Był taki mały, że w każdej innej sytuacji zgmiotłaby go jak szczura.

Przynajmniej dawało się go przewidzieć. Demon cienia nie miał sensu. Mrok, krew i kość, nie powinno go tu być. Większość dzikich bogów jakoby nie żyła. To musiało być coś więcej niż przypadkowe zjawisko.

Niemniej jednak już zniknął. W tempie, w którym się poruszali, droga do Blenradenu musiała im zająć jeszcze dziewięć dni i w tym czasie zamierzała znaleźć sposób na oddzielenie bóstwa niewinnych kłamstewek od dziewczynki, a później pozostawienie go lub uśmiercenie. Zniknie wśród pyłu, tak jak reszta tej wojny.

Robili teraz trochę większe postępy, kierując się na północny wschód, i nie widzieli niemal nikogo. Kissen martwiła się, że Inarze będzie ciężko w podróży, zwłaszcza po ponurych zdarzeniach pierwszej nocy. Dziewczynka jednak spała głęboko i budziła się zdecydowana. Była odporniejsza, niż Kissen przypuszczała.

Była też nieznośnie ciekawska. Chciała wiedzieć wszystko o sztuce przetrwania w zielonej dzicy.

– Co to jest? – spytała, wskazując kępę żółtych kwiatów przy ich szlaku.

– Szryziele – odparła Kissen. – Można jeść liście, ale kwiaty robią ci kipisz w żołądku.

– A z czym można jeść liście?

– Ze wszystkim – wtrąciła się Svenka.

Kissen trzymała tylną gardę podczas wędrówki, starsze kobiety szły tuż przed nią. Lubiła Svenkę, która powiedziała jej, że wygląda zupełnie jak jej pierwsza żona i jest świetną zbieraczką. Haoirse i Poline też miały mocno praktyczne podejście do życia. Wspierały się nawzajem z miłością, która była bardziej długotrwała i głębsza niż zwykła romantyczna fascynacja. Tworzyły rodzinę w sytuacji, kiedy inni członkowie rodziny nie żyli albo po prostu odeszli. Zastanowiła się kiedyś, czy ona, Telle i Yatho też takie kiedyś będą. Była to jednak ulotna myśl. W jej branży mało kto dożywał starości.

– A te? – spytała Inara, wskazując krzew z dużymi liśćmi.

– Nie jedz ich – powiedziała Kissen.

– Dlaczego?

– Mają gówniany smak. Ale można w nich zapiekać inne rzeczy. Te liście są grube.

Berrick i Batseder podzielili się ostatnim ze swoich kleistych pierożków. Kissen zauważyła wcześniej, że nos piekarza-rycerza zadrgał, kiedy odgryzł kęs. Jaki surowy w osądach. Sama zjadła swoje ze smakiem, tak żeby widział.

– A tamte?

– Gryzą cię w rękę, jeśli zadajesz zbyt wiele pytań.

Inara wyciągnęła język i podniosła swoją torbę, a wtedy Kissen dostrzegła przez chwilę bystre oko Skediego. Na pewno się nudził. Był to parny, wilgotny dzień, tylko słaby wiatr działał trochę ożywczo. Oddalili się od strumienia i szli przez wietrzne wzgórze nad zalesioną doliną, z dala omijając wioskę, która znajdowała się w dole. Na dachach wszystkich domów leżały białe kamienie, chroniące strzechy przed wiatrem wiejącym z gór, i Kissen widziała wieśniaków, którzy klaskaniem płoszyli ptaki z pól, orali je i obsiewali. Zauważała dowody, że ludzie wchodzili czasami na górę: wstążki modlitewne wiszące na drzewach i świątynię boga pasterzy z ofiarami w postaci monet i suszonych słodyczy, przycupniętą tuż przy drodze. Rycerze nie zapuszczali się w głąb tych cichych okolic, żeby niszczyć ofiary, a żadna ze świątyni nie była na tyle potężna, żeby potrzebować bogobójcy. Kissen nie dotknęła ich, kiedy przechodzili obok. Nie było warto. Nie paliła modlitw ubogich dla zabawy.

Gdy weszli wyżej na wzgórze, drzewa rosły rzadziej w pobliżu skalnych zboczy i nie zapewniały żadnej ochrony przed wiatrem. Kierowali się na wschód, w stronę wysokich skalistych gór, wznoszących się ponad traktem. Kissen znała nazwy niektórych z nich. Mogli niezauważenie zejść z nich na wybrzeże. Inara z trudem szła

po nierównych kamienistych ścieżkach, była jednak zdeterminowana, żeby nadążyć. Nogi również nie był zadowolony z nawierzchni, co jakiś czas się potykał, i wtedy to Kissen stawiała się jego podparciem. Jon posyłał jemu i Kissen zirytowane spojrzenia za każdym razem, gdy koń wydał z siebie choćby najcichsze rzenie, ale nawet jeśli wieśniacy poniżej dostrzegli ich przemarsz, nie podjęli żadnej próby, żeby ich zatrzymać.

Tej nocy w końcu zatrzymali się w zakątku doliny nad rzeką Arrenon, której nazwę zmieniono na cześć ich miłościwego króla. Co za nadęty palant.

Przystanęli wśród westchnień ulgi. Jon natychmiast zaczął układać kamienie. Robił to każdej nocy. Jeśli Kissen właściwie oceniała ich położenie, znajdowali się niedaleko wodospadów Gefyrtonu, słynnego miasta mostów – dzielił ich od niego może dzień marszu. Wieczorem wciąż było dużo światła i młode zielone pędy wokół nich jaśniały nowym życiem. Ale choć wyglądało to ślicznie, wiosna była czasem dzikich bogów i z tego powodu Kissen się denerwowała. Dzicy bogowie byli często nad wyraz starzy, a ich pierwsze świątynie, pogrzebane pod ziemią i kamieniami, dawno popadły w zapomnienie. Trudno ich było zabić, a jeśli już się udało, jeszcze trudniej było dopilnować, żeby pozostali martwi.

– Woda jest zbyt wezbrana i wartka, żeby łowić ryby bez sieci – oznajmiła Poline, siadając ciężko na brzegu i patrząc na rzekę, którą spływała woda z roztopów. Za nią Kissen zauważyła niewielką łódź, ukrytą pod zwieszającymi się krzewami. Nie miała wiosel i była przymocowana do brzegu łańcuchem.

– Mogę zrobić pułapki – powiedziała Batseder – ale to nic pewnego. Możemy nic nie złowić aż do rana.

– Ach, to by za długo trwało – stwierdziła Haoirse.

– Canovan powiedział, że wszyscy muszą być gotowi, żeby samodzielnie łowić sobie zdobycz – przypomniał im Jon, przerywając swoje modły. W poprzednie wieczory na ogół dzielili się jedzeniem, bo nikt nie chciał się zapuszczać do lasu na polowanie, ale zapasy świeżej żywności zaczęły się kurczyć.

Svenka, Poline i Haoirse popatrzyły po sobie, a znały się tak dobrze, że rozumiały się bez słów.

– Ja umiem polować – oświadczyła Kissen, czując ulgę, że może nieco oddalić się od grupy. Nie bez powodu wolała podróżować sama. Ludzie w większości mocno działali jej na nerwy. – Roi się tutaj od królików. Chodź, Tethis, pora, żebyś się nauczyła, jak się wyżywić.

Inara przełknęła ślinę.

– Ja... ja nie... – Wyglądała, jakby zrobiło jej się słabo. – Nie umiałabym zastrzelić królika.

- Ale zjeść to byś zjadła, co?
- No... tak, ale...
- Więc musisz z tym żyć. Wiedza o roślinach to nie wszystko.

Svenka stłumiła śmiech, a Kissen była zaskoczona, że Inara już się nie sprzeciwia. Z juków przy siodle Nogiego wyjęła łuk, a następnie woreczek, w którym trzymała cięciwę, żeby chronić ją przed wilgocią. Nogi nachylił się do Inary, trącając chrapami jej torbę, jakby spodziewał się jabłka. Ku zaskoczeniu Kissen owoc się pojawił, być może podany porożem Skediego. Bez zdziwienia czy słowa komentarza Inara podała jabłko koniowi, który chwycił je ochoczo. Zdrajca.

– Używałaś już wcześniej łuku? – spytała Kissen, nie zważając na to, co właśnie widziała, i zaczepiając cięciwę na czubku łączyśka. Nie podobała jej się łagodniejsza strona Skediego, ale nie mogła przecież żałować rumakowi jabłka. – Jesteś pewnie za mała, żeby naciągnąć ten.

Inara prychnęła i wzięła łuk, zadzierając nos do góry. Odpięła cięciwę z górnej części łączyśka, przywiązała ją do dolnej i naprężyła, ciągnąc za górne ramię łuku, żeby go zgąć. Kissen patrzyła ze skrzyżowanymi ramionami. Inara próbowała wygiąć broń całym swoim ciężarem, z wysiłku aż nabrała rumieńców.

– Au! – Łuk wyśliznął jej się z dłoni i spadł na wilgotne poszycie.

– Pierwsza lekcja – powiedziała Kissen, podnosząc broń. – Nie miej zbyt wysokiego mniemania o sobie.

Batseder roześmiała się, ale pokręciła głową.

– Dobrze, że przynajmniej spróbowałaś – rzucił Berrick.

– Ale już nie tak dobrze, że masz więcej dumy niż rozumu – powiedziała Kissen, nakładając cięciwę na łuk, który następnie podała Inarze, żeby go niosła. Tak mówiła matka do niej i jej braci, kiedy arogancja przesłaniała im zdrowy rozsądek. Dziewczynka rozcierała obolałe palce.

– Nie jesteś trochę za ostra, jak na ochroniarkę? – odezwał się Jon. – Czy to nie ona cię zatrudnia?

Inara i Kissen zamarły. Elo popatrzył w ich stronę z podejrzliwością w ciemnych oczach.

– Jej ojciec chce, żeby była przygotowana do podróży – powiedziała Kissen, a kłamstwo gładko przeszło jej przez usta. Normalnie nie zwracałaby sobie tym głowy, ale chodziło o Inarę. – Więc jeśli wolałbyś świeże mięso od swojej suszonej padliny, zachowaj komentarze dla siebie.

Jon wzruszył ramionami i wrócił do układania kamieni.

O, czyli teraz nie masz nic przeciwko małemu kłamstwu? Głos Skediego wwiercił się bez ostrzeżenia w jej umysł, a Inara posłała jej beznamiętne spojrzenie, jakby miała

ochotę powiedzieć: „Widzisz?”.

Zjeżdżaj, odparowała Kissen.

Poprowadziła Inarę w górę rzeki, na zawietrzną, wypatrując w ciernistych zaroślach potencjalnych ścieżek królików.

– Nie wiem, dlaczego muszę się tego uczyć – powiedziała Inara, która nabrała śmiałości, gdy gwar głosów innych podróżnych ucichł w oddali, zagłuszony przez wiatr i szum rzeki.

Kissen nie była pewna, co powiedzieć. Że została sama na świecie? Że chce, żeby Inara posiadała umiejętności, na których sama polegała, żeby przetrwać?

– Nie wiemy, jak będzie dalej wyglądało twoje życie – odparła krótko. – Tutaj, królicza ścieżka przy strumyku.

Inara ucichła, podążając wzrokiem za jej wyciągniętym palcem ku strumykowi, który zasilał rzekę.

– Musimy trzymać się od zawietrznej względem zdobyczy, bo inaczej wyczują nasz zapach – powiedziała Kissen. – Podążamy naturalnymi drogami, widzisz. Myśl jak one i sprawdź, dokąd mogą wędrować: do wody albo do kryjówki. Zwierzęta żyjące w norach lubią uciekać, ale jeszcze bardziej lubią się chować. Myślą, że jeśli zastygną bez ruchu, to ich nie zobaczymy.

Najlepsza dla królików trawa i krzaki rosły w blasku słońca, więc Kissen nie zdziwiła się, kiedy ścieżka doprowadziła je na niewielką polanę. Inara stąpała wystarczająco cicho, a Kissen gestem pokazała, żeby dziewczyna zatrzymała się obok niej.

– Widzisz zająca? – spytała Kissen, nie podnosząc głosu. Zwierzę mimo wszystko wyczuło je i zamarło. Przycupnęło przy kępie trawy i zielonych pędów. – Są szczęśliwsze na otwartej przestrzeni. Dziwię się, że spotykamy go w tak gęstym lesie. To by znaczyło, że niedaleko są pola. Widzisz krzywiznę jego grzbietu? Uszy ma jak liście, ale grzbiet go zdradza.

– Wydaje się przestraszony – szepnęła Inara.

– To prawda – potwierdziła Kissen, zdejmując z pleców łuk, powoli, żeby nie spłoszyć zwierzęcia. – Wie, że w tej chwili toczy się gra o życie. – Nałożyła strzałę na cięciwę, pogładziła lotki, naciągnęła.

Puściła. Strzała świsnęła. Zając poruszył się o chwilę za późno. Grot trafił go w pierś, przerywając skok. Raz wierzgnął łapami i było po nim. Stworzenia ukryte w poszyciu, których nie widziała, w tym jeden albo dwa mniejsze króliki, rozpierchły się.

Inara przełknęła ślinę.

– Strzelałam do jabłek – powiedziała. – To cele, ale nie żywe istoty. Zdecydowanie nie istoty, które wyglądają jak Skedi.

Kissen zorientowała się, że bożek wdrapał się dziewczynce na ramię, prostując skrzydła w powietrzu popołudnia. Już się nie obawiał, że go zabije, i to jej się nie podobało.

– Nigdy nie spotkałam stworzenia, które nie czułoby bólu – powiedziała Kissen, wstając. – Nie różnimy się od nich. Nawet ludzie zjadają się nawzajem, żeby przeżyć. – Podeszła do zabitego zająca i wyjęła strzałę, po czym wytarła ją o trawę, a następnie o swoje spodnie. Inara patrzyła na nią ze skierowanymi w dół kącikami ust. Kissen podniosła zająca, który wciąż był ciepły. Trochę krwawił, a ona obróciła go i związała razem jego tylne łapy, a później przywiązała go sobie do pasa. – Ból to część życia – stwierdziła.

Pierwszy raz od dłuższego czasu Kissen zobaczyła oczyma wyobraźni swojego ojca. Dał jej życie, a także cały ból, który się z nim wiązał.

– No dobrze – powiedziała Inara nadąsanym tonem – skończyliśmy już lekcję zabijania?

Kissen uśmiechnęła się.

– Nie. – Wytarła cięciwę szmatką i podała łuk. – Teraz twoja kolej.

Wprowadziła dziewczynkę głębiej między drzewa, zmierzając ścieżką do terenu, gdzie powietrze było gęstsze i ciche. Po drodze Kissen zbierała grzyby i liście, dokładając je do torby Skediego, podczas gdy bożek, skurczony do wielkości jaskółki, fruwał wokół głowy Inary.

W końcu natrafiły na spokojny staw pod zwieszającymi się nisko gałęziami. Trzy króliki czmychnęły przez trawę, ale pozostałe zamarły. *Czekaj*, poleciła Kissen Inarze na migi. Króliki znowu zaczęły się poruszać. Chwila, w której się bały, minęła niczym podmuch wiatru.

Kissen powoli wyciągnęła strzałę i podała ją Inarze, która z westchnieniem nałożyła ją na cięciwę. Dobrze naciągnęła łuk, trzymając go nawet lepiej niż Kissen. Jej ramię i łokieć tworzyły prostą linię, kłykcie dotykały kącika ust.

– Te nieruchome wiedzą, że tu jesteśmy – mruknęła Kissen.

– Muszę? – spytała Inara, trzymając cięciwę tak naprężoną, że ta niemal zaczęła śpiewać.

– Nie, nie musisz – odparła Kissen. – Sama dokonujesz wyborów, *liln*, nie będę ich podejmować za ciebie.

Inara przełknęła ślinę, jeszcze mocniej napięła łuk i wypuściła strzałę. Grot przebił gardło królika, uśmiercając go na miejscu. Strzeliła lepiej niż Kissen. Reszta zwierząt uciekła. Skedi, który siedział na gałęzi obok Inary, opadł na jej ramię i spiorunował Kissen wzrokiem. Zignorowała go.

– Dobra śmierć – powiedziała, sama zaskoczona dumą, którą teraz czuła. – Świetnie się spisałaś, urodzona z ciebie łowczyni.

Ogień w obozowisku płonął jasno, mimo że słońce wciąż nie zaszło. Bożek znowu się schował, a Elo ugniatał w rękach ciasto, szykując się do rozgrzania go na płaskim kamieniu pokrytym matą, którą posmarował olejem. Z prawdziwym oddaniem odgrywał rolę piekarza, a nie lada wysiłkiem było dźwiganie mąki, oleju i drożdży podczas długiej wędrówki. Kissen zauważyła, że Berrick patrzy na to z fascynacją.

– Jutro przepłyniemy łodzią rzekę – powiedział Jon, gdy dołączyły do reszty. – Przewoźnik zobaczy ogień i o świcie przyjdzie z kluczem do łańcucha. Później zaczniemy się wspinać na górę Tala. – Wskazał ośnieżony szczyt na wschód od nich.

Hairse wzięła zdobycz od Inary.

– Dobre łowy – powiedziała, oglądając zwierzynę.

Upolowały w sumie pięć królików i zajęcy. Inara zarumieniła się z dumy i wykonawszy taneczny krok, dołączyła do starszej kobiety oraz do Kissen nad rzeką. Kissen wyciągnęła nóż i dwoma sprawnymi ruchami oskórowała jednego zajaca – cięcie przez grzbiet i wokół szyi, a później silne szarpnięcie.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – spytała Inara, wyraźnie odczuwając w równym stopniu obrzydzenie, co fascynację.

– Od mężczyzny imieniem Pato. Byłam jego uczennicą – wyjaśniła veiga. Zastanawiała się, jak ten stary cap potraktowałby Skediego. Załatwiłby go raz-dwa, tak brzmiała pierwsza odpowiedź, jaka przyszła jej do głowy. – Skóra zostaje cała, żeby można ją było wysuszyć i wykorzystać futro. „Nic się nie marnuje” to motto myśliwego.

Hairse miała z królikiem nieco więcej pracy. Postawiła na schludniejszy sposób, polegający na odrywaniu skóry po kawałku.

– A ile trwa suszenie? – spytała Inara, gdy Hairse płukała skórę w wodzie.

– Dwa, trzy dni – odparła kobieta i położyła króliczą skórę na brzegu, po czym wzięła zajęczą z rąk Kissen. Miała opuchnięte kłykciki, popękane od zimnego wiatru. – Później potrzeba trochę czasu na garbowanie. Dobrze się do tego nadają ich mózdzki. Albo żółtka jajek. Spytaj Batseder.

– Większość wędrownych garbarzy wozi ze sobą kury – zgodziła się Batseder, która przysłuchiwała się ich rozmowie znad kotła, w którym mieszała. – Chociaż moja rodzina pracuje głównie ze skórami bydlęcymi. Właśnie dzięki temu poznałam pewnego szewca. – Uśmiechnęła się do męża, a Inara usiadła przy niej i podała grzyby zebrane ze spróchniałego drzewa. – Także dlatego mój ojciec go lubi – dodała Batseder.

– Nie ma butów bez skóry – powiedział Berrick, a ona się roześmiała.

Zasiedli do gulaszu z dziczyzny, grzybów i lekko wyrośniętych podpłomyków, które przygotował Elo. Kissen podejrzliwie rozerwała swój, ale kiedy ugryzła, stwierdziła, że to najlżejsze, najpyszniejsze pieczywo, jakiego kiedykolwiek próbowała.

– Ty je zrobiłeś? – zwróciła się do Elo, który z irytacją przewrócił oczami.

– Mówiłem ci – odparł. – Jestem piekarzem. Oczywiście, że ja.

Były zdecydowanie lepsze niż kleiste pierogi, które Berrick uparł się ugotować w kotle. Jon, skrzępowany nieco, puścił nawet w obieg swój zapas curlijskiego wina, który uszczuplał wcześniej każdego wieczoru, kiedy sądził, że nikt nie patrzy.

– Jest zupełnie inaczej, niż kiedy byliśmy małe – odezwała się w pewnej chwili Poline, ogryzając mięso z kości. – W każdym mieście witano pielgrzymkę niewielką paradą i wyciągali od uczestników srebro za kubek wody.

– Ach, to były dobre czasy – powiedział Jon, promieniejąc pod swoją brodą, którą w zamyśleniu zaplatał.

– Pewnie trochę tego srebra trafiało do ciebie – wtrąciła Haoirse.

Wzruszył ramionami.

– Przeszedłem ze wschodniego skraju Talicji prosto przez góry do Middrenu – powiedział, dotykając swoich cynowych medalików. – Statkami dopłynąłem do Irisji, Usicu, Restishu, Pinetu i Curliu i po nich także wędrowałem. Ale nigdzie nie było jak w Middrenie. Mnóstwo opowieści, lekkomyślność bogów i to, co ci dawali. Wielopoziomowe, obszerne świątynie, gdy docierało się do Blenradenu. Co za miasto.

– Potoczył po nich wzrokiem. – Ktoś z was tam był? Przed wojną?

– Nigdy – odparła Batseder. – Moja matka się bała.

– Jak wiele ciasnych umysłów – powiedział Jon. – Bez urazy, moja droga.

Batseder uniosła brwi.

– Mam nadzieję, że mimo wszystko pozwolisz mi na urazę.

– Było tam pełno złodziei i szalonych bóstw – wtrącił Berrick, wspierając ją.

Jon cmoknął.

– Na każdym rogu bóg albo modlitwa – powiedział, kierując wzrok na drzewa, jakby wciąż to wszystko widział. – Świątynka pełna błyskotek. Bogowie zgubionych kolczyków, pękniętych sandałów, bicia monet, kieszonkowców i tkaczy. – Uśmiechnął się do Kissen. – Pamiętasz, prawda, Enno? Twoja podopieczna mówiła, że jesteś stamtąd.

– Batseder ma rację – odrzekła Kissen. – To było miasto złodziei, szalonych bogów i jeszcze gorszych ludzi. Kobieta, która mnie tam trzymała, żyła z tego.

– Czy to była Maimee? – spytała niewinnie Inara, zanurzając swój podpłomyk w gulaszu. Kissen skrzywiła się.

– Maimee? – powtórzył Jon, a jego spojrzenie stało się surowsze. – Byłaś jedną z podopiecznych tej wiedźmy?

– Nie mów źle o wiedźmach – odezwała się Svenka.

– Czy ona jeszcze żyje?

Kissen spochmurniała.

– Mam nadzieję, że nie.

Poline wbiła w nią wzrok.

– Jak można tak mówić?

– Przyjmowała do siebie bękarty, kaleki i podrzutki – powiedział Jon, taksując Kissen od stóp do głów spojrzeniem, które jej się nie podobało, jakby się zastanawiał, jaka cela byłaby dla niej odpowiednia. – Kazała im dręczyć moich pielgrzymów i wyciągać od nich monety i ofiary. Cholerne gnojki. Parę razy miałem później rozciętą kieszeń, mimo że zapłaciłem im, żeby dały mi spokój.

– Najwidoczniej powinienesz być lepiej pilnować kieszeni – skwitowała Kissen.

Svenka wtrąciła się, zanim Jon zdążył się zjeżyć.

– Byłam w Blenradenie więcej niż raz i ludzie byli tam bardziej szaleni i małostkowi niż bogowie.

– W takim razie po co tam wracasz? – spytał Jon. Od śmierci Mikle’a zrobił się drażliwy.

Svenka popatrzyła na swoje towarzyszki. Haoirse bawiła się swoimi bransoletkami, a Poline oblała się rumieńcem.

– Bo możemy nie mieć więcej okazji – odparła. – W Middrenie zostało niewielu bogów, którzy mogliby wysłuchać naszej prośby.

Berrick odwrócił się w ich stronę, nadstawiając uszu na plotki. Kissen była przekonana, że kiedy ktoś kupował od niego parę butów, dostawał dodatkowo cały worek opowieści.

– Co to za prośba?

– O śmierć – odrzekła Haoirse bez ogródek. – Wspólną. Bezbolesną. We śnie.

Inara zakrztusiła się.

– Co? Dlaczego?

– Bo nasze dzieci i krewni dawno wyjechali albo nie żyją – wyjaśniła Poline. Wydawała się smutna. – Nie chcemy zostać rozdzielone i zapomniane. Żadna z nas nie chce tu trwać, kiedy inna już odejdzie. – Westchnęła. – Mój jedyny syn pognał na wojnę do Blenradenu. Zginął samotnie, z dala od bliskich, tak jak Mikle. – Svenka wyciągnęła rękę, by dotknąć jej dłoni. – Haoirse ruszyła go szukać, ale dane jej było jedynie trzymać za ręce stu rycerzy, gdy wydawali ostatnie tchnienie. Później choroby,

rozniesione z miasta, kiedy ludzie uciekali, zabrały siostry Svenki. Widziałyśmy kilka dobrych śmierci. Pragniemy same o taką poprosić.

Kissen spojrzała na Elo. Dłonie mu lekko drżały, kiedy w skupieniu wpatrywał się w ogień.

– Co można w ogóle ofiarować za taki dar? – spytała. – Dary bogów nie są darmowe.

– Wiesz to z własnego doświadczenia, prawda? – powiedziała Haoirse. Kissen nie powinna była otwierać ust. Haoirse dotknęła jej policzka, wskazując bliznę, ale Kissen czuła dar Osidisena na swojej piersi. – To klątwa, prawda? Złamana.

– Nigdy wcześniej nie widziałem klątwy – odezwał się Berrick, nachylając się w przód z zainteresowaniem.

– Miałam ciekawe życie – powiedziała chłodno Kissen, licząc, że tym razem nie wzbudzi podejrzeń Jona. Ani też tego piekarza.

Słońce, które opadało nad rzeką, ledwie już wystawało ponad horyzont, a każdy fragment jego tarczy, który się skrywał, zabierał ze sobą kolejną część ciepła.

Kissen poczuła to, gdy światło przesunęło się po wzgórzach. Zmiana w powietrzu niczym muśnięcie jej skóry, po której przeszedł dreszcz. Później pojawił się zapach: ziemia, mech i krew. Zerwała się na nogi i wyciągnęła miecz.

– Co? – Jon także powstał. Z mroku wśród drzew, którego nie dotykało już słońce, wypłynął cień na zwierzęcych łapach. Nie, tym razem nie jeden. Dwa. – Na wszystkich pieprzonych bogów – syknął Jon. – Znowu.

Białe zęby, połyskujące oczy, białe kły. Ciemność i kości. Rycerz ostrożnie podźwignął się na nogi, Kissen wzięła głęboki wdech. Odór krwi ciążył jej na języku, przynosząc wspomnienia gorącego mięsa i ognia.

Bestie uderzyły jednocześnie, rozbijając krąg Jona. Nie był dość mocny, żeby powstrzymać dwa potwory. Kissen zablokowała jednego mieczem, przerywając jego szarżę, drugi ruszył na Elo. Kissen machnęła klingą, zmuszając pierwszego, żeby się cofnął, i korzystając z tej okazji, podciągnęła Inarę i pomogła jej wstać.

– Biegnij do Nogiego! – poleciła. – Uspokój go!

Koń wpadł w panikę i lada chwila mógł rzucić się do ucieczki. Inara chwyciła wodze, a zwierzę omal nie poderwało jej w górę, stając dęba. Svenka rzuciła jej się na pomoc, a Berrick macał wokół siebie w poszukiwaniu kamienia lub gałęzi. Znalazł jakieś polano, nie najlepiej więc trafił, i wzniosł je nad głowę. Haoirse próbowała podnieść się z ziemi i Batseder przyskoczyła do niej, by podciągnąć ją na nogi.

Bestia powaliła Kissen, nurkując poniżej gardy i w ten sposób unikając zderzenia z mieczem. Pazurami zaczęła jej zbroję, pociągnęła go więc za sobą, sięgając w głąb płaszcza po pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w rękę: błogosławiony popiół ze świątyni

Ennerast. Rozbiła flakon o pysk stwora. To, co byłoby darem dla przywołanej wodnej istoty, na niego podziałało jak kwas. Zaskrzeczał, przebijając pazurami jej napierśnik.

– Idźcie do wody – zawołała Kissen – wszyscy! Może tam za wami nie pogonią. To stworzenia związane z ziemią.

– Za głęboko! – odparł Jon. Drugi stwór, który walczył z Elo, ruszył za zapachem popiołu. Kwas czy nie kwas, miał woń władzy.

– Wejdźcie na łódź, do licha! – krzyknęła Kissen, cofając się, kiedy pierwsza bestia się otrząsnęła i obie zwróciły się w jej stronę. – Inara, do łodzi! Zostaw Nogiego!

Nie nazwała jej Tethis. Użyła prawdziwego imienia dziewczynki. Cóż, za późno. Nie była stworzona do kłamania. Od tego, którego poparzyła, oderwał się kawał mrocznego ciała, odsłaniając kostne zęby, błyszczące bielą w postrzępionym uśmiechu.

– Piekarczy, chodź tutaj.

Elo przyskoczył do jej boku.

– W jaki sposób podążał za nami? Dlaczego są dwa?

– Żebym to ja wiedziała – warknęła Kissen.

Jon i Poline wciągali łódź na wodę tak daleko, jak tylko pozwalał na to łańcuch. Batseder, Berrick i Haoirse próbowali pozbierać swoje rzeczy, cofając się do brzegu. Nogi był przestraszony. Parsknął głośno, próbując wyrwać się Svence, i ten dźwięk odwrócił uwagę bestii cienia. Kissen wykorzystała tę chwilę do ataku. Bestie wierzgnęły i rozdzieliły się, szybkie jak podmuch powietrza, jedna ruszyła prosto na Inarę. Kissen rzuciła nożem i trafiła stwora w tylną nogę. Wrzasnął, kierując szarżę na Haoirse, Batseder i Berricka. Berrick wystąpił naprzód, trzymając swoje polano przed Haoirse i Batseder. Kolana mu się trzęsły.

– Nie rób tego! – zawołała Batseder, a Haoirse wydała ostrzegawczy okrzyk. Odepchnęła Berricka i zęby bestii wbiły się w jej bok.

Svenka krzyknęła, puściła Nogiego i rzuciła się biegiem w jej stronę. Poline porzuciła łódź, ale potknęła się w rzeczonym nurcie i omal nie przewróciła. Berrick złapał równowagę i machnął polanem, co nie przyniosło żadnego efektu, bo drewno przemknęło przez cień stwora niczym podmuch.

Kissen wyciągnęła drugi ze swoich brydzytowych noży i rzuciła, przebijając kark cienia. Stwór był jak dziki pies, atakował wszystko, co się ruszało. Zostawił Haoirse, aby bezpośrednio zmierzyć się z Kissen. Przerwała jego atak uderzeniem miecza i zwała go z nóg, zadając mu powierzchowną ranę, dzięki czemu Berrick i Batseder mieli chwilę, żeby podnieść Haoirse, która dyszała z bólu.

– Razem, Haoirse! – krzyknęła Poline, próbując przedostać się w stronę brzegu i zmagając się z nurtem. – To ma być razem!

– Kissen! – wrzasnęła Inara, wciąż trzymając się Nogiego i w panice zapominając o ich fałszywych tożsamościach. To nie miało znaczenia. Liczyło się tylko jej bezpieczeństwo.

– Zostaw go teraz, Inaro! Wsiadaj do łodzi!

Bestia kłapnęła w stronę Kissen zakrwawionymi zębami. Zatrzymała je swoją klingą. Rycerz spychał drugą bestię w tył, dając pielgrzymom czas.

– Berrick! – zawołał, zadając cios. Berrick dotarł do łodzi. – Jest za gorąca!

– Co? – odkrzyknął tamten. – Chodź do łodzi, piekarzu, uciekaj!

– Przekłęta woda jest za gorąca do pierogów! – ryknął piekarz-rycerz i wydawało się, że mu ulżyło, gdy zrzucił z piersi ten ciężar. – Robią się kleiste! Następnym razem ją wystudź!

– W takim momencie, stuknięty durniu? – wydarła się Kissen. – Inara, teraz!

– A co z tobą? – spytała dziewczynka. – Co z Nogim?

– Mogę je powstrzymać, a Nogi sam o siebie zadba. Idź tam, gdzie jest bezpiecznie. To rozkaz.

Jon pokazał charakter i wygramolił się na brzeg, aby pomóc Hairose i Svence wejść do wody. Batseder wskoczyła do łodzi i pomogła wciągnąć Hairose. Jej głowa odchyłała się pod budzącym strach kątem. Berrick pomógł przedostać się nad burtą Poline, a następnie Svence, która szlochała ze współczuciem.

Inara nie puściła konia. Jon próbował odpłynąć, zrywając kłódkę, a nurt już ciągnął ich w dół rzeki. Bez Inary. Kissen warknęła i włożyła całą swoją siłę w cios mieczem, odrzucając bestię w bok. Pobiegła do dziewczynki, wbrew wszelkim instynktom odwracając się plecami do stwora, podczas gdy Jon zmagał się z zamkiem. Złapała małą z zamiarem rzucenia jej bez ceregieli na łódź. Batseder wstała i rozłożyła ręce, chcąc ją złapać. Łańcuch był już odblokowany.

Inara podniosła ręce, broniąc się rozpaczliwie.

– Obiecałaś! – krzyknęła. W tej samej chwili Skediceth wyskoczył z torby i zamachał skrzydłami przed twarzą Kissen, naładowany energią emocji Inary. Kissen plasnęła go dłonią, odrzucając w bok, ale nie wyrządziła mu tym krzywdy. Znowu poderwał się w powietrze i bronił Inary.

– Wynoś się, pasożycie! – warknęła Kissen. Istota cienia, którą wcześniej odepchnęła, odzyskała równowagę i ruszyła biegiem w ich stronę.

Elo rzucił się naprzód i płynnym uderzeniem przebił łeb stwora, a później serce. Bestia rozplynęła się, rozwiała. Druga przypuściła szarżę z nieludzkim rykiem, ale Elo był gotowy, mocno stał na nogach. Ciął mieczem na wprost, przez pazury, zęby i pierś, rozszarpując cień na strzępy.

Kissen odwróciła się z powrotem do wody, ale łódź odpłynęła już zbyt daleko. Batseder patrzyła w tył, na nich, z ustami szeroko otwartymi na widok bożka, który pojawił się nad głową Inary. Zanim zdołała o cokolwiek spytać, nurt ściągnął łódź na środek rzeki i porwał ją ze sobą. Zostali sami.

Kissen doskoczyła do Inary.

– Co ci odbiło?

– A co miałabym zrobić potem, po wyjściu z łodzi? – warknęła dziewczynka. – Znaleźć kogoś innego, kto zaprowadzi mnie i boga niewinnych kłamstewek do martwego miasta?

Kissen wydeła wargi.

– Mogłaś zginąć – powiedziała. – Te bestie podążają za nami.

– Obiecałaś – odparła Inara z goryczą, nieco chrapliwym głosem. – Obiecałaś, że mnie nie porzucisz.

Kissen na chwilę odebrało mowę.

– Nie chciałam cię porzucić, ty niewdzięczna łajzo – warknęła. – Próbowałam ocalić ci życie. Co miałabym zrobić, gdyby cię zabiły, co?

– Możesz sobie wrócić do swojego głupiego życia! – wykrzyknęła Inara. – Ale co ze mną? Nie mam do czego wracać. Co mam robić sama?

– Nie jesteś sama – zaproponował Skediceth, przysiadając jej na ramieniu.

– Jeśli się dowiem, że to ty skłoniłeś ją do pozostania... – warknęła Kissen. Skedi zatrzepotał skrzydłami.

– To co, zabijesz mnie? Ta groźba robi się już trochę nudna.

Kissen usłyszała za sobą uprzejme chrząknięcie. Obrócili się w stronę źródła dźwięku. Nie byli sami. Wciąż był z nimi Elo.

– Jak rozumiem – powiedział – wcale nie przekwalifikowałaś się na ochroniarkę, bogobójczyni Kissen.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY



Elogast

JAK MÓGŁ TEGO NIE DOSTRZEC, KIEDY TYLKO NA NIĄ SPOJRZAŁ? To, jak się poruszała, lekko preferując jedną stronę. Jej rudawe włosy i uśmiech, jakby warczała. W Middrenie mieszkało nie tak znowu wiele jednonogich Talicjanek. Tylko jedna z nich wślawiła się podczas wojny jako veiga. Sam sprawdzał, jak nazywają się ochotnicy, kiedy tak rozpaczliwie szukali żołnierzy. Kissen.

I była tam, nie tylko podczas ataku, który pokonał dzikich bogów, ale i później, tej nocy, o której starał się nie myśleć. To, jak się trzymała, zasypywana jego rozkazami, podczas gdy inni trzęśli się i pocili. Teraz przypominał sobie to, co dawno pogrzebał w niepamięci. Zauważył wówczas, jak ledwie patrzy na Arrena, kiedy następcą tronu dodawał im otuchy, zdeterminowany, żeby walczyć u ich boku przeciwko dawnemu sojusznikowi, bogowi wojny. Bogobójczyni Kissen należała do tych nielicznych, którzy nie lękali się stawiać czoła bogom ani śmierci. Jej oczy mówiły: „Pierdol się”.

Teraz z bardzo podobnym wyrazem twarzy taksowała go wzrokiem od stóp do głów.

– Byłem tam podczas bitwy z Mertaghiem – powiedział Elo. – Wydawałem rozkazy veigom. Widziałem, jak wraz z pozostałymi pokonałaś boga wojny.

Z bólem przychodziły mu te słowa, wspomnienie, jak bogobójcy uratowali mu życie, a bóstwo ocaliło Arrena; on z niczym sobie nie poradził.

Usta Kissen wykrzywiły się w grymasie obrzydzenia.

– Oż kurwa. Wiedziałam, że byłeś rycerzem. Co zrobiłeś, zesrałeś się w portki, zwróciłeś się przeciwko przyjaciołom czy uciekłeś?

Co za tupet.

– Nic z tych rzeczy – odparł beznamiętnie Elo.

Wielu to zrobiło, wśród czerni i chaosu boskiej wściekłości. Miała rację. Najwyraźniej go nie pamiętała. Uświadomił sobie, że czuje lekkie rozczarowanie. Nosił wówczas hełm, może to dlatego.

– No, król i połowa mędrców podkulili ogony, więc to sensowne pytanie – stwierdziła Kissen, spoglądając na jego miecz.

Elo się zjeżył.

– Król był ranny... – Powstrzymał się. – Dlatego jesteś na niego taka cięta?

– Nie jestem. Uważałam, że to dla niego znacznie mądrzejszy wybór schować się, zważywszy, że pozostał przy życiu jako ostatni z potomstwa swojej matki. Nie mogłeś być szczególnie dobrym rycerzem, skoro połowa z nich zginęła, a teraz jesteś piekarzem.

Prowokowała go. Zrobiła krok naprzód, próbując zasłonić dziewczynkę, która wciąż trzymała konia, a bożek, wyraźnie mający własne zdanie, siedział jej na głowie.

– Ta dziewczynka nie jest z tobą bezpieczna, veigo.

– Dlaczego tak mówisz? – Uśmiechnęła się i jej złoty ząb błysnął w blasku ognia.

Elo nie opuścił klingi. Nie potrafił przewidzieć jej ruchów. Równie dobrze mogła się na niego rzucić, jak schować miecz.

– Zaatakowały nas demony dymu...

– Demony cienia.

– Nie przychodzi mi do głowy powód, który mógł je do nas przyciągnąć, inny niż klątwa, taka jak na twojej twarzy.

Veiga roześmiała się.

– Biała klątwa jest martwa, a martwa klątwa nic nie robi – powiedziała. – Wiedziałabym, gdybym je przywabiała, rycerzu.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? – spytał.

– Bo wiem, o czym mówię. Można by się spodziewać, że ktoś, kto zarabia na życie zabijaniem bogów, ma jakieś pojęcie o tym, czy nosi klątwę, czy nie. Sprawdzałeś własną skórę pod kątem znamion klątwy?

– Od lat nie mam kontaktu z nikim z dawnych znajomych – odrzekł Elo. Klątwa wymagała dużej mocy, trzeba było kogoś naprawdę nienawidzić, żeby podjąć próbę jej rzucenia. Należało ofiarować bóstwu przynajmniej palec, własny dom albo dożywotnią służbę. Nikt aż tak o niego nie dbał, żeby paść podobną nienawiścią.

Elo dopiero po chwili zorientował się, że mina veigi wyraża rodzaj podszytego rozbawieniem współczucia. Nie bała się go. Bożek zeskoczył na dłoń dziewczynki, wbijając w niego spojrzenie.

– No cóż – powiedziała Kissen – to po prostu smutne.

Elo warknął. Nie o to mu chodziło. Mała zasłoniła usta, żeby stłumić śmiech.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś przeklął Jona – powiedziała Kissen, patrząc na rzekę. Ich towarzysze dawno zniknęli w oddali. – Mnie nieźle wkurzył. Jeśli tak, nie oceniam ich szans zbyt wysoko.

– Kissen – ofuknęła ją dziewczynka. Inara, tak zwróciła się do niej Kissen.

– Mam zły nastrój – powiedziała veiga na swoje usprawiedliwienie. Popatrzyła na Elo. – No to możesz spadać.

– Proponowałbym – powiedział na głos bożek, a wąsiki trzęsły mu się, gdy to mówił – żebyśmy na noc odłożyli na bok dzielące nas różnice i trochę odpoczęli.

– Cały dzień siedziałeś w torbie – zauważyła Kissen.

– Nie mówię o sobie – odparł, ruchem skrzydła wskazując Inarę.

Elo popatrzył na niego, a później na Kissen, która miała dość przyzwoitości, żeby okazać lekkie zakłopotanie.

– Możemy to wyjaśnić.

– Możecie wyjaśnić, dlaczego bogobójczyni podróżuje z bogiem?

– A ty możesz wyjaśnić, po co rycerz wędruje do miasta, które pomógł zniszczyć? – Zapytała z kamiennym wyrazem twarzy.

Sytuacja patowa. Przerwała ją Inara.

– Bóg jest w jakiś sposób ze mną połączony – oznajmiła. – Kissen zabiera nas do Blenradenu, żeby nas oboje uwolnić. – Spojrzała na veigę. – Skedi mówi, że Elo nie chce nam zrobić nic złego. Może należy mu zaufać.

Połączony. Elo przełknął ślinę. To kojarzyło się z Arrenem i jego sercem z gałązek. Elo omiótł dziewczynkę spojrzeniem. Wydawała się najzupełniej cała i zdrowa. A bóstwo znajdowało się przy niej, na zewnątrz, a nie wewnątrz. Tak czy inaczej, być może powinien dowiedzieć się o nich więcej. Bogobójczyni nie była odpowiednią towarzyszką dla wysoko urodzonej dziewczynki, a trakt nie był dla niej dobrym miejscem. Zostali już zaatakowani, część ich towarzyszy podróży zginęła, odniosła rany lub się rozproszyła.

– Nie mówiłam ci, żebyś nikomu nie ufała? – powiedziała do niej Kissen z zaledwie kropelką uprzejmości w głosie.

– No ale ty będziesz musiała zaufać mnie – odparła dziewczynka. – Tak czy inaczej, nie pójdę już dziś ani kawałek dalej.

Równie dobrze na jej miejscu mógł stać mały Arren z tym swoim ciętym językiem i bezpośredniością, niemal napastliwością, która go cechowała. Elo uśmiechnął się pod nosem na to wspomnienie.

– Dwa miecze są lepsze niż jeden – stwierdził, opuszczając broń i chowając ją do pochwy. – I zmierzamy w tym samym kierunku.

– Jaki szarmancki – skomentowała Kissen. Koń już się trochę uspokoił. Musiał być dobrze ułożony, skoro nie poniósł dziewczynki. Kissen podeszła uwiązać go sznurem za uzdę do drzewa, na tyle długim, żeby miał swobodę ruchu. Dziewczynka pomogła w oporządzeniu konia, czesząc jego grzywę i ogon. Nogi przyjął drobny smakołyk z jej dłoni, a bożek najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzał.

Inara otrzepała spódnicę i poszła usiąść przy ogniu, zwinąwszy i położywszy pod siebie swój gruby wełniany płaszcz. Po chwili dołączyła do niej Kissen, z taką ochotą, z jaką kot dzieli się kolacją. Pełny kociołek stał na miejscu, gulasz bulgotał głośno. Elo rozejrzał się po zdewastowanym obozowisku. Lubił podróżowanie w towarzystwie. Nie miewał koszmarów, kiedy spał na twardej ziemi, wśród nocnych hałasów. Pomyślał o Haoirse i jej ranach, Mikle’u i jego harfie, wścibstwie Berricka i pragmatyzmie Batseder. Czy ktoś z tych, którzy jeszcze pozostali, wróci z tej wyprawy? Usiadł, czując się bardziej samotny, niżby chciał. Wypuszczony teraz ze swojej kryjówki bożek stał przy kolanach Inary i rozciągał swoje nakrapiane skrzydła.

– Jak się nazywasz, boże? – spytał Elo. – Po czyjej stronie opowiedziałeś się w wojnie?

Stworzenie zastrzygło w jego stronę długim uchem. Miało pyszczek zająca, ale oczy żółte jak u ptaka.

– Imię za imię, rycerzu – oświadczyło.

Kissen prychnęła, po czym zrobiła z tego powodu niezadowoloną minę. Rozpięła swój kirys i sprawdziła miejsce, w którym demon cienia go przebił. Koszula jej się rozsunała, odsłaniając większy fragment tatuażu, a pod nim spiralę czarnego napisu, spływającego niczym zaokrąglone fale. Wodne pismo.

– Zanim zapytasz – powiedziała, pochwycawszy jego spojrzenie – to nie jest klątwa, tylko dar. Dar, z którego do tej pory nie korzystałam i nie mam zamiaru tego robić.

Elo usiadł ostrożnie naprzeciwko niej, po drugiej stronie ogniska. Gdyby wyciągnęła jeden ze swoich noży do rzucania, płomienie przeszkodziłyby jej w celowaniu.

– Nazywam się Elo, taka jest prawda – powiedział do bożka, który wydawał się zadowolony, że ktoś zwraca się bezpośrednio do niego. – A ty?

– To nie jest twoje pełne imię.

Elo zawahał się.

– Elogast.

Bożek się zamyślił.

– Ja jestem Skediceth, bóg niewinnych kłamstewek. Nie pamiętam wojny i wydaje mi się, że byłoby najlepiej, gdybyśmy wszyscy o niej zapomnieli. Po którejkolwiek stanąłem stronie, to była moja strona.

– Elogast – powtórzyła dziewczynka cicho do siebie. Podniosła wzrok. – Mówią, że król miał dowódcę rycerzy, który nazywał się Elogast z Sakre. Odszedł ze służby. – Popatrzyła na niego przenikliwie. W Middrenie nazwiska nie były rozpowszechnione poza warstwą szlachecką, chociaż w Irisji nazywano by go po matkach: Elogast Ellac i Bahby. Arren był Arrenem Regną, ale Elogasta określano po prostu miastem pochodzenia. – Myślałam, że jesteś stary.

Elo poruszył się niespokojnie. Sądził, że niewielka sława, jaką się dawniej cieszył, przycichła, odkąd zniknął z królewskiego dworu, ale może zmylił go Estfjor, gdzie natura prostolinijnych mieszkańców nie była szczególnie ciekawska. Oberżysta Canovan niemal go rozpoznał i był bliski paniki. Elo czuł się zarazem dumny i przerażony.

– Ludzie mówią rozmaite rzeczy – stwierdził, licząc, że rozmowa powędruje w inną stronę.

– Łże – powiedział bożek. – Stosuje półprawdy. – Kissen też na niego patrzyła.

Bóg niewinnych kłamstewek. Oczywiście. Zapomniał, że bogowie od razu potrafią rozpoznać kłamstwo. Inara wyduła wargi.

Poddał się.

– Tak, byłem kiedyś dowódcą rycerzy, ale od wielu lat nie służę królowi. Urządziłem sobie spokojne życie.

– „Królewski lew” okiełznany – powiedziała Kissen. – Jak uroczo. – Czyli go jednak rozpoznała. Elo wymacał pod tkaniną lwią głowę na rękojeści swojego miecza. Młody lew był znakiem Arrena, nie jego. Nie był middreńskim szlachcicem, ale ludzie nazywali go po swojemu. Teraz Arren przybrał sobie jako herb jeleni łeb boga wojny i wschodzące słońce. Elo nie rozumiał, jak monarcha mógł patrzeć na to każdego dnia.

– Dlaczego wielki pan Elogast z Sakre tak umniejszył swoje znaczenie?

– Zrobiłem to, co nakazywał mi honor – odparł Elogast, dotknięty. – Dlaczego żebraczka z Blenradenu stanęła przeciwko rozgniewanym bogom? – Dotknął swojego policzka, żeby przypomnieć jej o klątwie. – Albo postanowiła walczyć z bogiem wojny, a później złamać szyk, kiedy tylko sytuacja się zmieniła?

Kissen wykrzywiła usta.

– Mertagh był tam dla zemsty – stwierdziła. – Twój wspaniały szyk ustawił nas tak, żeby mógł jej dokonać. – Elo wzdrygnął się. Miała rację. Znowu.

– Bez nas nie mielibyście żadnych szans z bogiem – powiedział.

Kissen prychnęła, ale nie zaprzeczyła.

– E tam – mruknęła. – Słuchaj, zupełnie mnie nie interesuje, skąd pochodzisz ani po co tu jesteś, ale nie ufam rycerzom.

Elo zachichotał i wzruszył ramionami.

– Ja też cię za bardzo nie lubię.

Ciężka cisza zawisła między nimi, kiedy mierzyli się wzajemnie wzrokiem.

– Dlaczego nie lubisz rycerzy? – spytała w końcu Inara.

– Ponieważ – odrzekła Kissen – należą do królów.

– Sama pracujesz dla króla – zauważyła dziewczynka.

– Pracuję dla siebie. Jak wszyscy bogobójcy. Jesteśmy najemnikami, nie świętymi żołnierzami. Poparcie króla zmienia tylko tyle, że więcej zarabiam.

– Dlaczego nie lubisz królów? – spytał ostrożnie Elo.

Kissen wzięła kawałek podpłomyka i rozerwała go w dłoniach.

– Dlatego – powiedziała, odgryzając kęs – że w naszym świecie władza zmienia dobrych ludzi w krwawych.

– Nie powinnaś się więc cieszyć, że zaatakował boga wojny, narażając własne życie?

– A ciebie cieszyła ta walka, piekarzu?

Zmarszczył brwi. Inara głośno westchnęła i wzięła patyk, żeby uratować z płomieni spalony kawałek pieczywa.

– Może mi opowiecie o tej bitwie, przez którą tak na siebie warczycie?

Oboje odwrócili wzrok. Inara się skrzywiła.

– Dobra. Powiedz, skąd masz na twarzy tę złamaną klątwę, która nie ściągnęła tu demonów. Nie musisz znaleźć się blisko bóstwa, żeby nosić klątwę?

Kissen potarła klatkę piersiową nad wodnym pismem, jakby sprawiało jej ból. Nosiła też na szyi skórzany wisiołek wyglądający jak jakaś fiołka. Bogobójcy, których widział Elo, nosili najróżniejsze akcesoria: buteleczki z błogosławioną wodą, fiołki z popiołem lub krwią, modlitwy. Zwrócił uwagę, że płaszcz Kissen czasami pobrzękuje podczas ruchu.

– Musisz znaleźć się blisko bogini urody, żeby ją zabić – odparła Kissen, sięgając po jedną z porostawianych tu i tam misek i podając ją Inarze, która zanurzyła w niej swój podpłomyk. Elo skorzystał z okazji, żeby uważniej przyjrzeć się jej twarzy. Boskie pismo, które zostało złamane, wyglądało bardziej na fraktal młodszych bóstw, osiadłych w miastach i miasteczkach. Było inne niż organiczne, płynne dzikie pismo bogów lasów i gór czy wodne pismo bogów rzek lub jezior. Albo dar na piersi Kissen. Elo odwrócił się.

– Dlaczego zabijać boginię urody? – zdziwiła się Inara, skubiąc swój podpłomyk. Elo cieszył się, że wypiek się nie zmarnował. Bez dobrego pieca była to trudna robota.

Postanowił pociągnąć łyk wina z butelki, którą zostawił Jon. – Nie ma nic złego w tym, że ktoś chce być piękny.

– Wiesz, tą boginią była Wyria z Weildu – odrzekła Kissen.

Elo nie był w Weildzie, mimo że ten leżał niedaleko od Estfjoru. Weild był we władaniu rodu Crolle. Szlachcice często kierowali tam swoje statki, jeśli posiadali drobne, błyszczące dobra: klejnoty i złoto. Weild słynął z jubilerów i prostytutek.

– Mieszczanie chcieli być piękni i przyciągać wzrok panów i dam – powiedziała Kissen. Doszła do wniosku, że jej pancerz nie wymaga naprawy i zaczęła zapinać go z powrotem. Często nie zdejmowała kirysu na noc. Twarda, płaska powierzchnia na pewno nie była wygodna. Pozwalała jednak zachować ciągłą gotowość do ucieczki. – Bogini prostowała nosy, zwęzła talie, zmiękczała i ujędrniała biodra. Prosiła jedynie o bryłki cukru czy kawałki owoców. Drobne, ładne przysmaki.

– To nie brzmi tak źle – stwierdził Skediceth.

– Miała tak wielu czcicieli, że wybierała sobie ulubieńców – ciągnęła Kissen. – Żądała coraz więcej. Ich śniadań, obiadów, kolacji. Nawet dwunastoletnie dzieci zaczęły całymi dniami głodować, żeby zyskać jej łaskę, a ona czasami po prostu odmawiała, mówiąc, że to za mało, że muszą się bardziej postarać. Była najedzona i piękna, podczas gdy jej wyznawcy marnieli, bo trawiła ich choroba miłości do bogini. Dwie młode dziewczyny i chłopiec zmarli, zanim mieszkańcy poprosili o bogobójcę. Mój nauczyciel Pato podjął zlecenie.

– To nie jest historia dla dzieci – odezwał się Elo. Zresztą jemu też się nie podobała. Inara jednak zmarszczyła czoło, odwracając się do niego.

– Dlaczego więc rzuciła klątwę na ciebie? – spytała z naciskiem.

– Sprytna z niej była kłepa – powiedziała Kissen. – Postawiła swoich wyznawców na straży przed bramą. Byli tacy osłabieni, że nie mogliśmy się przedrzeć, nie robiąc im krzywdy. – Elo wyczuwał jej obrzydzenie i gniew. Popatrzyła na swoje dłonie, silne i pobrużdżone. – Pato kazał mi ułożyć plan. Pierwszy raz pozwolił mi w pojedynkę zmierzyć się z bóstwem. Więc też pościłam, tak jak tamci, i przynosiłam ofiary. Kosztowne. Kandyzowane owoce i marcepan. Tłuste, świeże mięso, jeszcze ociekające. Miałam jedną nogę i prosiłam o urodę. Mówiłam jej, że rozpaczliwie pragnę być piękna i że chcę tego bardziej niż cegokolwiek innego.

– Przejrzałaśby twoje kłamstwa – powiedział cicho bożek. Sierść zjeżyła mu się ze zdenerwowania.

– Nie skłamałam – odparła veiga. – Byłam młoda, poznaczona bliznami i brzydka. Osoba, którą najmocniej kochałam, kochała bardziej kogoś innego. Pozostawiłam ją w nieprzyjemnym miejscu. To wystarczy, żeby chcieć czegoś, czego nie można mieć.

– Yatho – rzuciła Inara. Kissen kląsknęła na nią językiem i dziewczynka się zaczerwieniła. Trafiła w sedno.

– Wyria nie umiała się oprzeć uczennicy bogobójcy przychodzącej z prośbą – dodała Kissen. – Taką wielką, słodką prośbą. Myślała, że tak wiele może ode mnie wyciągnąć. Zjadła połowę moich łakoci, zanim się zorientowała, że zawierają bryddyt.

Elo zakrztusił się winem. To było podłe oszustwo, nawet jak na veigę. Wyszczерzyła się do niego w uśmiechu, a błysk w jej oczach mówił, że dobrze wie, co sobie pomyślał.

– Oczywiście kiedy to zrozumiała, zaczęła wypowiadać klątwę ohydy. Zabiłam ją, zanim podziałała, więc teraz to tylko ładna blizna.

– Nie jesteś brzydka – powiedziała Inara. Kissen roześmiała się i spojrzała na Skediego, który z irytacją potrząsnął skrzydłami.

– Oczywiście, że kłamie – stwierdził i dziewczynka trąciła go patykiem.

– Przesadza. Wyglądasz nietypowo. Prawda, Elo?

– Ja się nie mieszam. – Powinien wziąć to sobie do serca. Nie przyszedł tutaj wydawać sądów na temat bogobójczyni i jej metod. Oszustwo wydawało się po prostu nie w porządku, jak wtedy, gdy Arren zniszczył świątynie sprzymierzonych z nimi bóstw. To było niehonorowe. Ale ona z pewnością nie była brzydka. Nie żeby zamierzał jej to mówić.

– Moja twarz to moja twarz, *liln* – powiedziała Kissen, wyciągając z kotła kość do ogryzienia. – Dobrze o tym wiem i wciąż mam w niej swoje zęby i oboje oczu. Wierz mi, przy moim pochodzeniu szczęściara ze mnie.

Inara przygryzła wargi, ciemnymi oczami chłonąc głębię nocy. Szum wody, która poniosła w dal ich towarzyszy, wypełniał im uszy i żadne nie miało pomysłu, co powiedzieć. Kissen nie była poruszona. Patrzyła w górę rzeki, odrywając zębami mięso od kości.

– Czyli jesteś szlachetnie urodzona? – zwrócił się Elo do Inary, wracając do kwestii pochodzenia. – Może znam twoich rodziców.

Inara posłała mu spojrzenie pełne strachu i poczucia krzywdy, po czym zerknęła na Skediego. Porozumiewali się ze sobą w sposób, który Elo rozpoznawał jako myśłomową bogów. Zastanawiał się, jak to możliwe, że ona używa jej z taką swobodą. Nigdy nie odbierał głosów bogów w swojej głowie jako czegoś przyjemnego. Były ostre, kłujące.

– Jej ojciec jest kupcem – powiedział bożek. – Wzenił się w rodzinę Artemich i ją adoptował. Możesz ich nie znać.

– Próbujesz odebrać mi podopieczną, piekarzu? – odezwała się Kissen, wypluwając na ziemię kawałek chrząstki. – Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobrze urodzona?

– Nic podobnego – odrzekł Elo. – Ale dobrze jest planować kilka kroków naprzód, na wypadek gdyby coś się miało stać.

– Zapewniam cię, że doprowadzę Inarę w bezpieczne miejsce i z radością cię zostawię, żeby tego dokonać – oznajmiła Kissen. – Będą z tego pieniądze, a bogów jest coraz mniej. – Skediceth zastrzygł uszami.

– Dobro dziecka to nie karta przetargowa – warknął Elo.

– Całe szczęście, że to nie twoja sprawa – odparła Kissen.

Elo zgrzytnął zębami.

– Spokojnie – powiedział sztywnym tonem. Postanowił porozmawiać z Inarą na osobności. – Nie chciałem okazać braku szacunku. Jutro wyruszą w dalszą drogę?

Kissen spojrzała na Inarę, która skinęła głową.

– Tak – potwierdziła Kissen i odwróciła się do Elogasta. – Nie mamy łodzi, a najbliższa przeprawa znajduje się w Gefyrtonie.

– Potrzebny nam plan. Gefyrton to duże miasto handlowe. Na pewno są tam strażnicy wypatrujący pielgrzymów. Nie bez powodu omijaliśmy dotąd takie miejsca.

Kissen parsknęła śmiechem.

– Rozchmurz się, w Gefyrtonie trafiają się najróżniejsi. Ale dotarcie na miejsce zajmie nam większą część dnia.

Elo westchnął. Kolejny dzień, kolejne opóźnienie. Minie ponad połowa miesiąca, który został Arrenowi, zanim jego noga stanie w mieście bogów.

– W takim razie lepiej chodźmy spać i jak najwcześniej ruszmy w drogę.

Skulił się w swoim płaszczu i położył twarzą do ognia, żeby mieć na oku veigę i bożka. Oczy miał półotwarte, odpoczywając, a nie śpiąc, i obserwował pozostałych. Nie minęło wiele czasu, zanim Kissen i Inara ułożyły się na twardej ziemi, ale bóstwo pozostawało czujne i wbijało w niego spojrzenie palących żółtych oczu. Gdy poczuł, że nadchodzi sen, jego świadomość podryfowała. Odkrył w swoim umyśle narastające wątpliwości, od ziarna podejrzeń po mocno zakorzeniony strach.

Nie jesteśmy bezpieczni z veigą.

ROZDZIAŁ SZESNASTY



Inara

NASTĘPNEGO DNIA PÓŹNYM POPOŁUDNIEM najpierw usłyszeli Gefyrton, a dopiero później go zobaczyli. Huk wodospadu narastał, przenikał ich aż do kości, kiedy gramolili się w górę rzeki i wspinali na zarośnięte granitowe zbocza skryte w cieniu drzew i schładzane powiewem znad wody. Inara czytała o tym mieście, o moście wzniesionym przez boga Gefyry nad kaskadami przy wielkich Wodospadach Salijskich zgodnie z paktem pomiędzy zwaśnionymi klanami i ich miejscowymi bóstwami. Jeśli miasto przemianowano po wojnie, aby wymazać pamięć o bogu mostów, nowa nazwa się nie przyjęła. W tych stronach słowo „Gefyr” oznaczało dobry most, a słowo „most” – słaby.

Bóstwo wodospadów, przypomniła sobie Inara, nazywało się Sali. Olbrzymie posągi Sali i Gefyry wbudowano w przęsła mostu wzniesione z materiału wydobytego w kamieniołomach u stóp wodospadu i stojące w wodzie. Szerokie ramiona wyrzeźbione z kamienia rozciągały się nad kaskadami, podtrzymując miasto. Jednakże mimo że ciała pozostały, wielkie głowy tutejszych bogów zwalono do spienionej rzeki poniżej.

Ich grupka dołączyła do długiego szeregu wędrowców o ubłoconych łydkach, przechodząc przez miejską bramę od zachodniej strony rzecznej bystrza. Sama brama była przystrojona kwiatami, kolorowymi wstążkami i świeżymi zielonymi

liśćmi z okazji jakiegoś święta. Gdy podeszli bliżej, Elogast wygładził fałdy swojego stroju, chcąc porządnie wyglądać. Kissen nie zwracała sobie tym głowy.

Wyobrażam go sobie jako Elogasta, dowódcę rycerzy, zwrócił się Skedi do Inary. Człowieka honoru. Chronił pielgrzymów.

Inara też to widziała. Był spokojny i zrównoważony, w przeciwieństwie do Kissen. Skedi przez cały czas zadręczał ją, mówiąc, jak to woli Elogasta, ale Inara nie była pewna, czy powinni rzucać się na pierwszą napotkaną osobę, która nie była veigą. *Kissen jest dla nas zła, dodał Skedi. Sama o tym wiesz. Nie chcesz jej powiedzieć, że widzisz kolory, bo się boisz, że zacznie cię nienawidzić.*

Nie zrobiła nic, żeby nas skrzywdzić.

Jeszcze nie. Ale nie powiedzieliśmy jej wszystkiego.

Inara westchnęła. Skedi bardzo bał się veigi, rozumiała to. Ale Kissen, pomimo swojego nieokrzesania, była silna, godna zaufania, a nawet na swój szorstki sposób miła. Skedi mógł być bezpieczniejszy z Elo, ale Kissen stanowiła stałą opokę przez te dni, odkąd spalił się jej dom. Opryskliwą i gniewną, ale opokę. Teraz, gdy zniknęła osłona pielgrzymów, Inara mogła przed sobą przyznać, że też się boi. Elo miał rację: dwa miecze były lepsze niż jeden.

Wilgotne powietrze wokół nich zaskrzyło się, kiedy słońce wyłoniło się z za chmur; Inara podskakiwała na palcach, próbując dostrzec bramę. W gospodarstwach Craierów obchodzono święta plonów. Inarze nigdy nie pozwolono na nie iść, ale jej matka chodziła tam i tańczyła ze swoimi robotnikami, kiedy Inara zasypiała już w łóżku. W Ennertonie odbywały się widocznie podobne festyny, chociaż słyszała jedynie pogłoski o takich rzeczach. To jednak nie było święto plonów. Przedwiośnie dopiero się kończyło.

Wstęp do miasta był ograniczony. Inara widziała ptaka, który zerwał się z przeciwległego krańca wielkiego mostu, gdzie budowla dochodziła do urwiska, i pofrunął w stronę bliższego końca, najwyraźniej niosąc wieści o wychodzących. Dopiero gdy wylądował, wpuszczano kolejną grupę. Wszyscy wymieniali się plotkami i dziewczynka podsłuchiwała pewną podróżującą wozem zaprzężonym w osła parę, najwyraźniej obytą w świecie, która gawędziła z nowymi znajomymi z kolejki do bramy.

– Słyszeliście o posiadłości Craierów?

– Co?

– Spalona. Spalona do szczętu. Wszystkie budynki razem z ludźmi. Mówią, że to złodzieje. Nikt się nie przyznał do podpalenia ani nie zgłosił pretensji do tytułu. W każdym razie do tej pory.

A zatem wieści się rozniosły. Inara słuchała, zachowując obojętność, jakby przydarzyło się to komuś innemu.

– Co tu się wyprawia? – zwróciła się głośno Kissen do kobiety z przodu, która miała kwiaty dzikiego czosnku wplecione we włosy. Okropnie cuchnęły. Veiga położyła rękę na ramieniu Inary i ścisnęła. Dla odwrócenia uwagi.

Bogowie nie lubią plotek, Inara usłyszała, jak Skedi kieruje swoje myśli do grupy. Umilkli, chociaż nie mieli pojęcia, skąd wzięła się ta myśl. Nie nacisnął na tyle mocno, żeby bolało.

– Wiosenny festyn – odpowiedziała kobieta na pytanie Kissen, podczas gdy Inara próbowała udawać, że nic nie słyszała. – Mutur, tak go tutaj nazywamy. Pogoda się zmienia, dni robią się dłuższe.

– Więcej tu ludzi, niżbym się spodziewała.

Kobieta z radością zamachała dłonią, posyłając ku nim fale czosnkowego powietrza.

– Ród Geraľfich zapowiedział na ten rok sezon obfitości – powiedziała. – Pastwiska w tej okolicy będą najlepsze, lepsze od wszystkich innych w ciągu ostatnich trzech lat, więc chcemy zaklepać miejsce dla trzody.

– Z takim wyprzedzeniem? – spytała Inara, zaskoczona i w tym momencie rzeczywiście zaintrygowana. Elo posłał kobiecie bystre spojrzenie, a między jego brwiami pojawiły się zmarszczone linie. Sezony obfitości zdarzały się nie wiosną, a późnym latem albo jesienią, bo orzechy nie spadały wcześniej z drzew.

– Sezon obfitości to najedzone wieprze, a najedzone wieprze to najedzeni ludzie – powiedziała kobieta, puszczając oko. – To będzie dobra zima, niech nam bogowie błogosławią. Będą też kasztany dla moich kóz. Dostaną najlepsze sztuki, a reszta do worka.

– Konkurencja jest duża – stwierdziła Kissen, rozglądając się po tłumie.

Kobieta przytaknęła i popatrzyła na nich przenikliwie, być może zastanawiając się, czy spróbują ją wyprzedzić w drodze do najlepszych miejsc do wypasu zwierząt. Zważywszy na miecze, pakunki i konia, nie wyglądali jak miejscowi rolnicy. Uśmiechnęła się, odsłaniając sześć poźółkłych zębów.

– Jeśli chcecie przejść przez miasto, musicie tu przenocować – powiedziała. – Albo popłynąć łodzią w górę rzeki.

Kissen wzruszyła ramionami, ale Elo wydawał się zbity z tropu.

– A dlaczego?

– Podatki. Król stwierdził, że w Middrenie nie wolno pobierać opłat za przejazd, ale mogą wam wystawić rachunek za wikt i nocleg.

– Skąd już teraz wiedzą, że będzie sezon obfitości? – nalegała Inara, bardziej zainteresowana kwestią przewidywania przyszłości niż noclegu.

Kobieta dotknęła swojego nosa, a później głowy, jeszcze raz puściła oko i odwróciła się w stronę początku kolejki, gdzie ktoś zaczął właśnie grać na kieszonkowej fujarce.

Inara gestem przyciągnęła uwagę Kissen, po czym w mowie znaków zapytała: *Co to znaczy?*

Bogowie wciąż żyją, odparła Kissen. *Dzicy bogowie z lasu*. Inara zamrugała powiekami i rozejrzała się. Uświadomiła sobie, że inaczej niż pod Lesscją, nie widzi żadnych żołnierzy w niebiesko-złoty barwach patrolujących trakt.

Nie narobisz zamieszania?

Kissen roześmiała się.

Sama wybieram, gdzie walczę. Dawno bym już nie żyła, gdybym po prostu zabijała każdego boga, którego napotkam na swojej drodze.

Inara skrzywiła się.

Próbowałaś zabić Skediego.

Kissen wzruszyła ramionami.

Instynktownie wyczuwam kłopoty.

– Możecie wybrać język, który wszyscy rozumiemy? – odezwał się Elo, zerkając na Kissen. Odpowiedziała mu gestem, przytykając zgięty palec wskazujący do kciuka. Z uniesionych brwi Elo Inara wywnioskowała, że było to bardzo nieuprzejme.

– Podobno w Gefyr świętuje się wspaniale – powiedziała Kissen. – Piwo poleje się dzisiaj strumieniami.

– I ruszymy o wschodzie słońca – powiedział Elo, wyraźnie niezbyt rozbawiony.

Dotarli wreszcie do bramy i nikt nawet nie mrugnął okiem, kiedy wpisano ich do rejestru i spytano, na jak długo zamierzają się zatrzymać.

– U Rybaka mają prycze? – spytała Kissen.

Wymęczony strażnik wzruszył ramionami. Na piersi nosił herb rodu Geralfich, most z dwoma koziorożcami po bokach, z których jeden miał naszyjnik z szyszek, drugi zaś wieniec z pszenicy na porożu.

– Nie przyjmują tam podróżnych bez dobrego powodu – powiedział. – To lokal dla miejscowych. – Popatrzył na kolejkę za nimi. – Macie szczęście, na dziś wieczór zostało niewiele miejsc. Za duże obciążenie, jeśli wiecie, co mam na myśli. – Popatrzył na Nogiego. – Dopilnujcie, żeby trafił do stajni.

– Czy na moście można bezpiecznie przebywać? – spytał Elo.

– Gefyr ma baczenie... – Zbladł, uświadomiwszy sobie, że przywołał imię boga przy obcych, co mogło być wystarczającą podstawą do uwięzienia. – Most jest wystarczająco solidny, przyjacielu – poprawił się szybko. – Ród Geralfich ma nas w swojej pieczy i król o wszystko dba. – Wskazał na wiszący ponad nim dobrze wykonany portret króla Arrena, jak zwykle na tle wschodzącego słońca i z jelenim

łbem pod nogami. Na obrazie miał dumną minę i kręcone jasnobrązowe włosy. Inara zerknęła na Elo, który niezbyt dobrze skrywał swoją dezaprobatę. Strażnik odprawił ich gestem, ucieszony, że widzi już tylko ich plecy i bez wątpienia pełen nadziei, że na niego nie doniosą.

– Gerałfi wciąż odwołują się do tutejszych bogów – powiedział Elo na poły do siebie, kiedy weszli do miasta. – Wiedziałem, że ludzie będą łamać prawo, ale nie, że tak... ewidentnie.

– To nie nasza sprawa – stwierdziła Kissen, przepychając się przez tłum zebrany przy bramie.

– Twoja tak.

– Tylko kiedy ktoś mi płaci.

Dziedziniec, na który weszli, wyraźnie był miejscem, gdzie rezerwowano miejsca na spęd obfitości. Wszędzie wokół bezładnie stały stoły z grubymi księgami, których pilnowali mężczyźni w zielono-lapisowych barwach rodu Gerałfich. Był tam jeden rycerz w niebiesko-złotym stroju, który opierał się o mur i pykał fajkę. Czy na ziemiach wszystkich rodów miejscowa gwardia dzieliła teraz wartownicze obowiązki z rycerzami króla? W Ennertonie ani w posiadłości Craierów ich nie było.

Uwagę Inary odwrócił przechodzący obok tanecznym krokiem skrzypek z towarzyszącymi mu dwoma flecistami, którzy wili się między stołami ze wstążkami wiszącymi u nadgarstków i dzwoneczkami na kostkach. Nawet z odległości dziewczynka wyczuwała zapach winiaku z miodem i morelami ponad chłodnym powiewem od wodospadów. Ludzie byli pijani.

Gdy przedzierali się przez tłum, skądś rozbrzmiał gniewny okrzyk. Wybuchła kłótnia między kobietą z kwiatami czosnku a drugą, która z kolei przyozdobiła swoją fryzurę kwieciami wiśni. Właściciel księgi, o którą się spierały, podniósł ją w górę i zatrąbił w róg.

– Jaśnie dziedziczko Gerałfi! Proszę o decyzję.

Kobiety przerwały kłótnię i podążyły za niosącym księgę. Inara patrzyła za nimi, ale w tłumie zniknęły jej z oczu, więc wsunęła stopę w strzemię Nogiego i dźwignęła się na jego grzbiet. Z tej perspektywy widziała tłum rozstępujący się między nimi. Księgę zaniesiono przed tron, w którym podłokietniki wykonano z poskręcanych rogów koziorożca, siedzisko i oparcie zaś z młodej buczyny, sosny i brzozy. Siedziała na nim dziewczynka mniej więcej w wieku Inary w pięknej, chyba jedwabnej, zielonej sukni, z lapisowo-srebrnym obszyciem. Obok niej stał wyższy mężczyzna, który z wyglądu i postawy wydawał się jej ojcem.

Oboje zaczekali, aż księga trafi przed ich oblicza, a skryba przedstawi sprawę. Inara ledwie słyszała to ponad innymi hałasami, ale była mowa o kozach i świniach,

kasztanach i bukach. Młoda pani GERALFI popatrzyła na ojca, oczekując porady, a on nachylił się i szepnął jej coś do ucha. Odwróciła się przed siebie i wstała.

– Wyższe partie będą zarezerwowane dla kóz, tam gdzie świnie nie mogą swobodnie wędrować. Oto dekret w imieniu GERALFICH.

Wybuchły radosne okrzyki i znowu zagrał róg.

– Jaśnie dziedziczko, cóż za łaska!

Inara poczuła, że oblewa ją rumieniec. Młoda GERALFI nie była ukrywana, tak jak ona. Miała obok siebie ojca. Inara zaś zastanawiała się, jak jej ojciec w ogóle wygląda.

– Ty tam! W mieście nie wolno jeździć konno!

Inara zsunęła się z Nogiego na pokryty pyłem most. Rosalie, karczmarka z Ennertonu, nawet nie wiedziała o jej narodzinach, a tymczasem tutaj dziewczynka z wyższych sfer występowała publicznie i odgrywała przywódczą rolę. Dlaczego matka Inary ją ukrywała? Czy miało to coś wspólnego z jej śmiercią? Czy Inara w jakiś sposób ponosiła za to winę?

Dowiemy się, powiedział Skedi, śledząc jej myśli. Może kiedy udasz się do Dworu i Sakre. Może rycerz będzie wiedział.

Kissen wiodła ich w dół ścieżkami oddalającymi ich od cizby, w stronę wody, która grzmiała poniżej. Postanowiła skorzystać ze swojej kuli, na której wspierała się ramieniem, więc Inara prowadziła Nogiego. Podobało jej się, że veiga powierzyła jej konia.

Zaczęła się drobna mżawka i mokli podczas marszu, ale to nie powstrzymało miejscowych z mostu, gromadzących się na grubych belkach pod przeprawą. Inara widziała ludzi przez szczeliny pod swoimi stopami, gwarne targowisko pod mostem i robotników wśród wilgoci, której źródłem były kaskady. Pewien chłopiec o ubłoconej twarzy skakał z belki na belkę z miotłą w ręce. Zatrzymał się pod sterzącą z wody rurą i wetknął w nią miotłę, żeby ją odetkać. Potrząsnął raz i drugi i z rury trysnęło, a w powietrze uniósł się odór ludzkich ekskrementów i odpadów warzywnych. Inara zatkała nos. Piła wodę z tej rzeki – co prawda z dala od wodospadów, ale nie chciała zbyt długo o tym myśleć.

Wspaniałe centrum miasta wyrosło wokół nich, gdy dalej przemierzali most. Nieco w górę rzeki znajdowała się przystań, gdzie mogły przybijać rzeczne łodzie, żeby dostarczyć towary i popłynąć z powrotem pod prąd. Był tam mały kanał, który pozwalał im bezpiecznie przepłynąć między kaskadami. Jakże musiało być ciekawe i ekscytujące zajęcie transportować rzeką towary z serca Middrenu na wybrzeże przez wielkie miasta południa. Jakże smutno było je tak mijać. W domu Inary nie odbędzie się już żadne święto. Nikt nie przetańczy nocy i nie zostanie przyłapany na spaniu w sianie. Jej matka nie ułoży jej do snu i nie opowie o życiu na morzu, o słonych

wiatrach, o dworskich tańcach i oszałamiającym dymie sekretnych listów. Dziewczynka nie usłyszy przestrzeni w historiach o tym, gdzie może przebywać jej ojciec. Gdzie może być bezpiecznie. Jak miała pomścić ród, którego członkowie jej nie znali, i kobietę, której – jak nagle sobie uświadomiła – niemal nie rozumiała? Kobietę, która ukrywała swoje listy, uciszała córkę. Która spłonęła i tak niewiele po sobie pozostawiła.

Inara nie przypominała młodej panny Gerafi. Była kimś innym. Wszystkie pytania o jej życie kłębiły się teraz razem. Skediceth, jej matka, izolacja w domu Craierów i brak rodziny, brak znanego ojca. Kolory. Tyle śmierci. Pożar. Istoty cienia. Wszystko to wydarzyło się wtedy, gdy złamała zasady swojej matki.

Inara zgrzytnęła zębami, czując, że świat może ją przytłoczyć. Musiała wznieść się ponad niego niczym statek na fali i dotrzeć tam, dokąd podążała. Była dzielna. Opuściła swój dom ze Skedim i znalazła bogobójczynię. Postanowiła udać się do Blenradenu, zostać, kiedy mogła uciekać.

Minęli środek mostu i miejska zabudowa stała się mniejsza, niższa, smutniejsza. Inara zobaczyła jeszcze dwóch rycerzy w barwach króla, z hardymi minami przechadzających się między domami. Elo naciągnął na głowę kaptur, zanim przeszli obok, ale jeśli z jednej lub z drugiej strony doszło do rozpoznania, Inara tego nie dostrzegła. Mimo wszystko Kissen wyprowadziła ich z centrum na obrzeża, gdzie okna budynków wychodziły bezpośrednio na wodospady, a ścieżka lekko wibrowała od siły rzeki. Ten fragment miasta zbudowano niczym twierdzą, z otworami dla łączników w murach i zaskakującymi stopniami w ścieżce, na których przewróciłby się każdy, kto spróbowałby szybko biec. Zastanawiała się, przeciwko komu przewidziano te środki obronne. Księgi Craierów z pieśniami i mapami opowiadały o talicjańskich piratach, których pokonano w poprzednim stuleciu, ale Gefyrton leżał w głębi łądu. Może chodziło o zwaśnione klany, wojownicze bandy i złodziei, zapuszczających się tu z pobliskich gór.

Wierzchołek urwiska po zachodniej stronie miasta był pomalowany na miedziany kolor i poplamiony krwią z dymiących rzeźni, garbarni i magazynów stłoczonych na szczycie. Inara podążyła wzrokiem w dół zbocza do spienionych fal poniżej. Zapewne transportowano tu towary na sprzedaż w dół stoku, do następnego miasta w dole rzeki, bo inaczej beczki rozbijałyby się na strzępy o głazy wewnątrz kaskad. Wpatrywała się dłuższą chwilę w skłębioną głębię, zanim do niej dotarło, że jeden z głazów ma kształt: brodę i oczy. Strącona głowa jednego z bogów, którzy od pokoleń podtrzymywali most.

Poczuła, że Elo podszedł i stanął obok, podążając za jej wzrokiem. Jego kolory zamigotały, skonfliktowane, chociaż zwykle były takie spokojne.

– Dlaczego się smucisz? – spytała.

Elo zamrugał, po czym westchnął.

– Po prostu... szkoda – powiedział cicho. – W Blenradenie nie walczyli, ale zostali ukarani.

Inara bawiła się uzdą Nogiego.

– A ty nie czujesz do bogów nienawiści?

Zaskoczyło go to pytanie.

– Nie – odrzekł powoli. – Wychowano mnie w przekonaniu, że wiara jest decyzją, którą podejmujemy sami. – Wydawało się to dziwne jak na rycerza.

Kissen wcześniej szła dalej, ale teraz też przystanęła. Inara wątpiła, by veiga mogła ich słyszeć ponad szumem wodospadu.

– Więc dlaczego z nimi walczyłeś?

– Walczyłem, żeby chronić przyjaciela i ocalić nasz lud – odparł. – Później... później król Arren uznał, że jedyny sposób na powstrzymanie kolejnej wojny to dalsza walka. – Inara przypuszczała, że gdyby nie było bogów, nie byłoby z kim walczyć. Z kim ani o co.

– Dlatego odszedłeś?

Jego kolory zalsniły złotem. Nogi człapał po deskach, nieszczęśliwy z powodu tej dziwnej nawierzchni i huku wodospadu poniżej. Elo w zamyśleniu wyciągnął rękę, żeby pogłaskać go po szyi.

– Tak – przyznał w końcu.

– Ej – odezwała się Kissen z irytacją – chcecie spać tutaj czy w łóżku?

Elo podniósł wzrok i z cichym śmiechem pogładził się po ogolonej głowie. Jego kolory zlagodniały, ciemny fiolet i zieleń pojaśniały i przerodziły się w świeżą zieleń.

– Już nie wolno mi zawierać przyjaźni? – spytał z naciskiem.

Kissen prychnęła i podeszła do nich szybkim krokiem. Przybliżyła twarz do twarzy Elo i posłała mu takie spojrzenie, że Inara nie wiedziała, czy zaraz go pocałuje, czy też zabije. Ku zaskoczeniu dziewczynki Elo nie wzdrygnął się ani nie cofnął. Wytrzymał ten wzrok, podczas gdy jego kolory skrzyły się raczej rozbawieniem niż gniewem.

– Zostaw małą w spokoju – powiedziała Kissen i odsłoniła zęby w groźnym uśmiechu, po czym odciągnęła Nogiego. – I konia też.

Kawałek dalej natknęli się na drzwi z dużą lecącą czaplą na witrażowym oknie. Sam budynek wydawał się mały, wciśnięty między dwa większe domy, z których dochodził zalotny śmiech i brzęk szkła.

– Nie wygląda na wystarczająco duży – zauważyła Inara.

– Wynajmują hamaki nad wodą – powiedziała Kissen. – A za dodatkową monetę dają śpiwór. Kiedy pewnego roku mieli roztocza, spalili całą pościel i kupili nową. To

ich wyróżnia ze wszystkich miejsc, w których nocowałam.

– Tutaj to wymóg prawa – oznajmił Elo. – Roztocza przenoszą się na drewno.

– Ludzie często traktują prawo wybiórczo – odparła Kissen. – Im głębiej w Middren, tym mniejszą władzę ma twój słaby król. – Najwyraźniej wciąż była na niego zirytowana.

Elo zacisnął szczęki.

– Nic o nim nie wiesz – powiedział i pchnął drzwi gospody.

Inara poczuła podmuch ciepłego powietrza na policzkach, zimnego na podbródku. Spojrzała w dół i zauważyła szczelinę między progiem a ulicą. Widziała przez nią masywne belki mostu oraz rzędy czegoś, co wyglądało jak zawieszony między nimi kokony, połączone mokrymi i na oko sprężystymi linami i pomostami z desek. Przynajmniej nie było tu rury podobnej do tej, z której wcześniej poniósł się smród po odetkaniu. Miała nadzieję, że nocą nie będzie musiała przerywać snu.

– Przepustki – powiedział chłopak przy stole tuż za drzwiami, tarasując jej przejście do wnętrza. Wyglądał, jakby wystarczyła drobna sprzeczka, żeby zaczął krzyczeć. Inara podeszła na palcach do Elo, który podał chłopakowi złożone papiery otrzymane przy wejściu do miasta. – Nie udzielamy noclegu podróżnym – oznajmił tamten, oddając je. – Chyba że są artystami. Przepisy Geralfich przeciwko pielgrzymom.

A zatem Geralfi odwoływali się do bogów, ale wprowadzali zasady, które miały zmniejszyć liczbę pielgrzymów. Inara sięgnęła do torby i dotknęła kciukiem Skediego, który miał wielkość kamyka. Polizał jej palec, żeby dodać jej otuchy.

– Jesteśmy artystami – oznajmiła Inara i poczuła, że bożek używa swojej woli temu kłamstwu.

Chłopak zamrugnął i zmierzył ich wzrokiem.

– Co robicie?

Czytacie z ręki. To jest twój ojciec.

– Czytam z ręki – oświadczyła Inara. – Ojciec mnie nauczył. – Złapała zaskoczonego Elo za rękaw. Inara niemal poczuła, jak Kissen przewraca za nimi oczami. – Był wcześniej pod patronatem rodu Yesetów. – Pozwoliła, żeby szept Skediego przechodziły prosto przez jej usta. – Ale teraz dołączamy do naszej trupy w Ardze.

Arga była leżącym najdalej na północ punktem na ziemiach Craierów. Gdyby poszli od wodospadów w górę rzeki, trafiliby do miejsc, gdzie rzeka była najwyższa i najzimniejsza. Inara wiedziała, że jej matka zachęcała artystów i aktorów do przybywania do tego miasta.

Oczy chłopaka zaszyły cienką mgłą wątpliwości, kiedy popatrzył na Elo.

– Jesteś jej ojcem? Po co komu dwoje czytających z ręki?

Ele przełknął ślinę.

– Śpiewam – oświadczył i zdobył się na całkiem uroczy uśmiech.

On śpiewa, on śpiewa, on śpiewa, powtórzył Skedi jak echo i wątpliwości się rozwiały. Chłopak spojrzał na Kissen za ich plecami, która wyglądała, jakby tłumiała śmiech.

– A ty?

– Ja prowadzę konia do stajni – odparła. – A kiedy wrócę, powiedz Tipowi, że przyjechała veiga Kissen.

Inara obejrzała się na nią, po czym znów odwróciła się do chłopaka, który dosłownie poszarzał. Inara poczuła, że Skedi zatrzęsł się ze złością. Veiga stłumiła jego moc, zlekceważyła ją, zignorowała, powiedziała prawdę.

– Aha – odezwał się chłopak. – Masz dokumenty?

Kissen wyciągnęła skórzany zwój ze swojego ciężkiego płaszcza i pokazała mu postrzępiony kawałek welinu pokryty ozdobnym pismem i serią pieczęci z trójkanciastymi krzyżami. Wyglądały na pieczęcie arbitrów, a pod nimi widniały urzędowe podpisy. Inara uświadomiła sobie, że muszą oznaczać każde z bóstw, które zabiła Kissen. Było ich tak wiele.

– Nie... nie wiem, czy będziemy mieli koje dla... dla...

– Rozmawiaj o tym z Tipem – odrzekła Kissen z uśmiechem. – Nie chcemy tych mokrych przy wodospadzie. Mają być przy skraju i suche. Niedługo wrócę. – Zerknęła na Elo, po czym odwróciła się do Inary. – Możesz iść ze mną zaprowadzić Nogiego.

Jestem zmęczony, Ina, wtrącił Skedi, choć dziewczynkę kusiło, żeby zobaczyć większy fragment miasta. *I ty też jesteś zmęczona*.

I poczuła to, przytłaczający ją ciężar wyczerpania.

– Zostanę z ojcem – powiedziała, po czym dodała w mowie znaków: *Mogę dowiedzieć się o nim więcej*. Kissen chciała zaprotestować, ale Elo demonstracyjnie ujął dłoń Inary, najwyraźniej wciąż urażony wcześniejszym komentarzem veigi.

– Chodź, Tethis – powiedział, nurkując w głąb gospody.

Chłopak ich nie zatrzymał. Zostawili na zewnątrz Kissen z koniem i jukami. Patrzyła za nimi gniewnie, dopóki drzwi się nie zatrzasnęły.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY



Elogast

OCZY ELO PRZYWYKŁY DO ŚWIATŁA W GOSPODZIE, gdy chłopak zeskoczył ze swojego stołka i bez wątpienia pobiegł szukać tego całego Tipa. Elo nie był przekonany do kłamstwa Inary czy raczej, jak podejrzewał, Skediego, ale Kissen powinna ich była uprzedzić, że powie wprost, kim jest.

Młodzieniec przestał się nimi interesować. Za stołem, który opuścił, wisiły rozmaite ogłoszenia. Wiele z nich było prośbami o bogobójców z pobliskich miasteczek i wsi. Zapewne w ten sposób veiga taka jak Kissen mogła znaleźć swój cel. Niektóre oferowały parę monet za demontaż świątyni. Inne dotyczyły samych bóstw. Elo nie dostrzegł żadnego, które by rozpoznawał, było tam jedynie podstępne bóstwo, które kwasilo mleko, bóstwo wiatru, szalejące wokół pewnej wioski i niedawno uformowane drzewne bóstwo, o którym doniósł jakiś gorliwiec.

Wewnątrz gospody U Rybaka atmosfera święta wydawała się przytłumiona, jedynie kilka gałęzi i ziół wisało u krokwi przecinających sklepienie na całej długości. Biały tynk między nimi był na tyle stary, że zaduch ognia i wilgoci wyżłobił na nim smolne pasma. Panowały tu gorąc i ciasnota, unosił się zapach potu, rzecznych ryb i kiszzonek. Przez małe i nisko umieszczone okna wpadało ostre światło od zachodu, które przeobrażało kłęby słodko-gorzkiego fajkowego dymu w potwory i bóstwa wirujące w powietrzu.

Elo zauważył pusty stolik ze starej beczki przy oknie naprzeciw ściany z ogłoszeniami i zaprowadził tam Inarę. Było to dobre miejsce, zdatne do obrony, z widokiem na klapę w podłodze, która zapewne prowadziła do koi. Klienci mieli w większości szorstki wygląd, byli rozczochrani i ostro pili. Niektórzy mieli widoczne blizny i nosili niebiesko-złote wstążki na nadgarstkach lub koszulach. Dziwne. Kolory Arrena, nie rodu Geralfich. Spojrzenie Elo przyciągał kominek, gdzie wisiał łeb jelenia z porożem oszpeconym tuszem – widniał na nim napis: „Zwycięstwo”.

Elo poczuł chłód w żołądku. Nie mógł w to uwierzyć. To była knajpa weteranów. Czyżby liczyła, że zostanie rozpoznany?

Nikt cię nie rozpozna, przekazał kojąco Skedi wprost do jego umysłu. *Nie pozwól na to*. Elo był zaskoczony. Głos boga jak zawsze sprawiał ból, ale słowa były miłe. Zastanawiał się, gdzie ukrywa się to małe stworzenie – zapewne pod płaszczem Inary albo w jej kapturze, gdzieś, skąd można było obserwować, co się dzieje. Elo zgrzytnął zębami i podciągnął sobie stołek do stolika, cały czas trzymając opuszczoną głowę.

– Co się stało? – spytała Inara.

– Ta veiga prosi się o śmierć – mruknął. – To jest lokal dla ludzi, którzy walczyli w Blenradenie.

– Dlaczego tak uważasz?

Elo jeszcze raz rzucił okiem na jeleni łeb i zadrżał. Nie chciał jej tego tłumaczyć.

– Po prostu wiem.

Po krótkim czasie mężczyzna z brodą zaplecioną w warkoczyki, pożółkłą od dymu, przyniósł im dwa rogi z piwem.

– Jestem Leir – przedstawił się. – Przynoszę tu zamówienia. Zjecie coś? Skink albo zapiekanka.

– Zapiekanka – powiedział Elo, pocierając skroń. – Dla mojej córki też.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Zapłata przy wyjściu – oznajmił i wrócił do kontuaru.

Inara popatrzyła z zaciekawieniem.

– Skink to zupa rybna. Paskudna, z ryb z rzeki – wytłumaczył. Rozejrzał się i stwierdził, że nikt nie zwraca na nich uwagi, więc nieco się odprężył.

– Śpiewak? – powiedziała Inara, nerwowo obracając róg z piwem. – Co byś zrobił, gdyby kazali ci to udowodnić?

Bystra była. Elo wzruszył ramionami i potarł kark.

– Zaśpiewałbym. – Pociągnął długi łyk piwa w nadziei, że nie spyta kolejny raz. Napitek był gorzki i zimny, orzeźwiający. Zapewne zawiesili beczki na hamakach nad wodospadami. – Co to za język, którym ty i Kissen porozumiewacie się za pomocą

rąk? – spytał, próbując nawiązać rozmowę. Musiał przyznać, że veiga i dziewczynka budziły jego ciekawość. Kissen była wobec niej taka opiekuńcza.

– W Middrenie nazywa się to znakami – wyjaśniła. Też pociągnęła łyk, a później zrobiła kwaśną minę. Elo roześmiał się. Przypuszczał, że wychowała się na słodszych napojach. – Ten język stworzyli głusi – dodała – ale moja matka mówiła, że używają go też piraci na morzach. Nazywają to mową rąk.

Elo odchylił się zaskoczony na swoim stołku.

– Twoja matka chyba bywała w świecie, skoro spotkała pirata.

Inara szybko podniosła róg z powrotem do ust, a oczy lekko jej się rozszerzyły. Pewnie nie powinna była pozwolić, żeby jej się to wymsknęło, pomyślał Elo. To, co powiedział Skedi, wydało mu się ciekawe: że jej ojciec wzenił się w rodzinę Artemich. To bez wątplenia byli bogaci kupcy, ale pochodzili z północnego zachodu. Inara mówiła z akcentem ze środkowego Middrenu.

Ich rozmowę przerwało podanie zapiekanek wraz z chlebem, masłem i oliwkami. Ciasto było gęste i usmażone na złotobrazowy kolor. Elo poświęcił im pełną uwagę i wbił w zapiekankę nóż, który leżał na talerzu. Ciasto pięknie chrupnęło i pękło, ukazując kruche warstwy. Wnętrze wypełniało mięso ryby, kiszona kapusta i kapary. Elo najpierw odgryzł kęs, używając skórki jako łyżki, a później posmarował masłem kromkę chleba, żeby nasączyć ją odrobiną nadzienia. Samo masło było świeżo zrobione i kremowe, ubite ze skórką pomarańczową i makiem. Będzie musiał tego spróbować, kiedy wróci do pracy piekarza. Łagodziło ostry, octowy smak zapiekanki i kwaśność chleba.

Inara obserwowała go, nie jedząc swojej porcji.

– Jak zostałeś dowódcą rycerzy? – spytała. – Jesteś bardzo młody jak na tę funkcję. Myślałam, że to zazwyczaj starzy rycerze.

Elo potoczył wzrokiem po ludziach w pobliżu, ale nikt nie słuchał. Przełknął ostrożnie. Najwyraźniej postanowiła odciągnąć jego uwagę od siebie samej. Pomyślał o tym. Jej bożek, gdziekolwiek się schował, powiedziałby jej, gdyby Elo skłamał.

– Czuję, że powinienem być z tobą szczery – powiedział – żebyś wiedziała, że nie chcę cię skrzywdzić. Cokolwiek Kissen powie na ten temat.

Inara ugryzła swoją zapiekankę, trzymając jej krawędź obiema dłońmi.

– Dlaczego miałbyś nie być szczery? – odparła niewinnie, lecz dostrzegł ten błysk w jej oczach. Kissen miała na nią zły wpływ, widział to już po paru dniach.

– Co pamiętasz z początku wojny? – spytał.

– Niewiele – przyznała Inara z pełnymi ustami, próbując teraz palcami rozplątać swoje włosy. – Pamiętam, że wszystkie rody wzięły swoje gwardie do walki, z naszym włącznie.

Elo skinął głową.

– Prowadziła nas Bethine, siostra króla. Nie wiedzieliśmy, co się stało z królową i jej synami, ale bez nich Bethine była następczynią tronu, a następny w kolejce był Arren, więc wyruszyłem jedynie jako strażnik Arrena. – Westchnął. – Nawet z udziałem wszystkich rodów trzeba było kilku miesięcy na oblężenie Blenradenu i przerwanie łowów, które dzicy bogowie prowadzili wokół miejskich murów. Kiedy się wreszcie udało, priorytetem Bethine było ocalenie ludzi uwięzionych wewnątrz. Zawarła układ z Restishem i bogiem bezpiecznej przystani Yusefem, żeby ich wydostać.

– Bogowie walczyli po waszej stronie?

Czyżby ludzie o tym nie wiedzieli?

– Tak... przez jakiś czas. – Nie chciał wchodzić w szczegóły. Nie kiedy patrzył na nich jeleni łeb znad kominka. – Ruszyliśmy Boską Drogą do portu.

Twarz dziewczynki stężała. A zatem wiedziała o tej bitwie.

– Dowódcy z większości rodów prowadzili ewakuację – ciągnął Elo – wypełniając statki, podczas gdy Arren i ja strzeżliśmy pałacu. Dzicy bogowie przebywali przy swoich świątyniach na urwiskach, na wschód od miasta. Lizali rany. Tak sądziliśmy.

Na chwilę zamknął oczy i przeszedł go dreszcz wspomnień i bólu. Położył dłonie płasko na stoliku, zanim zaczęły się trząść. Żeby się uspokoić, wyobraził sobie, że ma pod nimi ciasto.

– Zaatakowali statki – szepnęła Inara.

– Nawet wielki bóg bezpiecznej przystani nie mógł walczyć z nimi wszystkimi – powiedział Elo. – Dzicy bogowie zmiotli je co do jednego, od kadłuba po maszty. I Bethine też.

Inara opuściła wzrok na talerz. Czy mogła to sobie w ogóle wyobrazić? Tysiące ludzi tonących wśród sztormu i oblędu. A on i Arren mogli jedynie się przyglądać.

– Większość dowództwa zginęła albo odniosła rany – powiedział Elo. – Wielu zdolnych do walki uciekło. Tak zostałem dowódcą. Bez szczególnych uzdolnień, bez prawdziwego doświadczenia. Po prostu znaleźliśmy się wśród tych, którzy zostali.

Inara skubała jedzenie.

– Moja matka... była tam. Została ranna.

Zbliżali się do czegoś prawdziwego. Elo nie chciał zbyt mocno naciskać. Może nie powinien. Może to nie była jego sprawa. Ale nie umiał powstrzymać ciekawości.

– Jak zwyciężyliście? – spytała Inara. Pociągnęła nosem. – Po tym wszystkim. To byli bogowie.

– Odbudowaliśmy wojsko – wyjaśnił Elo. – Z bogami i ludźmi. Ochotnikami, prostym ludem. – Potoczył wzrokiem po weteranach z królewskimi barwami na

ramionach. Domagali się odwetu. Zemsty za królową, za poległych, za przelaną krew. Zemsty na bogach, którzy zwrócili się przeciwko nim.

– A później?

– Później...

Później Arren zwrócił się przeciwko bogom.

– Arren uczynił to, co uważał za słuszne, to, co miało ochronić jego ludzi. Twój ojciec zrobiłby dla ciebie to samo.

– Moja matka. Ojca nigdy nie znałam.

Więc tak.

– Ojca, który wysłał cię do Blenradenu z veigą?

Wyprostowała się z pobladłą twarzą.

– Ja... – Jej dłoń powędrowała do ramienia. *Skedi*, syknęła.

Co? Ty to powiedziałaś. Elo też go słyszał. Skedi dopuścił go do ich rozmowy. Elo posłał krzepiący uśmiech Inarze, która uspokoiła się i zacisnęła palce drugiej dłoni na guzikach haftowanej kamizelki.

– Jak się naprawdę nazywasz? – spytał Elo.

Dziewczynka zasłoniła swoją poczerwieniałą ze wstydu twarz.

– Inara Craier.

– Craier? – powtórzył Elo. To dopiero było nazwisko. – Przypuszczałem, że tak może być. Wiek się zgadza i jesteś podobna do matki. – Roześmiał się. – Prawdę mówiąc, Inaro, już się kiedyś spotkaliśmy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY



Inara

INARA OPUŚCIŁA RĘCE.

– Wiesz o mnie? – spytała, zapominając, że Skedi właśnie pozwolił jej zdemaskować ich własne kłamstwo.

– Oczywiście. Twoje narodziny ogłoszono na dworze kilka lat przed wojną – odrzekł Elo. W jego kolorach nie było widać zaskoczenia. Wiedział wcześniej, że kłamała. – Słyszeliśmy opowieści o Lady Craier. Miała talent do języków i była obyta w świecie. Dzika, tak nazywali ją Craierowie. – Roześmiał się. – Arrenowi się to podobało.

Był taki spokojny, taki pewny.

– Nie podano informacji o ojcu – dodał. – Pamiętam. Ale to nieważne. Kiedy twoja matka odwiedziła dwór, pozwoliła Bethine cię potrzymać. Oczywiście ta zaczęła chodzić i wszystkim pokazywać małą Craierównę, jakbyś była skarbem.

Była na dworze. Następczyni tronu ją trzymała, jakkolwiek krótko trwała jej regencja. Inara była znana. Elo ją znał.

Widzisz?, powiedział Skedi. *On może nam pomóc. Może nam pomóc bardziej niż Kissen.*

– Dlaczego wysłała cię z tą kobietą? – spytał Elo. – Droga jest niebezpieczna, Blenraden też.

Powiedz mu prawdę, Ina. Nie zaszkodzi.

– Nie wysłała – odrzekła Inara cichym głosem. – Nie żyje.

Elo spochmurniał.

– Bardzo mi przykro – powiedział. – Co się stało? – Widocznie w kolejce nie słuchał rozmów, pochłonięty własnymi problemami. Nie słyszał, jakie krążyły plotki.

Powiedz mu. On nam pomoże.

Inara była coraz głębiej przekonana, że Skedi ma rację. Ta myśl przygniotła wszelkie wątpliwości, miażdżąc je, odpychając. Skedi miał rację. Elo im pomoże.

– Inaro, co takiego ukrywasz?

– Ja... nasza posiadłość, moja rodzina. To był atak. Wszystko spalili.

– Kto?

– Nie wiem. Dlatego podróżujemy w tajemnicy. Kissen myśli, że mnie też mogą ścigać, jeśli się dowiedzą, że żyję.

– Bogobójczynie walczy z bogami, a nie z ludźmi. Powinna cię była zaprowadzić do króla Arrena.

– Ale co ze Skedim?

– Chiromantko!

Chłopak, który wcześniej stał przy drzwiach, rzucił się na pusty stołek, który Inara trzymała dla Kissen.

– Tethis, nie? Przyszłaś z veigą. – Złapał się za gardło w udawanym przerażeniu. – Omal się tam nie posikałem, ale Tip mówi, że ją zna i żebym się uspokoił. – Położył łokcie na stoliku. W ręce trzymał na wpół opróżniony kufel wielkości własnej głowy. – Nareszcie skończyłem robotę. Nikt już nie będzie ze mnie drwił, traktował mnie z góry, przekupywał, przymilał się ani na mnie pluł, niech Arren będzie pochwalony. – Posłał Inarze szeroki uśmiech. – Jestem Nat. Poczytasz mi z ręki? Mogę zapłacić. Powiedz mi, że nie będę wiecznie tak żyć.

Trzasnął dłonią o ich beczkę. Inara wbiła w nią spojrzenie. Czuła się oszołomiona i zdezorientowana, jakby we śnie. Na niewielkim podwyższeniu przy ogniu zaczęła śpiewać jakaś kobieta, ale nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Nie pracujesz za darmo, powiedział Skedi i Inara niemal bezwiednie zaczęła mówić.

– Nie jestem tania – oświadczyła.

Chłopak zamrugnął, sięgnął do kieszeni i wyciągnął niedużą monetę, która po jednej stronie miała wybitą podobiznę króla, a po drugiej herb Geralfich. Coś nowego. Inara jeszcze takiej nie widziała. Miała mniej więcej wielkość paznokcia u jej serdecznego palca. Kissen płaciła na ogół ciężkimi sztabkami, srebrnikami, nielegalną walutą i mosiądzem. To było więcej niż dosyć na nocleg. Skedi urósł, poczuła to. Ofiara.

– Słuchaj no, kolego – zaczął Elo, ale Inara podniosła rękę.

Ucziwa zapłata za czytanie z ręki, powiedział Skedi poprzez Inarę, która odkryła, że straciła kontrolę nad własnym głosem. Mimo wszystko jej to odpowiadało. Mogła się odprężyć i obserwować. Wszystkim dyrygował Skedi. Wyciągnęła ręce, ujęła dłonie Nata i odwróciła je. Rozpromienił się. Inara poczuła, że Skedi zsuwa się z jej kaptura z powrotem do torby, żeby zerkać na twarz chłopaka, samemu pozostając niezauważonym, podczas gdy ona patrzyła na jego dłonie.

Głodny, powiedział Skedi. Inara to widziała. To były te kolory, drżące, intensywne, róż i cynober. Był od niej może dwa lata starszy, z gęstą czarną czupryną, sterczącą i pofalowaną, oraz nakłuciami w uszach, przez które przeplótł mosiężny drucik. Jego kolory obracały się i poruszały, niczym blask słońca w szkle. Teraz fiolet. Dla Inary był to kolor powagi. Jej matka nosiła go na szczególne okazje. Ale u chłopaka...

Kapryśny, powiedział Skedi. *Niezbyt bystry*.

Masz mocną linię życia, powiedział bożek głosem Inary. Wskazała pierwsze lepsze miejsce na jego lewej dłoni. *Dożyjesz późnego wieku*. Błysk turkusu przy jego czole potwierdził podejrzenia. Członkowie jego rodziny byli długowieczni.

Każda wróżba zawiera ostrzeżenie, Inara poczuła myśl Skediego.

Uważaj, przemówił jej język, przekazując słodkie kłamstwa bóstwa. Nat nachylił się, a Inara wskazała linię, która była odchyłona, ale nie przerwana. *To wskazuje na upadek z wysokości albo inny wypadek, po którym mógłbyś zostać kaleką uzależnionym od innych. Będziesz dumnym mężczyzną i takie zdarzenie ciężko zniesiesz*.

Nat zmarszczył brwi i westchnął:

– No, to się zdarza połowie ludzi na tym chwiejnym moście.

Elo przyglądał się wyrazowi jego twarzy, ale Inara widziała także jego kolory. Srebrne błyski zdumienia i koralowy obłok podejrzeń.

To nie tutaj jesteś najbardziej narażony na ryzyko, powiedział Skedi. Inara wskazała linię wokół środkowego palca chłopaka. *Możesz podjąć decyzję o pozostaniu albo możesz odejść*.

– Zostanę rycerzem? – spytał z uśmiechem.

Elo syknął niemal niesłyszalnie.

Nie, odparł Skedi. *Sam w to nie wierzysz*. Miał rację. Gdy Nat zadawał pytanie, falowała wokół niego szara niepewność. *Za to pojawi się bogactwo. Skup się na szansie bliżej domu*. Inara wskazała miejsce, gdzie linie na jego dłoni się przecinały, tworząc trójkąt. *Jeśli będziesz spostrzegawczy i uważny, uda ci się zbudować życie, jakiego pragniesz*.

Nat odchylił się i głęboki błękit satysfakcji zbladł, nabierając ponurego odcienia. Torba ze Skedim aż rozciągnęła się w szwach, tak urósł.

– Czyli... powinienem tu dalej pracować? – spytał Nat.

Inara cofnęła rękę. Skedi nigdy wcześniej przez nią nie przemawiał. Najpierw nie było to nieprzyjemne, ale kiedy jego kontrola wzrosła, poczuła się dziwnie. Jak nie ona, jakby była pogrążona w półśnie.

– Czytanie z ręki nie odpowiada na konkretne pytania – oznajmił Elo. – Usłyszałeś swoją wróżbę. Oddał się.

– Ale ile będę miał dzieci? – spytał. – Jakiej szansy powinienem wypatrywać? Możesz mi coś podpowiedzieć?

Inara zacisnęła zęby, zanim Skedi zdążył się odezwać. Czuła, jak słowa tłoczą jej się na języku, spadając z rozemocjonowanego, śpiewnego głosu Skediego w jej głowie do ust.

Powiedz mu, że będzie miał troje dzieci. I żeby wypatrywał złotego zająca z porożem i skrzydłami, a on pokaże mu szansę. Powiedz, żeby rzucił pracę, są lepsze posady. Powiedz, żeby modlił się do boga niewinnych kłamstewek. Mogę mu zapewnić to, czego chce.

– Już wystarczy – powiedziała Inara, zarówno do Nata, jak i do Skedicetha. Włożyła rękę do torby i zacisnęła palce na jego sierści, posyłając mu myśl. *Obiecałeś nigdy nie używać na mnie swoich mocy.*

Nie użyłem ich na tobie, odpowiedział myślą.

Gdyby Kissen tu była...

Ale jej nie ma i cieszymy się, że jej nie ma.

Inara odkryła, że się cieszy. Nie była pewna dlaczego, ale przynajmniej nie przyłapano ich na takich kłamstwach.

– Czekaj – przerwał im Nat. – Nie możesz przestać, kiedy ci się podoba. Dałem ci całą srebrną monetę.

– Powiedziała „nie”, dziecko – rzucił Elo głosem głębokim i zimnym. – Powiedziała to uprzejmie. Proponuję ci odejść albo ja powiem to mniej uprzejmie.

– Ja tylko pytam – odparł. – Zapłaciłem. – Jego dąsy trwały jedynie chwilę, a później stanął hardo przed Elo, chcąc odzyskać część władzy. – Jaka artystka grozi klientowi, który jej płaci? – spytał. – I jaki śpiewak nosi miecz? – Zmrużył oczy. – Radzę, żebyś zaprezentował swoje umiejętności albo polecę karczmarzowi wezwać straż Geralfich.

Kolory Elo zawirowały z niepokoju, rozdrażnienia i gniewu, które przerodziły się w błysk w jego oku. Podobny pojawiał się u Kissen, kiedy czuła, że szykuje się bitka. Co było gorsze: aresztowanie czy potencjalne rozpoznanie? Uśmiechnął się, podjąwszy decyzję.

– Nigdy nie słyszałem o strażniku, który aresztował muzyka delektującego się posiłkiem – powiedział. – Ale niech ci będzie, mądrało. Może powinieneś powiedzieć

tej śpiewaczce, że rezygnujesz z jej usług, i powiadomić Tipa i Leira.

Celowo wymienił imię wypowiedziane przez Kissen, a także starszego sługi, który się przedstawił. Pieśniarka na scenie wciąż dzielnie śpiewała, chociaż inna grupa muzyków z piszczałką wygrywała w kącie jakieś nuty, odciągając od niej uwagę. Śpiewaczka aż poźółkła ze złości.

Nat jednakże toczył wojnę z samym sobą, patrząc na Elo przez zmrużone powieki. Inara widziała, że agresja chłopaka jest niebieskoszara i burzliwa. Chciał upokorzyć Elo, bo sam czuł wstyd. Elo stawiał czoło wyzwaniu i dlatego Nat tym bardziej pragnął go zdenerwować. Jego instynkt samozachowawczy szybko się ulatniał.

Skedi, co ty robisz?, spytała Ina, kierując myśli ku bożkowi, podczas gdy Elo i Nat toczyli swoją walkę charakterów. Kolory Nata przecinał ostry róż, a Elo emanował intensywnym błękitem.

Nie zrobiłbym nic, żeby cię skrzywdzić, Ina, zapewnił ją. Stał się bardzo mały i kiedy Nat nie patrzył, przepelzł przez torbę na jej dłoń i tam się skulił. Bezpiecznie, kojąco. Trochę się odprężyła. To był jej Skedi, jej przyjaciel. Nie zrobiłby jej nic złego.

Nat zrozumiał, że Elo nie zamierza się cofnąć. Odepchnął swój stołek i pomaszerował do pieśniarki. Musiał stanąć na palcach, żeby szepnąć jej coś do ucha. Przestała grać na swojej niewielkiej lutni i przewróciła oczami, po czym podeszła do kontuaru, ciągnąc za sobą pomarańczową smużkę złości. Nat skrzyżował ręce, zbytnio już zaangażowany, by ustąpić, i kiwnął podbródkiem w stronę Elo.

– Nie może cię zmusić – powiedziała Ina, przyciskając dłoń do jego ramienia. Przez mgłę miłych uczuć i znużenia uświadomiła sobie, że grozi im tu niebezpieczeństwo. Nie chciała, żeby Elo posłuchał chłopaka. Chciała, żeby Kissen wróciła i wywróciła stolik. Chciała, żeby ktoś, kelner albo śpiewaczka, zbeształ Nata za jego nieuprzejme zachowanie. Gdzie był ten Tip, o którym mówiła Kissen? Pragnęła obecności swojej matki.

– Nie martw się – powiedział Elo, wstając i masując krtań. Zdjął i odłożył miecz. – To knajpa weteranów. Tylko proszę, zasłoń uszy.

Podążył na scenę, która znajdowała się pod ścianą. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi wśród huku wody, stukotu kości, brzęku monet i upartego pogwizdywania piszczałki grupy muzyków. Mimo wszystko Elo uklonił się Natowi podszytym drwiną gestem.

Ina oczywiście nie zasłoniła uszu. Elo zaczął śpiewać.

*Byłem ja żołnierzem pod murami miasta,
Wszystkie ukochane zostały gdzieś hen,
A bóstwa miłości zrobiły się złe,
Nie wiedziałem zatem, co ze sobą zrobić,*

Gdy maszerowałem pod murami miasta.

Jego głos zabrzmiał głębokim i zaskakującym tenorem, a przy tym głośnym jak u śpiewaków, którzy przyjeżdżali przy okazji zimowego przesilenia. Śpiewał powoli, przyciągając uwagę tłumu. Kilku pijących o zmęczonym wyglądzie zamrugało, zerkając w jego stronę. Fujarka umilkła, a jednoręki mężczyzna, który na niej grał, uśmiechnął się, ukazując trzy zęby, które mu pozostały. Elo zaczął drugą zwrotkę, nabierając teraz tempa, gdy już rozpoznali, co śpiewa. Melodia pozostała ta sama i przywodziła na myśl dziecięcą rymowanąkę.

*Byłem ja żołnierzem pod murami miasta,
Wszystkie ukochane zostały gdzieś hen,
A bóstwa miłości zrobiły się złe,
Nie wiedziałem zatem, co ze sobą zrobić,
Wszystkim żabkom dać buziaki,
Gdy maszerowałem pod murami miasta?*

Gwar w lokalu ucichł. Kilka głów się odwróciło, a przynajmniej trzy osoby zanuciły ostatni wers wraz z Elo. Od następnego trzy kobiety z kokardami na plecach siedzące bliżej krawędzi wodospadu, zaczęły także śpiewać. Jedna z nich miała jasne, białe blizny tak jak Kissen, jakby piorun trafił ją w kark. Wydawały się bardziej zainteresowane samą piosenką niż tym, kto ją śpiewa.

*Byłem ja żołnierzem pod murami miasta,
Wszystkie ukochane zostały gdzieś hen,
A bóstwa miłości zrobiły się złe,
Nie wiedziałem zatem, co ze sobą zrobić,
Wszystkim żabkom dać buziaki,
Z markietanką skoczyć w krzaki,
Gdy maszerowałem pod murami miasta?*

Inara zarumieniła się. Pamiętała, i to wyraźnie, jak słyszała starych gwardzistów z posiadłości matki żartujących na temat wojny po tym, jak odeskortowali Lady Craier z powrotem z raną odniesioną podczas bitwy w porcie. Nieliczni, którzy wrócili, mówili o „żabkach”, trzymających się skraju wojennej kawalkady, często zwykłych leniach i buntownikach, którzy szukali ochłapów albo czegoś, co można by ukraść. Nikt by ich raczej nie chciał całować. Ciągnąć w krzaki? Markietanki były handlarkami, które podążały za wojskiem i rozstawiały kramy dla żołnierzy.

Elo śpiewał nieprzyswoitą piosenkę.

Leir przy kontuarze zaczął do rytmu klaskać w dłonie. Ten, który grał wcześniej na fujarce, dołączył do śpiewu, a niektóre grupki wynajmujących pastwiska na sezon obfitości, wcześniej próbujących się zaznajomić ze starszymi bywalcami, zaczęły tupać nogami.

*Wszystkim żabkom dać buziaki?
Z markietanką skoczyć w krzaki?
Ostrze miecza nadzieć na co?
Sprawdzić, ile dziwkom płacą?
Gdy maszerowałem pod murami miasta.*

Gospoda się trzęsa, gdy wszyscy tupali i śpiewali, z każdą zwrotką dodając jeden wers, każdy bardziej grubiański od poprzedniego. Nat patrzył teraz na drzwi zaplecza gospody, skąd wyszedł jakiś starzec z włosami sterczącymi z uszu i wykrzywioną miną. Była z nim Kissen, której opadła szczęka, gdy zobaczyła, kto śpiewa na scenie.

– Stać! – krzyknął mężczyzna. – Żadnego tupania! Żadnego kołysania! Podczas święta Gefyr ledwie się trzyma.

Deski skrzypiały i jego głos było ledwie słychać ponad gromkim śpiewem. Wcześniejsza pieśniarka, która teraz sączyła winiak, miała dość zadowoloną minę.

– Nie! – Ten, który przyszedł z Kissen, rzucił się do sceny, powiewając włosami niczym białymi flagami. – Żadnego tupania ani tańca! Nie mamy na to zezwolenia. Zachowajcie sobie te zbereżne bzdury na hamaki, czy jesteście bohaterami świętej wojny, czy nie.

Publiczność pomachała mu ze śmiechem, wracając do swoich napitków, a niektórzy wciąż nucili przyśpiewkę pod nosem i chichotali.

– Kto o to poprosił? – spytał oberżysta, piorunując Elo wzrokiem.

Inara podejrzewała, że to Tip, sądząc po władczej czerwieni połyskującej przy jego skroni. Elo zachował milczenie. Nat zaczął się nerwowo oddalać. Uciszona wcześniej śpiewaczka wzniosła swój kieliszek.

– Ten mały Nat! – oznajmiła.

Nat wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Zrobił dość duży krok w przeciwną stronę od Tipa, ale nie dość szybko, żeby umknąć przed jego ręką, która chwyciła go za koszulę i poderwała z podłogi.

– Powiem o tym twojemu tacie, Natino Barksonie.

Zniknęli za drzwiami na moście na zewnątrz. Klientela gospody znowu podzieliła się na dwie osobne grupy, a piosenka została niemal zapomniana.

Elo zszedł ze sceny i wrócił do Iny. Podążyło za nim kilka spojrzeń. Był na tyle wysokim mężczyzną, że gdyby miał włosy, szorowałyby nimi po sklepieniu. Wyróżniał

się w tym lokalu niczym płomień w ciemności.

– Nie zasłoniłaś uszu – stwierdził.

– Kto mógł wiedzieć, że zaśpiewasz frywolną piosenkę? – powiedziała Kissen, która do nich dołączyła. Klepnęła go dłonią w plecy. – Zaskoczyłeś mnie, jeszcze jak. Na krew i sól, piekarzu, nie spodziewałam się.

Podeszła do nich kobieta z innego stolika, klaszcząc w dłonie z wyrazem zadowolenia.

– Ty! Ty jesteś... ej, no jak to szło? Dowódca Elogast?

Kissen zacisnęła dłoń na ramieniu Elo, być może żałując, że postawiła go w takiej sytuacji.

– Oj, do kurwy nędzy, znowu to samo – powiedziała głośno. – On jest piekarzem, a nie rycerzem. Gdyby naprawdę umiał używać swojego miecza albo miał odwagę iść do Blenradenu, coś bym o tym wiedziała, nie?

Nie jest rycerzem, nie jest rycerzem, nie jest rycerzem, powtarzał Skedi i jego kłamstwo podziałało. Rozprzestrzenił je szerzej. Inara czuła, jak jego woła rozchodzi się poprzez nią, wzmocniona, na całą gospodę. Kilka błysków rozpoznania zgasło, a wszelka ciekawość na temat Elo się rozviała. Mimo wszystko przesywał Kissen twardym spojrzeniem.

Druga kobieta podniosła rękę. Policzki miała poróżowiałe od alkoholu.

– Przepraszam, przepraszam – powiedziała. – Nie wiedziałam, że jest zajęty. – Oddaliła się.

Elo strącił dłoń Kissen ze swojego ramienia i skinął głową w kierunku Inary i Skediego.

– Dziękuję wam obojgu – powiedział, a następnie zwrócił się do Kissen: – Dlaczego wybrałaś to miejsce?

– Nie musisz przybierać takiej obronnej postawy, chyba że szukasz romantycznej znajomości, a jeśli tak – potoczyła gestem po pomieszczeniu – masz w czym wybierać. My, prości ludzie, rzadko widzimy takiego przystojniaka jak ty.

Elo zarumienił się.

– Veigo, przyprowadziłaś nas tutaj, wiedząc, że ktoś może mnie rozpoznać. Dlaczego?

Kissen wzruszyła ramionami i usiadła na miejscu Nata. Inara żałowała, że nie widzi kolorów veigi, nie może poznać jej myśli.

Czy osoba godna zaufania się przed tobą ukrywa?, zapytał Skedi.

– Żeby dowiedzieć się o tobie więcej – powiedziała Kissen, biorąc piwo Elo i pociągając długi łyk – i o tym, po co idziesz w tajemnicy do nielegalnego miasta, które oblegałeś. – Po chwili dodała jeszcze z naciskiem: – Oraz żeby przespać jedną

noc w hamaku, zamiast pełnić wartę na twardej ziemi. Wszystkie łóżka w mieście są zajęte, a mój przyjaciel Tip wywalił paru próżniaków, więc będziemy mieć trochę ciepła. Masz szczęście, że ciebie też nie kazałam wykopać. – Przerwała na chwilę. – Rozważałam to, zanim usłyszałam twój nieprzyzwoity śpiew.

– Ciszej, do licha – powiedział Elo, nachylając się. – A jeśli przyjdą tu demony? Poniesiesz odpowiedzialność za śmierć innych ludzi?

Kissen wykrzywiła wargi.

– Bogowie mają swoje ograniczenia – stwierdziła. – Demony pokazały się pierwszej i piątej nocy. Jak znam bogów, oznacza to, że trzeba było czterech dni po przywołaniu na zebranie sił, żeby stworzyć więcej bestii. Dzisiaj się to nie zdarzy.

– Czyli... wrócą za trzy dni? – spytała Inara. Gdyby wzorzec miał się utrzymać, znaczyło to także, że będzie ich więcej: trzy lub cztery.

Elo nie wydawał się zachwycony.

– Nie ufam twojemu osądowi – oznajmił chłodno – ani w kwestii Inary, ani demonów. Straciliśmy dość czasu na tę podróż. Im szybciej dotrzemy do Blenradenu, tym lepiej.

Podniósł swój miecz i zostawił Kissen, która wciąż się uśmiechała. Inara nie miała pewności, czy jest powód, żeby się uśmiechać. Zaufała Kissen, bo bogobójczyni była jej jedynym wyborem. Czy nadal mogła tak twierdzić?

Tip wrócił i położył dłoń na ramieniu veigi.

– To w twoim stylu, przyprowadzić tu jakiegoś ordynarnego barda – powiedział. Spojrzał na Inarę. – O, witaj, młoda chiromantko. Witaj U Rybaka. Masz szczęście, że podróżujesz z veigą. – Uśmiechnął się. – Kissen ma tutaj darmową koję do końca życia za to, że mnie uratowała. Za strawę i napitki też nie płacicie. Nie żałujcie sobie.

Inara chciała poprosić o wodę, czuła się taka wyczerpana i zdezorientowana, widziała jednak wylewane do rzeki ekskrementy. Piwo wydawało się bezpieczniejsze. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i Tip odwrócił się z powrotem do Kissen.

– Ten bard? – spytał.

Inara wbiła w nią wzrok. Chyba veiga nie zdradzi Elo, prawda?

– Kolejna twarz z wojny – odparła Kissen. – Nie znam go zbyt dobrze. Spięty jak sakiewka.

Tip skinął głową.

– No, śpij dobrze, a następnym razem zostań na jedną noc dłużej, żebyśmy mogli wypić za śmierć Mertagha. – Zerknął na jeleni łeb i splunął na podłogę, po czym stopą wtarł ślinę w kurz. – Nigdy więcej wojny. – Gwizdnął i ruszył z powrotem do kontuaru.

– Elo nie podobało się, że nas tu przyprowadziłaś – powiedziała Inara do Kissen. Była pewna, że ma jej jeszcze coś ważnego do powiedzenia, ale ciągle wymykało jej się to z głowy. Zmęczenie ciążyło, nawet Skedi wydawał się ciężki w jej dłoni, chociaż nadal był mały.

– Elo i tak mnie nie lubi. – Mały wybuch irytacji ze strony Kissen. Czyżby chciała być lubiana? Nie pokazywała tego.

– Może by lubił, gdybyś nie poddawała go próbie – stwierdziła Ina. – Zaczynał czuć do ciebie sympatię.

– Dlaczego tak uważasz? – spytała Kissen, zaintrygowana.

Jego kolory, ten przypływ świeżej zieleni. Nie powie tego. Nie Kissen.

Nie wierz jej. Nie wierz, że nie zwróci swojej nienawiści do bóstw przeciwko tobie, tak jak i mnie.

Nie jestem bóstwem, Skedi.

– Mówiłam mu – powiedziała na głos Inara, w końcu złapawszy ulotną myśl niczym pstrąga w strumieniu. Wyślizgiwała się. Dlaczego? – Wie, kim jestem.

Kissen jęknęła i położyła głowę na stoliku.

– Przez ciebie zginę, mała.

– Myślę, że nic nam z jego strony nie grozi – stwierdziła Ina. – Skedi też tak uważa.

– O, w takim razie jak najbardziej... – Jej ton ociekał sarkazmem.

W porządku, Inaro, Skedi przemówił bezpośrednio do niej. Odejdź od bogobójczyń. Idź do Elo. Elo może pomóc.

– Sądzę, że on może mi pomóc – powiedziała Inara. – Znał moje nazwisko, moją matkę. Lepiej niż ty. Możemy mu zaufać.

– Ludzie, którym ufasz, mogą zwrócić się przeciwko tobie, jeśli będą mieli takie życzenie.

Inara czuła frustrację. Nie wiedziała, co powiedzieć, jak sprawić, żeby Kissen posłuchała. Zrozumiała. W ogóle zainteresowała się tym, czego ona chce. Skedi też był zły. Nie lubił Kissen, nie chciał jej. Jego wola była silniejsza niż Inary.

Skąd możesz wiedzieć?, przemówił przez nią Skedi. Inara próbowała go uspokoić, ale uświadomiła sobie, że nie może mówić. Jej język nie należał do niej, myśli wirowały, pełne zamętu, zmęczenia, wątpliwości, podejrzeń. Kłamstw. Ale posłużył się jej głosem. Kissen musiała myśleć, że to jej pytanie.

Kolory Kissen zaskrzyły się przez chwilę tuż przy jej skórze, co zupełnie zaskoczyło Inarę. Były płaskie i ciemne, szare, niczym morze i sztormowe chmury, z ognistymi, pomarańczowymi krawędziami. Bił od niej gniew.

– Bo tak właśnie zrobili – odparła. – Koniec dyskusji.

Może gdybyś nie była taką nieufną, tępą krową, toby nie zrobili, warknął Skedi jako Inara.

Twarz Kissen stężała. Kolory zniknęły z powrotem wewnątrz niej, kiedy zamknęła się przed światem, wciągając je do środka, blokując wszystkie swoje słabe punkty. Inarze się to nie podobało. To nie było w porządku. To nie były jej uczucia.

Co ty wyprawiasz, Skedi? Wypuść mnie.

Skedi nie odpowiedział.

Nie będę już z tobą podróżować, skłamał Skedi za pośrednictwem Inary. Nie czuję się z tobą bezpiecznie.

– Złożyłam obietnicę, Inaro – odrzekła Kissen. – Ich składanie nie przychodzi mi łatwo i nigdy ich nie łamię.

Pójdę z Elo i chcę, żebyś zostawiła nas w spokoju. Wróc do Lesscji i bogobójstwa i trzymaj swoje noże z dala od Skedicetha.

Wola Skediego zapanowała nad wolą Inary. Jej jedyny przyjaciel przejął nad nią kontrolę z wnętrza jej własnego umysłu. Znowu spróbowała go wezwać, by się odsunął, ale nawet nie drgnął ani nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY



Skediceth

CO ON ZROBIŁ? JUŻ WCZEŚNIEJ NARZUCAŁ INIE SWOJĄ WOLE, sącząc swoje sugestie, tak jak z pielgrzymami. Kissen nie była dla nich właściwa.

Musiał. Nie chciał być obok niej, bez względu na to, do czego dążyła Inara. Kissen nie miała dla niego szacunku, dla jego życia, pragnień. Nie mógł tego dłużej znieść. Był przecież bogiem.

Później ten chłopiec złożył mu ofiarę, był zachwycony jego kłamstwami. Inara go wpuściła, pozwoliła jego woli się przeniknąć. To była jego chwila i nie mógł jej zmarnować. Wystarczyło tylko wwiercić się głębiej w Inarę, wpleść swoje zamierzenia w jej umysł. Był tam i zamierzał zostać tylko jakiś czas, tylko do chwili, gdy oboje będą bezpieczni.

Zrozumiesz, Inaro.

Sprawił, że zasnęła. Odkrył, że może to zrobić, wciskając kojące kłamstewka do jej umysłu: że nie słyszy huku wody, że to tylko sen, że jest w domu, w swoim łóżku, na mięciutkim materacu z pierza. Łóżko było w istocie zakrytym hamakiem, podobnym do strąka grochu, wyłożonym futrami i szorstką wełną. Skóry na wierzchu zatrzymywały wodę, ale już nie woń stęchlizny i potu wcześniejszych użytkowników hamaka. Skedi skulił się na piersi Inary i siłą woli sprawił, że poczuła zapach jaśminu i innych kwiatów, starego drewna. Czy miał poczucie winy? Trochę. Wiele Inie

zawdzięczał. Kochał ją. Starał się nie zagłębiać w jej emocje, nie widzieć jej strachu i poczucia zdrady. Był bogiem niewinnych kłamstewek i musiał używać swojej mocy, żeby ich chronić.

Obudził ją przed świtem. Budząca robiła obchód, szarpiąc tych, którzy prosili, żeby pomóc im wcześniej wstać. Skedi słyszał skrzypienie sznurów, gdy ludzie się poruszali albo strumień wody leciał z któregoś hamaka na kogoś poniżej. Wodospad nie miał manier. Zmieniał się, chlustał i bryzgał. Czasami słychać było jednostajne uderzenia kropel i drobnej mżawki oraz donośne kap, kap z hamaka powyżej. Później coś się zmieniło, powiał wiatr, zmieniło się rozłożenie ciężaru, i leciała struga.

Pora iść. Dla mnie, Ina.

Poruszała się tak, jak nakazywał jej siłą woli, zbierając swoje rzeczy. Zawahała się przy płaszczu z woskowełny, ale w końcu nałożyła go na ramiona. W jej umyśle panował hałaśliwy zamęt, ale go okiełznała.

Skedi siedział w jej kapturze, gdy zapięła płaszcz i zeszła po śliskiej drabinie z nasiąkniętej koi na wilgotne deski. Był skryty w jej lokach, w bezpiecznym, ciepłym miejscu.

Tędy.

Zauważył wcześniej, gdzie śpi Elo. Poprowadził ją w górę po sznurach i deskach, chociaż jej brak skrzydeł spowalniał ich oboje. Nie, Elo już nie spał. Był przebudzony, wiercił się, a wokół jego dłoni mrowiła się szara nieufność. Słyszał, jak podchodzą, czuł uginanie się desek pod ciężarem dziewczynki, kiedy podeszli bliżej. Może miał nóż. Może Skedi narażał Inarę na szwank.

Skedi podfrunął do otworu w hamaku Elo, osiągając niemal granicę dystansu, na jaki mógł się oddalić od Iny. Rycerz stłumił krzyk.

– Nie uderzaj, rycerzu, to my!

Elo zamrugał oczami, patrząc na Skediego, po czym opuścił wzrok na Inę.

– O co chodzi, Inaro? Co zrobiła Kissen?

Nic, przemówił Skedi jej ustami i jej głosem. Chcemy iść z tobą, teraz, zanim się obudzi. To ona przyciąga demony, mam pewność. Nie chcę zginąć.

Skedi uświadomił sobie, że Inara płacze. Łzy spływały jej po twarzy na podbródek.

Przestań, powiedział. To dla nas. Obiecuję, że cię uwolnię, kiedy stąd odejdziemy.

– Ja... – Elo zawahał się, a wokół niego wirowały emocje. Wątpliwość, i to silna. Wątpił w samego siebie. A obok lojalność. Harda, obezwładniająca, lazurowa lojalność, zdolna przytłoczyć wszystko inne. – Inaro, wykonuję ważną misję. Nie mogę...

Był wystawiony na atak. Nie osłonił swojej woli tak jak Kissen. Można go było przekabacić.

Z tobą będzie bezpieczniejsza, powiedział Skedi, naciskając swoją wolą umysł mężczyzny. Ona jest jak król Arren, prawda? Arren chciałby, żeby była chroniona, Bethine też. Zadbaj o jej bezpieczeństwo.

Proszę, powiedział na głos. Celowo czy nie, łzy Inary wpłynęły także na Elo. Wola Skediego owinęła się wokół kolorów rycerza, wyczuwając jego niepewność i kojąc ją, tłumiąc. Mógł tego dokonać, mógł trzymać ich oboje w swojej mocy, ponieważ były to kłamstewka, w które niemal chcieli wierzyć. Poczucie honoru w odcieniu brzoskwiowego brzasku urosło w kolorach Elo, skinął głową.

– Dobrze – powiedział. Było to niemal słodkie. Naprawdę wierzył w pomaganie innym. Złapał swoją torbę i wyskoczył z hamaku.

Skedi pofrunął z powrotem do Inary i ją odwrócił, a sierść mu się nastroszyła od własnej mocy. Niemal czuł, jak powiększa mu się poroże. Ludzie byli tacy łatwowierni! Jak ryby w sieci, kiedy już ich miał. Przejął kontrolę nad losem swoim i Inary pierwszy raz, odkąd odnaleźli siebie nawzajem i byli zmuszeni żyć w strachu. Poprosi ich o ofiary w zamian za ocalenie przed veigą i demonami. Będzie prawdziwym bogiem.

Wspięli się po schodkach do gospody i weszli tam przez podłogę, Skedi zaś zawczasu znowu zanurkował w kaptur Inary. Ktoś tłukł się po kuchni, a spod rusztu dobywał się zapach świeżo rozpalonego węgla. Jakaś para siedziała przy ogniu, jedząc kwaśne duszone śliwki i susząc ubrania, które przesiąkły wodną mgiełką z wodospadu.

Elo dał znak Inarze, żeby wyszła za nim przez drzwi. W przeciwieństwie do dziewczynki był jak sprężynowa zabawka – nakręcony dobrym kłamstwem szedł teraz naprzód. Skedi pozwolił swoim skrzydłom poczuć dreszcz ekscytacji. Im bardziej oddalali się od Kissen, tym czuł się szczęśliwszy.

Wyszli na wyłożoną kamieniami centralną aleję na moście. Handlarze przytargali już świeży poranny połów z rzeki i wrzucali do skrzyń ryby na sprzedaż. Dwoje dzieci zabrało się do patroszenia i uliczka cuchnęła łuskami i krwią. Inara i Elo musieli przejść po rybich wnętrznościach, żeby dostać się do wschodniej części miasta.

Brama po tej stronie była niska i niewielka w porównaniu z tą na zachodnim brzegu, ale podobnie przystrojona girlandami. Skedi wyrzął przez włosy Inary. Ci, których nie było stać na łóżko, tłoczyli się tam, pakując swoje rzeczy i ustawiając się do wyjścia. Kilka osób mieszało w kociołkach z zupą pokrzywową albo pożywiało się sucharami pokruszonymi z solą i suszonymi jagodami.

Brama była półotwarta, a skryba o zmęczonym wyglądzie wykreślał nazwiska z rejestru i dopisywał przybywających ze wschodu. Za bramą Skedi dostrzegął przerzedzone drzewa i otwarty trakt. Było tam wielu pieszych wędrowców, nieliczni mieli konie.

Między nimi wyróżniała się bogobójczyni.

Niesforne włosy spięła obręczą z warkoczy, była dobrze ubrana, wcale niezdyszana, z torbą na plecach. Nogi trącał pyskiem jej dłoń i wydawał się bardziej wypoczęty niż oni wszyscy. Uśmiechnęła się. Skedi mimowolnie się skulił. Kobiety takie jak ta kazały mu powątpiewać we własną nieśmiertelność.

Emocje Inary oszalały. Skedi stłumił je, skupiając swoją wolę na Elo, podtrzymując jego wiarę w kłamstewka. Bożek zbliżył się do granic swojej niewielkiej mocy. Ale co mógł zrobić? Nie mogli zawrócić. Nie mogli robić scen i dać się zdemaskować, aresztować, przesłuchać. Skedi nie mógł narazić na niebezpieczeństwo Inary ani siebie samego. Nie taki miał cel.

Siłą woli pchnął Inarę naprzód i wypisali się z miasta, wykreślając z listy swoje fałszywe nazwiska, po czym spotkali się z Kissen na trakcie.

– Wolno się dziś ruszacie – stwierdziła.

Elo położył dłoń na ramieniu Inary.

– Ona idzie ze mną – oznajmił. – To była jej własna prośba, a ja ją spełnię. Jesteś zwolniona ze swoich obowiązków, więc odejdz.

– To nie obowiązki – odparła Kissen. Jej oczy o barwie szarego morza spoczęły na Inarze. – To była obietnica. – Nie wiedziała, że to Skedi. Nie mogła wiedzieć. Schował się za karkiem Inary. – No, piekarzu, nie bijmy się tutaj.

Elo ostrożnie położył dłoń na mieczu, ale go nie wyciągnął. Tęcza konfliktu zamigotała w jego kolorach, świeża zieleń jego początkowej sympatii wobec Kissen, błękit lojalności i brzoskwiniowy odcień honoru, szara ostrożność i złote kolce, agresywne, gwałtowne, nabierały siły, gdy zerkał na podróżnych wokół nich.

– Nie – powiedział. – Nie tutaj.

Podążyli za tłumem ludzi wychodzących z Gefyrtonu. Skedi nie musiał widzieć kolorów Kissen, żeby wiedzieć, że oboje się gotują, gotowi wybuchnąć. Kolory zmieniały powietrze wokół Elo w połączenie szarości i złota, aż sierść Skediego się zjeżyła. Dreszcz emocji. Już to kiedyś robił. Elo wygra w tej walce. Był wyszkolony, gotowy. Miał bóstwo po swojej stronie.

Bruk miejskiej drogi prowadził na ubity trakt okolony pniakami ściętych drzew i winnicami. Pełno tu było koni i bydła, i trudno było uwolnić się od innych podróżnych. Większość skręcała w pierwszą drogę w stronę wybrzeża, ale całkiem liczna grupa wchodziła głębiej w góry, kierując się na północ wśród zieleniejących łąk i stoków porośniętych poczerniałymi przez zimę paprociami. Na niektórych zboczach wciąż widać było śnieg w szczelinach pod wypuszczającymi pierwsze pąki brzożami. Inara zatrzymała się, zmagając się ze Skedim, Elo stanął między nią a Kissen i koniem.

Kissen spoglądała na niego z ukosa, czując się znieważona jego podejrzeniem, że mogłaby złapać dziewczynkę i uciec. Może to była zniewaga. A może by to zrobiła.

Zachowywali jednak milczenie. Nie minęło wiele czasu i napotkali dwóch rycerzy w królewskich barwach, w miejscu, gdzie trakt się zwięzał między skalnymi występami. Byli czujniejsi niż palący fajkę strażnik, którego widzieli przy bramie poprzedniego dnia. Ci położyli na ziemi symbol – kawałek drewna z wyrzeźbionym kształtem przypominającym gałąź drzewa albo trójząb. Wzywali podróżnych i zmuszali ich do stawania na drewnianym, powodując zator. To musiał być znak bóstwa, a oni kazali wędrowcom po nim deptać na dowód, że nie są mu wierni. Kissen, Elo i Inara też musieli na nim stanąć, przechodząc, i zrobili to bez chwili wahania, konflikt między nimi bardziej ich bowiem pochłaniał niż tego typu demonstracje na drodze.

Odeszli ledwie kilka kroków, gdy usłyszeli odgłosy szamotaniny. Skedi wyjrzał ponad czubkiem kaptura Inary i zobaczył, że rycerze złapali za rękę starszą kobietę. Odmówiła nadeptnięcia na symbol.

– Proszę! – wołała. – To znak Lethen. Ona prowadzi zagubionych podróżnych do domu.

– Król jest waszym przewodnikiem – warknął jeden z rycerzy.

– Jestem wędrowną handlarką. Nie możecie żądać, żebym na nią nadeptnęła i prosiła się o tragedię!

Rycerz, który odezwał się wcześniej, uderzył ją mocno dłonią w rękawicy, po czym złapał za szyję i przycisnął jej twarz do symbolu. Skedi wyczuł wahanie Elo, jego wolę zmagającą się z gniewem. Mężczyzna zatrzymał się, jego własne pragnienia mogły zdławić dążenia Skediego.

Nie możesz jej pomóc. Co z twoją pielgrzymką? Co możesz zrobić, żeby zmienić to, co się stało?

Myśli Elo były jasne jak dzień. Arren by tego nie zrobił. Myśli zblakły i co zostało? Arren. Brat. Przyjaciel. Pomóż mu.

Pomóż Inarze, szepnął Skedi. Pomóż mnie.

Pomóż.

Drugi raz podczas swojej wędrówki Elo odwrócił się od rycerzy, których kiedyś nazwałby może swoimi towarzyszami, kipiąc gniewem, wstydem i żalem.

Przebyli ledwie trzy mile, gdy natknęli się na kamienny znak poprzątykany żółtymi porostami. Strzałki wskazywały ważne miasta leżące na północ, wschód i południe. Na górze napis skuto, niechlujnie odłupując kawałki kamienia i pozostawiając długą bruzdę jaśniejszą niż powierzchnia. Pozostała jedynie połowa pierwszej litery B oraz brzuszek z d. Blenraden.

W milczeniu pokonywali drogę, wędrując na wprost słońca. Minęło zenit, zanim mogli oddalić się od traktu i przemknąć na ścieżkę, która prowadziła pod górę. Las znowu rósł wokół nich gęsto, a młode jelonki i ich matki pierzchały przestraszone, kiedy je mijali. Popołudnie powoli wplatało swój blask między drzewa, gdy wchodzili wyżej w podnóża Bennitów. Tu podłoże stało się bardziej twarde, skaliste. Dotarli do polany, mokrej od topniejącego śniegu i wiosennych deszczy. Kolory wokół Elo zmieniały się. Nieruchomiały.

Teraz byli już sami.

Elo zatrzymał się pierwszy. Wyciągnął miecz o matowym brydzytowym ostrzu, a jego emocje pociemniały.

– Czekaaj, Elo... – Głos Inary przerwał ciszę.

Skedi zatopił pazury w jej ramieniu, znowu pokonując swoją wolę jej pragnienia. Była tylko istotą ludzką, małą dziewczynką. Nie mogła się oprzeć intensywnej presji bóstwa.

Cicho, lepiej cicho, powiedział. Obiecuję, że tak będzie lepiej. Obiecuję.

– Veigo – przemówił Elo, gdy Kissen poprowadziła Nogiego na trawę, żeby się pasł. Rozpięła swój płaszcz i rzuciła go na siodło, po czym ostatni raz poklepała konia po szyi i pogładziła po miękkich uszach. Wzrokiem omiotła Inarę i Skediego, następnie spojrzała na Elo. Czy ona to widziała? Jak Skedi go splątał, namieszał mu w głowie kłamstwami? Czy to wciąż były niewinne kłamstewka, jeśli narażały ją na szwank? Nie były wypowiedziane z takim zamierzeniem. Skedi zrzucił z siebie poczucie winy.

– Rycerzu – powiedziała Kissen, parodiując salut. Bez płaszcza wydawała się jakby większa. Ramiona miała szerokie i muskularne. Była jednak o półtorej głowy niższa od Elo. Nie było mowy, żeby pokonała go w walce.

– Nie grajmy dłużej w tę grę – odrzekł Elo. – Dziewczynka nie chce podróżować z tobą. Zostaw nas w spokoju.

– Szczerze mówiąc – powiedziała Kissen, podwijając niedbale rękawy koszuli – po części niczego bardziej nie pragnę niż pozwolić, żeby ta niesforna mała trollica i jej chytry zwierzak wymknęli mi się z rąk, ale obiecałam, że jej nie zostawię, a ja dotrzymuję obietnic.

Najlepiej cicho, naciskał Skedi Inarę, rozciągając skrzydła, narzucając swoją władzę. Jej usta się zamknęły. Być może potrafiłby lepiej nad nią zapanować, zmusić do mówienia, skłonić Kissen do odejścia, ale wolał metodę, która nie pozwoli veidze na powrót. Powinien był to zrobić kilka dni temu, a nawet lat. Po tej głupiej obietnicy, że nie użyje swojej mocy na Inie. Nie ofiarowała mu nic w zamian, to nie było wiążące, to nie był dar. Mogli być teraz gdziekolwiek. Mógł ją zwabić do Sakre, przekonać jej matkę, żeby ją zabrała, wmieszać się między kłamców i polityków, żołnierzy i kupców,

dowiedzieć się, jakie tajemnice Lessa Craier wypisywała w swoich listach, których nie pokazywała Inarze. Mógł przybyć do Blenradenu przed laty i dowiedzieć się, jaki los spotkał jego świątynię, dlaczego znajdował się w takim stanie, uwięziony i bezmocny. Nie zamierzał godzić się na ciągłe kroczenie wąską ścieżką między nieistotnymi miejscami.

– Inara Craier będzie najbezpieczniejsza ze mną – stwierdził Elo. – Wychowałem się na dworze w Sakre. Jestem rycerzem królestwa.

Kissen parsknęła śmiechem.

– Myślałam, że jesteś piekarzem – powiedziała.

Elo zmrużył oczy i zacisnął palce na tkaninie, która spowijała rękojeść, Kissen zaś wykonała swój ulubiony gest, zwijając palec wskazujący i kciuk na podobieństwo spirali wytatuowanej na jej klatce piersiowej. *Pierdol się.*

– Stwarzasz dla niej zagrożenie – powiedział Elo – i dla siebie także, veigo. Pozwól jej pójść ze mną i samodzielnie zmierz się ze swoimi demonami.

– Nie sądzę, żeby do tego doszło – odparła Kissen.

– Kissen, proszę! – zdołała wycedzić Inara przez zęby.

Cicho. Niech dorośli rozmawiają.

– Nie będę jeszcze raz prosić – oznajmił Elo. – Nie chcę wyrządzić ci krzywdy.

– W takim razie to ułatwi sprawę – odparła Kissen.

Ruszyła naprzód, wyciągając broń. Nie długi miecz, który, jak zauważył Skedi, był wciąż przytroczony do siodła Nogiego, ale krótszy, jednoręczny kordelas. Zwarł się ze szczękiem z mieczem Elo, który obrócił się, by sparować jej cios, po czym wykonał wyrok do szybkiego pchnięcia. Klinga Kissen odbiła lśnienie popołudniowego światła, veiga poruszała się szybko, parując cięższą cięższego miecza i odrzucając go na bok. Uderzyła Elo ramieniem w pierś i odrzuciła w tył.

Mężczyzna bez trudu złapał równowagę, mocno trzymając się na nogach. Sparował jej kolejne uderzenia wymierzone w jego ręce i nogi. Ruchy miał wyczelowane, wytworne. Odpowiadał na ataki Kissen z mocą, ale bez marnowania energii. Był poruszony jej umiejętnościami, co mogło dostrzec jedynie bóstwo, ale nie pokazywał tego, a jego twarz była napięta w skupieniu. Skedi zauważył, że ani ona, ani on nie dążą do uśmiercenia przeciwnika – co najwyżej okaleczenia, unieruchomienia.

Elo przeniósł ciężar ciała na wysuniętą stopę i odrzucił Kissen na bok, wytrącając ją z równowagi. Ich ostrza znowu się zetknęły i naciskały nawzajem, zbliżając ich do siebie tak blisko, że mogliby się pocałować. Elo zamrugał, po czym zahaczył stopą jej sztuczną nogę. Odsunęła się, ale gdy usiłowała utrzymać równowagę, nie była dość szybka, żeby uniknąć jego mocnego uderzenia. Straciła chwyt i Elo wytrącił jej broń z rąk. Klinga zabręczała o kamień.

Tak.

Sieć kłamstw Skediego zacieśniała się. To nimi doprowadził do tej sytuacji. Obserwował, a jego poroże rosło, skrzydła się rozciągały. Na poły czuł rozpacz Inary, krzyk, który wstrzymywał w jej ustach. Mięła w dłoniach kamizelkę, jej palce zaciskały się na guzikach.

Ona odbiera dziecko, szepnął Skedi do Elo. Zabiera ją daleko. Chce narazić ją na szwank. Inara cię potrzebuje. Twój król cię potrzebuje.

Kissen postąpiła w tył, wyciągając długi nóż z pochwy na udzie, a jej złoty ząb błysnął w uśmiechu. Skediemu się to nie podobało. Straciła swój kordelas. Nie powinna się uśmiechać.

Elo przypuścił atak na jej zdrową nogę, licząc, że ją zadraśnie i zakończy ich zwanie. Oczywiście zauważył, którą nogę preferuje. Tym razem poruszyła się zwiniej, pozwalając jego klindze śmignąć obok niej i ją wymijając. Skórzanym karwaszem zatrzymała cios miecza i zbliżyła się, próbując zadać mu cios w biodro. Elo uniknął uderzenia ledwo, ledwo, i trzasnął ją łokciem w szczękę. Odpowiedziała uderzeniem w twarz wierzchem dłoni, aż jego głowa poleciała do tyłu. W tej chwili się odsłonił, a ona ruszyła za nim, wkraczając w zasięg jego klingi. Miecze służą do zadawania ciosów z dystansu, a nie do bójki w zwanu.

Nie, wszystko jest w porządku, rycerzu. Musisz wygrać.

Elo się otrząsnął i szybkim ruchem złapał w nadgarstku jej rękę z nożem, próbując powalić veigę na ziemię, ale wykręciła się i odrzuciła go w tył, przerzucając nóż do drugiej dłoni i zmuszając go do parady rękojeścią.

Przestań. Głos Inary, przebijający się przez bariery Skediego. To się nie powinno zdarzyć.

Kissen ominęła postawioną znów gardę rycerza, chwyciła go za ubranie, ciągnąc w dół. Kopnęła go kolanem w pierś, a następnie uderzyła czołem w głowę. Teraz ona miała przewagę.

Przestań, Skedi.

On dojdzie do siebie.

Nie. Wola Inary przybierała na sile. Skedi czuł, jak go wypycha. *Przestań.* Była zdesperowana. Nie chciała, żeby któremuś z tamtych stała się krzywda, nie chciała zostać sama. Elo się cofał, próbując odzyskać przewagę.

Zostaw to, Inaro.

Spojrzała na niego i Skedi struchlał. Panowanie nad nią mu się wymykało. Dlaczego? On był bogiem, a ona – tylko dziewczynką. Ale oczy miała gniewne... potężne. Odwróciła się do Elo i Kissen.

– Przestańcie! – krzyknęła. To było coś więcej niż ludzki krzyk. To był rozpad. Wytrysnął z niej kolor, jakiego Skedi nigdy nie widział u człowieka, kolor głębin oceanu, najdalszych zakątków nieba, okolony światłem. Jej wola. Przełamała moc Skediego, rozerwała uścisk, w którym ją trzymał. Poczł się osłabiony, jakby zmęczony ogromnym upałem. Moc przemknęła po Kissen i Elogaście, zdzierając z nich wrogość oraz złość i rozpuszczając kłamstwa, które spętały duszę rycerza.

Światło zbladło. Siła, którą uwolniła Inara, rozplynęła się w nicość, bez względu na to, czym była. Dziewczynka zachwiała się na nogach, a Skedi zadrżał, bojąc się na nią spojrzeć.

– Przestańcie walczyć – powiedziała. – Proszę.

Elo opuścił miecz, zdezorientowany. Kissen wciąż była ustawiona do ciosu, z wargi i nosa ciekła jej krew, ale nie wyprowadziła uderzenia.

– Masz szczęście, rycerzu – przemówiła w końcu – że nie zabijam ludzi.

– Nie chciałam – powiedziała Inara zdławionym głosem. – Ja nie... Kissen...

Kissen odwróciła się i popatrzyła na dziewczynkę, z początku czujnie, ale widząc wyraz jej twarzy, złagodniała.

– Gdyby tak łatwo było się mnie pozbyć, nie wykonywałabym tej pracy – stwierdziła, chowając nóż, a następnie ocierając nos rękawem. – Tak łatwo dajecie się omotać maleńkiemu bożkowi.

Skedi złożył skrzydła, starając się stać niepozorny, lecz Inara odwróciła się i strzepnęła go ze swojego ramienia na ziemię. Skedi przeturlał się, zaskoczony, i stanął na nogi, zaciekle machając skrzydłami.

– Inaro... – odezwał się. Spróbował w jej umyśle: *Inaro*.

Nie. Był dla niego zamknięty. Położył uszy po sobie.

– Jak mogłeś? – zwróciła się do niego głośno dziewczynka i cofnęła się o krok. – Jak mogłeś to zrobić?

– Manipulacja – powiedział Elogast ze zdumieniem i gniewem. Wsunął miecz do pochwy i odetchnął. Złoty blask bił od jego kolorów, w których panował teraz zamęt. Krew płynęła mu z ust i z rany na dłoni w miejscu, gdzie drasnęło ją ostrze Kissen.

– Kłamstwa – dodała bogobójczyni.

Skedi czuł na sobie ich wzrok. Skurczył się, jak tylko mógł, przyciskając skrzydła do ciała, a podbródek do ziemi. Znowu sięgnął umysłem do Inary. *Inaro, ja tylko...* Droga była zamknięta. Wciągnęła swoje kolory do środka, tak jak Kissen.

– Mogę spróbować go teraz zabić, jeśli chcesz – powiedziała Kissen.

Inara zawahała się i właśnie to przeraziło Skediego najbardziej. Bardziej niż ogień, bardziej niż veiga: utrata wiary dziewczynki, jedynej rzeczy, której potrzebował. Jedynej, która utrzymywała go przy życiu.

– Ina... – spróbował znowu na głos, ale pokręciła głową.

– Nie – powiedziała i spojrzała na Kissen. – Proszę. – Postąpiła naprzód, oddalając się od Skediego. – Proszę, możemy się po prostu zatrzymać?

Kissen i Elo wymienili spojrzenia. Co zrobi veiga? Jej gniew było widać po białej bliźnie odcinającej się na tle bladej twarzy, po bruzdach wątpliwości marszczących jej czoło. Była jednak także... rozbawiona? Po chwili wahania wyciągnęła rękę.

– Pakt? – spytała. Middreńskie słowo oznaczające coś pomiędzy pokojem a obietnicą.

Elo powoli rozluźnił palce zaciśnięte na mieczu i z zafrasowaną miną delikatnie ujął jej dłoń.

– Ja... – Zwiększył uścisk. – Dobrze fechtujesz – powiedział.

– A ty jesteś lepszy, niż się spodziewałam po piekarzu – odparła. Odwróciła się do Inary i znowu wyciągnęła rękę. – Ina?

Inara zacisnęła pięści i przełknęła ślinę, po czym objęła Kissen w talii.

– Przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam.

Nie takiego osłabienia ich więzi chciał Skedi. Nie poprzez utratę jej miłości. Zrobił to dla niej, dla nich obojga. Czy to miało ich rozdzielić? Zniknąłby, wiedział o tym, a Inara znów byłaby po prostu dziewczynką. Dziewczynką, która go już nie chciała. Dziewczynką, która ledwie kilka chwil wcześniej przełamała moc boga.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY



Elogast

CI PRZEBIEGLI BOGOWIE I ICH PRZEBIEGLE GIERKI. Minął rok, odkąd Elo poprzednio zmagał się z mocą bóstwa, tyle czasu, że nawet nie zauważył, jak Skedi nagina go do swojej woli. Był słaby, tak jak i wtedy. Skoro to mu umknęło, to co jeszcze? Mógł walczyć z veigą, ale nie przygotował się do mierzenia z bogami. Mógł znowu zawieść Arrena.

– Potrzebuję cię do jednej ostatniej walki, Elo. Tylko jednej. Proszę. Na moje życie, moją krew, moje serce, potrzebuję cię tej nocy.

Tej ostatniej, strasznej nocy w Blenradenie. Elo powiedział już Arrenowi, że odkłada miecz. Nie mógł dłużej burzyć świątyń poświęconych bóstwom niewinnych ludzi. Zabijanie dzikich bogów wystarczyło.

Później Arren przyszedł błagać i Elo postanowił zrobić tę jedną ostatnią rzecz dla niego, dla swojego brata: zniszczyć krwawego boga wojny. Boga z głową jelenia.

– Rycerzu.

Elo podskoczył, gdy głos Kissen gwałtownie przywrócił go do rzeczywistości. Ramię pulsowało mu bólem, jakby ledwie się zagoiło, pierś też miał ściśniętą i obolałą. Czuł się niezdrów. Ręce mu się trzęsły, oddech miał nierówny. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział złotą zbroję Mertagha, zamach jego młota, śmierć i krew oraz

ogień płonący tam, gdzie znajdowało się serce jego przyjaciela. Serce, które teraz umierało. Elo był bezradny wobec bogów, słaby, sprawił zawód.

I dzisiaj niemal znowu poniósł klęskę. Pozwolił bóstwu zabawić się swoim umysłem, zwieść się ze ścieżki. Jego ścieżką był Arren, miał naprawić błąd popełniony przed tyloma laty. Musiał znaleźć sposób, żeby go ocalić, zlokalizować potężnych bogów, którzy mogli jakoś naprawić jego słabnące serce. A później może znajdzie powód, żeby zapomnieć o bólu, o wspomnieniach. Może znajdzie siłę, żeby wrócić i walczyć za kraj, który zdawał się rozpadać.

– Nic ci nie jest? – spytała Kissen.

Elo zmusił się, żeby zaczerpnąć oddechu, a później następnego. To było wspomnienie, nie mogło wyrządzić mu krzywdy, powinien być silniejszy. Przykucnął nad korzeniami brzozy, z której wcześniej zrywał korę na rozpałkę. Nie było jeszcze ciemno i grupka zatrzymała się na osłoniętej polanie po paru godzinach marszu w bardzo niezręcznej atmosferze. Po tym, jak omal nie pozabijali się nawzajem, nastrój nie mógł być inny.

Elo zatrzymał się gwałtownie, żeby odwrócić się do Kissen, trzymając ręce za plecami i udając, że nie czuje wyobrażonego bólu, który nie chce go opuścić. Inary ani Skediego nigdzie nie było widać.

– Ze mną wszystko w porządku – skłamał. – A z tobą?

Nos Kissen wyglądał na obolały, ale się roześmiała.

– Bywało gorzej, kwiatku – powiedziała.

Elo mimowolnie się uśmiechnął, poczuwszy się bardziej zakotwiczonym w rzeczywistości przez ukłucie we własnej kontuzjowanej szczęce. Ta kobieta z głową twardą jak u byka okazała się lepsza w fechtunku, niż się spodziewał. W pojedynku na miecze przypuszczalnie by ją pokonał. Przewidziała to, dostosowała swoje umiejętności, żeby zniwelować jego przewagę. Podobało mu się, że go przechytryła.

Wiedziała, że będzie musiała z nim walczyć i że zakradł się weń Skedi, zmieniając go. Wiedziała, jak to się potoczy. Gdyby ją ranił i pozostawił na dzikim szlaku, co w zasadzie zamierzał, prawdopodobnie by zmarła. A on wciąż znajdowałby się w szponach bóstwa.

– Przykro mi – powiedział najzupełniej szczerze. – I dziękuję.

– Nie trzeba mi podziękowań ani przeprosin – odrzekła veiga ze wzruszeniem ramion. – Wysłałam małą na łowy.

– Samą? Czy to rozsądne? – Bożek musiał z nią iść, a przecież tak niedawno próbował przejąć nad nią kontrolę. Kissen uniosła brwi i skrzyżowała ramiona. Może nie było z jego strony mądrym posunięciem podawanie w wątpliwość mądrości veigi wkrótce po tym, jak próbował ją zadźgać.

– Nie martwię się o tych dwoje – stwierdziła. – Zdrada uczy rozumu szybciej niż chłosta. A my powinniśmy porozmawiać. Szczerze. Usiądź ze mną.

Zrobiło na nim wrażenie, że w jej ustach ta propozycja brzmiała bardziej jak groźba. Wciągnął powietrze i otarł czoło. Pocił się, chociaż na skórze czuł zimno, ale wspomnienia o bitwie z Mertaghiem znowu przyblakły i cofnęły się w kąt w umyśle, gotowe wyskoczyć na niego w najgorszym momencie. Veiga usiadła na zwałonym pniu i postukała w fiolkę zawieszoną na szyi.

– Jutro wyruszam – powiedział Elo. – Mam swoją pracę do wykonania.

– Nie każę ci odejść – odparła i wciągnęła powietrze. – Nadal podążamy w tę samą stronę. I mimo tego, co się wydarzyło, nadal uważam, że powinniśmy trzymać się razem. – Półmrok nadciągającej nocy spoczął na jej twarzy, łagodząc rysy. Była to interesująca twarz, pełna ruchu.

Elo zamrugął.

– Po co? – Uśmiechnął się. – Czy ty mnie... lubisz, veigo?

– Ha. Zwiń żagle, rycerzu. Chcę, żebyś został, bo kilka rzeczy mnie dziwi. Na przykład ta twoja misja...

Pokręcił głową.

– Nie mogę...

– Nie proszę, żebyś zdradzał mi swoje słodkie tajemnice – przerwała. – Proszę o pomoc. Bez względu na to, jaka to misja, po drodze i w samym mieście czyhają niebezpieczeństwa. Wolę, żeby czworo oczu obserwowało bożka i jego dziewczynkę. Bez względu na to, z jakimi demonami walczysz... – Omiotła go wzrokiem od stóp do głów i Elo poczerwieniał. Przejrzała go. – Te, które nas ścigają, mają ostrzejsze zęby.

Westchnął.

– Jesteś pewna, że się zjawią?

Kissen popatrzyła na drzewa i zniżyła głos.

– Prawie pewna. Trzy dni czekania, później atak następnego wieczoru. I będzie ich więcej. Jeśli nie idą za tobą ani za mną, zaczynam myśleć, że ktoś naprawdę pragnie śmierci młodej Craierówny. Ty byłeś gotów zabić, żeby jej pomóc...

– To był podstęp wobec mnie.

– Było, minęło. Zależy mi na zabijaniu, a nie na wymówkach.

Elo sam był zaskoczony, że parsknął śmiechem. Lubił ją. Minęło sporo czasu, odkąd rozmawiał z kimś tak gotowym widzieć w nim to, kim był i gdzie się znajdował. Były rycerz, pełen tajemnic, pełen lęków.

– Dlaczego myślisz, że to dziewczynka?

Kissen przyłożyła dłoń do swojego napierśnika, z nieobecny wzrokiem stukając się w klatkę piersiową. Elo zauważył, że ma piegi na dłoniach między oparzeniami.

– Nie poczułeś tego? – spytała. – Przełamała moc bóstwa. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

Elo nie mógł zaprzeczyć. Poczuł to niczym zmianę w powietrzu przed uderzeniem pioruna.

– Zależy ci na niej, prawda? – spytał.

Kissen poruszyła się i potarła podbródek, czując się wyraźnie nieswojo z tym, że ktoś zauważa jej słabości.

– Byłam kiedyś zagubioną dziewczynką – powiedziała po chwili, wciąż dotykając swojej klatki piersiowej. – Nikt w tym świecie nie zasługuje na samotność.

Elo oparł się pokusie, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć jej ramienia, powiedzieć, że też był zagubiony i samotny. Samotny do bólu.

– Chcę jej pomóc – stwierdziła Kissen ze wzruszeniem ramion i dodała: – Boję się o nią. – Uśmiechnęła się krzywo. – A teraz trochę boję się też jej samej.

Elo roześmiał się. Usłyszeli jakiś ruch wśród drzew i ujrzeli Inarę z zającem i kuropatwą w rękach. Skediceth latał za nią z drzewa na drzewo, ona zaś uparcie go ignorowała. Zawahała się, gdy zobaczyła ich razem, ale wzięła się w garść i podeszła bliżej, kładąc myśliwską zdobycz na ziemi. Miała twardsze spojrzenie, niż Elo widział u niej kiedykolwiek wcześniej. Przypominała mu Arrena podczas wojny, gdy po śmierci Bethine zrozumiał, że jedyna droga wiedzie naprzód.

– Moja misja ma pierwszeństwo – oznajmił Elo im obu. Musiał rozwiązać problem Arrena. Musiał go uratować, tak jak Kissen chciała uratować Inarę. Ale był zmęczony brakiem snu i nie miał nic przeciwko temu, żeby ktoś z kordelasem i nożem osłaniał mu tyły. – Ale jeśli utrzymamy pakt do Blenradenu, kiedy już tam będziemy, będę musiał porozmawiać z bogiem, i to potężnym. – Zerknął z ukosa na Kissen. – Ty wiesz, do kogo się zwrócić o radę, prawda? Jesteś bogobójczynią z Blenradenu, która dołączyła do pielgrzymki. Musisz mieć jakieś informacje.

Kissen westchnęła.

– Mam w głowie pewien trop – powiedziała. – Stare bóstwo, spokojne, ale potężne.

– Hestra? – spytał Elo i serce zabiło mu szybciej na myśl o bogini, która umieściła płomienie w piersi Arrena. Veiga dziwnie na niego popatrzyła.

– Nie, rzeczna bogini. – Zaczęła wiązać razem gałązki, wzięwszy od Elo rozpałkę, a następnie krzemieniem skrzesła ogień. – Jeśli szukasz rady, będzie wiedziała, czego ci potrzeba.

Elo patrzył, jak Kissen robi gniazdo, które miało stać się sercem ogniska, podobne do tego, które teraz spoczywało w piersi Arrena. Mech zatlił się od iskier i Kissen nachyliła się, by na niego podmuchać, jedną dłonią wciąż ściskając fiolkę na swojej szyi.

– W takim razie dobrze – powiedział Elo z cichą ulgą. Uśmiechnął się do Inary, która spróbowała odpowiedzieć wąłym uśmiechem. Bogobójczynie miała rację. Było w niej coś dziwnego. W jaki sposób przełamała wolę Skedicetha? Dlaczego jej dom spalono do gołej ziemi i dlaczego ścigały ją demony? Wyglądała jak zwykła dziewczynka w trudnej sytuacji i Elo zrobiło się jej żal. – Pójdę z wami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY



Inara

PRZEZ NASTĘPNE DWA DNI WĘDROWALI SZYBKO przez ciche szlaki wiodące przez wyższe partie Bennitów, wciąż wybierając trasę, którą poprowadziły ich Jon, z dala od nabrzeżnego traktu.

– Już kiedyś tędy szłam – oznajmiła Kissen, kierując ich na wschód wijącym się podejściem. – Odkąd bóg bezpiecznej przystani został zabity, drogi z Blenradenu pełne były rozbójników, którzy próbowali szczęścia z ludźmi niosącymi na plecach cały swój dobytek. Lepiej było wybierać szlaki położone wyżej i spokojniejsze. Biedna Yatho musiała cały czas jechać na Nogim.

Inara patrzyła, jak Kissen klepie swojego konia, który dobrze znosił wspinaczkę, dźwigając większość ich pakunków. Nie podobały mu się skalne zbocza, ale lubił skubać świeże pąki z brzoź, które zrywała mu Inara. Chmury przesuwają się powoli nad widnokregiem, ciągnąc za liliowymi całunami śniegu na szczytach. Ten szlak musiał być frustrujący dla Yatho. Nawet dla Kissen niektóre większe stromizny okazywały się trudne i wyjęła z juków Nogiego swoją kulę, żeby ułatwić sobie utrzymywanie równowagi.

– Raz z nim rozmawiałam. Z Yusefem – powiedział cicho Elo. Od Gefyrtonu zrobił się mniej małomówny. Inara podejrzewała, że lubił mieć plan, podobnie jak jej matka.
– Przed bitwą o port. Miał twarz mężczyzny, przyjazną, jakbyśmy byli pierwszymi

lepszymi przybyszami z Retishu... – Odchrząknął i zerknął na Inarę. – Nie mówiłem wcześniej, ale twoja matka dzielnie walczyła w tej bitwie. Robiła wszystko, co mogła, żeby ratować Yusefa. A kiedy odjechała, żeby opatrzone jej rany, poprosiła swojego strażnika, żeby został i walczył za króla. Byliśmy za to bardzo wdzięczni. Była dzielną kobietą.

Starął się tylko być miły i Inara poczuła się jeszcze gorzej. Pozwoliła, żeby Skedi oszukał ją, oszukał Elo, co mogło doprowadzić do śmierci jego albo Kissen. Jej bożek jechał na Nogim, wciąż mały i cichy. Nie rozmawiała z nim od dwóch dni. Nie chciała, żeby był blisko niej, dotykał jej, lecz przy tym nienawidziła się za to, że odsuwa go od siebie z ciężkim sercem.

Czy żałował tego, co zrobił? Czy miał poczucie winy? Próbował tak to przedstawić, ale nie wiedziała, czy może mu jeszcze wierzyć. Ukradł jej głos, ukradł jej wolę. Skedi zawsze był przy niej, wspierał ją, lecz zwrócił się przeciwko niej.

Nigdy nie czuła się bardziej sama.

– Jest tu jezioro na płaskowyżu – oznajmiła Kissen, pocierając swoje zasklepienie kolano i wyciągając rękę w górę, w kierunku kolejnego wierzchołka. – To najwyższy punkt, do którego musimy się dostać. Powinniśmy tam dotrzeć przed zachodem słońca. Będziemy mieć dużo czasu na rozbicie obozowiska i przygotowanie się na demony cienia.

– Masz plan? – spytał Elo.

– Ostre brydzytowe krawędzie – odparła Kissen. – To jest mój plan.

– Myślałem, że veiga ma w zanadrzu więcej sztuczek niż ostre klingi i tępa siła – powiedział.

Kissen się uśmiechnęła.

Góra Tala o zboczach skrytych w cieniu wznosiła się ponad nimi, gdy dotarli do płaskowyżu, a jezioro, które pamiętała Kissen, połyskiwało srebrem w blasku wczesnego wieczoru. Było tu wciąż kilka świątyń, wokół których węszył Skedi, gdy znaleźli się wystarczająco blisko, poświęconych bóstwom wody, dróg, szczęścia, rybołówstwa, polowania. Było nawet przystrojone wstążkami drzewo poświęcone bogu Yusefowi, o którym wspominali Kissen i Elo. Inara pomyślała, że niedługo się odrodzi. Zacznie jeszcze raz, jako coś nowego, ale nie będzie pamiętał jej matki. Nie będzie mógł jej opowiedzieć o kobiecie, która przeżyła walkę u jego boku tylko po to, żeby zginąć w płomieniach.

Kissen zignorowała małe świątynie, zmuszając Skediego, by podążył za nimi i prowadząc ich do dużego głazu, który wyglądał jak pochylony troll ze zgarbionymi w ochronnej pozycji ramionami.

– Już niedługo zmierzch – powiedziała Kissen. Wyciągnęła wcześniej z płaszcza małe cążki i regulowała śrubkę pomiędzy swoim kolanem a łydką. – Inaro, idź poszukać jakiejś kryjówki. Weź ze sobą Nogiego, zasłużył na przerwę.

Inara nabrała powietrza i zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła łuk Kissen spod końskiego siodła. Strzały także.

– Co robisz? – spytała veiga.

– Nie będę się chować – odparła dziewczynka, zadowolona, że głos jej się nie łamie.

– Te strzały mają brydzytowe groty, a zresztą strzelam lepiej od ciebie.

Elo prychnął, a później próbował to zamaskować, rozglądając się po okolicy. Kissen musnęła językiem swój złoty ząb i westchnęła.

– Przyzwane istoty to części bogów – powiedziała. – Mają te same słabości i łatwo odwrócić ich uwagę. Nie są wybredne, jeśli chodzi o zabijanie. Widziałas, co zrobiły temu chłopakowi.

Inara przełknęła ślinę. Nie. Nie będzie się bała. Zadba o siebie.

– Zostaję – oświadczyła.

Kissen uniosła ręce. Jej kolory zamigotały niepokojem, po czym zniknęły.

– Dobrze – powiedziała, patrząc znacząco na Elo, który bezradnie wzruszył ramionami. – Przywiąż tam Nogiego, żeby się nie zerwał, i trochę go wyczesz.

Inara przywiązała konia do solidnego konaru, a on przycisnął chrapy do jej włosów i zarżał cicho i z czułością.

– To zły pomysł, Inaro – powiedział Skedi z jego grzbietu. Dziewczynka nie zwróciła na niego uwagi, tylko czyściła boki Nogiego, by usunąć pochodzące z traktu błoto, a później powiesiła sobie łuk i kołczan na ramieniu. – Inaro... – spróbował znowu bożek. – To niebezpieczne.

Inara wróciła do Kissen i Elo. Kissen wyciągnęła z płaszcza sznur paciorków, które w oczach Inary lekko lśniły kolorami. Modlitwy. Ofiara, którą bogobójczyni musiała zabrać ze zniszczonej przez siebie świątyni. Skedi zrobił pół kroku w stronę veigi, zanim jego skrzydła zatrzepotały nerwowo i schronił się przy kostkach Inary. Instynkt kazał mu zareagować na pokusę modlitw.

– Musimy zająć wyższą pozycję – stwierdził Elo, wskazując głaz.

Kissen posłała mu miążdzące spojrzenie, bo nie lubiła słuchać rozkazów, ale wzięła łuk od Inary, nałożyła cięciwę i oddała go, po czym i tak podeszła do skały. Oddech Inary unosił się nad nią, gdy podążyła za nimi obojgiem na szczyt, chwytając się poszarpanych kamiennych krawędzi i bez tego zmarzniętymi palcami. Skedi wgramolił się i podfrunął, by do nich dołączyć, po czym przysiadł na tylnych nogach, strzygąc uszami na wszystkie strony.

Z góry widzieli gładką powierzchnię jeziora aż po niewielkie ognisko po drugiej stronie. Inara zadrżała i opatuliła się płaszczem. Pomyślała o pozostałych pielgrzymach i zastanawiała się, czy siedzą sobie teraz przy ogniu, nie myśląc o cieniach, krwi i kościach.

Elo siedział z mieczem na kolanach i oddychał głęboko, miarowo. Kissen przykucnęła, gotowa zerwać się do pozycji bojowej. Rycerz patrzył w stronę wody, veiga zaś – w kierunku lasu.

Wieczorny półmrok pełził przez płaskowyż i w górę górskich stoków niczym tkanina przesuwająca się po skórze. Wiatr się wzmógł, gryząc ich szyje i dłonie, odsłonięte, gdy przycupnęli na szczycie głazu. Inara zapomniała o zginaniu palców, które zeszytywniały od chłodu. Skedi, skulony przy jej bucie, urósł do swoich psich rozmiarów, być może po to, by osłonić jej nogi przed wiatrem.

– Może nie przyjdą – odezwała się Inara, nie znajdując w sobie dość siły, żeby odsunąć się od bożka. Było jej na to zbyt zimno. Strzała, którą przygotowała, ześlizgiwała się po cięciwie.

– Hm – mruknęła Kissen. Nos miała nieco zaczerwieniony od mroźnego powietrza.

– Skup się – powiedział Elo.

W końcu światło odpłynęło.

Tam. Jakiś ruch w cieniu. Przemieszczający się, kształtujący, budzący się do życia z ciemności. Jeden, dwa, trzy. Cztery.

– Szlag – powiedziała Kissen, obracając w palcach paciorki. – Nie cierpię mieć racji.

To był moment, w którym Skedi powiedziałyby: *kłamstwo*.

Stwory prześlizgiwały się przez noc pod nimi, płynące obłoki ciemności pędzone razem złym wiatrem. Inara naciągnęła łuk drętwiejącymi dłońmi i strzeliła do jednego. Strzała drasnęła bark istoty, ale nie wyrządziła jej krzywdy. Kissen wyrzuciła rękę przed siebie i spomiędzy jej palców pomknął paciorek. Spadł pomiędzy przyzwane stwory, które zaczęły kłapać wkoło zębami i skręcać się w węzeł, szukając modlitwy. Inara bała się trochę, że Skedi też za nią polecą, ale został przy niej.

Elo zeskoczył ze skały, gdy Inara drżącymi dłońmi i z suchością w ustach nałożyła kolejną strzałę. Kissen też opuściła się na rękach na dół. Inara wypuściła strzałę i brydzytowy grot przebił nogę jednej z bestii, która warknęła, próbując ugryźć niewidocznego napastnika, i Elo wykorzystał ten moment, żeby ciachnąć ją mieczem przez łeb. Demon zapadł się i zniknął.

– Zostań na górze! – nakazała Inarze Kissen. Jeden ze stworów przypuścił szarżę, zwabiony jej głosem. Kissen powitała go ciosem, który odrzucił bestię w bok. Wylądowała niczym kropla cieczy w wodzie, obnażając połamane zęby.

– Chodź, paskudny skurwielu – powiedziała Kissen.

Bestia ponownie zaatakowała. Inara zaczęła szperać w kołczanie, a zęby stwora stały się dłuższe, ostrzejsze, kości zatrzeszczały, gdy szczęka wydłużyła się, a małe lampki oczu wciąż świeciły. Kissen skoczyła w bok. Jej prawa noga poślizgnęła się na luźnych kamieniach na brzegu i veiga ledwie złapała równowagę. Machnęła mieczem i jego czubek przypalił tułów bestii. Istota zaskrzeczała, gdy od jej boku oderwał się atramentowy cień.

Inara trzymała naciągnięty łuk. A jeśli trafi Kissen? Albo Elo? Rycerz stawiał czoło dwóm stworom. Używał swojej klingi bardziej jak kija, chwytając ją dłonią, by posłać ku demonom uderzenie z trzykrotnie większą prędkością. Inara strzeliła, gdy jeden ruszył w tył, był jednak zbyt szybki, żeby strzała trafiła.

Stwór oderwał się od Elo i pognał w stronę głazu. Wyciągnęła kolejną strzałę i pospiesznie nałożyła ją na cięciwę. Niechcący wypuściła ją za wcześnie i strzała śmignęła między skały. Stwór wdrapywał się coraz wyżej.

– Ina! – krzyknęła Kissen, sięgając po swoje noże do rzucania. Inara sięgnęła po jeszcze jedną strzałę. Pazury stwora krzeszały iskry z kamienia, gdy zbliżał się do wierzchołka. Nie miała strzały. Nie była gotowa.

Inara.

Skediceth skoczył naprzód, rosnąc z rozmiaru psa do wilka, największego, w jakim go kiedykolwiek widziała. Rzucił się w kierunku bestii porożem naprzód. Poroże zaklinowało się na szyi bestii, podczas gdy Skedi bił ją skrzydłami, a ta warczała i gramoliła się wyżej. Wokół fruwały pióra, gdy Skedi ryczał i nacierał, wykorzystując całą swoją siłę, żeby zepchnąć demona z powrotem na kamienie w dole.

Skedi...

Nie jestem ranny. Niewinne kłamstewko, jego skrzydło było rozdarte, ale się goiło. Nie miała pojęcia, że bogowie mogą walczyć z innymi bogami bez bryddytu. Ty jesteś cała?

Tak.

Potwór spadł, a Kissen była gotowa. Podbiegła, kiedy dochodził do siebie, kciukiem zsunęła ze sznurka kolejny paciorek i cisnęła go na ziemię. Gdy po niego zanurkował, veiga skoczyła, obracając nóż, aby rozpruć mu brzuch. Istota wrzasnęła i się rozwiała.

Kissen przetoczyła się i wsparła na kolanach, gdy pierwszy stwór, którego raniła, wrócił po nią. Pomknął ku niej na oślep, odsłaniając kostne zęby. Kissen wzniosła miecz do obrony. Zbyt wolno.

Elo wskoczył pomiędzy Kissen a bestię, której szczęki zacisnęły się na jego przedramieniu zamiast na jej gardle. Zawył z bólu, wbijając miecz w szyję istoty. Demon, którego pozostawił, żeby ratować veigę, chciał wykorzystać tę chwilę, lecz Inara także zyskała czas. Wypuściła strzałę, która przeszła powietrze ze srebrzystym

błyskiem i po chwili trafiła stwora w łeb. Strzała uderzyła o ziemię, ciągnąc za lotkami smugę czerni, a bestia się rozpadła.

Elo był ranny. Inara zgramoliła się ze skały, po czym krzyknęła, gdy jej serce rozdarł ból, jakby ciągnęła je niewidzialna kotwica. Skedi. Został w tyle, znów w rozmiarze zająca, i szedł lekko utykając, a jego rana się goiła.

– Chodź – powiedziała Ina, krzywiąc się i wyciągając rękę. Skedi wskoczył jej na ramię. Poczuli jego znajomy ciężar, poczuli, jak ląduje łagodnie, żeby nie sprawić jej bólu, i przełknęła ślinę.

Rzenie Nogiego odwróciło ich uwagę, bo zaraz po nim rozległo się drugie, bardziej spanikowane. Inara obróciła się na pięcie. Jakiś mężczyzna odwiązał konia i usiłował uprowadzić go w zarośla, lecz Nogiemu się to nie podobało. Stał dęba, pociągnął wodze i obrócił się, lądując na przednich nogach. Wierzgnął tylnymi, trafiając niedoszętego złodzieja w pierś, aż ten wyleciał w powietrze. Koń tupnął nogą i odwrócił się, jakby rzucał wyzwanie każdemu, kto by spróbował go dosiąść. Inara była zaskoczona. Zazwyczaj w obecności Kissen zachowywał się bardzo łagodnie.

Z zarośli dobiegły jakieś dźwięki. Kissen obróciła nóż w dłoni i rzuciła. Wbił się w korę drzewa, posyłając drzazgi w twarz następnego zbója o tłustych włosach, który wyskoczył z krzaków. Drań cofnął się i jęknął, a tymczasem wyłoniło się jeszcze dwóch z już obnażonymi ostrzami.

– No proszę – powiedziała Kissen i słodko się uśmiechnęła. – Spudłowałam.

Szubrawcy wbili w nią spojrzenia. Ten, którego powalił Nogi, wciąż leżał na brzegu jeziora i jęczał. Elo wzniosł zdrową ręką miecz, wodząc wzrokiem po klindze, Inara zaś znowu napięła łuk, mierząc do intruzów.

– A wy tu, kurwa, czego? – spytała veiga.

– Myśleliśmy... – odezwał się jeden, rudowłosy, chudy jak szczapa mężczyzna z Talicji. Kolory miał przebiegłe i zielone, poprzetykane żółtymi iskrami agresji. – Myśleliśmy, żeście się nawzajem pozabijali.

Inara niemal parsknęła śmiechem. Podejrzewała, że wie, co sobie myśli Skedi: każdy z odrobiną rozumu skłamałby i powiedział, że chciał przyjść z pomocą.

– Wyglądamy ci na trupy, rudzielcu? – warknęła Kissen. Rana na ręce Elo mocno krwawiła. Inara musiała się powstrzymać, żeby do niego nie podbiec i nie zacząć tamować krwotoku. On jednak trzymał miecz prosto i nieruchomo. – Skoro myśleliście, że się pozabijaliśmy, dlaczego macie wyciągnięte sztylety?

Miała rację. Ostrza lśniły w dłoniach wszystkich rzezimieszków z wyjątkiem tego, którego powalił Nogi i który próbował wstać.

– Nie mieliśmy złych zamiarów – powiedział rudzielec. – Chcieliśmy tylko pomóc, wiesz. – Najwyraźniej nie zamierzali się oddalić.

– Nie potrzebujemy waszej pomocy – odparła Kissen. – Won stąd.

To była brawura. Inara wiedziała, co sobie myślą. Mieli przed sobą dziewczynkę, rannego mężczyznę i kobietę. Nawet jeśli jeden z nich wciąż nie mógł się podnieść, zbóje uważali, że mają szansę i warto zaryzykować dla konia, kilku mieczy, garści srebra.

Inara poczuła, że Skedi przestępuje z łapy na łapę, a później, znowu zebrawszy się na odwagę, zeskoczył na ziemię i znów urósł. Wylądował, mając rozmiar niewielkiego jelenia.

Wybacz mi, Inaro, powiedział tylko do niej.

Skrzydła miał jasne, gdy je rozpostarł, a rana już się zabiłiżniła. Także jego poroże w oczach Inary jaśniało skondensowanym blaskiem mocy, boskiej mocy. Nie miał kolorów jak ludzie. Skedi sam był kolorem. Jego oczy jaśniały złotem.

– Mieszaj się do spraw bogów, a staniesz się sprawą bogów – powiedział swoim najdonośniejszym głosem, jednocześnie wtłaczając im te słowa do umysłów. Stanął przed wszystkimi towarzyszami, broniąc ich. Gdyby tamci rzucili sztyletami, najpierw trafiliby jego. – Powiedzcie: gdzie byliście, kiedy upadł Blenraden?

Rudzielec uciekł, zanim Skedi skończył mówić. Pozostali zaczęli skamleć i rzucili się między drzewa, przystając jedynie na chwilę, żeby pociągnąć za sobą jęczącego koniokrada. Ich kolory stały się jednocześnie mlecznobiałe, u wszystkich ukazując ten sam odcień lęku i rezygnacji.

Sierść Skediego ułożyła się w fałdy, gdy znowu się zmniejszył, wracając do rozmiarów zająca, wyraźnie wyczerpany. Nos miał opuszczony, ale Inara dostrzegła, że z zadowoleniem potrząsa wąsikami, składając skrzydła. Obronił ich, a ją w szczególności, już drugi raz, siejąc strach w sercach rzezimieszków. Nawet gdy się skurczył, Inara wciąż widziała w głowie kolor lęku. Dla niej Skedi był przyjacielem, towarzyszem. Inni widzieli w nim boga. Istotę, której należy się bać. Ale Skedi nie chciał, żeby ludzie się go bali, pragnął być kochany. Nade wszystko chciał przeżyć, a właśnie naraził się dla niej na ryzyko. Ponieważ... ją kochał, a ona wbrew wszystkiemu także go kochała.

Spróbuję ci wybaczyć, powiedziała do niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI



Kissen

JEDYNIIE KISSEN ZAUWAŻYŁA DRŻENIE KLINGI ELO, gdy rycerz ją wznosił. Rzucił miecz, gdy tylko niedoszli rabusie uciekli, a Inara pobiegła ku towarzyszom.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Elo, chowając rękę za siebie. Czy bał się, że przestraszy Inarę? Dziewczynka właśnie raniła bestię cienia, sama omal nie odniosła obrażeń, zabiła kolejnego i wycelowała strzałę w człowieka.

– Pozwól, że ja to ocenię, rycerzu – odparła Kissen, łapiąc jego rękę i przyglądając się jej uważnie. Karwasz w pewnym stopniu zatrzymał zęby stwora, lecz w skórze wciąż tkwiły odłamki kości. Nie krwawił na tyle mocno, żeby obawiała się o jego rękę. – Co cię opętało, żeby użyć własnego ciała jako tarczy? – spytała. – W królewskiej szkole nie uczą was, żeby nie robić takich głupot? Ina, Skediceth, rozpalcie ogień pod skałą.

Skedi zawahał się i wbił w nią spojrzenie. Uświadomiła sobie, że zwróciła się bezpośrednio do niego.

– Do roboty i już – powiedziała Kissen i schowała miecz. Nie dobiegła do Inary na czas. Bóg uratował dziewczynkę i przypłacił to raną. Nigdy nie widziała, żeby bóstwo zachowało się... niesamolubnie. Tak jak Elo. Nie przywykła do niespodzianek. – I przynieście mi sakwy.

Nogi wreszcie się uspokoił. Podbiegł kłusem, licząc na jakiś przysmak. Kilka złamanych żeber z pewnością pomoże złodziejowi zapamiętać tę sytuację na przyszłość. Kissen poklepała go po pysku, a on zarżał czule. Wierny był z niego konik.

Elo szarpał się z ubraniem, więc pomogła mu, ściągając płaszcz przez ręce.

– Au – jęknął, gdy rozpięła mu karwasz. Przewróciła oczami i ścisnęła ranę, by znaleźć fragmenty kostnych zębów, które wciąż były w nią wbite. Trudno było je dostrzec w półmroku, więc podprowadziła go do ogniska, które rozpałała Inara. Na szczęście w ostatnim lesie, który mijali po drodze, objuczyła konia suchym drewnem.

– W porządku, veigo – powiedział do niej.

Kissen wyciągnęła swoją krótszą broń i zbliżyła ostrze do serca płomieni, podczas gdy Skedi porożem podsuwał więcej opału. Musi minąć trochę czasu, zanim ogień zacznie porządnie grzać, a jej poznaczone bliznami dłonie nie były dość zwinne, żeby wydobyć odłamki kości. Nachyliła się i użyła zębów, ustami znajdując je w jego skórze i wypluwając na ziemię wraz z krwią. Z większym kawałkiem postąpiła ostrożniej, wyciągnęła go powolutku i położyła sobie na dłoni.

– Poznajesz to? – spytała, trącając kość palcem i podnosząc wzrok.

Elo patrzył na nią z zaciśniętą szczęką, wyraźnie zagubiony. Przypomniała sobie, jak powiedział, że od lat nie przebywał na tylko blisko kogoś znajomego, żeby mógł paść ofiarą klątwy, i uśmiechnęła się pod nosem. Wywoływanie dezorientacji u przystojnego rycerza to była dobra zabawa. Lekko się otrząsnął i opuścił wzrok na lśniący odłamek.

– Nie poświęcam wiele czasu na oglądanie zębów.

– Ina, a ty to poznajesz? – Bożek siedział w sporej odległości, ale potrzebowała wszystkich oczu. – Skediceth?

Zadrżał, gdy zawołała go po imieniu, i stanął na tylnych nogach, nieco zaskoczony, a następnie podszedł, żeby popatrzeć na kawałek kości.

– Wygląda paskudnie – stwierdził.

Inara przyniosła sakwy. Zaczęła uważnie przyglądać się kości, ale wtedy ta się rozsypała, pozostawiając jedynie biały pył. Kissen westchnęła i otarła usta.

– Pieprzeni bogowie – powiedziała, uciskając ranę Elo, aby powstrzymać dalszy krwotok.

Inara nie spojrzała jej w oczy. Skedi znowu wskoczył jej na ramię i Kissen cmoknęła z dezaprobatą.

Kiedy ostrze się rozjarzyło, wyciągnęła je z płomieni.

– Nić i igła sprawdzają się lepiej – odezwał się Elo, przypatrując się rozgrzanej klindze.

– Jako że nie jestem uzdrowicielką ani krawcową – powiedziała – skończył mi się zapas czystej nici. Chcesz trochę hipginu?

Wyciągnęła z sakwy mały skórzany bukłak. Trzymała go na czarną godzinę i ta chwila wydała jej się odpowiednia, żeby z niego skorzystać. Zastanawiał się chwilę, gdy podała mu pojemnik, a później westchnął i pociągnął długi łyk. Gdy tylko napitek zniknął w jego ustach, Kissen mocno chwyciła jego nadgarstek i przyłożyła rozgrzane ostrze do rany, by wypalić krew i zbliżnić skórę. Elo zacisnął zęby i syknął przez nie, kiedy zabrała klingę i skupiła się na innym miejscu, gdzie jego ciało było rozcięte. Inara z fascynacją patrzyła na skwierczącą skórę.

Rana została zamknięta. Krwawienie ustało.

– Idiota – mruknęła Kissen, opierając rozgrzane ostrze o pień, żeby wystygło. Elo wypuścił urywany oddech. To cholernie bolało, wiedziała z doświadczenia. Sama pociągnęła łyk ginu.

– Nie podziękujesz mi za uratowanie ci skóry? – odezwał się Elo z kpiarskim uśmiechem. Miał obok ust niewielką bruzdę, która się pogłębiała, gdy się szczyrzył.

– Nie będę dziękować za coś tak głupiego – oświadczyła Kissen, niezadowolona, że pociąga ją przystojne oblicze tego niby piekarza.

– Hm. – Wziął gin z powrotem i wylał odrobinę na ranę. Kissen poszperała jedną ręką w sakwie w poszukiwaniu garnczka z irisjańskim mazidłem kupionym rok wcześniej na targu w Sakre, kiedy uporała się z bogiem dobrego losu, który zaczął w biały dzień okradać mieszkańców dzielnicy slumsów. – Jedna z moich matek robiła takie mazidla – powiedział. – Teraz ich cena jest wysoka. Kupiłaś to, ale nie nic?

– Częściej przytrafiają mi się draśnięcia niż ugryzienia – odparła Kissen.

– To maść dla staruszek.

– Chcesz czy nie?

Elo palcem podważył wieczko i uniósł garnczek do nosa, po czym parsknął śmiechem.

– Przykro mi, veigo, to jest zjełczałe.

Kissen nachyliła się i powąchała. Pachniało tak samo jak zawsze.

– Jak to zjełczałe?

– Mazidło trzeba zużyć w ciągu sześciu miesięcy – wyjaśnił. – A najlepiej trzech.

Kissen prychnęła i dotarło do niej, że wciąż trzyma go za nadgarstek, więc puściła.

– Mądrała – powiedziała. – W takim razie musi ci wystarczyć zimna woda.

Jezioro wyglądało rześko i zachęcająco. Wciąż odbijało półmrok nieba, chociaż góry dookoła były zupełnie ciemne. Kissen nie myślała się od niemal dwóch tygodni i była już na to najwyższa pora. Elo rozprostował palce i podążył za jej spojrzeniem, najwyraźniej czując dokładnie to samo.

Kissen ujęła Elo za drugą rękę i zdjęła mu karwasz, żeby nie musiał robić tego sam, po czym nie bez kłopotu ściągnęła mu napierśnik. Swoją skórzaną zbroję kazała wykonać tak, żeby utrzymywała jej piersi płasko, nie ograniczając zanadto ruchów rąk, ale, do licha, wspaniale było zdjąć pancerz i swobodnie oddychać. Rzuciła napierśnik na ziemię przy ognisku i wyciągnęła kulę, którą przytroczyła wcześniej do juków. Później zajęła się swoją nogą, odpięła ją spod kolana pod spodniami, a następnie wyciągnęła, wsparta na kuli trzymanej pod pachą.

– A jeśli ci ludzie wrócą? – odezwała się Inara, która najwidoczniej wołała dwunogą Kissen.

– I zadrą z bóstwem? – odrzekła Kissen, kładąc nogę pod płaszczem. Przyjemnie było ją zdjąć. Chłód uszczypnął jej nieosłonięte kolano i poczuła, jak widmo jej gołeni boli ją wraz z kostką i łydką, szczególnie tuż nad kostką. – W takim na poły świętym miejscu jak to? Raczej mało prawdopodobne.

Jej spojrzenie napotkało wzrok Skediego i urwała. Nie wiedział, na czym stoi... i ona też nie wiedziała. Mądrze to rozegrał, tak strasząc zbójów, że pewnie popuścili w portki. Oboje odwrócili wzrok.

– Chodź do nas, Ino – powiedziała Kissen, rozwiązując gorset, który następnie zdjęła, tak jak i spodnie. Nie lubiła ucisku gorsetu na biodrach, lecz był to najlepszy sposób na zabezpieczenie zapięć. – Pachniesz dość brzydko, jak na szlachetnie urodzoną.

Inara zaczerwieniła się i próbowała się powąchać pod ubraniem. Elo wchodził do wody w samej zakrwawionej koszuli, nie dość jednak szybko, żeby Kissen nie zdążyła zerknąć na jego muskularne uda. No cóż, patrzeć nikomu nie szkodziło. Musiała mieć jakąś przyjemność z wędrówki z piekarzem-rycerzem.

Kissen też weszła do jeziora w koszuli, posługując się kulą, na której mocno się wspierała, żeby pokuśtykać do brzegu, a następnie wskoczyć do wody między kamieniami. Fiolkę wciąż miała na szyi. Była zapieczętowana woskiem, woda nie mogła jej zaszkodzić, więc wisała przy darze Osidisena. Zimna woda ochlapała jej żebra, wywołując dreszcz od szyi, przez piersi po samą podeszwę stopy. Po jej skórze przechodziło pełne życia mrowienie i obie nogi szczypały ją od ostrego zimna. Szlachta miała swoje gorące kąpiele i wonne olejki. Kissen wołała zimne jezioro pod górą Tala od niemal każdej innej przyjemności. Gwiazdy błyszczały nad nimi, a błądy księżyc wyglądał znad cieni gór. Elo obmywał swoją poparzoną i zakrwawioną rękę.

Inara popatrzyła na nich oboje jak na obłąkanych, a potem wymieniła spojrzenia ze Skedim, który podsyczał ogień machaniem skrzydeł.

– Ja zostanę tutaj. Wystarczająco blisko wody – powiedział. – Bogowie się nie kąpią.

– Może powinni.

Prowokowała go i radośnie nastroszył pióra na skrzydłach, głowę wciąż trzymając opuszczoną.

Inara jeszcze trochę zwlekała, po czym w końcu zdjęła ubranie i w samej halce weszła na palcach do wody, piszcząc, gdy obmyła jej łydki. Kissen patrzyła, jak tańczy, kiedy woda dosięgła jej kolan, a później zmoczyła halkę. To była dobra okazja, żeby sprawdzić ją pod kątem klątw, może kiedy wyjdą z jeziora. Spróbuje później poruszyć ten temat. Nie chciała jeszcze bardziej przestraszyć Inary. Bóstwo musiało być blisko, żeby rzucić klątwę, która przyciągała demony. Jak by się to mogło stać w sposób niezauważalny dla Skediego? A bóg niewinnych kłamstewek nie miał przecież takiej mocy, nawet gdyby chciał narazić siebie i Inarę na niebezpieczeństwo. A nie chciał, sam podjął wielkie ryzyko, żeby ocalić dziewczynkę krótko po tym, jak ją zdradził. Podjął drastyczną decyzję, żeby porwać Inarę i wpłynąć na Elo dlatego, że nie lubił Kissen. I to jej nie przeszkadzało, też go bowiem nie lubiła.

– Nie umiem pływać – oznajmiła Inara, stojąc na palcach na dnie.

– Nie musisz – odparła Kissen, próbując się nie śmiać. – Po prostu zanurz się, nie ruszaj się i daj się unosić wodzie.

– Jest zimna.

– Robi się lepiej, kiedy już jesteś zanurzona – powiedział Elo, który stał do pasa w jeziorze i mył sobie klatkę piersiową oraz głowę. Od paru dni jej nie golił i odrastały mu włosy, gęste i sprężyste. Inara zatrzęsała się, po czym ruszyła dalej w wodę i wrzasnęła, gdy ta sięgnęła jej do szyi. Kissen trzymała się blisko niej na wypadek, gdyby dziewczynka wpadła w panikę. Księżyc wznosił się pośród gęstniejącej ciemności i malował plamki światła na jeziorze wokół nich.

– O w dupę, jak zimno – powiedziała Ina i Kissen omal nie zakrztusiła się własnym językiem. Elo się roześmiał, ku zaskoczeniu Kissen. Spodziewała się raczej komentarza, że ma zły wpływ na dziecko. – Och, Kissen – powiedziała jeszcze Inara. Patrzyła na zbocza wokół nich i na chwilę zapomniała o chłdzie. – Góry świecą! – Kissen podążyła za jej spojrzeniem w górę stoków, które jaśniały zielenią, srebrem i bielą. Blasku było dosyć, żeby oświetlić ich wszystkich w wodzie. Uśmiechnęła się. Kiedy pierwszy raz podróżowała z Pato, gdy przyjął ją na swoją uczennicę, codziennie narzekał, że go spowalnia, że jej wyżywienie za dużo kosztuje, że jej szkolenie to udręka. Po kilku tygodniach przestał i teraz rozumiała dlaczego. Po tylu latach samotnej pracy wędrówka z towarzyszkami sprawiała, że świat stawał się jaśniejszy.

Omiotła spojrzeniem góry, a później skierowała je na Elo, który zdjął koszulę i trząsał się w wodzie, chcąc usunąć nagromadzony w drodze brud. Jego ręka wyglądała, jakby już prawie przestała krwawić. Miał na ramieniu paskudną bliznę,

niemal dzielącą plecy na dwoje, której tkanka wyglądała jak splątana lina między mięśniami.

Kissen zamrugła, gdy jej oczy wychwyciły coś ciemniejszego wewnątrz blizny, na jego ramieniu. Tatuaż albo sztych. Nie. Boskie pismo, tak jak u niej, ale pogmatwane, wyostrome – dzikie pismo, rozchodzące się z mniejszego, jeszcze ciemniejszego znamienia mniej więcej wielkości paznokcia. Przypominało rozstaj dróg, tak jak znak na kawałku drewna, po którym rycerze pod Gefyrem kazali im deptać. Symbol Lethen od dróg.

– Co to, kurwa, jest? – spytała.

Elo wzdrygnął się i obejrzał na nią, niepewny, czy jest niewybredna, czy rozeźlona. Podpłynęła do niego, po czym przytrzymała się jego ramienia i wsparła stopą o dno, żeby się lepiej przyjrzeć.

Kłątwa. Napis promieniujący z symbolu ciągnął się przez jego plecy i nawet teraz, na jej oczach, rozprzestrzeniał się jak trucizna.

– A mnie obwiniałeś o demony, rycerzu.

Niemal się jej wyrwał, ale powstrzymał się, bo nie chciał, żeby straciła równowagę.

– To nie jest śmieszne – powiedział.

– Co się dzieje? – spytała Inara, brodząc w ich stronę. Podbródek trząsał jej się z zimna, a mokre loki przylepiły się do głowy przy uszach. Skrzywiła się i w tej samej chwili doleciał do nich cichy pisk bólu. Znadto się oddaliła. Bożek podskoczył na brzegu, jego skrzydła zabłyśły w blasku księżyca i wylądował na głowie Inary, z pewnym trudem łapiąc równowagę. Kissen była bardziej skupiona na ramieniu Elo i kłątwie.

– To przez ciebie – powiedział Skedi ze szczerym zdziwieniem.

– Nie – zaprzeczył Elo. Odwrócił się i rozciągnął, żeby zobaczyć znak i w końcu dostrzegł jego skraj. W ciemności Kissen nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, ale zupełnie znieruchomiał. Po chwili odsunął się od niej i ruszył do brzegu. Kissen popłynęła za nim z powrotem do swojej kuli, także Inara skierowała się na brzeg, w pośpiechu rozchlapując wodę. Elo był już w połowie drogi na ląd, zupełnie nagi, z koszulą w dłoni i krwią znowu ciekącą z ręki. W blasku płomieni znowu spojrzął. Napis był wyraźny.

– Nie rozumiem – powiedział cicho. A potem dodał z gniewem: – To nie ma sensu.

Naciągnął spodnie na wciąż mokre nogi i zaklął, gdy ból przeszył mu ramię.

– Kurwa. Właśnie tak. Tutaj – powiedziała Kissen. Narzuciła sobie płaszcz na ramiona i usiadła przy ognisku. – Siadaj.

– Ja nie...

– Siadaj, mówię. Myślałam, że rycerze słuchają rozkazów.

Elo popatrzył na nią, a później usiadł, podczas gdy Kissen wyciągnęła z juków bandaż i zaczęła rozrywać je rękami.

– Co zrobimy? – spytała Inara, z zimna przestępując z nogi na nogę.

– Ty włożysz swoje ubranie i rozpalisz to ognisko – powiedziała Kissen.

– Ale...

– Ina.

Inara usłuchała i poszła podsycić ogień. Elo wyraźnie wstrząśnięty patrzył w dal. Noszenie klątwy nie oznaczało winy. Tym niemniej jej nierozpoznanie było głupotą. Powinien się dupek wcześniej wykąpać.

Kissen jeszcze raz oczyściła mu ranę cieczą z bukłaka, w duchu przeklinając marnowanie ginu, po czym zabandażowała mu rękę. Demony nie przychodziły do Iny. To była dobra wiadomość. Ale co teraz?

– Zmarzniesz – odezwał się Elo, ale nie zwróciła na niego uwagi. Już było jej zimno. Musiała pomyśleć. Musiała znowu założyć nogę. Wolała być gotowa do ucieczki. – Veigo... – powiedział. Położył swoją dłoń na jej dłoni, żeby podkreślić swoje słowa. – Nie okłamałem cię.

Kissen strąciła jego rękę. Nie zachowała dostatecznej czujności i dopuściła do nich zagrożenie. Uwierzyła bóstwu i rycerzowi. Ludzie byli głupcami.

– Spytaj boga, jeśli mi nie wierzysz – powiedział Elo.

– Nie muszę pytać kłamcy, czy w swoim mniemaniu mówisz prawdę – odparła Kissen, kończąc wiązać bandaż. Krew się przez nie przesączała. – Daj mi spojrzeć.

Pchnęła go i obróciła, po czym popatrzyła na jego plecy. Nigdy wcześniej nie widziała takiej klątwy. Była prosta, brutalna, głęboko zakorzeniona. Klątwa taka jak na jej twarzy miała oszpecać, ale po złamaniu tylko plamiła ją bielą. Inne klątwy były obietnicami, na przykład że jeśli ktoś postawi nogę w takiej, a takiej krainie, zmieni się w jelenia. Tego typu rzeczy. A to była klątwa śmierci: powoli lub szybko śmierć przybędzie w mroku na drodze pod postacią cienia.

– Będzie tylko rosła – stwierdziła.

– Umiesz ją odczytać?

– Nic nie umiem odczytać, ale linie prowadzą od ciemnego do jasnego. Za cztery dni będą dłuższe i przyzwą do ciebie więcej bestii. Do nas.

Puściła. Elo przyłożył dłonie do skroni.

– Naraziłem was wszystkich na niebezpieczeństwo.

– Co ty powiesz.

– To nie twoja wina, Elo – powiedziała Inara.

– I kto tu jest teraz kłamcą? – mruknął Skedi, strząsając krople wody ze skrzydeł.

– On nie wiedział – warknęła Inara. Próbowwała zawiesić kociołek nad ogniem, podskakując, by się rozgrzać, a następnie zbliżyła się, by znowu popatrzeć na klątwę.
– Już to widziałam – oznajmiła.

– Kilka dni temu po tym deptaliśmy – powiedziała Kissen.

– Nie... Wcześniej.

– Szlag – mruknął Elo, podnosząc wzrok i odwracając uwagę Kissen od Inary. – Canovan.

– Co? – zdziwiła się.

– Ten, który wysłał nas na pielgrzymkę z Jonem. – Pokręcił głową. – Zdaje się, że mnie rozpoznał, a miał ten symbol wytatuowany na ręce. Wytatuowany wszędzie. – Położył sobie dłoń na ramieniu, jakby próbował sobie przypomnieć to uczucie, kiedy padł ofiarą klątwy. – Myślałem, że tylko się boi, bo nie wie, dlaczego chcę dołączyć do pielgrzymki. Ale teraz się zastanawiam. Droga Królowej, tak nazywała się jego oberża, i była tam kobieta... która pisała atramentem z soku cytrynowego.

– A co, kurwa, cytryny mają wspólnego z...

– Kiedy napisze się coś sokiem cytrynowym, treść pozostaje niewidoczna, dopóki nie potrzywasz kartki nad ogniem. Używa się go do tajnych albo nielegalnych wiadomości. Posługiwaliśmy się nim podczas oblężenia, a Arren mówił, że w Middrenie rodzi się bunt i że stoją za tym niektóre rody. – Roześmiał się, na poły z niedowierzaniem. – Może Droga Królowej to miejsce spotkań buntowników. Nic dziwnego, że wszyscy wpadli w panikę, kiedy wszedłem.

Inara wzdrygnęła się i zrobiła krok w tył.

– Dlaczego myślisz, że mieli coś wspólnego z buntem? – spytała.

– Później Canovan położył mi rękę na ramieniu – ciągnął Elo w zamyśleniu, ściskając swoje ramię, jakby czuł na nim ciężar popełnionego błędu. – Poczuję zapach mchu i krwi, jak od tych bestii. On tylko myślał, że jestem rycerzem.

Kissen pokręciła głową.

– Pieprzyć rebeliantów. Jak Canovan mógł rzucić klątwę?

Widziała ludzi, noszących klątwy dla swoich bóstw, ale było to zwykle bolesne i wyraźnie widoczne. Elo nie wyglądał jej na kretyna.

– N-nie mam pewności. – Zamyślił się. – Nie było innych oznak.

Kissen coś sobie przypomniwała.

– Moja przyjaciółka Yatho – powiedziała, marszcząc czoło – widziała, że temu Canovanowi leci krew z ręki. To mogła być ofiara krwi. Ale mimo wszystko zobaczyłbyś bóstwo wystarczająco potężne, żeby nałożyć taką klątwę. Poza tym mógłby zabić nas wszystkich. Dlaczego?

„Nie mówiłaś, że będzie jakiś dzieciak”. Tak powiedział do Yatho, kiedy zjawiała się z Inarą. Poczucie winy malowało się na jego twarzy, w skrzywieniu ust. Kissen myślała, że to strach przed wpadką, ale nie miała racji.

– Widocznie myślał... że jestem dodatkową premią – powiedziała i popatrzyła na Inarę. Veiga dołącza do jednej z jego pielgrzymek, a klątwa już jest rzucona. Inni byli jedynie ofiarami.

Chłopak stracił życie, a być może także starsza kobieta, tylko żeby zabić rycerza, którego nie lubiła? Lethen nie była milusia. Przyjmowała ofiary składane ze zwierząt na porośniętych mchem i oplecionych paciorkami konarach wiązów. Stara bogini, owszem, i półdzika, która prowadziła podróżnych do domu albo na manowce, ale Kissen nie pamiętała, żeby walczyła w Blenradenie. Mimo wszystko jej świat się zmienił. Nie było już ofiar, nie było czcicieli, a wiernych karano na trakcie.

Dlaczego jednak ona i Canovan posunęliby się do rzucenia klątwy na Elogasta?

– Skedi, poznajesz? – spytała Inara.

Skedi zamrugał. Jego sierść się zatrzęsała. Inara zmrużyła oczy, przełknęła ślinę, usiadła. Musiał coś do niej powiedzieć, prosto do głowy.

– Nie – odparł, unikając ich wzroku.

Kłamca, pomyślała Kissen.

– Odejdę – oświadczył Elo, który tego nie zauważył. – Dajcie mi tylko dzień lub dwa, żebym się oddalił, i się rozejdziemy.

Kissen nie zamierzała puścić go w tak głupi sposób. Były tu pewne wątki, powiązania, których nie dostrzegała, nie znała.

– Co król stracił w Blenradenie? Z czym takim podróżujesz, że naraża cię to na klątwę ze strony obcego człowieka?

Elo spojrzał w dół na swoje ręce. Zginał palce, ważąc słowa. Dłonie znowu mu drżały, gdy złapał się za ramię, jakby z bólu. Patrzył przed siebie z nieobecną miną i udręką w oczach. Coś sobie przypominał, jakieś dawne urazy. Wydawało mu się, że dobrze to maskuje. Może tak zresztą było, tyle że Kissen znała się na cierpieniu.

– Nie mogę ci powiedzieć – odrzekł. – I mogę cię zapewnić, że Canovanowi też nie powiedziałem.

– Jeśli go jednak okłamałeś – odezwał się Skedi – jeśli miał silną więź z boginią, może przy nim była. Może mu powiedziała, że łżesz. – Usiadł z rozłożonymi skrzydłami.

– Zobaczyłbym ją – powiedział Elo niepewnie.

– Mnie nie zobaczyłeś – odparł Skedi.

– Oj, do kurwy nędzy – zaklęła Kissen. – Więc powiedz mi coś innego. Dlaczego teraz?

Elo popatrzył w niebo, a później w dół na swój miecz, zanim spojrział w jej oczy, ciemne i poważne. Znowu skupione.

– Arren źle się miewa – powiedział. – I kończy mu się czas. Przez swoje zdrowie, bunt i Restish, który nas podgryza, obawia się, że Middren niebawem upadnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI



Inara

TEN SYMBOL... INARA WIDZIAŁA GO JUŻ WCZEŚNIEJ niż na deseczce na trakcie. Tamten dzień mocno odcisnął się w jej pamięci – dzień, w którym opuściła swoją matkę. Poszła do jej gabinetu, gdzie Lady Craier siedziała z listem przy zapalonej świecy. Z listem oznaczonym symbolem Lethen, w powietrzu unosił się zapach cytryn. Znak dzikiej bogini w krainie, w której zakazano bóstw. Schowała go przed córką.

– Jeśli wyruszę teraz – mówił Elo, prostując ramiona i biorąc koszulę do zdrowej ręki – odciągnę je od was.

– I co, zginiesz? – spytała Kissen. Najwyraźniej martwiło ją to bardziej niż jeszcze kilka dni wcześniej. – Nie możesz walczyć z tymi demonami sam.

– Myślałem, że mam mało czasu, ale teraz mam go jeszcze mniej. A skoro buntownicy wysłali demony na szlak pielgrzymów za jednym rycerzem, nie wyobrażam sobie, do czego jeszcze są zdolni.

Liczba demonów się podwajała. Za cztery kolejne dni będzie ich osiem. Osiem, a naprzeciw nich tylko Elo, i tak już ranny.

– Nie możesz – powiedziała Inara, kiedy Kissen skrzyżowała ramiona i usiadła. Zmarszczyła brwi, patrząc w ogień, po czym odwróciła się plecami do Elo i pociągnęła swoją nogę. – Kissen, nie możemy mu pozwolić.

Kissen zapinała paski. Inara i Elo przynajmniej się ubrali, ona jednak wciąż była jedynie okutana płaszczem. Westchnęła i przerwała.

– To nie jest twoja walka – zwróciła się do Inary, po czym z żalem popatrzyła na Elo. – Obiecałam, że zadbam o jej bezpieczeństwo.

– A jeśli to jest moja walka? – spytała dziewczynka.

Inaro, ostrzegł Skedi, nie wiemy, po czyjej była stronie.

Matka nic jej nie mówiła. Matki już nie było, a Elo ciągle żył i musiała go powstrzymać przed narażeniem się na śmierć.

– Moja matka była w to zaangażowana. – Ścisnęła guziki kamizelki. – W bunt. Jestem tego pewna.

Kissen i Elo osłupieli.

– Pisała takie listy – dodała Inara. Jak wiele Lessa Craier skrywała przed córką? Przywiodła ich wszystkich do śmierci, zostawiła Inarę samą, i po co? Łzy ścisnęły dziewczynkę za gardło. – Listy z tym znakiem. W jej gabinecie pachniało cytrynami. Zawsze kiedy pisała. Ciągle jeździła też do Sakre. Służba mówiła, że stara się odzyskać łaskę króla.

Elo i Kissen wymienili spojrzenia.

– Inaro – przemówiła Kissen – myślisz, że działała na rzecz tego... buntu... czy przeciwko niemu?

– Ja... nie wiem. Ten symbol był na jednym z listów, widziałam, ale nie mam pojęcia, co jeszcze.

– Powiedziałaś... że spalili posiadłość Craierów – przypomniał Elo. Inara skinęła głową w otępieniu. – Arren nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nigdy. Musiała pracować dla niego, zbierać informacje o tym, co się dzieje, i buntownicy ją ścigali. – Spojrzał w dal i zamyślił się. – Twój ród jest potężny, Inaro. Odejście jego przywódczyni osłabia Arrena.

Kolory Elo pozostały niezachwiane, bez śladu kłamstwa. Wierzyła mu. Jej serce zalała fala ulgi. Jej matka nie była buntowniczką. Walczyła dla swojego króla, tak jak Elo.

– W takim razie – powiedziała Inara – mam obowiązek ci pomóc.

– Inaro... – odezwali się jednocześnie ostrzegawczym tonem Kissen i Skedi, po czym oboje wzdrygnęli się z irytacją.

– Kissen – odparła Inara z naciskiem, jakby nabrawszy sił. – Powiedziałaś, że znasz potężne bóstwo. Czy ono może złamać klątwę Elo?

Kissen zawahała się.

– Łamanie klątw to rzadkość – rzekła, kręcąc głową i naciągając spodnie. – Wymaga wielkiej mocy. Większość dawnych bóstw nie potrafiła nawet złamać klątwy innego

boga bez równie potężnej ofiary. – Inara upadła na duchu, a Kissen mruknęła coś pod nosem. Jej dłoń powędrowała do fiolki na szyi. – Ale – powiedziała ze znużeniem – pewna wodna bogini wie wszystko to, co wie woda. Mogłaby pomóc. – Językiem dotknęła swojego złotego zęba, przyglądając się Elo, po czym spojrzała na Inarę. – Nie powinniśmy się w to mieszać – stwierdziła. – Chciałaś być bezpieczna. Czy ci się to podoba, czy nie, demony wrócą i być może nie będziemy w stanie walczyć ze wszystkimi.

Ma rację, Inaro, stwierdził Skedi. Ostatnim razem mieliśmy szczęście. Nie jestem bogiem nadającym się do wojny.

W takim razie mamy też szczęście, odpowiedziała zdecydowanie Inara, że w mieście się rozdzielimy. Skedi trochę się skurczył, kładąc uszy po sobie. Ty chcesz być bezpieczny, Skedi, chcesz mieć dom. Wiesz, jakiej drogi pragniesz. Pora, żebym ja wybrała swoją.

Ale, Ino...

Inara odcięła go od swoich myśli. Dawała mu to, czego chciał, to, dla czego ją zdradził. Ale była córką rodu Craierów i przełamała moc Skediego. Chciała coś zrobić, objąć władzę nad własnym losem.

– Wiem, że to niebezpieczne – stwierdziła. Wytrzymała spojrzenie Kissen i cokolwiek widziała w niej bogobójczyni, zrozumiała.

Kissen podniosła wzrok na Elo, który się wahał, i wyciągnęła rękę.

– To mała dziewczynka – ostrzegł Elo.

– Dziewczynki szybko dorastają – odparła veiga.

Elo podał jej dłoń, a ona ją ujęła i omal go nie przewróciła, podciągając się na nogi. W blasku ognia Inara dostrzegła, że kolory Elo falują lekkim rumieńcem. Kissen uśmiechnęła się. Żadne z nich się nie cofnęło.

– Też zamierzam zostać przy was – oświadczyła. – Nie lubię ludzi, którzy podpalają w imię swoich bogów. Jeśli tylko zdołam, pomogę młodej Lady Craier sprawić, żeby się to nie powtórzyło.

Inara zaczerwieniła się. Lady Craier. Kissen miała rację, teraz nią była. Dziedziczką swojej matki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY



Elogast

POWINIEN ODEJŚĆ, POWINIEN ZOSTAĆ SAM, TAK JAK PRZYWYKŁ. Była ponura, zimna noc i nawet siedząc przy ognisku i pełniąc wartę pod skałą u podnóża góry Tala, Elo czuł straszny ciężar klątwy na ramieniu. Teraz, gdy już o niej wiedział, mógł przysiąc, że czuje, jak się rozrasta i z każdą chwilą ziarno piasku przesypuje się w klepsydrze, przybliżając koniec jego życia. Sam się dziwił, że czuje niemal... ulgę. Później jednak naszło go z tego powodu poczucie winy. Nie, musiał żyć. Dla Arrena.

Ale nie mogli wędrować dalej po ciemku. Księżyc wyraźnie oświetlał im drogę, kiedy jaśniał na niebie, lecz gdy wpływał za chmury, noc stawała się czarna i niebezpieczna. Kissen stwierdziła, że na wąskich szlakach wiodących w dół zbocza śmierć spotka ich przed brzaskiem, jeśli spróbują się z nimi mierzyć tacy zmarznięci i zmęczeni.

Jak mógł być taki głupi? Ręka Canovana na jego ramieniu, niemiłe uczucie z tym związane. Przypisał je starej ranie z czasów wojny, która bolała, kiedy dręczyły go wspomnienia, ale to nie było to. Pozwolił, by chłopak zginął, a zostały mu tylko dni, żeby ocalić przyjaciela. Poprzednim razem nie zdołał go uratować. Opuścił go i wiódł ciche, szare życie, a tymczasem zaczynał szerzyć się bunt. Nie mógł znowu sprawić mu zawodu.

Jakiś dźwięk wyrwał go z zamyślenia. Sapanie i szczękanie zębami. Poznał, że to Kissen. Nauczył się odgłosów jej snu ze wspólnych noclegów. Była ciasno otulona swoim woskowełnianym płaszczem, niesforne włosy sterczały jej spod kaptura. I się trzęsa. Zbyt wiele czasu spędziła po wyjściu z jeziora na opatrywaniu mu ręki i oglądaniu kłutwy bez odpowiedniego ubrania, które by ją ogrzało.

Naga Kissen. Nie, nie powinien o tym myśleć. To nie jest odpowiedni czas.

Elo dołożył do ognia w nadziei, że ją ogrzeje, ale trzask płomieni gwałtownie wybudził veigę ze snu. Poderwała się, wyciągając nóż spod płaszcza, i rozglądała się dookoła dzikim wzrokiem, z wyszczerzonymi zębami.

– W porządku – powiedział łagodnie Elo. Inara spała, znowu z bożkiem w ramionach. Skedi miał schludnie złożone skrzydła i zamknięte oczy. Nawet tutaj sen przychodził dziewczynce z taką łatwością. Elo nie pamiętał, kiedy ostatnio spał tak dobrze. Pewnie przed wojną, kiedy świat był prostszy.

Kissen skupiła się na nim i odprężyła, odłożyła nóż i znowu zadrzała.

– Szlag – powiedziała, pocierając rękami klatkę piersiową. Wiatr znad jeziora ciął niczym ostrze, omiatając policzki i szyję Elo.

– Zimno? – spytał.

– Nie – odparła szybko. A później dodała: – To twoja wina.

– Wiem – odrzekł. Znowu pogrzebał w ognisku, a ona patrzyła na to podejrzliwie, jej dłoń powędrowała do fiolki. – Co to jest? – spytał.

– Zabezpieczenie – wyjaśniła. – I ostateczność. Pato uzyskał to od bóstwa, a po jego śmierci przeszło na moją własność. – Przysunęła się nieco do ognia, ciaśniej otulając się płaszczem.

– Pato cię szkolił, tak? – Już wcześniej o nim wspominała.

– Nie miał wielkiego wyboru. Uciekłam z Blenradenu i podążałam za nim, aż się zgodził.

– Zginął na wojnie?

Kissen zacierała dłonie, żeby je rozgrzać.

– W pewnym sensie. Byliśmy w połowie drogi przez Middren i ścigaliśmy boga snu, ale pojawiły się trzy dzikie bóstwa, chcące zabić veigę. Między innymi Mara, bogini wilków. – Elo znał to imię. – Pato był stary i nawet we dwoje nie byliśmy w stanie walczyć z trzema bóstwami. Ja przeżyłam. On nie. – Wzruszyła ramionami. – Powiedział, że tak to już jest.

Elo zmarszczył brwi.

– Mara. Ścigaliśmy ją w mieście.

– Wiem – odpowiedziała. – Byłam tam. – Na jej twarzy pojawił się nikły, chłodny uśmiech. – Kiedy przeprowadziłam swoją rodzinę przez tę właśnie górę, wróciłam, by

dołączyć do innych bogobójców, którzy chcieli walczyć do ostatka albo mieli rachunki do wyrównania.

– Szukałaś zemsty.

Kissen objęła rękami nogi i oparła podbródek na kolanie. Wargi miała nieco posiniałe, ale oczy jej zaśmiały, gdy patrzyła w płomień.

– Zemsta zajmuje całe życie – powiedziała cicho. – Czasami... musisz brać to, co się da.

Elo czuł, że za jej historią kryje się coś więcej niż tylko śmierć Pato, ale jego uwagę znowu przykuły jej dreszcze.

– Mogę pomóc – powiedział, zadowolony, że jest coś w stanie zrobić.

– Z czym?

– Z zimnem.

Spojrzała na niego podejrzliwie i jej oczy otworzyły się ciut szerzej, gdy zrozumiała, co proponuje.

– Czy rycerze nie składają jakiegoś świętego ślubu czystości czy coś?

Elo zaśmiał się cicho.

– Nie – odparł – ale nawet gdyby składali, nie jestem rycerzem i oferuję ci tylko trochę ciepła. – To nie była do końca prawda. Chętnie zaoferowałby jej więcej.

Nie. Miał swoją misję, zadanie.

Kissen pocierała teraz ramiona, spoglądając to na Elo, to na ognisko.

– Dobra – powiedziała.

Podniosła się i chrząkając nerwowo, usiadła przed Elo, tak że oboje znaleźli się po tej samej stronie ogniska. Rozłożył ręce i objął ją pod płaszczem. Pozwoliła mu, z początku sztywna i nieporuszona. Zmarzła na kość, teraz to wyczuwał po napięciu jej mięśni i pozycji, w jakiej siedziała. Trzymał ją ostrożnie, aż w końcu się do niego przybliżyła, opierając się o jego pierś. Od czasu do czasu wciąż się trzęsła, ale lżej. Gdy jej skóra się rozgrzewała, z jego skórą działo się to samo i tak dzielili się ciepłem. Widział blizny po oparzeniach na jej karku, połyskujące w blasku płomieni, a także białą plamę złamanej kłątwy. Była wytrzymałą kobietą. Potężną.

– Dziękuję – powiedział cicho.

– Za co? – Głos miała lekko przytłumiony, bo trzymała podbródek zanurzony w płaszczu. Zaświszczał wiatr, podsycając ogień.

– Mogłaś kazać mi odejść – odrzekł. – Inara by cię posłuchała.

Kissen milczała.

– Ta dziewczyna nikogo nie lubi słuchać – wyjaśniła w końcu.

– Kogoś mi przypomina – odparł Elo znaczącym tonem, Kissen się zaśmiała. Mocniej zacisnęła ramiona.

– No – powiedziała – nie najgorszy z ciebie rycerz i całkiem niezły piekarz.

Elo uśmiechnął się i postanowił, że będzie śmiały i oprze podbródek na jej głowie. Pozwoliła mu i aż sam się zdziwił.

Była to ta strona Kissen, której jeszcze nie poznał, być może wrażliwsza, niżby chciała przyznać. Ludzie o najsurowszej powierzchowności skrywali czasami najgłębsze rany. Jeśli to miały być jego ostanie dni, Elo postanowił, że będzie za nie wdzięczny.

– Rozumiem, dlaczego Inara chce mi pomóc – powiedział. – Pragnie swojej części zemsty, chce się odłączyć od boga i zająć własne miejsce w obrębie rodu. Ale ty, Kissen? Mówiłaś, że pracujesz sama, że nie lubisz działania w drużynie, że nie lubisz królów. Omal cię nie zabiłem, ściągnąłem na ciebie demony. Dlaczego postanowiłaś zostać?

– Stoję po swojej własnej stronie, rycerzu, zawsze tak było – powiedziała ostrożnie Kissen. – Jeśli nikt nie walczy u twojego boku, uczysz się walczyć tylko o siebie. – Nie owijała w bawełnę, do czego już go przyzwyczaiała. Nie uznawała kompromisów, miała własne pojęcie honoru.

Elo zaczekał, lecz nie kontynuowała.

– Ale? – zapytał.

– Ale... – westchnęła – urodziłam się w Talicji. – Poczuł, jak jej ramiona napinają się, a potem rozluźniają. Spłynęła na niego fala współczucia. Talicja stała się okrutną krainą we władaniu okrutnego bóstwa. Było to jedyne państwo, które nie zaproponowało Middrenowi wsparcia podczas wojny. Nawet Retish, który skorzystałby na osłabieniu dominacji Middrenu na Morzu Kupieckim, ofiarował okręty i żywność. – A teraz moim domem jest Middren. Tu mieszkają ludzie, których kocham. – Poczuł, że jej dłonie znowu wędrują do piersi. Położyła je płasko tam, gdzie boski dar odcisnął się na jej skórze. Elo zastanawiał się, jaki był to dar i co złożono za niego w ofierze. – I wszyscy widzieliśmy dosyć śmierci w imię bogów. Więc ci pomogę. I dziewczynce. Jeśli zdołam. Jeśli to powstrzyma wojnę.

Elo uśmiechnął się, po czym cicho spytał:

– Czy tylko z tego powodu trzymasz mnie obok siebie?

Siedziała w ciszy i nie odrywała oczu od płomieni. Z każdą chwilą opierała się na nim większym ciężarem, być może była senna, a może po prostu było jej wygodnie. Za blaskiem ogniska rozciągała się zupełna ciemność, jakby cały świat się zwinął, pozostawiając tylko ich dwoje. Jej oddech stopniowo przeszedł w głęboki, niezmienny rytm i wiedział, że zasnęła. Wciąż ją obejmował, czując dojmującą samotność. Nie zostało mu wiele czasu, jeśli klątwy nie uda się zdjąć, i walczyć mógł już tylko o Arrena. Ale przynajmniej, choćby znaczyło to bardzo niewiele, teraz miał

towarzyszy w tej swojej walce, chociaż nigdy w życiu by nie przypuszczał, że będą nimi bóg, bogobójczyni i dziecko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY



Inara

SCHODZILI Z BENNITÓW PRZEZ NASTĘPNE DNI, a pogoda panująca na tych wschodnich zboczach poprawiała się, robiło się cieplej. Drzewa rosły tu rzadziej, a śnieżny krajobraz ustąpił miejsca wilgotnym poczerniałym paprociom i kamieniom. Powietrze było rześkie i przejrzyste, wiatr zaś silny. Rozwiał górską mgłę i wyraźnie ukazał skrzące się w dali morze. Pomiędzy wierzchołkami drzew i wijącymi się ścieżkami co rusz dostrzegali skrawki połyskującego błękitu.

Im niżej schodzili, tym szlaki stawały się szersze, w końcu drzewa zupełnie zniknęły. Stoki gór piętrzących się obok nich były zryte i pobrużdżone, rozerwane kamieniołomami, teraz opuszczonymi i zarośniętymi. Młode pędy wyrastały w kępach na zboczach, z których dawno temu wyrąbano drzewa na słynne blenradeńskie drewno dla stoczni. Pod nimi rozciągała się równina, sięgająca nadmorskich klifów. Wioski i pola, dziś wyznaczone tylko przez dziwnie pomarszczone linie nieuprawianej roślinności.

Mijał trzeci dzień wędrówki, gdy Inara zobaczyła go w oddali. Przycupnięty na nadbrzeżnych urwiskach pod górami, ponad wielką lazurową zatoką: Blenraden, miasto tysiąca świątyń. Piaskowcowe mury połyskiwały w południowym słońcu, a wieże zdawały się sięgać chmur. Wnosił się dumny mimo spustoszenia, jakiego w nim dokonano. Kissen i Elo przystanąli w milczeniu na widok grodu, z którym

więzało się tyle wspomnień, tyle śmierci i tyle bóstw. Inara w końcu dotarła na miejsce, z veigą, rycerzem, swoim bogiem niewinnych kłamstewek i łukiem w ręce.

W głowie zaczęły jej się kłębić myśli o matce. To Lessa nauczyła ją strzelać z łuku, jeszcze przed wojną, przed Skedim. Niemal zaraz po tym, jak zaczęła chodzić.

„Nigdy nie wiesz, moja maleńka”, powiedziała wtedy, „kiedy walka może przyjść do ciebie”.

Może powinna była posłuchać własnych słów.

Łuk Kissen zupełnie nie przypominał łuku, który miała w domu. Kiedy rosła, matka co roku sprawiała jej nowy. Tamte były miękkie, z rzeźbionego drewna, pięknie wypolerowane i zaprojektowane specjalnie dla Inary. Lotki strzał wykonane były z piór dzikich indyków – dla córki rodu tylko to, co najlepsze.

Strzały Kissen miały gęsie pióra, a łączysko było wypolerowane jedynie od częstego używania i nasmarowane czymś, co nie pachniało jak pszczeli воск. Inara zastanawiała się, co pomyślałaby jej matka, gdyby ją teraz zobaczyła. Już nie zamkniętą w olbrzymim domu o wielu komnatach, z których żadna nie była zajęta, podczas gdy matka pracowała w sekrecie. Teraz dziewczynka wędrowała przez głuszę i wykuwała własny los. Czy matka czułaby dumę? Obawę? Córka nigdy się nie dowie.

Skedi sfrunął i wylądował na koniu, którego prowadziła Inara. Nogi parsknął, ale szedł dalej, szczęśliwszy teraz, gdy drogi były równiejsze i znowu znaleźli się poniżej granicy śniegu. Zbliżali się do poziomu morza, a Inara widziała główną drogę, którą by wybrali, kiedy miasto jeszcze żyło, przebiegającą wzdłuż wybrzeża i łączącą wszystkie miasta zbudowane przy naturalnych portach Middrenu.

– Czuję, jak myślisz, Ina – odezwał się Skedi na głos. Wciąż traktował ją ostrożnie. Dobrze. – Co się dzieje?

Nie rozmawiali o tym, co między nimi zaszło. Inara nie mogła się otrząsnąć z lęku po utracie władzy nad własnym językiem, własnym ciałem. Nie mogła też zapomnieć tego uczucia, gdy złamał jej wolę. Trzasku, gdy jej kolory wytrysnęły i przerwały narzucone przezeń pęta. A później bronił jej, otaczał ją opieką. Czy miłość naprawia zdradę?

– Jak ci się podoba twój nowy dom? – spytała, patrząc na miasto. Skedi przez chwilę milczał, być może dotknięty.

– Myślisz o matce, prawda? – powiedział.

Przygryzła wewnętrzną stronę policzka, skubiąc guziki swojego płaszcza.

– Jestem na nią zła – wyjaśniła w końcu. – Zanim zginęła, trzymała mnie w domu, chowała przede mną listy, nic mi nie mówiła o tym, co się dzieje. Dlaczego?

Skedi przez chwilę milczał. W słonecznym świetle jego wąsiki drgały, gdy się zastanawiał. Za nimi szli Kissen i Elo, oboje pogrążeni we własnych myślach.

– Może – powiedział po chwili Skedi – z tego samego powodu, dla którego ty ukryłaś mnie. Żebyś była bezpieczna. Do tego ludzie potrzebują niewinnych kłamstewek, prawda? Do ochrony przed prawdą, która powoduje ból.

– Więc dlaczego ty mnie okłamałaś? – spytała. Tak dobrze go znała, niemal jak własną rękę. Był jej częścią. Czy jej moc pochodziła z tej więzi? Na przykład to, że widziała kolory? Jak to by było bez nich? – Zadałaś mi ból, Skedi. Odebrałaś mi wolę.

– Ty złamałaś moją – zauważył.

– To nie to samo.

– Nie. – Pokręcił głową, mówiąc cichym głosem. – Przykro mi, Inaro Craier. Jesteśmy skuci łańcuchem, oboje wbrew swojej woli, a ja tobie twoją wolę odebrałem.

– Położył płasko uszy. – Bałem się śmierci. Dalej się boję. Ale się myliłem. Nigdy więcej tego nie zrobię.

– Nie – powiedziała Inara, robiąc krok w dół zbocza i ciągnąc za sobą Nogiego. Kissen zaczęła jej w pełni ufać, jeśli chodzi o konia. – Bo ty będziesz tutaj, a ja odejdę.

I będzie musiała mierzyć się ze światem sama, bez kolorów, bez swojego boga. Nie powiedziała tego. Próbowwała też o tym nie myśleć. Skedi nic nie powiedział, ale odrobinę się zmniejszył.

– Chyba tak – przemówił po chwili. Wziął się w garść i oderwał od grzbietu Nogiego, by wzbić się ku niebu. Chwytał każdy powiew pod swoje skrzydła i wznosił najwyżej, jak mógł. Czy oddalił się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej? Inara nie miała pewności. Na niebie zdawał się odległy. Na półdzikich ziemiach przed nimi nie było nikogo, a zieleń wiosny zaczęła się przedzierać przez gnijącą roślinność z poprzedniego roku. Inara poczuła lekkie bolesne szarpnięcie za serce, gdy wiatr poniosł go za daleko, a wtedy wrócił, żeby szybować ponad nią.

– Patrzcie pod nogi – powiedział Elo, gdy weszli na pierwsze opuszczone pole w niższych partiach gór. – Kiedy ludzie uciekali, zostało tu wiele rzeczy. Pługi, broń, wnyki.

Pola, przez które wędrowali, były gęsto porośnięte paprociami i splątanymi kolczastymi krzewami, choć nie uprawiano ich zaledwie od paru lat. Młode drzewa, które dawniej starannie by przycięto, wypuszczały teraz nowe dzikie gałązki z wiotkich pni, obciążone wiosennymi pomarańczami, pod których ciężarem musiały się złamać, łaknące światła i niecierpliwe. Nie było nikogo, kto by im pokazał, że muszą rosnać powoli, nabierać tężyzny. Zagrody i dworki, które mijali, były spustoszone, szyby w oknach – wyjęte lub potłuczone. Przed jednym z domów Inara dostrzegła stertę bieli u podnóża schodów. Przyjrzała się bliżej i zobaczyła, że to kości, bielejące w słonym powietrzu.

– Pogrzeby są dla żyjących – powiedziała Kissen, gdy zauważyła, na co patrzy Inara.
– Zmarłych nie obchodzi, co robi z nimi świat.

Inara odwróciła wzrok, starając się nie myśleć o kościach członków rodu Craierów spoczywających pod gołym niebem.

Zatrzymali się w jednym z gospodarstw, żeby coś zjeść. Teraz znowu widzieli miasto. Z bliska jego zrujnowany stan bardziej rzucał się w oczy. Wieże, które z daleka wydawały się całe, okazały się na wpół zburzone i zdewastowane. Z murów miejscami zostały gruzy. Wciąż wisiały na nich niebieskie sztandary, poszarpane i łopoczące na wietrze, ozdobione królewskim symbolem słońca i ciemnym porożem jelenia.

– Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zobaczę te mury – odezwał się Elo.

Kissen pokiwała głową. Czyściła kopyta swojego wierzchowca, który cierpliwie to znosił.

– Jest wartownik – powiedziała. Inara podążyła za jej spojrzeniem w górę. Jakiś ruch wśród ruin, coś więcej niż tylko łopot sztandarów na południowym wietrze. – Biedacy, pozostawieni w takim miejscu. Cierpliwości, chłopie. – Nogi próbował opuścić nogę, znużony już tym skrobaniem. – Nie mamy planu trasy, którą Jon zamierzał wejść do miasta, ani ochrony pielgrzymki. – Popatrzyła na Elo. – No... a ty? Znasz jakieś tajne wejście? Nie mamy tyle czasu, żeby dać się wtrącić na noc do celi.

Elo oderwał skórkę od chleba.

– Tak – potwierdził. Szybko pogodził się z wieścią o nieuchronnej śmierci zadanej mu przez demona. Był teraz skupiony, zdeterminowany. – Znam drogę.

– Wiedziałam.

– Ale – dodał – nie nadaje się dla koni.

Inara popatrzyła na Nogiego. Nie umiała już sobie wyobrazić wędrówki bez jego cichego towarzystwa. Sądząc po wyrazie twarzy Kissen, veiga czuła to samo.

– Jesteś pewien? – spytała dziewczynka.

Elo rozłożył ręce i Kissen zacisnęła usta, puszczając końskie kopyto. Nogi odwrócił się i trącił ją pyskiem, oczekując nagrody, gdy jednak wyciągnęła rękę, żeby podrapać go po chrapach, cofnął się i parsknął, bo nie na to liczył. Westchnęła.

– Dobra. Szlag. Oby było warto.

Zostawili zdeorientowanego konia w jednej z opuszczonych zagród, napełniwszy koryto kilkudniowym zapasem świeżej wody nabranej z pobliskiego młyna, a żłób – owsem i obrokiem. Kissen nie zgodziła się go zamknąć, jedynie przytknęła wrota, zdjęła mu też uprząż i siodło, po czym ukryła je w krzakach.

– A jeśli ucieknie? – spytała Inara, gdy Kissen szcztokowała go ostatni raz.

Veiga wzruszyła ramionami.

– Jestem mu winna coś więcej niż powolną śmierć w klatce. Jeśli ucieknie, to ucieknie, i niech mu szczęście sprzyja. Zresztą widziałaś, co robi z ludźmi, którzy próbują go dosiąść, a grzecznie nie poproszą. – Nogi zarżał i Kissen przetarła mu szyję szczotką. – Dobry konik – dodała. – Wrócę po ciebie. Obiecuję.

Zostawili także swoje cięższe rzeczy, kulę Kissen i ekwipunek do przyrządzania posiłków, a także większe sakwy. Wepchnęła to wszystko w krzaki razem z siodłem.

Gdy odchodzili, Nogi żegnał ich rzeniem. Powierzyli dowodzenie Elo i przez spustoszone ziemie zaczęli się podkradać do miasta, aż znaleźli się na tyle blisko, że nad nimi górowało. Poprowadził ich przez gęste zarośla pod mur znajdujący się najbliżej pałacu, który wnosił się nad portem na szczycie długiego zbocza. Inara wiedziała, że niegdyś wieże wysokiego blenradeńskiego pałacu sięgały wysoko ponad mury. Teraz pozostały jedynie nieliczne wieże strażnicze, podparte belkami z odzysku.

Skedi już od jakiegoś czasu latał, mały niczym trznadel. Sfrunął teraz na ramię Inary.

– Dwóch rycerzy na murze – zameldował. – Siedzą i piją.

– Idioci – mruknął Elo.

– Niekompetencja działa na naszą korzyść – zauważyła Kissen.

– To nadal rycerze.

Skedi zrobił się tak maleńki, jak to tylko możliwe, przycupnął na ramieniu Inary i szeptał: *Nie widać nas, nie widać nas, nie widać nas*, do świata dookoła i nakrywał go swoją wolą niczym płaszczem.

Elo okrążył mur i dotarł do szczeliny odpływowej w jego podstawie. Gromadziła się tam woda, od dawna już stęchła. Inara widziała kanał wycięty w darni na zboczu wzgórza. Woda, która tamtędy ściekała, albo przestała płynąć, albo została skierowana gdzie indziej. Elo wśliznął się do bajorka, po czym pomógł Inarze. Mętna woda zmoczyła ją do pasa. Nie przypominała chłodnego, gładkiego jeziora pod górą Tala, rzeńskiego jak szron. Cuchnęła.

Kissen mruknęła coś pod nosem, podnosząc ponad ramiona swój ciężki płaszcz, w który zawinęła bogobójcze narzędzia, i podążyła za nimi do otworu pod murem. Inara zastanawiała się, co takiego tam ma, czego nie może zmoczyć. Obejrzała się i zobaczyła, jak światło prześwieca przez rude włosy Kissen, prześlizguje się po jej skroniach, po czym niknie w czerni.

Wewnątrz odpływu panowała całkowita ciemność. Powietrze cuchnęło tu jeszcze gorzej. Inara rozłożyła ręce, żeby zachować równowagę, i próbowała nie wymiotować, gdy jej palce dotknęły ściany i poczuły lepki pocałunek szlamu. Podążyła za delikatnym hałasem, który robił Elo, brodząc przez wodę, i wydawało jej

się, że trwa to całą wieczność, aż nagle nastąpiła cisza. Zatrzymała się i wtedy usłyszała dźwięk trąconego dłonią metalu.

Inara wyczuła pod dłonią płaszcz Elo, po czym po omacku podeszła do metalowej kraty, którą trzymał. Byli w pułapce.

– To jest twój wielki plan? – mruknęła Kissen.

– Za mną – polecił. Chwycił kratę i zaczął się wspinać, a oddech rwał mu się w chwilach, gdy ranę przesywał ból. Nawet w ciemności Inara widziała jego kolory. Ból połyskiwał tym samym odcieniem złota, co panika. Zastanawiała się, co musiało się stać, że złoto stało się dla rycerza tak przerażającą barwą.

Inara poczuła, że Kissen łapie ją za łokieć, by pomóc jej we wspinaczce. Krata trzeszczała pod jej rękami, odpadające płatki żelaza i rdzy chrzęściły pod naciskiem.

Wdrapywała się kierowana odgłosem stóp Elo, świadoma, że jest tuż przed nią, lecz nagle zniknęła. Uderzyła o kamienne sklepienie, niemal równie śliskie jak ściany, i spanikowała.

– Elo? – Nie podobało jej się brzmienie własnego głosu w ciemności. Wydawał się głosem kogoś małego. Pod nią Kissen przystanąła.

Z tyłu, odezwał się Skedi, który, kiedy się wspinała, zrobił się leciutki, wielkości myszy, i siedział w jej kapturze.

– W porządku – powiedział Elo. Poczuła jego rękę na swoim ramieniu. – Pomogę.

Podciągnął ją z tyłu na półkę, której wcześniej nie dostrzegła. Sklepienie wisiało nisko, zbyt nisko, żeby stanąć prosto.

– Idź naprzód – polecił. Oboje podskoczyli, gdy rozległ się łoskot i stłumione przekleństwo Kissen. – Ja pomogę veidze.

– Veiga nie potrzebuje twojej pomocy – wycedziła Kissen przez zęby.

Uderzyła się w głowę, powiedział Skedi z rozbawieniem. Inara stłumiła uśmiech i podążyła naprzód. Znalazła zagłębienie wykute w skale, a nad nią jeszcze jedno. Wydrążona w kamieniu drabina prowadząca w górę. Zaczęła się wspinać, wymacując każdy grubo ciosany punkt podparcia. Później jej dłonie dotknęły drewna.

Elo wdrapywał się za nią i także dotarł do kłapy. Oboje ledwie mieścili się w wąskim szybie. Podparł przeszkodę ramieniem i uniósł ze stękiem. Poruszyła się tylko odrobinę. Inara przełknęła ślinę. Co zrobią, jeśli właz okaże się czymś zastawiony? Po chwili jednak udało mu się odsunąć klapę na bok.

Światło. Niewiele. Słaby blask zamkniętego pomieszczenia z małym, wysoko umieszczonym oknem, promienie odbijające się od kawałka polerowanego brązu. Ledwie tyle, żeby cokolwiek widzieć.

Skedi wdrapał się po ręce Inary na powierzchnię, poruszając noskiem. Inara i Elo wyszli za nim.

Piwnica, w której się znaleźli, była pełna pustych i połamanych beczek. W powietrzu unosił się zapach alkoholu, ściany były czarne i porośnięte grubą warstwą pleśni. Dobra pleśń do piwnicy z winiakiem, taka sama porastała piwnicę Craierów i gorzelnicy byli nią zachwyceni. W tej jednak dawno już zabrakło tego, co kiedyś przechowywano.

– Skąd, na słone szczyzny, wiedziałeś o tym miejscu? – mruknęła Kissen, podźwigając się z szybu. Klapę i podłogę wykonano z drewna. Po zamknięciu kłapa wpasowywała się równo między deski. Kiedy Kissen włożyła ją na miejsce, otwór stał się niemal niewidoczny.

– To są pałacowe piwnice – powiedział Elo. – Kanał prowadzi pod stajniami i kuchnią aż tutaj. Przejście zbudowano jako drogę ucieczki. Kiedy oblegaliśmy miasto, dopiero po kilku miesiącach zbliżyliśmy się do murów na tyle, żeby się do niego dostać. A kiedy się udało, zaatakowaliśmy od wewnątrz i mogliśmy wpuścić nasze jednostki przez bramę. – Urwał na chwilę. – A raz, przed wojną, Arren i ja wyszliśmy tędy, żeby iść się napić.

– Raz? – spytała Kissen nad wyraz podejrzliwie.

– Może parę razy. Nie spędzaliśmy wiele czasu w Blenradenie. Królowa przyjmowała zwykle tylko swoich faworytów.

– Hm, ile tu jest tych tuneli?

– To by nam wiele powiedziało.

Kissen zachichotała.

– Myślałam, że wiem wszystko o tym przeklętym mieście – powiedziała. – Mogłam się domyślić, że szlachetnie urodzeni są równie podstępni jak żebracy.

Inara była zafrapowana myślą o tych dwojgu w tym samym mieście. Elogast wymykający się z księciem, żeby pić i się bawić, a Kissen żebrząca na ulicach i okradająca sakiewki.

Drzwi do sąsiedniej piwnicy były półotwarte, weszli więc po schodach do większych, obszerniejszych pomieszczeń. W tej części budowli nie było okien, ale Inara czuła przestrzeń wokół nich, słyszała ją w echu ich kroków. Zapach winiaku przybrał na sile, ale ponad nim unosił się odór zgnilizny.

– Można tu było wnosić tylko lampy z kloszem – powiedział Elogast, a szczątkowe dzienne światło ukazywało kontur jego twarzy. – Używanie otwartego ognia może nadal być niebezpieczne.

– Jeśli o mnie chodzi – odezwała się Kissen – wolałabym się raczej nie narażać na śmierć w płomieniach. Jest szczególnie nieprzyjemna. – Inara zatrzęsała się w ciemności. – Rycerzu, czy ze swoich buntowniczych wypadów i z oblężenia pamiętasz dosyć, żeby znaleźć drogę do drzwi?

– Możliwe – powiedział z namysłem Elo.

Z pomieszczenia poniżej wpadało akurat tyle światła, żeby z mroku wyłowić zarysy towarzyszy, ale poza tym wszystko wydawało się czarne. Inarze przywiodło to na myśl demony cienia i miała wrażenie, że wyczuwa je krążące wokół w ciemności. Jutro przybędzie ich osiem, żeby zabić Elo. Dziewczynka po omacku złapała Kissen za rękę. Veiga aż podskoczyła, po czym ścisnęła jej palce i postąpiła naprzód.

Jej stopa czegoś dotknęła. Kissen wzdrygnęła się, zaklęła i zatoczyła. Inara musiała ją przytrzymać, żeby nie spadła ze schodów.

– Cicho – syknął Elo.

– Nie umiem wyczuć drogi przed sobą tak łatwo jak wy, dwunożni – powiedziała z naciskiem – a ktoś mi kazał zostawić kulę.

– Ach... – Wrócił do nich i wyciągnął rękę, a jego palce były ledwie widoczne w tej odrobinie światła, która wpadała z dołu. – Ja poprowadzę – powiedział.

Kissen popatrzyła na jego dłoń, po czym westchnęła i wsunęła w nią własną. Elo powiódł je w ciemność, poruszając się równym tempem po lekko nachylonej w górę podłodze, i spychając na bok wszystkie rupiecie, które zagraadzały im drogę, żeby Inara i Kissen się na nie natknęły. Nie minęło wiele czasu i znalazł to, czego szukał.

– Używali tych przewodnic do wyciągania wozów z zamku – wyjaśnił. Obutą stopą Inara wyczuła metalową rynnę w kamiennej posadzce. – Doprowadzi nas do drzwi.

Znajdowały się one na szczycie kolejnych schodów i prowadziły na szeroki, jasny korytarz z łukowatym sklepieniem i kanciastymi wnękami po prawej i lewej stronie. Wysokie okna wpuszczały światło wczesnowieczornego słońca, które oświetlało płaskorzeźby nad licznymi drzwiami wiodącymi do kolejnych pomieszczeń. Grona niewielkich owoców wisały na pnączach, które wyglądały jak żywe i wyrastały z kamienia. Pomędzy nimi widniały kraterzyki skutej skały.

– Nigdy nie widziałam, żeby płaskorzeźby służyły za ołtarze – stwierdziła Kissen, podążając za jej spojrzeniem. – Te pewnie poświęcono Tetowi.

Elo skinął głową.

– Bóg wina był wyrzeźbiony wszędzie w tych korytarzach. Wszystkie podobizny, które nie pękły, kiedy zginął z resztą dzikich bogów, wyrąbali rycerze.

Kissen uświadomiła sobie, że wciąż trzyma go za rękę i szybko ją puściła, a później także dłoń Inary. Elo napotkał jej spojrzenie i się uśmiechnął. Czyżby Kissen się zarumieniła?

Szli dalej korytarzem i minęli sześćdziesiąt drzwi, zanim znaleźli te, których Elo szukał. Inara spodziewała się jeszcze jednego korytarza, ale zamiast tego zobaczyła schody, na które się wspięli, by znaleźć się pod otwartym niebem.

Rozległa komnata ze zburzonym dachem i krokwiemi osmalonymi i połamanymi, niczym żebra trupa, które sterczały z czegoś, co dawniej z pewnością było wielkimi ostrymi łukami wokół ołtarzy, umieszczonych w ścianach w regularnych odstępach, ze zniszczonymi symbolami i naczyniami wciąż zawierającymi resztki popiołu.

W pomieszczeniu zamieszkał wiatr. Wirował w kątach, podrywał liście i niósł je nad połamanym stołem, na którym wciąż stały złote, błyszczące talerze, kielichy bez wina, wymyte przez deszcze kości saren i jagniąt, oczyszczone do cna. Z niektórych pokarmów rozwijało się nowe życie, wyrastały z nich niewielkie rośliny i pędy drzew, zapewne za sprawą nasion upuszczonych przez przelatujące ptaki. Nikt nie splądrował tej sali.

Inara wzięła głęboki wdech. Coś wirowało w powietrzu – moc. Potężna wola i trzaskająca energia wciąż wypływały ze ścian i zatrzymywały się na stole, zmagając się z wiatrem. Unosiło się tu także przerażenie, wyblakłe niczym zmyty atrament. Gdy Inara przyjrzała się bliżej, zobaczyła między liśćmi na posadzce stare plamy krwi. Wiatr i deszcz nie zdołały ich usunąć.

– Tutaj się wszystko zaczęło, prawda? – spytała.

Elo z kamienną twarzą przyglądał się tej scenie dewastacji.

– Tutaj królowa wyprawiała ucztę – powiedział. – Walka między dzikimi a nowymi bogami rozpoczęła się tutaj. Uprzątnęliśmy ciała, urządziliśmy pochówki, ale wydawało się, że... niczego innego nie należy dotykać.

– Nie rozumiem, co przywiodło bogów do tak okrutnej walki – stwierdziła Inara, rozglądając się po zniszczeniach.

– Miłość i władza – powiedziała Kissen, wykrzywając wargi. – Walki między bogami były w Blenradenie częste. Domagali się większej uwagi. Dawni bogowie, nowi bogowie, bogowie kupców, dzicy bogowie. Więcej niż raz widziałam awanturę, w której ludzie tracili kończyny. Dopiero kiedy dotarło to do wysoko postawionych panów i dam, zaczęto dostrzegać problem.

– Dlaczego stali się tacy gwałtowni? – spytał Skedi, któremu sierść falowała na wietrze.

– Dlatego – odrzekła Kissen – że handel i bogactwo w miastach takich jak to wabiły ludzi do nowych bóstw szczęścia, takich jak złoty Agni, a odciągały ich od dzikich bogów takich jak Tet, bóg wina, który to wszystko zaczął. Ludzie nie potrzebują już dzikich bogów, kiedy są najedzeni, bogaci i wygodnie żyją. A bogowie nie znoszą tego dobrze, kiedy się o nich zapomina.

Tet sprawił, że sami wyznawcy Agniego rozszarpali na strzępy najpierw jego, a później siebie nawzajem. Była wśród nich królowa. Inara zastanawiała się, które plamy krwi należały do niej.

– Ale bogowie potrzebują ludzi – powiedział Skedi. – To... okrutne.

– No cóż, nowym bogom z miasta też się to nie podobało – stwierdziła Kissen, rozglądając się po sali ze skrzywionymi ustami. – Młodszy i potężniejszy ruszyli na świątynie Teta, a wtedy starzy bogowie postanowili wziąć odwet. Zapanował totalny obłęd i chaos, a ludzie przypłacili to życiem.

– Wszystko przez głupią próżność – podsumował Elo. Potarł sobie ramię, to z klątwą i blizną. – Powinniśmy iść.

Inarzę się tu nie podobało.

To było złe miejsce. Mówiły jej o tym wszystkie zmysły. Pełne zabłąkanych dusz i przerażenia. Skedi nie był zanadto przejęty. Zatrzepotał skrzydłami i zerwał się, żeby z zainteresowaniem węszyć wokół zniszczonych ołtarzy, być może szukając jakiegoś, który byłby znajomy.

– Możemy stąd iść, proszę? – spytała Ina.

Zdawało jej się, że kolory grozy sączą się spod posadzki. Wielu ludzi uważało, że to miejsce jest bezpieczne. *Skediceh*, zawołała. Odwrócił się i pofrunął w jej ramiona.

O co chodzi?

Czy to miejsce nie budzi w tobie lęku?

Skedi popatrzył na nią z zaciekawieniem.

Moc, która tu jest, nie może cię skrzywdzić, zapewnił. Ale kamienie ją pamiętają, a wiatr próbuje je uspokoić.

Źle się tu czuję.

Jestem bogiem niewinnych kłamstewek, przypomniał łagodnie Skedi. Nie bogiem lęku i grozy. To, co tu pozostało, nie należy do mnie.

Elo poprowadził ich wzdłuż długiego stołu do innego pomieszczenia, mniej zdemolowanego, ale pozbawionego wszystkiego, co się w nim wcześniej znajdowało. Dominowały tu odcienie kobaltu i lilii, wiary i czułości. Arren, myślał o Arrenie.

– Tutaj strażnicy i... mniej lubiani dziedzice... jadali podczas uczt. A także spali.

Przez wielkie drzwi wyszli na dziedziniec z wielokątną fontanną, na której pięciu rogach ustawiono wieże, teraz zburzone i spalone. Sama fontanna była zapchana zielskiem, dalej znajdowała się duża brama z elewacją poznaczoną śladami sadzy. Jej potrzaskane skrzydła luźno zwisały się z zawiasów. Za nimi widzieli blask słońca, jasny i połyskujący na powierzchni morza, tak blisko.

Ruch. Kolor.

Osoba.

Skedi skurczył się w ramionach, a Kissen sięgnęła do miecza. Inara uświadomiła sobie, że już dzierży łuk Kissen, gotowa do walki.

Widziałem herb, oznajmił Skedi. To rycerz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY



Elogast

ELO ŻAŁOWAŁ, ŻE PRZESTAŁ SIĘ MODLIĆ.

Rycerz. Nie potrzebował Skediego, żeby wiedzieć. Też widział na jego plecach herb Arrena ze słońcem i jeleniem. Nie spodziewał się, że pałac może być strzeżony. Niczego tu już nie było. Na szczęście rycerz nie zajrzał do środka.

Elo gestem dał znak Kissen, która szła cicho naprzód z dłonią wspartą na mieczu. Wskazał na siebie. On ich przyprowadził, więc on ich wydostanie. Nie mogli sobie pozwolić na to, żeby ich schwytano, nie teraz. Ale to był cud, że rycerz jeszcze ich nie zobaczył. Gdyby się teraz obejrzał, mógłby ich zauważyć.

Elo naprężył ranną rękę i stąpając cicho w mokrych butach, podkraść się bliżej, żeby otworzyć bramę. Poniżej rozciągała się Boska Droga, szeroki trakt wiodący z pałacu do samego miasta. Była tak piękna, jak Elo pamiętał, nawet popękana i zryta, wiła się niczym błada rzeka w dół wzgórza. Kiedyś pałac był twierdzą chroniącą przed najeźdźcami z Talicji, później ważnym węzłem nad Morzem Kupieckim. Teraz pozostał już tylko śladem przebrzmiałego piękna, zniszczonego przez wojnę.

Serce waliło mu jak młotem, nie tylko z powodu strażnika, ale też samego powrotu do miasta, na tę drogę, przejścia przez tę budowlę, która przypominała mu o duchach zmarłych. Ramię go bolało, a na głowie perlił mu się pot. Wziął głęboki, urywany wdech, potem jeszcze jeden. Rycerz był zaledwie kilka kroków dalej.

Elo wypuścił powietrze w skupieniu. Strażnik się nudził, sądząc po przygarbionych ramionach, ale wciąż stał, w przeciwieństwie do tych, których widział wcześniej na murze. Jego ubiór nie był dość schludny, żeby wzbudzić aprobatę Elo, płaszcz miał odrzucony w tył i zmięty. Rycerz nie nosił też hełmu, a jedynie luźną czapkę, odsłaniającą splecione w ciasne warkoczyki włosy i ciemną skórę, jak u Elo. Być może dobrze się nadawała na tę chłodną pogodę, ale zarazem pozwalała łatwo pozbawić rycerza przytomności.

Elo przemknął przez bramę niczym duch i zakradł się za wzdychającego rycerza. Mężczyzna obrócił się w bok, podążając za promieniami słońca na zachód, i kontur jego profilu stał się zupełnie wyraźny. Elo przystanął.

– Benjen?

Benjen podskoczył, po czym zerwał się do pozycji bojowej i sięgnął po miecz. Elo spanikował i rzucił się na rycerza, zanim ten zdążył wyciągnąć broń. Obaj runęli na ziemię.

Zbroja Benjena go obciążała. Gdy usiłował wstać, Elo obrócił się i chwycił jego miecz, jęcząc, gdy rana w jego ręce się naprężyła, po czym wyciągnął go z pochwy, przeturlał się i powstał. Trzymał broń nisko, wystarczająco nisko, żeby uderzyć, Benjen o tym wiedział. Stara sztuczka.

– Poddaj się – powiedział Elo, licząc, że jego obolała ręka nie zacznie się trząść.

– Pan Elogast – wysapał ze zdumieniem rycerz, dźwigając się na nogi. Nie miał broni i brakowało mu słów, więc patrzył na Elo, jakby zobaczył ducha. W końcu zdobył się na skonsternowany uśmiech, nie odrywając oczu od swojego miecza w ręce Elo. – Nie zmieniłeś się.

Elo rozluźnił mięśnie, na poły pragnąc podejść do Benjena i go uściskać, a na poły żałując, że nie walnął go z tyłu w głowę, żeby pójść w swoją stronę.

– Giermku Benjenie – przemówił, po czym śmiechem rozładował atmosferę. – Straciłeś swój miecz.

– Teraz już panie Benjenie – odrzekł rycerz w przypływie dumy.

Elo pochylił głowę.

– Panie Benjenie. Zasługujesz na tytuł.

Elo nie opuścił ostrza. W oczach Benjena dostrzegął gotowość, która mu się nie podobała, a w końcu sam chłopaka uczył. Dawny podwładny nie znał go jako mięczaka, gdy służył pod jego komendą, i teraz też nie pozna.

– Co tu robisz, panie Elogasście? – zagadnął Benjen. W jego głosie dało się słyszeć bardziej nieufność niż niewinne pytanie.

Elo nie wiedział, jak odpowiedzieć.

– Wiesz, że nie jestem już panem.

Benjen otrząsnął się z zaskoczenia i lekko się przemieścił, tak aby słońce znalazło się za nim i świeciło na jego zbroję. Elo nie wiedział, czy powinien być dumny, czy rozdrażniony.

– Wiem też, że nikt nie może wejść do Blenradenu bez królewskiego pozwolenia.

– Czyli wszyscy pielgrzymi, którzy wchodzą przez bramę za łapówki, mają pozwolenie, tak? – spytał, broniąc się. Usta Benjena drgnęły. Trafił w sedno. – Przepuść mnie, Benjenie. Nie wyrządę większej szkody niż oni.

Benjen spojrzał w bok, przestępując z nogi na nogę. W końcu pokręcił głową, a przez czoło przemknął mu cień żalu i gniewu.

– Opuściłeś nas – powiedział. – Kiedy już nauczyłeś nas, ludzi z gminu, przysięgać wierność królowi. Nasze życie, naszą krew, nasze serca. Daliśmy z siebie wszystko, walcząc u jego boku, u twojego boku. Tam w dole, na tamtym placu. – Wyciągnął rękę nad miastem. Stąd nie było go widać, ale Elo znał to miejsce. Każdego dnia dręczyło jego wspomnienia niczym jątrząca się rana. Benjen był jednym z rekrutów powołanych do rozpaczliwej walki po masakrze w porcie. – Opuściłeś nas. Dlaczego?

– Nie muszę ci się tłumaczyć.

– Walczyłem dla ciebie. Byłem gotów dla ciebie zginąć. Ale odwróciłeś się do nas plecami, zamknąłeś oczy i nic nie robiłeś.

Te słowa raniły głęboko, głębiej niż Benjen mógł przypuszczać.

– Nie walczyłeś ani za Arrena, ani za bogów. W ogóle przestałeś walczyć.

Elo wzdrygnął się. Poczucie winy i samotności, które wypełniało mu serce, ciążyło niczym nagrobna płyta. Było to fizyczne cierpienie, ściskanie w płucach, ból ramienia. Wstyd spowodowany porzuceniem armii, Arrena, jego żołnierzy i rycerzy, kraju, który stanął teraz na krawędzi kolejnej wojny. Przez niego. Przez jego zaniedbanie.

– Nie mogę pozwolić, żebyś właśnie ty mówił o królewskich prawach, panie Elogasście. – Benjen wyciągnął zza pasa sztylet. – Powinieneś zrobić, co należy, i opuścić miecz.

Elo zaklął w duchu. Co ma zrobić? Co by zrobiła Kissen? Czas mu się kończył. Jeśli nie będzie uważny, Kissen wyjdzie z ukrycia i narobi zamieszania, a wtedy cały Blenraden zwali im się na głowy. Większość ostatniego miesiąca Arrena zajęło mu samo dotarcie do miasta, pozostał mu tylko jeden dzień do ataku istot cienia. Nie mógł tracić czasu.

– Ostrożnie, panie Benjenie – ostrzegł Elo i podniósł wyżej broń tamtego. – To swoim mieczem powinieneś się przejmować.

Benjen nie mógł wygrać i o tym wiedział. Zbladł, ale nie odstąpił.

– Moje życie, moja krew, moje serce należą do króla – powiedział. – Tego mnie nauczyłeś.

Skoczył naprzód, wznosząc sztylet, i uderzył mocno, tak żeby zabić. Elo sparował cios, utrzymując przeciwnika na długość ręki od siebie. Chłopak nie był w stanie walczyć krótkim ostrzem przeciwko mieczowi, a co dopiero dwóm, ale Elo nie chciał mu zrobić krzywdy. Odparł kolejne uderzenie, potem wykonał obrót i uderzył płazem miecza, podcinając nogi Benjena. Młodziak zatoczył się, ale nie upadł. Stał mocno na nogach i znowu skoczył do ataku. Kissen pojawiła się za nim, jedną ręką złapała jego płaszcz i szarpnęła w tył. Benjen jęknął i stracił równowagę. Unieruchomiła go chwytem za kark, tłumiąc krzyk. Drugą dłonią złapała go za nadgarstek ręki trzymającej sztylet i mocno ją wykręciła. Upuścił broń i skupił się na zmaganiu z jej silnym przedramieniem duszącym go za gardło, próbując złapać podparcie pod stopami. Charczał i rżęził.

– Nie zabijaj go – poprosił Elo. – Proszę.

– Na krew bogów, co ci mówiłam? – prychnęła.

Puściła nadgarstek chłopaka i mocno uderzyła go w głowę, a potem wzmocniła uścisk. Benjen pobladł, żyły wystąpiły mu na skronie. Oczy uciekły mu w tył głowy i znieruchomiał. Przytrzymała go dla pewności jeszcze chwilę, a następnie opuściła na ziemię.

– Nie zabijam ludzi – powiedziała. Popatrzyła na leżącego. – Ale lepiej go będzie związać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY



Kissen

STOPNIE BOSKIEJ DROGI BYŁY ZANADTO NA WIDOKU. Rycerz, „przyjaciel” Elo, w końcu wyswobodzi się ze sznurów, którymi go związali, albo też ktoś przyjdzie go szukać. To oznaczało, że mają najwyżej kilka godzin, zanim reszta ogarów w lśniących zbrojach zacznie węszyć w pobliżu. Z każdego możliwego punktu widzenia czas im się kończył.

Kissen poprowadziła ich w dół boczną ścieżką, z której kiedyś korzystała służba. Wiodła przez teren rekreacyjny, przygotowany z myślą o polowaniach i łowieniu ryb, przez który przebiegała też dróżka dla wózków i powozów. Wszyscy inni, mogący chodzić, korzystali ze schodów. Nawet szlachta.

Całe wieki zajęło im przejście przez tereny łowieckie do samego miasta, gdzie przemykali przez wspaniałe place, wyznaczające jego wewnętrzny krąg. Kissen omijała plac Zwycięstwa, gdzie niegdyś wznosiła się największa w Blenradenie świątynia boga wojny Mertagha. Była niemal pewna, że tajemniczy cel przybycia Elo do miasta miał związek z tamtą bitwą, i nie chciała patrzeć na wyraz cierpienia na twarzy rycerza i drżenie rąk, a podejrzewała, że przyczyną jednego i drugiego są wojenne wspomnienia. Król Arren odniósł wtedy rany. Nie widziała dobrze przebiegu bitwy, kiedy już zgasły pochodnie, jedynie złoty blask zbroi boga, błysk łańcucha w swoich rękach i bliskość innych bogobójców.

Weszli dalej w głąb wymarłego miasta, gdzie jedyny ruch był dziełem wiatru i ptaków. Żadne dzwony nie obwieszczały pełnej godziny, żadnych okien nie rozświetlały lampy, gdy cienie narastały. Zapach nocników nie sączył się w dół ścian do rynsztoków. Tym niemniej Kissen wiedziała, dokąd idą. Mogłaby chodzić przez te ulice z zamkniętymi oczami.

– Co to jest? – spytała Inara.

Kissen spojrzała przed siebie. Tam. Cień. Przesunął się nad ulicą, powolny i płynący, ale na niebie nie było niczego, co mogłoby go rzucać. Przez straszną chwilę myślała, że to jeden z demonów zjawił się o jedną noc za wcześniej, ale słońce jeszcze w pełni nie zaszło, a cień zdawał się nieświadomy ich obecności. Ten byt nie miał materialnej postaci, ale słyszała jego głos, jakby w jej głowę wbijano gwóźdź.

Osnowę przewlecz, krosno wznieś, przyciśnij przędzę grzebieniem...

Kissen zatrzymała się i złapała Inarę za ramię. Skedi miał zjezoną sierść i rozłożone skrzydła. Słyszała o takich rzeczach, o bóstwach, które straciły swoją główną świątynię, ale wciąż miały gdzieś kilka mniejszych. Wierni też już zniknęli. Mimo wszystko ta boska istota trzymała się życia, na poły pamiętając samą siebie.

Kolory dodaj, przepleć je, wełniane włókna tkaj dalej...

Przyblakła wola, nieukierunkowana, zginała palce Kissen, budziła w nich tęsknotę za tkaniną i przędzą. Bóstwo tkaczy. Przynajmniej kiedyś. Zatrzymało się, tarasując im przejście, być może wyczuwając ludzi w pobliżu.

– Nie zbliżajcie się – ostrzegła Kissen, kładąc dłoń na rękojeści miecza. Co by się stało, gdyby zbliżyli się za bardzo do nieokiełznanej woli bóstwa? Mogłoby wciągnąć ich w swoje mrzonki, wypełnić myślami, aż zapomnieliby o wszystkim z wyjątkiem samej boskiej istoty.

Może powinna ją zabić, uwolnić od tej niedoli. Odwróciła się do Inary, żeby poprosić o swój łuk, i jej wzrok napotkał Skedicetha. Skrzydła mu opadły, uszy także, skurczył się do niewielkich rozmiarów, z przerażeniem patrząc na tkackie bóstwo. Kiedyś było żywe, tak jak on.

– Chodźcie – powiedziała Kissen i zaskoczyła sama siebie, prowadząc ich boczną uliczką, z dala od przejścia z zagradzającym je bóstwem. Nie warto było ryzykować. Powiodła ich przez dzielnicę wytwórców atramentu, kanał, który był czystszy niż kiedykolwiek, i ulicę sklepików z przyprawami pełną zaginionych kolorów. Czy właśnie poczuła współczucie wobec bóstwa? Wobec bożka niewinnych kłamstewek? Robiła się zbyt miękka. Jej uczucia wobec towarzyszy stały się zagmatwane, skomplikowane. Nienawidziła bogów, wszystkich bogów, ale teraz pierwszy raz poznała jakiegoś bliżej.

W miejscu, które niegdyś było placem Zegara Słonecznego pośrodku dzielnicy kupców przyprawowych, wielkie kuliste kadzidło leżało przewrócone tam, gdzie dawniej stało, a popiół, którego warstwa miała głębokość zaciśniętej dłoni, rozsypał się dookoła. Kissen miała wrażenie, że wciąż czuje unoszący się zapach stu tysięcy ofiar dla bogów. Wokół walały się małe drewniane kapliczki z targowiska, potrzaskane i zniszczone, a między nimi przemykały cienie. W pewnej chwili wyskoczyło ich kilka na podobieństwo szczurów, Elo poderwał Inarę w górę, żeby nad nimi przeskoczyć.

Nie minęło wiele czasu, gdy minęli kolejne bóstwo, cień stojący pod murem w wąskim zaułku. Niewielki, sięgał Inarze do kolan. Dłoń Kissen znowu powędrowała do broni, ale istota nie ruszała się, po prostu stała. Veiga ruszyła dalej, Inara jednak ją zatrzymała.

– Czekaj – powiedziała.

– Ina, mamy mało czasu – ponaglił Elo.

– Tylko chwileczkę – odparła dziewczynka. Odwróciła się do cienia. Skedi wciąż leżał na jej ramieniu, przywarł do niego rozplaszczony. Bożek był bardzo podekscytowany, kiedy dotarli do pałacowej bramy, ale teraz ogarnął go strach.

– Halo? – zagaiła Inara. Dali jej krótki miecz Benjena z brydzytowymi krawędziami, ale go nie wyciągnęła. I tak był dla niej za ciężki.

– Nie... – zaczęła Kissen, ale było za późno.

Cień, tak wcześniej chudy, że był plamą na murze, nabrał kształtów i zwrócił się w stronę, z której go zagadnięto. Skurczył się przy tym, stał się mniejszy i ciemniejszy, ukazując swoją prawdziwą postać. Twarz miał wyciętą z pięknego, gładkiego drewna na kształt mysiego pyszczka, miał ciało porośnięte sierścią i długi ogon, a także ptasie, szponiaste stopy. Przez krótką złowrogą chwilę patrzył na Inarę, po czym zniknął w zaułku. Kissen wyteżyła wzrok i zobaczyła ją wśród cieni. Maleńka kapliczka, wyjątkowo nienaruszona, wraz z niewielkim totemem w kształcie buta z myszą wyrzeźbioną na obcasie. Bóstwo zepsutych sandałów.

Maleńki bożek znowu odwrócił się w ich stronę i przechylił łebek. Nic nie mówił. Być może już nie mógł, niemniej jednak Kissen wiedziała, czego chce. Tego, co wszystkie bóstwa. Ofiary. Zrobił krok w kierunku nóg Inary i Kissen ruszyła, żeby go odegnąć, lecz dziewczynka podniosła rękę.

– Nie żal ci ich? – spytała. Stworzonko zbliżyło się do jej stóp i zaczęło skubać buty. To nie były sandały. Moc bóstwa była niewielka.

Kissen owszem odczuwała żal. Żałowała tej istoty tak, jak żałowałyby kociątka potrzebującego mleka matki, nawet gdyby miał wyrosnąć z niego tygrys.

Inara trzymała guziki swojej kamizelki wykonane z macicy perłowej. Kissen już wcześniej zauważyła, że dziewczynka w ten sposób podtrzymuje się na duchu. Jej

palce zacisnęły się na guziku, który się nieco obluzował, i oderwała go, by wręczyć małemu bożkowi.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

Nie odpowiedział, ale wyprostował się na tylnych nogach i wziął dar, po czym czmychnął do swojej świątynki. Wydawał się nieco bardziej materialny, jakby padło na niego światło i nadało mu kształt. Położył guzik przy własnym posądku, macając i głaszcząc ten drobny wyraz hołdu.

– Słońce zachodzi – odezwał się Elo.

Inara odwróciła wzrok. Bożek nie potrafił sobie przypomnieć, jak być bogiem. Kissen poprowadziła ich dalej, ale odchodząc, wszyscy usłyszeli cichy szept.

Kelt.

Kissen macała językiem swój złoty ząb, dając wyraz swojemu zaniepokojeniu. W Blenradenie jest niebezpiecznie, wiedziała. Bożek zepsutych sandałów to jedno, ale co z bogiem złodziei? Morderców? Potężną boską istotą, która dostawała krwawe ofiary, a nie świecidełka?

– Nie – powiedział cicho.

Kim jesteś, dokąd idziesz? Którą drogą idziesz? Którą drogą?

Kissen wzdrygnęła się, gdy głos dziwnego bóstwa wwiercił jej się w głowę. Dotarli do kolejnego pogrążonego w cieniu rozstaju dróg. Okna, które przetrwały w budynkach powyżej, błyszczały odbitym światłem wieczoru, ale latarnia pośrodku skrzyżowania była ciemna. Kissen musiała dwa razy mrugnąć powiekami, żeby ujrzeć bóstwo u jej podstawy, jego mrok łączył się bowiem z resztą ciemności.

Tu podejdziesz?

Istota odwróciła się, jej oczy skrzyły się dogasającymi płomieniami. Kissen zrozumiała. Jego kapliczka pod latarnią została zniszczona, ale nie totem, czyli sama lampa. Światło, które dawniej rozjaśniało ciemne noce, teraz błyszczało tylko z oczu bóstwa. Widziało ich, znaleźli się w jego dziedzinie.

Spocznij, spocznij tu, spocznij ze mną... daj odpocząć nogom... daj odpocząć duszy... zostań.

U podstawy latarni spoczywały kości szczurów, a także gnijące ścierwo lisa. Widmo postąpiło bliżej, bezkształtną stopą zostawiając na ziemi ślad przypominający popiół.

Nie idź, tam czeka tylko groza.

U jego nóg spoczywała większa sterta kości, w tym ludzka czaszka.

Kissen i Elo dobyli mieczy. Dziecko, być może zagubione w mieście, przemykające wcześniej wśród bitew i pojmane, zatrzymało się, unieruchomione przez boga bez świątyni. To bóstwo było niebezpieczne niczym wnyki. Jego oczy zaświeciły jaśniej, jakby ktoś podsycał ogień olejem. Kissen podniosła broń.

– Nie dotykaj go – ostrzegła Inara.

Miała rację. Bóg chciał, żeby Kissen podeszła bliżej, by mógł ją związać, pochłonać. Jej uwaga zapewniała mu moc, wolę.

Naprzód tylko strach. Zostań tu chwilę, tylko trochę. To jest miejsce wygadywania słów. Śmiechu i... wymian. Jak słodko tu zostać.

Jego kształt się załamał. Rozciągnął się wokół skrzyżowania, próbując ich okrążyć.

– Przejdziemy – powiedział Elo, przybierając pozycję bojową. Ale rozumiał to, co dotarło do Kissen: walka z czymś tak bezkształtnym, jak to, co ich otaczało, przypominałoby walkę z morzem. Mogła ich jedynie pochłonać.

Nie pójdziesz.

Kissen zakłęta. Będzie musiała spróbować. Sięgnęła w głąb płaszcza, lecz Inara stanęła przed nią.

– Stój – powiedziała.

Nie, rozkazała, z mocą i stanowczością. Istota, która była dawniej bogiem, stanęła jak wryta. Popatrzyła na Inę oczami płonącymi niczym latarnie. Kissen wzięła płytki wdech. Stwór, ani duch, ani bóg, znów się skondensował i zmniejszył swoje rozmiary. Zagubione bóstwa Blenradenu nie były czymś, do czego by przywykła. Nie miały nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Nie potrzebowały rozsądku ani wymiany. Były bryłami bezkształtnych pragnień. Czym się dla nich różnił guzik od życia? Były nie do zatrzymania. Chyba że dla Inary.

– Szybko – nagliła Ina, przebiegając obok.

Kissen odruchowo podążyła za nią, wymieniając spojrzenia z Elo. Nie schował swojego miecza, a tylko posłał jej zaniepokojone spojrzenie.

Za skrzyżowaniem wola zjawy ich opuściła. Inara przystanęła, kładąc sobie dłoń na piersi i ciężką dysząc. Skedi fruwał wokół jej głowy, najwyraźniej niepewny, gdzie wylądować. W końcu zdecydował się na ramię Kissen, budząc jej irytację, ale nie mogła go strącić. Chciał popatrzeć na Inarę. Wyglądała tak samo jak wcześniej, oparta plecami o mur.

– Jak to zrobiłaś, Ina? – spytał Skedi z ramienia Kissen, wypowiadając na głos pytanie, które i jej przyszło do głowy.

– Nie wiem – odparła, patrząc na Kissen, a później na Skediego. Zaczerwieniła się.

– Po prostu chciałam, żeby przestał.

– Mógł cię zabić.

– My nie mogliśmy go zabić, bo wszystkie bóstwa by to poczuły. Potrzebują celu. Gdybyśmy go zabili, ich celem stałoby się znalezienie nas.

– Skąd wiesz? – spytał Elo.

Inara zerknęła na Skediego, który poruszył się niespokojnie.

– Ja... – opuściła wzrok. – To tylko domysł.

Kłamstwo? Kissen nie miała pewności. Nie czuła nic ze strony Skediego, ale z drugiej strony, znajdował się blisko jej miecza i raczej by nie ryzykował. To martwiło Kissen, zwłaszcza odkąd widziała, jak dziewczynka przewycięża wolę bożka. Czy teraz miał na nią wpływ? Na pewno nie. Nie dałby jej władzy nad sobą, a bóg niewinnych kłamstewek nie mógł rozkazywać innym, tak jak kilka chwil temu Inara bogu rozstajów dróg.

– Myślę, że uprzejmie będzie – odezwał się Elo, chowając miecz do pochwy – powiedzcie: dziękuję.

Spojrzał na niebo. Jaśniało, jakby ostatnie promienie słońca były skompresowane, zintensyfikowane poprzez bliskość ziemi. Czas uciekał i Kissen zakłęta pod nosem. W jaki sposób znalazła się w towarzystwie trojga głupców, z których wszyscy byli po szyję w tarapatach? Może to ona była głupia.

– Dobra – powiedziała Kissen – chodźmy.

Poprowadziła ich znanymi sobie ścieżkami, na skróty przez swoją dzielnicę, gdzie ją sprzedano po zabranii z Talicji i opatrzeniu na tyle, żeby w Blenradenie była cokolwiek warta. Wiele budynków zostało splądrowanych i w ruinie, spalonych w pożarach albo zburzonych przez bogów. W biedniejszych dzielnicach było tak wiele pomniejszych bóstw, tak wiele nadziei i obietnic, tak wielu wiernych do przeciągnięcia na swoją stronę.

Weszli na jej ulicę. Zatrzymała się. Yatho ją o coś prosiła.

Ściana frontowa jej dawnego domu zawaliła się, a dach wyglądał jak trup z połamanymi kośćmi krokwi. W oknach, które przetrwały, wciąż tkwiły pręty, a nad drzwiami widniał na wpół zwęglony szyld: *Sierociniec Marmee*.

„Maimee” lepiej do niej pasowało.

– To tu mieszkałaś? – spytała Inara, bystra jak zwykle.

Elo spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Tutaj pracowałam – odrzekła Kissen. – Maimee kupowała dzieci, jako tako nas łątała albo też łąmała jeszcze bardziej i wysyłała po pieniądze. – Podeszła do drzwi, chrząknęła i splunęła na próg, tak jak prosiła Yatho. – Poraniła twarz mojej siostry Telle, żeby przynosiła więcej pieniędzy i przyciągała mniejszą uwagę. Zabrała Yatho od rodziców w ramach wyrównywania długów. Tutaj nie ma nic za darmo. Pamiętajcie o tym tam, dokąd pójdziemy. – Poczowała ulgę, że Elo nie pyta, co ją tu sprowadziło za pierwszym razem. – Za mną.

Zapach gorących źródeł poczuli, jeszcze zanim je zobaczyli. Jedna z nielicznych woni, które pozostały z Blenradenu, jaki znała. Łaźnie były oddalone od rzeki, na placu obsadzonym drzewami o gęstych pąkach, które niebawem miały zakwitnąć.

W łukowatym, wykonanym z rzeźbionego kamienia wejściu do łaźni paliła się lampa, a bluszcz, który porastał ściany, został przycięty. Wyglądało na to, że kwota, którą pielgrzymi płacili za wejście do miasta, obejmowała układ, zgodnie z którym rycerze nie niepokoiili ich w łaźniach. To była dziwna ulga zobaczyć przynajmniej jedną część miasta, która wciąż żyła. Cyprysy przy głównym wejściu miały nieco dziwny wygląd niż przedtem, ale alejkę wiodącą do wejścia niedawno zamieciono.

– Idź do swojego człowieka, bożku – poleciła Kissen, gdy weszli do środka. Skediceth pomknął z jej ramienia z powrotem do Inary, wpełzając pod jej gęste ciemne włosy. Były teraz niemal tak potargane, jak czupryna Kissen, splecione w niedbały warkocz, a jej brązowe policzki rumieniły się od słońca i zimnego wiatru. Roztaczała obecnie aurę pewności, która do niej pasowała. Jakby wróciła do domu i odnalazła w nim siłę.

Kissen postanowiła podejść do zagadnienia z dumą, a nie obawą.

Za wejściem znajdowało się atrium, przed holami, które wiodły do samych łaźni. Był tu duży basen i płynący strumień wody, która lała się z góry po ścianie, a obok niego stała kolekcja znoszonych butów. Nad nimi wisiały bawełniane ubrania. Ci, którzy podtrzymywali działalność łaźni, dbali o najdrobniejsze szczegóły.

Wszyscy zmyli z siebie smród cuchnącej wody spod pałacu, a Inara i Elo przebrali się w znalezione ubrania, wieszając własne przy drzwiach do wyschnięcia. Kissen zastanawiała się jakiś czas, zanim zrobiła to samo, ale i tak zapięła na bluzce napierśnik i wzięła ze sobą swój płaszcz. Żadne z nich nie zostawiło broni. Nawet ta spokojna przestrzeń nie była bezpieczna, zważywszy na trudności, które przewyciężyli, żeby się tu dostać.

– Tędy – powiedziała Kissen, gdy byli gotowi.

Do łaźni prowadziły dwa tunele. Bezpłatny, publiczny znajdował się po lewej stronie i prowadził do otwartych basenów. Do prywatnych, starszych łaźni szło się drugim tunelem, gdy ktoś nie chciał pokazywać się nago przed połową gminu z całego świata. Niegdyś słono to kosztowało, ale teraz nie było komu pobierać opłat.

Kissen powiodła ich prywatnym tunelem, czerpiąc autentyczną satysfakcję z przejścia drogą, która zawsze była dla niej zamknięta, ale wiodła do basenu, do którego pragnęła się dostać. Przejście oświetlało sklepienie ze szkła i kamienia, wieczorne niebo rozświetlało maleńkie otwory zieleniami, fioletami, błękitami i oranżami, jasnymi ledwie na tyle, żeby widzieli, dokąd idą.

Długi hol otwierał się na szerokie, rozległe pomieszczenie, podzielone ściankami z rzeźbionego piaskowca, które wyodrębniały osobne parujące baseny.

Unoszące się w powietrzu opary, ciężkie od smaku głębi ziemi i skał, ścisnęły płuca Kissen.

Tutejsze źródła były stare, starsze niż miasto, a pomniejsi bogowie i pielgrzymi zawsze gromadzili się w tym sanktuarium. Gdy weszli, nie brakowało tu ani jednych, ani drugich. Kissen dostrzegła blask jakiegoś bożka w kształcie maleńkiego smoka, biegnącego po kamieniach. Inny snuł się wśród oparów w szacie z trawy i drobnych monet. Bóstwa uzdrawiające. Miały wiele świątyń i licznie gromadziły się w łaźniach takich jak te, gdzie pracowali lekarze, a ludzie przychodzili leczyć swoje dolegliwości. Kissen rzadko miała rachunki do wyrównania z bóstwem uzdrawiającym.

Krużganki otaczające prywatne baseny odbijały echo melodyjnych chlupotów i plusków, gdy ktoś wślizgiwał się do basenu, po których rozlegało się westchnienie albo cichy śmiech rozkoszy. Gdy przechodzili, ktoś wyszedł z jednego pomieszczenia i nago przeszedł do kolejnego, nie zwracając na nich uwagi. W tym świętym miejscu wszyscy byli równi.

Kissen poprowadziła ich na tył, obok bóstwa o kształcie czerwonego niedźwiedzia z ostrymi białymi uszami, pogrążonego w rozmowie z trojgiem pielgrzymów. W pobliżu bezkształtny duch przemknął nad wodą obok nowej świątyni, gdzie pielgrzymi pozostawiali błyskotki. Wkrótce miał nabrać kształtu, być może na podobieństwo niedużej figurki kolibra, która znajdowała się pośrodku świątyni.

W pobliżu końcowej części łaźni wykuto krąg z zimną wodą wokół głębokiego gorącego basenu. Zasilała go rzeka Aan z głębi Bennitów, z granicy między Talicją a Middrenem, która płynęła to na powierzchni, to pod skałami do morza. Gorąca woda, tak jak w innych miejscach, pochodziła z gorącego źródła głęboko pod miastem. Basen znajdował się w cieniu grubej wewnętrznej ściany, ale zewnętrzny mur zawalił się do środka, odsłaniając zarośnięty ogród. Przedzierała się tamtędy morska bryza, czysta i szczerą.

Kissen wzniosła czubek swojego miecza i za jego pomocą rozcięła sobie krawędź dłoni, po czym wzniosła zaciśniętą pięść nad basen. Kropla krwi wpadła do wody.

– Aan – zawołała po prostu. To nie miało potrwać długo. Aan była wszędzie tam, gdzie jej rzeka.

Znowu mnie szukasz, bogobójczyni?

Woda podniosła się ponad brzegi zimnych strumieni i wlała do basenu, objawiając się w kształcie bóstwa. Rzeczna Aan była boginią pełną ciała i życia, o rękach krągłych niczym owoce jesieni. Brzuch też miała miękki i sprężysty. Miała nad wyraz urocze ciało, od fałd na pięknym karku po włosy na rękach i czarną wijącą się kreskę, która sięgała od jej brzucha do łona.

– Spotkałaś bóstwo i go nie zabiłaś? – odezwał się Skediceth z kołnierza Inary.

Aan roześmiała się, a jej chichot objawił się w postaci baniek w basenie i odbił się od ścian.

– Myślisz, że by zdołała, kropelko? – spytała Aan.

Kissen skrzywiła się. Niszczenie świątyń w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało Aan, a przynęty bogobójców nie wystarczały, żeby ją zwabić. Rzadko zawracała sobie głowę kłopotami młodych bogów i krótkowiecznych ludzi, a w układy wdawała się najwyraźniej jedynie dla zabawy.

– Aan – powiedziała znowu Kissen, tym razem w formie powitalnej, kładąc dłoń na sercu i pochylając głowę. Aan miała rację. Veiga liczyła, że ta bogini nigdy nie będzie jej celem. Przypuszczalnie była równie niebezpieczna jak piękna.

– Wciąż nosisz dar, który ukradłaś – powiedziała Aan, pozwalając, by jej dłoń podryfowała przez wodę, kręcąc w palcach długie ciemne włosy. Usta Kissen wykrzywiły się, gdy poczuła ciężar fiołki na swojej szyi. Fiołka nie była kradziona. Należała do Pato.

– Odziedziczyłam – poprawiła boginię. – Co miałam zrobić, pogrzebać to razem z nim?

– I teraz wróciłaś – ciągnęła Aan, nie zważając na to wtrącenie – z tym samym mieczem, który zabił mojego młodego głupiego kuzyna. – Spojrzała wprost na Kissen oczami głębokimi jak studnia. – Gniew Ennerast poniósł się krzykiem aż do morza.

Kissen przystanęła. Starzy bogowie byli nieprzewidywalni w swoim gniewie.

– Miecz jest w pochwie i tam pozostanie – oznajmiła. – Nie żałuję, że zabiłam. Tak czy owak, przyszliśmy prosić, a nie odbierać.

Aan znowu się zaśmiała, a Kissen wypuściła powietrze, zerkając z ukosa na Elogasta. Wydawał się równie zafascynowany jak ona.

– Widziałam tak wielu, którzy przychodzili i odchodzili – powiedziała bogini. – Co się stało, to się stało. Na kolana.

To był rozkaz, a nie prośba. Klękanie nie było dla Kissen ani wygodne, ani pożądane i Aan o tym wiedziała. Bogini wsparła łokcie o krawędź basenu, a podbródek o dłonie, uśmiechając się słodko do veigi, wiedziała bowiem, czego zażądała.

Elo zgrabnie opadł na kolana, a Inara poszła w jego ślady. Kissen zacisnęła zęby i uklękła z taką łatwością, na jaką ją było stać. Aan wyszczerzyła się w uśmiechu.

– Skoro przyszliście prosić, mam nadzieję, że macie coś wartego odpowiedzi – powiedziała, skupiając uwagę na Elo. – Co z tym młodzieńcem? Jest twój? Lepszy niż ten obszarpany stary cap, z którym byłaś tu poprzednio. – Trzeba uczciwie powiedzieć, że Pato faktycznie był nieco obszarpany. Elo się zaczerwienił.

– Potrzebny mu ktoś do złamania klątwy, Aan – oznajmiła veiga. – I to szybko.

Aan uniosła brwi, patrząc na Elo, który poruszył się niespokojnie. Kissen miała nieodparte wrażenie, że gdyby mógł wybierać, własne życie ratowałby w drugiej kolejności. To, czego chciał dla Arrena, cokolwiek to było, znalazłoby się na

pierwszym miejscu. Mimo wszystko rozpiął koszulę, żeby odsłonić czarne znamię kłątwy, które zaczęło wpełzać mu na ramię swoim mrocznym pismem. Aan dotknęła go, przesuwając palcami po znakach ze skupioną miną.

Jej wzrok przesunął się na Kissen, później na Inarę. Przechyliła głowę.

– A kimże ty jesteś, mała rozplątywaczko? – spytała, zbliżając się do dziewczynki i patrząc na nią jak na fascynującego owada, który wypełził z bagna. – Z jaką prośbą przychodzisz?

Inara poczuła się zawstydzona uwagą bogini i popatrzyła na Kissen, unosząc dłoń ku Skediemu.

– Chcemy, żebyś uwolniła Skedicetha – powiedziała, pilnując, żeby głos jej nie zadrżał. To budziło podziw, że potrafiła utrzymać nerwy na wodzy pod spojrzeniem starego bóstwa.

– Chcemy rozwiązać klątwę, która nas połączyła – dodał Skediceth, a wąsiki mu drżały. – Powiedz nam, skąd się ona wzięła, co się stało z moją świątynią i jak bez niej żyć.

Aan mrugała, po czym odwróciła się do Kissen.

– A ty?

Kissen wzruszyła ramionami.

– Ja przybyłam tu z nimi.

Zimna woda w strumieniach wokół basenu Aan pieniała się i wirowała.

– Drwisz sobie ze mnie, dziewczyno? – spytała bogini. Choć głos miała łagodny, Kissen dostała gęsiej skórki. – Przychodzisz z więzami nałożonymi przez innych bogów i liczysz, że je przerwę? Wiesz, że łamanie mocy innych nie należy do moich darów.

Kissen skrzywiła się.

– Złamałaś klątwę, którą nosił Pato.

Tak poznała Aan za pierwszym razem, wyżej, u źródła rzeki. Pato został ukąszony przez bóstwo dawnych czasów i opuchły mu kostki.

– Mała, błaha istotka – odparła. – To było leczenie, a nie łamanie. Ale to są potężne klątwy, tak jak twoje.

Kissen cmoknęła.

– Co zatem możesz zrobić?

– Mamy niewiele czasu – wtrącił Elo.

– To widzę – powiedziała Aan, machając lekceważąco ręką. – Dla ciebie mogę zmniejszyć moc klątwy, ale nie mogę jej zatrzymać. Potrzebujesz silniejszego bóstwa niż ja albo potężnej ofiary. – Kissen się zjeżyła. – O którą oczywiście nigdy nie poproszę.

Zwróciła się do Inary i Skediego.

– Jeśli o was chodzi, wiąże was coś więcej niż prosty dar czy klątwa. Mogę wam służyć jedynie radą. – Odchyliła się, patrząc na nich zmrużonymi oczami. – Wszystko ma swoją cenę.

– Czego chcesz? – spytał Elo.

– Od ciebie jeszcze niczego – odrzekła Aan i popatrzyła na Kissen.

Veiga położyła dłoń na fioletce. Nosiła ją od lat. Dar, który Pato kupił od Aan, ona zaś wzięła go od niego. Czasami się zastanawiała, czy od początku był przeznaczony dla niej, chociaż wówczas była zbyt dumna, żeby przyjąć dar od bóstwa. Zdjęła fioletkę z szyi.

– Doradź dziewczynce, a możesz to odzyskać – powiedziała. – Rycerz sam za siebie zapłaci.

– Czekaj, nie – zaprotestowała Inara ku zaskoczeniu Kissen. – To nie ma być zapłata od ciebie.

– Co ja mogę dać? – spytał Skedi. Sfrunął z ramienia Inary i urósł do rozmiarów zająca. – To moje życie – ciągnął. – Pozwólcie mi za nie zapłacić.

Ładna próba, ale Aan wyśmiała ją zgodnie z oczekiwaniem Kissen.

– Jesteś bogiem. Co mi możesz dać, czego bym jeszcze nie miała? Możesz być mi winien przysługę, mały kłamco.

Skedi zastrzygł uszami, ale przytaknął, i Aan odwróciła się do Inary.

– Mam niewiele – powiedziała Inara. – I zbyt wiele się nauczyłam, żeby zaoferować nieokreśloną przysługę. – Kissen próbowała się nie uśmiechnąć. Bogini przechyliła głowę.

– Za radę – odrzekła – nie wydoję cię do dna. Chcę tylko włos.

– Włos? – powtórzyła Inara. – Z mojej głowy?

– Skąd tylko chcesz, moja droga – odparła Aan.

– Ina – ostrzegła Kissen, ale Inara wsunęła swoją dłoń w jej dłoń i ścisnęła. Kissen przełknęła ślinę. Rączka Inary zdawała się mała i zimna. Znała tę dziewczynkę zaledwie pół miesiąca, ale gdyby stało jej się coś złego, nie cofnęłaby się przed niczym, by ją pomścić.

– Do czego ci on potrzebny? – zwróciła się Inara do bogini. – Skediceth mi powie, jeśli skłamię.

– Takie przywiązanie do kogoś, kto nas nienawidzi – powiedziała Aan, wykonując głową gest w kierunku ich złączonych dłoni i odpływając w tył w basenie. Uśmiechnęła się, tym razem odsłaniając zęby i czarne dziąsła. – Chcę twój włos, żebym mogła cię zobaczyć, jeśli zechcę, znaleźć, gdybym potrzebowała. – Kiedy Kissen spiorunowała ją wzrokiem, bogini dodała: – Przysięgam, że nie chcę zrobić nic

złego tobie ani twoim bliskim. Właściwie dam ci coś swojego, żeby przypieczętować tę obietnicę.

Podniosła rękę i wyrwała sobie włos z głowy, długi i falujący. Kissen pomyślała, że gdyby miała oczy bóstwa, widziałaby, jak włos lśni wewnętrznym blaskiem. Aan wyciągnęła go do Inary.

– Umowa stoi?

Inara spojrzała na Kissen. Ten układ był naprawdę dobry. Aan nie potrzebowała włosów dziewczynki, gdyby chciała ją szpiegować. Mogła być wszędzie tam, gdzie była woda.

– Nie będę cię powstrzymywać – oświadczyła veiga. – Aan jest mądra, a warunki są dobre.

– Lizuska – powiedziała Aan, gdy pochwyciła kosmyk swoich włosów. Kissen wyjęła zapasową fiołkę ze swojego płaszcza i podała ją dziewczynce, która włożyła do środka włos bogini, a wtedy Kissen zakorkowała naczynie. Coś takiego było warte duże pieniądze. Pozwalało jej komunikować się z boginią zewsząd, nawet bez świątyni. Kissen zamierzała powiedzieć jej o tym później. Inara dotknęła swoich włosów i wyrwała jeden. Światło go rozświetliło, gdy podała włos Aan, która owinęła go sobie wokół palców. Jej ciało zaskrzyło się jak woda, a włos zniknął.

Kissen oplątała fiołkę Inary sznurkiem. Później zapieczętuje ją jeszcze woskiem i będzie to lustrzane odbicie jej własnej fiołki. Oddała naczynko dziewczynce, która zawiesiła je sobie na szyi. Aan była zadowolona. Woda w chłodnych strumieniach marszczyła się radośnie.

– Twoja świątynia jest zniszczona – powiedziała, skupiając się na małym bożku – bo w przeciwnym razie byłbyś w stanie od niej odejść. Przetrwałeś, a dziecko zostało twoją strażniczką. Taka więź może się zrodzić tylko z umowy o wielkiej mocy. Jeśli nie pochodziła od ciebie, zawarto ją z innym bóstwem. Potężnym bóstwem. Musisz sobie przypomnieć swoją przeszłość, boże niewinnych kłamstewek, aby się od niej uwolnić.

– Ale nie pamiętam nic sprzed swojego przyścia do Inary – odparł Skedi.

– Mówię ci to, co wiem, a nie to, czego ty nie wiesz – stwierdziła Aan. – Ale mogę ci powtórzyć, co mówi woda.

Przesunęła dłonią po powierzchni basenu i woda wzniosła się wyżej, zawijając się w fale.

– Nie składasz się z wody, bożku, ale ona cię zna. – Fale ułożyły się w statek na spienionym morzu, nad którym latała kropla, mała skrzydlata istota.

Skediceth.

Sfrunął z powrotem na pokład statku, który zapadł się w fale. Powierzchnia basenu znieruchomiała.

– Nasze wspomnienia jako bogów są przechowywane w świątyniach – powiedziała Aan. – Zakorzeniają nas w tym świecie. Ich zniszczenie niszczy także nas. Nasze wspomnienia, naszą wolę. Wszystko przepada. – Powiedziała to bez goryczy, bardziej po prostu stwierdziła fakt. – Jeśli twoja świątynia uległa zniszczeniu i przybyłeś do tej dziewczynki, podejrzewam, że umowę zawarto z kimś jej krwi, żeby jej serce stało się twoim domem.

– Ludzie nie mogą być świątyniami – powiedziała Kissen bardziej z nadzieją niż pewnością.

– Nie tacy jak ty – odrzekła Aan. Wyciągnęła rękę z wody i ujęła drugą dłoń Inary. – Ale rzadko widuję coś podobnego. – Uśmiechnęła się. – Może spytaj matki, która cię zrodziła, jakie tajemnice wiązały się z twoim przyjściem na świat.

Kissen poczuła chłód w sercu. To była tylko dziewczynka, dziewczynka, która miała problem z bóstwem. Inara zabrała rękę najpierw od Aan, a później od Kissen.

– Mojej matki nie ma już wśród żywych – powiedziała.

– W takim razie może, o ile masz szczęście, jesteś córką swojego ojca.

Skedi z dezorientacją zatrzepotał skrzydłami, gdy popatrzyli z Inarą po sobie. Kissen czuła się tak, jak musiała czuć się Telle, gdy wiedziała, że ludzie szybko porozumiewają się między sobą i nie nadążała z czytaniem z ruchu warg. Aan czekała. Miała mnóstwo czasu. W przeciwieństwie do Elo. Ten oparł dłoń na swoim ramieniu i silił się na cierpliwość.

– Powiedziano nam, że mógłby znaleźć inną świątynię.

Aan wzruszyła ramionami.

– Do zmiany świątyni bożek niewinnych kłamstewek musi znaleźć bóstwo gotowe złożyć taką samą obietnicę – powiedziała. – Podzielić się świątynią, ofiarami, miłością, tak jak uczyniłaś ty. Zasoby miłości wobec bogów są ograniczone, nawet tutaj. Żaden nie da wam tego, czego potrzebujecie.

Kissen niemal czuła, jak Skedi myśli o Kelcie, który niemal zniknął pomimo nietkniętej świątyni. Łącznie były pełne bóstw, ale czy pielgrzymi potrzebowali boga niewinnych kłamstewek? Pielgrzymi byli poszukiwaczami życzeń. Poszukiwaczami prawdy.

– Musimy dać coś więcej – powiedziała Kissen. – To jedyne miejsce w Middrenie, gdzie wciąż są bóstwa na tyle potężne, żeby go przyjąć.

Przeprowadziła Inarę przez niebezpieczeństwa i demony, żeby znaleźć tu Skediemu miejsce, ale nawet sama nie miała już pewności, czy wybrali się we właściwą podróż. Czy Skedi tu zostanie, wiedząc, że z biegiem lat zblednie i zniknie? A może zmieni się w cień okłamujący każdego przechodnia? Czy Inara mogła mu to zrobić? Zdradził ją, to prawda, ale także ją ocalił.

Jeszcze gorsze było to, że Kissen też już nie myślała, że mogłaby mu to zrobić.

– Daję to, co daję – powiedziała Aan, a jej oczy zaczęły tracić swój blask. – Mówię prawdę, bez względu na to, jak wam się ona podoba.

– Nie ma innego sposobu? – spytał cicho Skedi. Aan postukała się palcem w podbródek z czymś, co sprawiało wrażenie współczucia.

– Są różne drogi – wyjaśniła. – Można stać się tak znanym, żeby być jak dzikie bóstwo z dawnych czasów, tak blisko ludzkich wspomnień, z takim zapotrzebowaniem, że przywiązanie do świątyni słabnie.

– Nie jestem prastarym bogiem.

– Musisz tylko być chciany. Idź tam, gdzie inni cię potrzebują, a twoja więź z Inarą Craier się poluzuje. Tylko tyle mogę ci powiedzieć. – Przechyliła głowę, patrząc na Kissen. – Rada udzielona. Obietnica spełniona. Ale znam jeszcze inne opowieści, bogobójczynie. Wyczuwam twoją ciekawość w kwestii dziewczynki. Mogę ci powiedzieć, kim jest, a ty możesz zdecydować, czy jest warta twojej troski i czy ty jesteś warta jej.

Kissen kląsknęła językiem. Kolejne bóstwo próbowało dać jej coś, czego nie potrzebowała.

– Nie potrzebuję wiedzieć o Inarze nic, czego mi sama nie powie – oświadczyła niemal zupełnie szczerze. Podniosła się. – Tutaj już skończyliśmy.

– Nie chcesz wiedzieć o nadciągającej wojnie?

Trafiła w czuły punkt. Aan chciała swojej fiolki. Chciała odzyskać swój dar.

– Powiedziała, że już skończyły – wtrącił się Elo, dostrzegając jej wahanie. – A ja mam do ciebie więcej pytań. Do zadania na osobności.

– Ooo, co za bezpośredniość – powiedziała Aan. – Poprosisz mnie, żebym spowolniła twoją klątwę? Czy dała ci szybką śmierć?

– Elogaście... – zaczęła Inara.

Na jego twarzy malował się wyraz niepokoju, ale zachował spokój. Jego dłoń spoczywała na owiniętej tkaniną rękojeści miecza.

– Usłyszałaś swoje odpowiedzi, Inaro – powiedział. – Ja przyszedłem po swoje. Idź znajdź swojemu bogu nową świątynię.

Elo nie spojrzał na Kissen, tylko skupił się na Aan, a Kissen zrobiła coś niewyobrażalnego. Postanowiła mu zaufać.

– No dobrze – powiedziała, wstając na nogi. – Chodźcie, Skedi, Inaro.

– Ale, Kissen... – zaczęła dziewczynka.

– Żadnych „ale”. – Obejrzała się na wodę i wsunęła sobie fiolkę pod napierśnik, gdzie znalazła się przy darze Osidisena. Jej dwa dary od bogów. Nie prosiła o nie, ale i tak do niej trafiły.

Gdy wyszli z łaźni, w większości innych kabin panowała już cisza, potajemni pielgrzymi udali się do swoich opłaconych łapówkami miejsc noclegowych w ruinach miasta. Bogowie wycofali się do swoich świątyń albo udali się gdzie indziej, jeśli mogli, podekscytowani skromnymi dawkami uwielbienia.

– Nie możemy go po prostu zostawić – powiedziała Inara.

– Myślisz, że obniżyłby czujność, kiedy tam stałyśmy? – spytała Kissen, gdy weszły do atrium, gdzie czekały buty, ściągając napierśnik i bawełnianą tunikę, aby przebrać się z powrotem w znajome rzeczy. Popatrzyła znacząco na Skediego. Bożek zamrugał. Kissen przełknęła swoją dumę. Wymagało to dłuższego przełykania. – Jak bardzo możecie się od siebie oddalić?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY



Skediceth

SKEDI ZAKRADŁ SIĘ Z POWROTEM DO ŁAŻNI przez świątynie bogów, którzy wciąż mieli kochających wyznawców. Nie podobała mu się para unosząca się znad wody ani wilgoć w jego piórach. Wszystko to było zbyt ciepłe, zbyt gorące. Pragnął rześkiego, chłodnego powietrza. Ale czy jakieś bóstwo będzie tu miało dla niego trochę miejsca? Dość miłości, żeby utrzymała go przy życiu? Trzymał się ziemi, wtykając głowę w drzwi, zaglądając przez szczeliny w kamieniu. Dziesięć kroków, dwadzieścia, dwadzieścia jeden. Mogli się teraz od siebie oddalić bardziej niż przedtem. Czy to dlatego, że Inara mniej go kochała? A może dlatego, że Kissen i Elo bardziej się o niego troszczyli?

Krótkim spojrzeniem obrzuciła go kobieta wciąż kąpiąca się w mrocznej ciszy z bóstwem o kształcie śnieżnobiałego lisa. Jej kolory lśniły srebrem odosobnienia, pragnieniem, żeby jej nie przeszkadzano. Ruszył dalej. Kolejne bóstwo, wyglądające jak ropucha, siedziało na murze niczym kamień. Mniejsze niż Skedi, ale starsze. Umiał to poznać po czymś podobnym do konsystencji, promieniowania bijącego od bóstwa, które żyło już długo, tak jak Aan. Popatrzyło na niego w ciszy.

– Nie ty pierwszy przychodzisz zebrać do gorących źródeł – przemówiło w końcu. – Nie ma tu dosyć, żeby się dzielić.

Skedi się nie spierał. Obietnica świątyni w Blenradenie straciła swój urok. Tym bardziej po tym, jak zawiódł zaufanie, które pokładała w nim Inara. Miał skromne życie, ale dobre, z kimś, kto go kochał. Naraził to wszystko... Po co? Dla czegoś takiego?

Popełzył naprzód, czując, jak rozciąga się więź trzymająca go blisko Inary, ale nie sprawiało to bólu. Kissen go o coś poprosiła, nie grożąc mordem. Być może jeszcze kilka dni temu by odmówił, ale też chciał wiedzieć, o co pyta Elo i czy dostanie lepszą odpowiedź niż on i Inara.

Obietnica, tak powiedziała Aan. Jaka obietnica mogła go związać z dzieckiem? Nawet takim jak Ina. Próbował wrócić pamięcią do czasów przed nią, dotrzeć do wspomnień, które rozplynęły się w nicości. Latał nad statkami. Woda o tym wiedziała. To wydawało się prawdziwe, chociaż nie lubił być mokry. Po co by więc to robił? Dlaczego statki potrzebowały niewinnych kłamstewek? Próbował sobie wyobrazić powietrze, fale, i pochwycił odległą kroplę wspomnień, tytanów ścierających się na niebie, słonego smaku.

Leć, przypomniał sobie polecenie. Leć, mały Skedicecie.

Głos bóstwa. Przyjaciela. Którego go potrzebował.

– On żyje? – Skedi zastrzygł uszami, kurcząc się do rozmiarów ptaszka. Trzydzieści trzy kroki i znalazł się znowu przy świątyni Aan, a więź z Inarą ciągnęła go, powodując jedynie niewielki ból. Nie mógł iść wiele dalej. Elogast mówił, otoczony swoimi wyważonymi kolorami, swoimi głębokimi wodami. Płonęły kobaltem i fioletem. Pytał o Arrena. Aan trzymała dłoń na jego ramieniu, a jej woda wirowała wokół znamienia klątwy.

– Na to wygląda – potwierdziła.

– Więc ciągle jest nadzieja.

– Więź bóstwa z człowiekiem nie tak łatwo unieważnić. Nie bez woli obojga, jak w wypadku dziewczynki i kłamcy. Mogłoby go to po prostu zabić. – Elo pokiwał głową, a jego kolory zmieniły się w lęku, poprzecinane teraz krwistym złotem. Miecz trzymał na kolanach, teraz już z odsłoniętą rękojeścią, i Skedi zobaczył, że na jej czubku widnieje nie słońce czy jelen, tylko głowa lwa. Kolory wokół palców Elo były tak jasne, że trudno się na nie patrzyło. Ta klinga, ta rękojeść znaczyły dla niego bardzo wiele. Skedi oddałby wszystko za taki fant. Wyglądało na to, że Elo przyjął propozycję Aan w kwestii zahamowania klątwy, ale to, co trzymał, miało z pewnością większą wartość.

Skedi podpełzał bliżej.

– On potrzebuje czasu – powiedział Elo. – Leczenia. Po to tu jestem.

– Takiej rany nie da się wyleczyć – oświadczyła Aan. – Jestem zaskoczona, że jakieś bóstwo postanowiło go ratować i było do tego zdolne. Jeśli chcesz, żeby żył, musisz zastąpić ten dar, czykolwiek był, innym, który przetrwa, boskim sercem niepodatnym na zmiany religijne w Middrenie.

Skedi położył skrzydła płasko na swoim grzbiecie, uszy także. Serce? To właśnie stracił król? To nie mogło być możliwe. Jakiż bóg ocaliłby władcę? Elo zamilkł na długą, bolesną chwilę. W końcu spytał:

– Czy ty mogłabyś zrobić mu coś takiego?

– Nie uczynię tego – odparła. – Bez względu na ofiarę. Nie związę się ze śmiertelnikiem.

– Może to by powstrzymało wojnę domową.

– A może nie. – Aan wsparła podbródek na brzegu basenu, podkładając pod niego złożone ręce. Jej czarne włosy falowały za nią, z łydek unosiła się para, tam gdzie wystawały nad powierzchnię niczym miękkie wyspy pod obłokiem. – Bogowie nie zawsze są wrogami. Nawet twoja bogobójczyni o tym wie. Ludzie tworzą bogów, ale też, czy to dobrze, czy źle, bogowie tworzą ludzi. Pokazujemy sobie nawzajem, kim naprawdę jesteśmy. Istotami pełnymi pragnień, rozpaczliwie potrzebującymi miłości, władzy, bezpieczeństwa. – Urwała na chwilę. – Poza tym twój brat, król, żyje z tym sercem od trzech lat. Bóstwo, od którego je otrzymał, ogrzewa mu krew, daje mu własne życie i nie jest to serce z wody. Wiem coś o tym. Woda rozmawia ze sobą, od kropli, przez sadzawkę i rzekę, aż po morze. Nie mogę ci pomóc. Zamiast tego musisz uważnie pomyśleć o sercu, którego potrzebuje.

Elo zmarszczył czoło, Aan zaś przechyliła głowę w bok.

– Mało tego. Tylko bogowie, którzy pozostali, mają dość mocy i dość brawury. Jeśli są po części dzicy, z czasów przed powstaniem waszych miasteczek, tym lepiej. – Skedi skurczył się do rozmiarów małej sztabki srebra. Aan wyciągnęła rękę, by dotknąć twarzy Elo. – Taki lojalny – powiedziała. – Do tego stopnia, żeby złamać własne serce. Zadaj następne pytanie.

– Czego bóg będzie potrzebował w zamian?

– Myślę, że znasz odpowiedź, panie Elogaście – odparła Aan cicho. – Życie za życie. Życie, na którym ci zależy. Bogowie kochają męczenników.

Skedi cofnął się. Ofiara. Mówiła o złożeniu krwawej ofiary. Elo pochylił głowę i zacisnął dłonie na swoim darze.

– A zatem – ciągnęła Aan – musisz zdecydować, Elogaście, rycerzu, piekarzu, człowieku honoru i sprzecznych miłości. Czyje serce jest warte serca twego króla?

Skedi słyszał już dosyć. Czmychnął z powrotem ku drzwiom. Nie mógł pozwolić, żeby Elo go tu przyłapał. W jednej chwili przefrunął przez korytarz w oczekujące go

ręce Inary, tam gdzie siedziała z nogami w wodzie, znowu w swoim ubraniu.

– Musimy iść – powiedział. Rozprostował skrzydła i popatrzył na Kissen, która rozparła się w otwartych drzwiach i wyglądała na zapadający wieczór, także ubrana i gotowa. – Proszę.

Inara wstała i wyprostowała się, czując strach, którego nie umiała pojąć.

Dla Iny, przemówił do umysłu Kissen, naciskając tak mocno, że się przebił. Podskoczyła i wbiła w niego spojrzenie, przez chwilę się wahając. Skedi rozłożył skrzydła i zleciał na ziemię w wejściu do ogrodu, rosnąc przy tym do rozmiarów dużego kota. Ofiara, Elo potrzebował ofiary. A tylko oni byli blisko niego.

Na zewnątrz łaźni rozległ się tętent. Odwrócili się i zobaczyli trzech rycerzy, pędzących konno drogą pod górę z wyciągniętymi już mieczami. Kissen położyła dłoń na swojej broni. Skedi znajdował się na otwartej przestrzeni, w pełni widoczny. Zamarł w bezruchu.

– Ty – przemówił pierwszy rycerz. Był to Benjen i wydawał się nieco sponiewierany. Jego podejrzenia skupiły się na Kissen i Skedim. Inara wahała się, wciąż w środku, poza zasięgiem jego wzroku. Benjen nie widział nikogo z nich w pałacu, ale dziewczynka wciąż nosiła jego miecz. Jeśli ją zobaczą, zabiorą ich wszystkich. – Widziałaś wysokiego, ciemnoskórego mężczyznę?

– A co ci do tego? – odparła Kissen.

Nawet nie mrugnęli na widok Skediego. No pewnie, że nie. Znajdował się w mieście bogów. Benjen skrzywił się.

– To, że oprę się chęci szybkiego wysłania cię do więzienia w Sakre. Chłosta stóp będzie twoim najmniejszym problemem.

Kissen uśmiechnęła się groźnie, a Skedi przysiadł na tylnych łapach.

– Irisjański mężczyzna był tu przez jakiś czas – powiedział. – Skierował się w stronę murów i portu.

Włożył w to kłamstwo całą swoją wolę, kierując ją ku rycerzom. Przyjęli je z łatwością. Zamrugali oczami i przestali zważać na Kissen, po czym zawrócili w dół wzgórza, w stronę morskiego brzegu. Skedi spojrzał na Inarę, która wydała z siebie westchnienie ulgi. Jego świątynia, jego przyjaciółka.

Musiał ją uratować, tak jak i Kissen. Widział, że ona i Elo zbliżają się do siebie. A jeśli Elo to ją postanowi poświęcić? Skedi uświadomił sobie, że nie chce już myśleć o świecie bez Kissen, która by go chroniła.

– Veigo?

Za późno. Elo wyszedł z korytarza do atrium. Wciąż miał swój miecz. Dziwne, że Aan pozwoliła mu go zatrzymać, lecz bożek zauważył, że głowa lwa z rękojeści zniknęła. To nie sam miecz był źródłem przywiązania, tylko symbol młodego lwa.

Stary królewski znak. Skedi zjeżył się, ale Elo nie trzymał ręki na broni. Nie przyszedł walczyć. Wokół niego unosiły się kłęby uludy i smutku. Westchnął i spojrzał w dół, ku morzu.

– Dziś już za późno na cokolwiek więcej – powiedział.

– Myślałam, że się spieszysz – zauważyła podejrzliwie Kissen.

Elo kontemplował widnokrąg, a jego kolory nabrały nietypowego, pełnego żalu odcienia szarości. Koszulę miał rozpiętą i Skedi dostrzegł napis nieco podobny do tego na piersi Kissen, małe kropki, które przeplatały się z liniami wykreślonymi czarnym tuszem, łącząc je w całość. Wodne pismo, od Aan, które miało stłumić moc klątwy. Czy dawało to Elo więcej czasu, czy też zmniejszało liczbę demonów, które po niego przyjdą? Kissen też to zobaczyła. Skedi wciąż nie widział jej kolorów, ale zaczynał rozumieć mowę jej twarzy. Wyraz jej oblicza przeszedł od irytacji do ulgi. Ludzie byli skomplikowanymi istotami.

– Co mogłem znaleźć w ciemnym mieście wśród zjaw i ruin? – odezwał się Elo ze wzruszeniem ramion. – Być może wolę spędzić ostatni wieczór z przyjaciółmi.

Czyli nie będzie teraz z nimi walczył. Dlaczego? Żeby poczekać, aż zasną? Wcześniejszy pośpiech zniknął z jego ruchów, ale wciąż miał w sobie determinację, to się nie zmieniło. Uratuje króla. Skedi nie chciał spać w pobliżu człowieka szukającego ofiary. Ale co mógł powiedzieć, nie wabiąc rycerzy z powrotem? Nie budząc lęku Iny?

– Jasne – powiedziała Kissen, zerkając z ukosa na Skediego. – Znam miejsce, które być może jeszcze stoi. Przynajmniej stało w ostatnich dniach wojny. Dowiedziałeś się, czego chciałeś?

Elo zastanowił się przez chwilę.

– Tak – potwierdził.

Co *słyszałeś?*, spytała Inara. Skedi chciał ją okłamać.

Nic dobrego, odpowiedział.

Kissen poprowadziła ich naprzód do pięknego budynku w odległości sześciu ulic od sierocińca Maimee. Miał nawet wysoką dzwonnice. Drzwi wyrwano z zawiasów, być może podczas grabieży, ale wewnątrz zachowały wiele ze swojej wspaniałości. Weszli po schodach i minęli kilka pomieszczeń pełnych długich stołów, pulpitów i ław, aż znaleźli jedno, które wyglądało obiecująco.

– Widziałam tę szkołę ze swojego domu u Maimee – powiedziała Kissen. – Zawsze wydawała się taka lśniąca i ciepła. Zatrzymałam się tutaj po walce z Mertagiem. – Spojrzała na Elo, który nie zareagował. Każda wzmianka o tej bitwie zwykle wzbudzała w jego kolorach falę gniewu, strachu i poczucia winy, falę wywołującą drżenie rąk. Ale tym razem nic.

– Skedi, sprawdź, czy nikogo nie ma na zewnątrz – polecił Elo. – Rozpalmy ogień.

Skedi z ociąganiem podfrunął do okna. Stamtąd rzeczywiście dostrzegął w dole dom Maimee dzięki swojemu dobremu nocnemu widzeniu. Dalej widział zaś morze, rozległe, szare i blednące pod ciemnym niebem.

Wzbił się wyżej, zastanawiając się, czy jeszcze jacyś rycerze będą z dudnieniem kopyt szukać Elo i czy wypatrzy w mieście jakieś miejsca, które wyglądałyby na tyle obiecująco, że mógłby się w nich urządzić. Odkrył, że przez odstęp między budynkami widać port. Wysokie murowane falochrony zostały zburzone, wieże, które kiedyś prowadziły statki, były już tylko stertami kamieni. Między nimi Skedi dostrzegął szczątki kilku statków, tak potrzaskane i przegniłe, że zwały się w jedno cementarysko.

Biedni ludzie na ich pokładach musieli być przerażeni, kiedy dzicy bogowie rzucili się na nich za to, że ośmielili się opuścić miasto. Wciąż odczuwał echa ich strachu. Niszczycielską moc zdolną zabić bóstwo i zabrać tysiąc dusz.

Później bóg bezpiecznej przystani powstał, aby ich bronić. Jeden wielki nowy bóg przeciwko nagromadzonej sile dzikiego świata.

Pamięć kołysała wąsikami Skediego niczym wiatr ze snu.

Sól i sztorm. Gniew i wycie wichru, bogowie i koszmary, i krzyk tysiąca ludzi. Na brzegu armia Middrenu walcząca tak, jak myszy mogłyby walczyć z wielką morską falą. W tym wszystkim kłamstwa, drobne kłamstewka, mówiące im wszystkim, że będą bezpieczni, że się wydostaną, że wszystko będzie dobrze. Kłamstwa, które na zawsze pozostały kłamstwami.

– Skediceth.

Skedi podskoczył i dotarło do niego, że to nie Inara go wołała, tylko Kissen. Wciąż latał przy oknie, a ona gestem wezwała go na dół, więc sfrunął na stół, podczas gdy ona zasuwiała zasłony.

Skedi znalazł się sam z bogobójczynią i znowu na rozstaju. Jeszcze kilka dni wcześniej był gotów zdradzić Inarę, pozwolić, żeby Kissen poniosła śmierć, dzięki czemu mógłby przyłączyć się do rycerza. Teraz Inara przesuwiała meble z przeklętym człowiekiem, który chciał złożyć ofiarę. Serce. Kolory Elo wiele się nie zmieniły, wciąż były pełne smutku, zagrożenia, ale Skediego niepokoiło, że wydaje się bardziej beztroski niż kiedykolwiek wcześniej i śmieje się z frustracji Inary, zmagającej się z ciężkim krzesłem.

– Nigdy nie skrzywdziłabyś Inary, prawda? – zwrócił się cicho bożek do Kissen. Był tego pewien. – Chcesz, żeby była bezpieczna, chcesz ją chronić tak jak inne dzieci, które uratowałaś od Maimee. – Uniósł poroże, popatrzył na nią. – Ja też. Wierzysz mi? Zamyśliła się.

– Wierzę, że o nią dbasz – odrzekła. – Myślę, że częściowo z troski o własny interes.

– A ty? – spytał. – Co tobie to wszystko przynosi?

Kissen wyciągnęła do niego rękę. Skedi popatrzył na jej palce – twarde, szorstkie, zrogowaciałe.

– Nie potrafiłabym zostawić dziecka, żeby samo stawiało czoło światu – powiedziała. – Więc powiedz mi, co słyszałeś, a ja pomyślę, czy ci wierzyć.

Skedi wszedł jej na dłoń, a ona podniosła go sobie na ramię, gdzie się rozsiadł. Widział skórzany sznurek, na którym wisiała upragniona przez Aan fiolka. Gdyby zechciał, mógłby zapewne ją porwać, uciec, wymienić nieznaną zawartość na miejsce w jej świątyni. Może zdołałby rozgryźć gardło bogobójczynie i uwolnić się od niej, do reszty złamać Inarze serce i zniknąć w ostatnim straszliwym akcie. Nie, to nie było dla niego. On tak nie postępował. Niewinne kłamstewka miały za zadanie łagodzić, pomagać, zmieniać i pobłażać. Veiga wyciągnęła do niego rękę i teraz przyszła kolej na niego.

Skedi obrzucił Elo spojrzeniem. Rycerz usiadł z Inarą i uczył ją krzesać ogień.

– Potrzebuje ofiary – powiedział. – Serce za serce, żeby uratować swojego króla. Tak powiedziała mu Aan.

Kolory Kissen wyrwały jej się spod kontroli, białe od gniewu. Wierzyła mu.

– Ina, odejdź od niego – poleciła. Inara zamrużyła powiekami. – Już.

Inara wstała, ale nie odeszła daleko.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

Elo też wbijał w nią spojrzenie, później zauważył Skediego.

– Wysłałaś bożka, żeby mnie szpiegował? – spytał.

– Nie jestem ci winna żadnej lojalności – odparła Kissen.

– Nie masz się z mojej strony czego obawiać – stwierdził.

– Desperacja to zawsze powód do obaw.

Elo wstał na nogi, a Skedi urósł na ramieniu Kissen.

– Słyszałem cię – oświadczył, wysoko wznosząc skrzydła. – Dałeś jej końcówkę rękojeści swojego miecza. Powiedziała, że potrzebujesz serca boga, żeby zastąpić serce Arrena.

– Nic nie wiesz na ten temat.

– Skedi – odezwała się Inara. – Nie sądzę, żeby Elo zrobił nam krzywdę.

– Skąd taka pewność? – spytała Kissen.

Inara ugryzła się w język, napotykając spojrzenie Skediego. Kolory. Nie mogła powiedzieć, co widziała, nawet Kissen, nawet teraz. To była prawda, kolory Elo nie wykazywały żadnej przemocy. Ale co, jeśli je ukrywał, tak jak Kissen?

– Jeszcze nie zasłużyłem na twoje zaufanie, bogobójczynie? – powiedział Elo.

– Zaufanie? – Kissen się roześmiała i gestem wskazała siebie. – Myślisz, że ktoś taki jak ja wiódł życie pełne zaufania? Jeśli chcesz rozmawiać o zaufaniu, może mi

powiesz, co się naprawdę stało podczas tej ostatniej bitwy przeciwko Metaghowi? Dlaczego twój król łamie teraz własne prawa i wysyła swojego tak zwanego przyjaciela z misją do bogów, żeby złożyć ofiarę? W zamian za co? Więcej władzy?

Elo zacisnął wargi, zraniony.

– Veigo, to jest nasz król. Nie powinniśmy w niego wątpić.

– To jest twój król. Mówiłam ci, że urodziłam się w Talicji. Wiem, co ludzie robią dla bogów, królów, władzy, dla tego wszystkiego. To nigdy nie jest nic dobrego.

– To nie to samo.

– Pokładają wszystkie nadzieje w zbawcy. Wieszają jego portrety na wszystkich swoich ścianach.

– Nie waż się... – Elo zaczął wpadać w gniew.

– Gromadzą wyznawców, takich jak twoi rycerze, żeby siłą ustawili innych w szeregu, a potem się dziwią, że ludziom się to nie podoba. Nic dziwnego, że znowu powiódł Middren na skraj wojny.

– Tutaj do tego nie dojdzie – oświadczył Elo. – Ja do tego nie dopuszczę.

– Serce boga, rycerzu? Tego potrzebuje twój król? – Kissen postąpiła naprzód ze Skedim wczepionym w jej ramię. – Nie słyszysz, jak to brzmi?

Elo stanął jej naprzeciw.

– Nie – odparł i gwałtownie pokręcił głową, wyciągając rękę stanowczym gestem. – Arren to dobry człowiek. Musicie mi uwierzyć.

– Niby dlaczego? – spytała Kissen. – A co, jeśli się mylisz?

Elo uniósł podbródek. Był wściekły, ale oddychał głęboko i spokojnie, kiedy wbił spojrzenie w Kissen.

– Znam Arrena lepiej, niż ty kiedykolwiek mogłabyś go poznać.

– Ludzie się zmieniają, rycerzu.

– Nie on. Ktokolwiek cię w przeszłości skrzywdził...

– Mnie złożono w ofierze.

Elo zatrzymał się, zamarł, a dłoń Inary powędrowała do jej ust. Kolory Kissen wylewały się spod bariery, burzowe szarości, błękity i żółć płomieni. Nie ruszyła się z miejsca.

– Moi pobratymcy spalili mnie i moją rodzinę, nas wszystkich, bo uważali, że przyniesie im to korzyść. Ludzie, z którymi dorastaliśmy, z którymi jedliśmy i głodowaliśmy.

Skedi uznał, że jej ramię to już nie jest dobre miejsce. Poderwał się ku Inarze, która go złapała. Czy także widziała cierpienie Kissen? Było tak ogromne, tak druzgocące. Jej gniew pochłonął całe pomieszczenie, przytłoczył ich wszystkich. Czy właśnie to

trzymała głęboko w ukryciu? Przez cały czas? Zagrzebane w sercu tylko po to, żeby wyrosło jako nienawiść wobec bogów?

– Odurzyli nas, związali, podpalili. – Roztarła nadgarstki, po czym położyła sobie dłoń na piersi. – Mój ojciec mnie uratował. Odciął mi nogę, żeby mnie uwolnić, poświęcił własne życie, żeby Osidisen mnie ocalił. Żebym zachowała życie. – Pociągnęła napierśnik w dół, aby odsłonić dar pod swoim tatuażem. – To ostatnia rzecz, jaką dostałam od ojca, ta obietnica. Ostatnia, jaką mi dał, zanim Osidisen wyciągnął mnie krwawiącą na brzeg i zostawił na śmierć. Tyle miłości, tyle cierpienia, a byliśmy niczym. Więc wybacz, jeśli nie ufam rycerzowi, którego znam ledwie kilka dni i królowi, który jedną ręką tłucze pobożnych, a drugą żebrze o dary od bogów.

– Jak morski bóg mógł nie wywiązać się z obietnicy? – spytał osłupiały Skedi. Obietnice bogów stanowiły materię, która ich tworzyła, siłę, która łączyła ich z ludźmi, z życiem. Obietnica była niczym jego więź z Iną, która co rusz szarpała go za serce. Przełknął ślinę. *Leć, mały Skedicecie.*

– Bo kazałam mu spierdalać – odparła Kissen. – Bo nie mogłam pozwolić, żeby odebrał mi ostatnią rzecz, jaka została mi po ojcu, po rodzinie. Mój gniew. Nie odpuszczę.

Skedi zadrżał. Teraz, gdy widział jej kolory, wcale nie chciał już ich widzieć. Gdyby spróbował do nich sięgnąć, złagodzić je swoimi kłamstewkami, utonąłby. Elo także, obaj po dwu stronach bitwy, której żaden z nich nie wybrał. Było tego za wiele, tych wszystkich emocji. Skulił się.

– Daję ci słowo, veigo – powiedział rycerz ze ściśniętym gardłem – że nigdy bym cię nie skrzywdził.

– Już to słyszałam.

– Nie ode mnie. – Podeszedł do niej i wziął ją za rękę. – To, co ci zrobili, było złe – stwierdził. – Nigdy nie powinno się to zdarzyć. I nigdy nie powinno się powtórzyć.

Kissen zachichotała i cofnęła dłoń.

– Nie zwódź mnie kłamstewkami – powiedziała. – Serce za serce. Czyje serce jest warte twojego króla? Bo jeśli chcesz któregoś z naszych, nie tak łatwo o nie.

Elo milczał. Ognisko zapłonęło i trzaskały płomienie. Skedi niemal poczuł, jak załamał się oddech Kissen, gdy przygarbiła ramiona.

– Absolutnie, kurwa, nie – powiedziała.

– Nie pamiętam, żebyś pytał cię o zdanie.

– Nie pozwolę ci.

Elo zaśmiał się dziwnym, smutnym śmiechem.

– Bóg nie da serca, jeśli jakiegoś nie zabierze – stwierdził. – Co mam zrobić? Pozwolić, żeby Middren pogrążył się w wojnie domowej? Dać mu umrzeć?

– Tak, właśnie tak – potwierdziła Kissen. – Dać mu umrzeć. Na pewno on bez ustanku daje innym umierać za siebie. Niech sam spróbuje.

– Spróbował – warknął Elo. – Umarł za mnie.

Kissen przełknęła ślinę. Ona i Elo mierzyli się wzrokiem.

– Bitwa z bogiem wojny. Z Mertaghiem – powiedziała Kissen z większym spokojem.
– Mówiłeś, że odniosłeś ranę.

– To była moja wina – stwierdził ochrypłym głosem, z wysiłkiem zmagając się z emocjami. Ręce mu się trzęsły. Jego kolory połyskiwały złotem. – On umierał. I umarł... a ja mu pozwoliłem. Ostatni z rodu. Jeszcze jedna ostatnia walka, tak mu powiedziałem. Tylko ta jedna, bo mnie potrzebował, a ja dałem mu umrzeć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY



Elogast

POWIEDZIAŁ TO. BYŁ ARRENOWI WINIEN... wszystko. Ale Kissen zareagowała tylko jeszcze większą złością.

– Dobra – powiedziała. – Inaro, zostań tutaj. Ty. – Wskazała Elo. – Idziesz ze mną.

– Zaraz – odezwała się Inara, ale umilkła, widząc minę Kissen. Veiga pokazała jej coś w mowie znaków. Elo nie zrozumiał, ale podejrzewał, że przekaz był brutalny. Poczuł, że silna ręka chwyta go za koszulę i wyciąga z sali.

– Kissen... – spróbował.

– Nie masz prawa zwracać się do mnie po imieniu – powiedziała. Była wściekła, a jej włosy zdawały się żyć własnym niepokornym życiem, wysuwały się z warkoczy.

– Sam za siebie decyduję.

– Nikt, kto cię kocha, nie poprosiłby cię o odrzucenie swojego życia.

Zatargała go do następnego pomieszczenia, później jeszcze następnego, żeby Inara była daleko i ich nie słyszała.

– Nie poprosił mnie.

Nos Kissen poczerwieniał i przycisnęła Elo do ściany, zbliżając twarz do jego twarzy, a oczy błyszczały jej w mroku z wściekłości.

– A ja ci każę tego nie robić.

– Dlaczego?

– Oj, pieprzyć to, dlaczego, nie zawsze potrzebny jest powód. – Puściła go i odwróciła się ze wstrętem. Doszli do jakiegoś gabinetu, gdzie półki były splądrowane i po podłodze walały się różne przedmioty, ale biurko ciągle stało. Słabnący blask księżyca rozświetlał okna.

– Zawdzięczam mu życie, veigo – powiedział. Nie chciała, żeby zwracał się do niej po imieniu. W porządku.

– Skoro umarł, jakim cudem dalej rządzi?

Elo nie mógł jej powiedzieć, ale widział w oczach Kissen, że coś ułożyło jej się w głowie.

– Chyba żartujesz – powiedziała. – Pogromca bogów zawarł pakt z jednym z nich, tak?

– Nie – odparł szybko. – Nie. Ta bogini o nic nie poprosiła. Sama zaproponowała, że go ocali.

– Która?

Jaki sens miały teraz sekrety?

– Hestra, bogini ognisk.

Kissen była zdumiona.

– Póldzika istota o nic nie poprosiła? – Pokręciła głową. – To znaczy, że jeszcze nie odebrała swojego wynagrodzenia. Sam powiedziałaś, że bóstwo nie odda serca, nie zabierając innego.

– Odbiera wynagrodzenie teraz – odrzekł Elo. – Zabija go.

Nie wstrząsnęło to nią tak, jak się spodziewał.

– I co to znaczy, że twoja kolej, żeby umrzeć?

– Jeśli on umrze, nic nie powstrzyma tych buntowników, którzy zabili matkę Inary.

– Ty pieprzony męczenniku. – Zaśmiała się z drwiną. – I kiedy już się poświęcisz i odejdziesz, a twój przyjaciel będzie żył z sercem, za które ty oddałeś życie, to powstrzyma bogów i ludzi przed próbami przejęcia władzy nad sobą nawzajem?

To było brutalne.

– Veigo... – spróbował.

– Myślisz, że powinien z tym żyć? – Chwyciła go za oba ramiona, próbując potrząsnąć nim tak, by pojął jej punkt widzenia. – Z ciężarem straty, który mu narzucisz?

Elo pokręcił głową.

– Tu nie chodzi o mnie – oświadczył z przekonaniem. Obietnica jej ojca. – Twój ojciec postąpił zgodnie ze swoim wyborem. Ja mam własny wybór.

– Nie prosiłam go o to! – krzyknęła Kissen. – Mógł uciec. Mógł żyć. Skoczyć do morza i wrócić do wioski, spuścić im wszystkim łomot. Ale tego nie zrobił. Zamiast

tego dał mi głupie, potraskane życie, którego nie chciałam.

– To nie to samo!

– Nie? Dlaczego ty masz prawo się poddać? Zdecydować, ile jest warte twoje życie?

– Wcale się nie poddaję! – warknął Elo. – Raz to zrobiłem. Porzuciłem wojnę, swoich ludzi, swojego króla, dlatego że nie mogłem go wspierać. I co zyskałem? Wstyd i klęskę. Teraz mam szansę spłacić dług wobec niego, oddać mu życie, które mi dał.

– Nie pozwolę ci.

– Więc co twoim zdaniem miałbym zrobić?

– Oprócz powiedzenia Inarze, że słuszne jest oddanie życia temu, kto pierwszy o nie poprosił?

– Kissen... proszę.

– Kochałeś go? Pieprzyliście się? O to chodzi? Bo wtedy miałyby to znacznie więcej sensu.

– Nie – odparł. – Nie wszystko kręci się wokół seksu.

– No to mnie zaskoczyłeś – powiedziała.

– O to chodzi? Chcesz się pieprzyć, Kissen? Bo wiesz, że byłbym chętny.

– Ty... – Elo był nieco rozbawiony, że brakuje jej słów. – Jeśli próbujesz mnie wziąć na męczeństwo, wyrwę ci obie nogi. – Słowa wypowiedane przez zaciśnięte zęby były ledwie zrozumiałe.

– Nie ośmieliłbym się – powiedział Elo. Przycisnął wnętrza dłoni do oczu, tej techniki odzyskiwania spokoju nauczyła go jedna z matek. – Veigo. Żyję za sprawą Arrena – oświadczył. Kissen wypuściła go i nadąsana kopnęła kawałek gruzu, po czym przysiadła przy nim, odrętwiała. – A co takiego robiłem z tym życiem przez ostatnie lata? Mam tylko wspomnienia z wojny i niekończące się żale. To nie jest życie godne rycerza.

Nigdy wcześniej nie powiedział nic podobnego. Nigdy nie ubrał tych myśli w słowa.

– Elogaście – powiedziała cicho Kissen, jakby tylko wzdychała, i Elo poczuł przemianę w jej sercu. Odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. Wyglądała przez okno i w blasku jaśniała jej skóra, jej biała blizna, piegi i pełna wyrazu twarz. Wcześniej nie nazywała go Elogastem, a jedynie „piekarzem”, jedynie „rycerzem”. Teraz Elogast. – Jesteś wart więcej, niż myślisz. Wciąż żyjesz. Zrób coś z tym. Z życiem, nie śmiercią.

Elo w milczeniu pokręcił głową. Dlaczego tak jej zależało? Chroniła Inarę, trwała przy nim pomimo klątwy, pomimo jego błędów. Jak, przy całym tym gniewie, miała taką zdolność do miłości? Elo poważił się odgarnąć jej jeden z loków z twarzy, gdzie przylepił się do zebranego po drodze brudu.

– Też się cieszę, że żyjesz, Kissen – powiedział. Pochwyciła jego dłoń i trzymała ją, na chwilę zamykając oczy, po czym odetchnęła i na niego popatrzyła.

– Znajdziemy inny sposób – powiedziała. – Obiecuję. Ale dobry przyjaciel nigdy by ci nie wybaczył, że dla niego umierasz, tak jak nie umiesz wybaczyć sam sobie.

– Jakie to ma znaczenie, co ze mną będzie? – spytał Elo.

– Takie, że mogliśmy być tacy sami, ty i ja – odrzekła po chwili. – To, co nas spotkało, nie określa nas, liczy się to, co będzie dalej.

Nie byli tacy sami. Kissen była imponująca, zaciekle i nierozsądna. Pozwalała sobie popełniać błędy i się ich nie wstydziła. I w przeciwieństwie do Arrena wyciągnęła do niego rękę, spotkała się z nim w miejscu, w którym był.

Elo pochylił się z zamiarem pocałowania jej w policzek, ale odwróciła się i natrafił na jej usta. Odetchnęła gwałtownie, zaskoczona, cofnęła się, a później omiotła go uważnym spojrzeniem. Nastroje malujące się na jej twarzy zmieniły się, zabarwiły się ostrożnością. Elo nawet nie drgnął, niczego nie żałując, a później zobaczył, że kąciki jej oczu marszczą się w uśmiechu. Podeszła do niego, przycisnęła usta do jego ust, a on to przyjął, ciepło jej warg, popękanych i szorstkich. Wahał się przez chwilę, rozdarty między przyzwoitością a pożądaniem, po czym wysunął rękę, by przyciągnąć ją bliżej. Pocałował ją mocniej, a jej usta rozchyliły się, wpuszczając jego język. Odwróciła się i znowu przycisnęła go do ściany, tym razem pierś w pierś, a jej kolano z metalu i skóry zastukało o drewniane panele.

Elo zatrzęsł się od stóp do głów i zeszytniał. Czy powinien ją odepchnąć? Na bogów, tego nie chciał. Przesunął dłońmi po jej plecach, po skórzanym kirysie aż do jego krawędzi, a później wcisnął palce pod spód. Jej usta smakowały liśćmi szaławii, które wcześniej żuła, zerwanymi bezmyślnie, kiedy odchodzili od łaźni.

Ruszył w stronę dużego drewnianego biurka, które dominowało w wystroju pomieszczenia, zbyt ciężkie, żeby je ukraść, a ona się uśmiechnęła, odpinając napierśnik i też zmierzając w tamtą stronę. Zaczął jej pomagać, pasek po pasku, aż mógł wsunąć pod spód dłoń i ująć jej biust. Oddech przyspieszył jej z rozkoszy, sama zaczęła przesuwać dłonie po jego plecach i karku i przyciągnęła go do siebie, żeby całował ją mocniej. Przez długą chwilę był jej posłuszny, lecz później przycisnął usta do jej ucha, a dłonią pogładził szyję, później obojczyk, a w końcu tatuaż, tam gdzie wystawał ponad krawędź jej pancerza.

Trzeba było to wszystko zdjąć. Kissen pomogła mu najpierw ze swoim płaszczem, a później z kirysem, który ściągnęli przez głowę i rzucili na podłogę. On miał tylko kamizelkę i rozpięła ją z łatwością, po czym zdjęła mu koszulę i przyciągnęła go do siebie, aż poczuł jej uda. Pocałowała go z niewyobrażalną wręcz zaciętością. Rozpięła guziki własnej koszuli, gdy całował jej piersi i przesuwał dłoń w górę jej spodni, tam gdzie miała przypięty pasem gorset. Był oszołomiony z pożądania. Minęło już zbyt wiele czasu, odkąd to czuł.

Rozpiął jej sprzączki, w czym nieco przeszkadzała mu ranna ręka, po czym wyciągnął nogawki jej spodni z butów i była już prawie naga. Pogładził dłońmi jej blizny i udo pod paskami, które trzymały jej nogę. Była piękna, lśniąca w świetle z okna.

– Z nią czy bez? – spytała o swoją nogę.

– Jak ci bardziej pasuje – odrzekł, całując jej nogi coraz wyżej, aż jego usta znalazły gorącą, moką szczelinę między nimi. Westchnęła zaskoczona i zaplotła nogi na jego plecach, jedną ciepłą, drugą zimną, na poły się śmiejąc, na poły jęcząc z rozkoszy, gdy zdejmowała swoją protezę. Przygryzła wargę, żeby być ciszej.

Paski się rozłączyły, noga była odczepiona, i Kissen podniosła go ku sobie, pomagając mu teraz z jego pasem, po czym przywarła ustami do jego ust.

– Teraz moja kolej, rycerzu – szepnęła. – Przypomnę ci, jakie może być życie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY



Kissen

KIEDY KISSEN OBUDZIŁA SIĘ RANO PRZY SZCZĄTKACH OGNISKA, jej pierwszym uczuciem była satysfakcja. Drugą była lekka panika, gdy próbowała znaleźć proszek, którego używała, żeby zniwelować szansę na niechciane efekty uboczne nocnych zabaw po dziewięciu miesiącach, ponieważ żadne z nich nie miało prezerwatywy. To jeden z powodów, dla których nieczęsto uprawiała seks z mężczyznami. Mimo wszystko, na bogów, jak jej było dobrze. Piekarze-rycerze – kto by się spodziewał?

Rozejrzała się za Elo, pozwalając sobie na lekki uśmiech, ale jego miejsce było puste.

Upadła na duchu. Obróciła się z nadzieją, że się myli.

A to drań. Objął ostatnią wartę, jakoby po Inarze, która była zirytowana, ale nie podejrzliwa, kiedy wrócili, potargani i zaczerwienieni. Dziewczynka wciąż smacznie spała ze Skedim w ramionach. Kissen jęknęła, a wtedy bożek otworzył oczy i na nią spojrzał.

– Nie śpisz? – spytała, wkładając płaszcz.

– Jestem bogiem, nie potrzebuję snu.

– To dlaczego nie pełniłeś warty?

– Bo mi nie ufałaś – odparł zuchwale. – Dokąd idziesz?

– Powstrzymać tego kłamliwego łobuza przed daniem cukierków chciwemu pieprzonemu królowi i chciwemu pieprzonemu bóstwu. – Urwała. – Widziałeś, jak odchodził?

Skedi zatrzepotał skrzydłami i wstał. Inara poruszyła się, potarła oczy, a później głowę. Spojrzała na Kissen, stojącą w płaszczu z groźnym spojrzeniem i na chwilę strach odmalował się na jej twarzy.

– Co się stało? – spytała.

– Elo odszedł – odparł Skedi. Inara usiadła prosto. – Tak, widziałem, jak wychodził, i dał mi monetę za kłamstwo.

– Co takiego? – zdziwiła się Kissen.

– Tylko za zamaskowanie jego kroków, żeby wyszedł po cichu – odparł Skedi obrażonym tonem. – Jestem bogiem bez świątyni, jak mogłem nie przyjąć daru? Myślałem, że wyjaśniliście sobie nieporozumienia.

Inara jęknęła.

– Skedi...

– Oż ty – warknęła Kissen. – Inaro, dasz tu sobie radę?

Inara wstała.

– Idę z tobą – oświadczyła, rozglądając się za swoim łukiem i mieczem. Kissen poczuła, że uśmiech wypełza jej na usta.

– Nie – powiedziała, przypięwszy sobie najpierw kordelas. W jej prawej nodze pulsował ból, gdy z powrotem zakładała protezę. Ostatniej nocy za bardzo się odprężyła. Szlag. – Poszedł do świątyni dzikich bogów – stwierdziła. – Tylko tam mógł iść. A ciebie nigdy bym tam nie zabrała, nawet z nożem na gardle.

– Zabrałaś mnie do Aan.

– W porównaniu z nimi Aan to lekki deszczyk. Zostaniesz tutaj.

– Mogę pomóc!

– Nie – powiedziała stanowczo Kissen z nadzieją, że Inara jej naprawdę posłucha. Inara zerkała to nią, to na Skediego. Doszło między nimi do jakiegoś porozumienia i dziewczynka skrzywiła twarz z niezadowoleniem, ale ustąpiła. – Jesteś silna, Ina – zwróciła się do niej Kissen. Złapała ją za rękę i tak jak poprzedniego wieczoru Inara złapała ją. – Wiesz, co ty i Skedi musicie zrobić, teraz to twój wybór. Jeśli nie wrócę, weź wszystko, co zdołasz unieść, i znajdź Nogiego. Dobrze polujesz, a on zabierze cię z powrotem do Lesscji.

Inara wydawała się spanikowana.

– Wrócisz, prawda? Obiecałaś.

Kissen nie puściła jej dłoni.

– Nie będę cię okłamywać, Ina. Rycerz poszedł w niebezpieczne miejsce. Ale jeśli poprosisz, żebym została, zostanę. – Mówiła poważnie. Wojna czy nie, rycerz czy nie, sprzeczki bogów i królów mogły się pieprzyć. Król z sercem dzikiego boga był najgorszym, co mogła sobie wyobrazić po Blenradenie, kto wie, co by z nim zrobił. Ale ratowanie świata nie było jej obowiązkiem. Jeśli Inara poprosi, zostanie z nią.

– Nie – powiedziała Inara. Ścisnęła jej palce. – Proszę, zatrzymaj go. Pomóż mu.

Kissen skinęła głową. Przypięła paskami nogę do kolana i usunęła jedną z metalowych płytek na łydce dla większej lekkości. Yatho zawsze uwzględniała możliwość zmiany balansu do walki, a Kissen wiedziała, że walka ją czeka, i to nie byle jaka. Z Elo, z rycerzami albo z bóstwem, które zamierzał przyzwać, jakiegokolwiek ono było. Może powinna po prostu pozwolić mu ulec chęci poświęcenia się i zginąć, ale nie mogła. Był dobrym człowiekiem, nawet jeśli głupcem.

Inara pomogła jej przypasać miecz i znaleźć noże, a następnie włożyć płaszcz z narzędziami do polowania na demony. Zwykle używała przynęt, lecz tym razem wymacała palcami broń. Bryddytowe bomby zrobione z tykw z czarnym ogniem, starannie zakorkowane i zalakowane. Także sole ochronne i łańcuchy.

– Bądź rozsądna, *liln* – poleciła jej Kissen. – Jesteś za dobra na to, żeby na próżno zginąć. Jestem o tym przekonana. – Zawahała się. – I nie mów Telle, że cię zostawiłam. – Inara zaśmiała się, pociągnęła nosem i ku zaskoczeniu Kissen objęła ją w talii, ściskając najmocniej, jak potrafiła. Kissen odwzajemniła uścisk, trzymając ją tak, jak sama pragnęła być trzymana, gdy świat próbował ją przewrócić.

– Opiekuj się nią, Skedicecie – powiedziała szorstko.

Bóg napotkał jej spojrzenie i stanął na tylnych łapach.

– Wróć, *veigo* – odrzekł.

Kissen szybko i zwinnie poruszała się ulicami ku krawężnikom klifów i czemuś, co nazywano Długim Chodnikiem, a co było nadmorską drogą, która prowadziła wzdłuż wszystkich nadbrzeżnych budynków aż na wzgórze. Teraz na ciągnącym się wzdłuż niej murze leżały setki kamieni, a na każdym widniało imię jednego z rycerzy poległych podczas bitwy o port. Omiatał je teraz południowy wiatr, przynosząc wreszcie gzymsom ciepłą pieśń wiosny. Jak on mógł? Jak śmiał? Pozwoliła mu się do siebie zbliżyć, pozwoliła mu się poznać. Nie zamierzała mu na to pozwolić, bez względu na to, za jak cholernie szlachetne uważał swoje postępowanie.

Jeśli sama nie wpadnie w tarapaty.

Skręciła za róg i omal nie potknęła się o dwóch rycerzy, którzy patrolowali chodnik i przypuszczalnie szukali Elo. Odwróciła się na pięcie i zmieniła kierunek, oddalając się od brzegu i zagłębiając w labirynt uliczek. Ale łatwiej jej było zniknąć, gdy była

młoda i drobna, a w mieście były tysiące ludzi. Teraz była jedną samotną wędrowniczką na nagich kamieniach.

– Hej! – zawołali. – Stój! Zatrzymaj się!

Nie zatrzymała się. Gdyby im powiedziała, że jest veigą, może zostawiliby ją w spokoju, a może zamknęli za to, że zapuściła się do miasta, gdzie zarabiali na pielgrzymach. Nie miała na to czasu ani ochoty.

Jeden ją złapał, jego dłoń opadła na jej ramię. Wykorzystała to, obracając się w tył na podeszwie buta i już żałując dodatkowej masy, z której zrezygnowała, po czym pochyliła się pod nim, żeby przetrząść go przez plecy. Upadł płasko na grzbiet i zabrakło mu tchu. Drugi mógł się z nią siłować, lecz zamiast tego postanowił dobyć miecza. Głupi. Kissen złapała go za nadgarstek i wepchnęła ostrze z powrotem do pochwy, drugą dłonią zadając mu podstępny cios w gardło. Rycerz zacharczał i zatoczył się w tył, a Kissen dokończyła dzieła uderzeniem kantem dłoni w ucho. Ogłuszony rycerz upadł.

Ten, który wcześniej stracił dech, próbował dźwignąć się na kolana, zapiąć. Kissen kopnęła go w plecy metalowym obcasem i znowu runął płasko, twarzą ku ziemi.

Pora uciekać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY



Elogast

MISJA ELO NIE ULEGŁA ZMIANIE. Zamierzał uratować Arrena, oddać mu życie, które poświęcił. Oddać mu przyszłość i pozwolić, by jego własne smutne życie zgasło. Nie powinien uprawiać seksu z Kissen, nie powinien nawet na chwilę pozwolić sobie na myśl, że istnieje alternatywa, że Arren mógłby umrzeć, a on się na to zgodzić. Istniała dla niego tylko jedna droga, tylko jedna możliwość. Gdyby został z Kissen, Inarą i Skedim, demony dalej by przychodziły, a oni dalej by walczyli i zginęli. Dla niego.

Nie mógł do tego dopuścić. Zrozumieją. Postępował słusznie.

Znanymi sobie drogami poszedł do miasta, przecinając je z powrotem w kierunku pałacu, przez liczne wspaniałe place u stóp wzgórza. Doszedł do tego, o który mu chodziło – Plac Zwycięstwa. Kiedyś nosił imię Mertagha, boga wojny.

To tutaj ustawili linię obrony. Mertagh walczył z ludźmi. Stary bóg, ale stworzony z kutej broni i stoczonych wojen, chciał, żeby Middren wygrał z dzikimi bóstwami. Ku swojemu rozgoryczeniu nie został jednak wyłączony spod decyzji Arrena o usunięciu bogów z Middrenu. Kiedy zaczęto burzyć jego świątynie, Mertagh postanowił dokonać zemsty na Aii, bogini akuszerstwa, na oczach władcy rozszarpując ją na kawałki i wezwał Arrena do pokonania go w bitwie. I Arren posłuchał.

Jedna ostatnia walka.

Z ośmiu wejść na Plac Mertagha nic już nie zostało i Elo próbował rozpoznać miejsce, które przyprawiło go o taki ból serca. Były tu już tylko omiatane wiatrem gruzy, nawet wielka świątynia Mertagha zmieniła się w stertę rozbitych na drobne kawałki kamieni. Rozebrali świątynię w ramach pierwszego aktu bitwy, rozbijając paleniska, ofiary, kadziła, pozłacany posąg i jego poroże.

Później Mertagh przybył w swojej złotej zbroi, by zadawać śmierć – dziesięć razy większy od człowieka, z głową jelenia jak u jego posągu, z zakrwawionym porożem sięgającym chmur.

Jego moc była niewyobrażalna. Nawet teraz Elo przypominał sobie taran woli boga wojny, terror i przemoc. Pochodnie zgasły, księżyc zgasł. Otoczyła ich ciemność, później krzyki. Chaos.

Elo próbował. Pobiegł do swojego przyjaciela, wykrzykując rozkazy, których nikt nie słuchał, przedzierając się przez miecze, którymi zaciekle wymachiwali ku niemu jego własni żołnierze.

– Rozpalić ogień na nowo! Chronić króla! Wasze życie, wasza krew, wasze serce!

Tam. Kształt hełmu Arrena, jego kolczuga połyskująca w blasku płomieni, które rozpalą jego dzielna straż.

Dotarł do Arrena, gdy Mertagh pojawił się w czerwono-złotym rozbłysku, biorąc zamach młotem. Elo odciągnął przyjaciela w bok i młot chybił, zamiast króla trafiając strażnika, którego głowę zmiotło gdzieś w ciemność.

– Arrenie, uciekaj – powiedział wtedy, wciskając się między ciała, z których lała się na kamienie krew. – Nie zdołamy wygrać. Nie tym razem. Nie bez bogów.

– Nie! Nie zostawię cię.

– Musisz!

Młot Mertagha był szybki. Elo użył zarówno miecza, jak i tarczy, żeby powstrzymać cios, który rozłupałby Arrena na dwoje. Broń wbiła mu się głęboko w ramię, powalając go na kolana i wrywając miecz z ręki.

Mertagh przyciągnął młot z powrotem i znowu zakręcił nim na łańcuchu. U stóp boga leżała halabarda, za daleko, żeby dosięgnąć. Elo nie miał broni. Wstał, gotów już na śmierć. Ostry koniec młota świsnął w ciemności.

Wtedy Arren rzucił się między Elo a broń.

Elogast zamknął oczy. To wspomnienie bolało go do szpiku kości. Nigdy nie zapomni chrzęstu kości i zbroi. Zdławionego dźwięku, który wydał Arren, gdy ostra część przebiła mu serce. Czy Kissen nie potrafiła zrozumieć? Z pewnością musiała wiedzieć, ile by oddał, żeby cofnąć tę chwilę, żeby to wszystko zmienić. Tylko niesamowitemu szczęściu zawdzięczał to, że Mertagh nie zabrał i jego. Skoczył do

halabardy, gdy bóg wojny wyciem obwieszczał swoje zwycięstwo, i cisnął mu ją w twarz. Szpikulec wbił się w oko, a ostrze rozerwało usta.

Później przybyli bogobójcy. Łańcuchy zaświszczały w mroku nocy, owijając się wokół szyi Mertagha, parząc go. Zapalono pochodnie, szaleństwo cichło. To nie Arren zabił boga wojny wbrew jego portretom. Dokonali tego veigowie. Mertagh krzyczał, jego jeleni łeb odchylił się w tył, a Elo odciągnął Arrena poza ciała poległych i umierających. W zbroi króla ział otwór, życie uciekało mu z piersi. Było za późno.

– Wytrzymaj, Arrenie, proszę, wytrzymaj. – Elo znalazł na skraju placu otwarte drzwi. Teraz nie umiałby nawet ich wskazać. Położył go przy palenisku.

– W porządku, Elo.

– To powinienem być ja. – Nie wiedział, co robić. Nie wiedział, jak go ratować.

– Tylko ty mnie kiedykolwiek kochałeś, Elo. Tylko ty kiedykolwiek... we mnie wierzyłeś. – Przyjaciel złapał go mocno, z trudem dobywając słowa. – Mogłem to zrobić. – Jego oddech był rzadszy, lżejszy, płytszy. – Mogliśmy zmienić świat, ty i ja.

Trzepot, migotanie światła przebiegło po krwi na podłodze. Wskoczyło z paleniska. Zaskrzyło się znowu, większe i jaśniejsze. W pustym palenisku strzeliły płomienie i z ognia wyszło małe bóstwo niczym kępa gałązek i kości w kształcie człowieka. Pośrodku jaśniał płomyk.

Jestem Hestra, bogini ognisk. Skąd wiedziała, dokąd przybyć? Elo nie rozumiał. *Mogę ocalić to życie.*

Dlaczego bóstwo miałoby ratować Arrena, który przysiągł, że je wszystkie zniszczy? Ale Arren odwrócił się, wyciągnął do niej rękę.

– Mogłem to zmienić... – wyszeptał. – Pozwól mi to zmienić.

Hestra położyła dłoń na jego dłoni. Jej forma z patyków i iskier załamała się, gałęzie wystrzeliły w pierś Arrena z trzaskiem i ogniem. Krzyknął, a jego ciało się zabiłżniło, połączone mchem i korzeniami. Przestał krwawić, gdy na powrót ukształtowały mu się żebra wokół gniazda z gałęzi. Drzewne bóstwo, czy to się mogło udać?

Ale wewnątrz był płomień. Płomień, który go ogrzewał, płomień, który utrzymywał go przy życiu, płomień... który teraz dogasał.

Ogień. Arren potrzebował serca z ognia.

Elo wypuścił powietrze. Ogniste bóstwo, i to potężne. To naprawi zło, które wyrządził, złagodzi jego hańbę.

Wiedział, dokąd musi się udać.

Ostatnim razem wspiął się Długim Chodnikiem na grzbiet klifów, kiedy jeszcze walczył wraz z Mertaghiem, a nie przeciwko niemu, żeby pokonać dzikich bogów. Elo poruszał się szybko, nie dając sobie czasu na pytania czy wahanie. Może wszystko mogło potoczyć się inaczej. Może gdyby wcześniej poznał Kissen. Ale nic już mu nie

zostało poza śmiercią, nawet ona. Co innego mógł zrobić poza ostatnią rzeczą, której potrzebował Arren, która pozwoli mu spłacić dług?

Dotarł do szczytu schodów i kręgu strzaskanych świątyń. Zwietrzałych. Pustych. Elo upadł na duchu, widząc pozostawione przez nich ruiny. Ołtarze rozłupane na kawałeczki. Bogowie, których zabito, nie powrócą tutaj. Łowy, burza, sny, przerażenie. Ci, którzy przeżyli... niewiele tu dla nich zostało. Kilka spękanych urn, kilka rozbitych kolumn, kilka rozbitych skrzyń na monety. Nawet bogu śmierci, który nie brał udziału w wojnie, pozostały tylko wytarte ślady wykutej w kamieniu szachownicy, z której zniknęły wszystkie figury.

Obrócił się na dźwięk małego dzwonu. Tam – świątynia z czarnych kamiennych płyt. Węgiel. Nie widział dzwonu, aż ten się poruszył i pochwyił blask wschodzącego słońca.

Ruszył do świątyni, ledwie ważąc się na nadzieję. Brązowy dzwon wykonano w Talicji i od góry do dołu ozdobiono reliefami – artystyczną wizją kłębow dymu. Przechylił go i zobaczył, że na sercu wyrzeźbiono płomień, a całość wisi na pięknie odlanym jarzmie.

Za nim stała mała lampka oliwna. Paliła się.

Elo cofnął się.

To był dzwon Hseth. Ognistej bogini potężniejszej niż Hestra. Starego dzikiego bóstwa, które domagało się ofiar, ale zapewniało bogactwa. Wielbionego na tyle, że ktoś przebył niebezpieczną drogę do Blenradenu, żeby odbudować jej świątynię. Bogini ognia, której potrzebował. Nawet nie walczyła w Blenradenie, najwyraźniej nie interesował jej Middren. To było idealne rozwiązanie, przeznaczenie.

Odurzyli nas, związali, podpalili.

Elo wziął urywany wdech. Kissen by go zabiła. Jeśli to było bóstwo, dla którego ją podpalono, zamordowałyby go, i słusznie. Cóż, teraz nie miało to znaczenia. Może to nie była Hseth. Istniało wiele bóstw przyjmujących ofiary całopalne. Kissen była tylko jedną spośród ludzi, Inara – drugą. Arren zaś był królem.

Wyciągnął miecz i przyłożył krawędź klingi do wierzchu swojego nadgarstka, odczuwając brak arrenowej rzeźby na rękojeści. Znak ich przyjaźni, jego szczęśliwy amulet. Aan śmiała się, gdy zabrała ją do wody, zachwycona totemem. Teraz to nie miało znaczenia. Elo zacisnął zęby i ciął, po czym położył dłoń na ołtarzu, pozwalając, by krew spłynęła między jego palcami na kamień. Następnie uderzył w dzwon.

– Hseth – szepnął, wkładając w to wezwanie swoją desperację, wolę, zdecydowanie.

Dźwięk poniósł się echem po pustych świątyniach, splatając się z wiatrem i różowymi promieniami nieba o brzasku. Odbijał się głośniejszy, raczej narastając, niż cichnąc. Powietrze zdawało się od niego gorące. Elo poczuł, że się poci, oddech

wysuszał mu wnętrze ust. Zaczęły go boleć płuca, gdy gorąco narastało falami wraz z dźwiękiem dzwonu w niekończącej się eskalacji żaru i hałasu. Było coraz głośniejsze, tak głośno, że Elo się zastanawiał, czy Kissen i Inara usłyszą to z drugiego końca miasta i zrozumieją, że obie je zdradził.

Gorąco stało się nie do zniesienia. Elo nie ważył się wycofać. Oczy mu wyschły i poczuł, że włoski, które mu wyrosły na rękach, przypalają się na końcach. Dłoń go parzyła, paznokcie i skóra piekły, wargi mu pękały.

Z płomyka lampki wzbiła się iskra, która następnie rozrosła się w gwiazdę, kręcąc się na wszystkie strony, muskając ściany świątyni, jakby bicie dzwonu stało się tanecznym rytmem. Płomienie sięgnęły jeszcze szerzej, napierając kształtu szaty, rąk, skóry. Bładej jak świeca i poznaczonej piegami niby rozżarzone węgielki.

Hseth otworzyła oczy. Niebieskie, żywe i błyszczące pod rudo-siwą czupryną.

Wyglądała jak Kissen. Starsza Kissen, gdyby Kissen była bóstwem. Nie powie jej o tym. Nie będzie miał okazji.

– Jakaż potrzeba mnie tu sprowadza? – odezwała się i nachyliła, by na niego popatrzeć. Elo odsunął dłoń i starał się nie wyciągnąć w górę miecza. – Ach – powiedziała. – To ty. Nareszcie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI



Inara

INARA NIE MOGŁA USIEDZIEĆ NA MIEJSCU i w myślach przeklinała Kissen. Po wszystkich tych przygodach doczekała się pogłaskania po głowie, ukłonu i polecenia, żeby zbierała się do domu. I to w czasie, gdy Elo być może umierał albo już nie żył, a Kissen ruszyła mu na ratunek, tak jakby była w stanie uratować każdego. Inara lubiła Elo, nie mogła nic na to poradzić. Był ciepły, zdecydowany, miły. Kissen też lubiła, z tą jej nieokrzesaną czułością, z tą sprytną troską. Inara nie chciała zostać sama.

Niezupełnie sama.

– To zły pomysł – powiedział Skedi, gdy patrzyli, jak Kissen oddala się od jęczących, bezładnych ciał, w które zmieniała dwóch rycerzy. Inara poszła za nią, postanowiwszy śledzić bogobójczynię, zamiast wdawać się w kłótnię. Zrzuciła spódnicę i teraz miała na sobie rajtuzy, spodnie, koszulę, kamizelkę i płaszcz z woskowełny. Nałożyła cięciwę na łuk z pomocą Skediego, który urósł, żeby obciążyć łączysko, i przypasała sobie miecz, tak jak pokazał jej Elo. Ogarnęło ją nieznanne poczucie siły.

– Wszystkie te pomysły były złe – wyszeptała. – Pójście do Kissen to był zły pomysł, pamiętasz? Ale ocalił nas oboje. Jeśli mamy jakąkolwiek moc, chcę im pomóc.

Skedi przez chwilę nic nie mówił. Nie siedział jej na ramieniu, tylko leciał obok niej.

– Ja też – stwierdził w końcu.

Inara podążała za Kissen w bezpiecznej odległości, powtarzając jej krętą drogę przez ulice wymarłego miasta. Nauczyła się rozpoznawać rytm kroków veigi i naśladowała ten dźwięk. Kissen obrała zacieniony, wijący się szlak, licząc, że nie przyciągnie uwagi, a dziewczynka z trudem za nią nadążała.

– Idź schodami na klify – powiedział Skedi. – Ona się nie ogląda.

– Są za bardzo odsłonięte – szepnęła Ina, próbując złapać dech.

– Mogę nas ukryć. Zresztą nikt cię nie szuka, im chodzi o Elo.

Inara ruszyła schodami wiodącymi w górę wzdłuż portu, a Skedi unosił się przy niej.

Nie widać nas, nie jesteśmy groźni, nie chcemy zrobić nic złego.

Niemal nadążali za Kissen, za kłamrą jej płaszcza, za rudą czupryną. Inara trzymała się nisko przy wewnętrznym murze, gdzie bluszcz wypełzał spomiędzy kamieni. Krawędzie porósł mech niczym krew sącząca się z rany, opanowując kamień i tworząc pęknięcia. Następna sroga zima do reszty rozkruszy schody tam, gdzie prowadziły nad wodą, a morze znajdowało się daleko poniżej klifu. Im wyżej się wspinała, tym bardziej niepewne stawały się stopnie.

Była niemal nad urwiskiem, kiedy usłyszała ciche dzwonienie. Później poczuła gorąco, narastające niczym wielka fala ze świątyni na szczycie. Nawet z tej odległości drobniutkie włoski na twarzy zaczęły ją piec. Skedi pomknął w dół, ciasno składając skrzydła, gdy fala uderzyła. Przycisnęła go sobie do brzucha, gdy zaczął wić się w panice z szeroko otwartymi oczami i falującą piersią.

Inara potknęła się, przypominając sobie dym, zapach płonących sadów, domu i ciała. W ogniu. Jej oddech zatrzymał się, gardło miała rozgrzane, jakby wprost wdychała płomienie. Z trudem łapała powietrze. Śmierć, śmierć, wszyscy odeszli.

Osunęła się na kolana, ledwie zdolna oddychać, zdjęta paniką. Świat rozmył jej się w oczach i widziała tylko ogień w oknach, stodołach, na ścianach. W ogniu kryło się przerażenie, szalona radość i dzikie życie. Inara zamknęła oczy. Zbyt jasny, zbyt straszliwy. Zwinęła się w kulkę, przyciskając do siebie Skediego i tłumiąc szloch, który wstrząsał nim do szpiku kości.

Po dłuższej chwili bożek poruszył się, przykładając nosek do jej podbródka.

– Wszystko dobrze – powiedział, nie mogąc zamaskować drżenia głosu. – To tylko strach. Wszystko dobrze.

– Nie mogę... – powiedziała Ina chrapliwym głosem, ze ściśniętym gardłem. Twarz miała mokrą od łez. Ledwo była w stanie unieść roztrzęsione dłonie, żeby je otrzeć.

– Wszystko dobrze, Inaro Craier. Wspomnienia mogą cię zranić. To nie twoja wina. Jesteś bezpieczna.

Skupiła się na oddychaniu, jej płuca się odprężyły. Mogła oddychać. Nie było dymu, a tylko siła. Czuła ją. Większą niż kiedykolwiek wcześniej. Skedi patrzył na nią oczami

pełnymi niepokojem.

– Skedi, przykro mi – powiedziała. – Chciałam tylko, żebyś był wolny i nie zdołałam ci tego dać.

Sierść Skediego zafalowała.

– A ja chciałem tylko mieć świątynię, być kochanym. – Pokręcił głową. – Powinienem być wiedzieć, że to, co mam, już wystarcza. Ty wystarczasz, jeśli przyjmiesz moją miłość. – Przycisnął poroże do jej głowy. – Wybieram ciebie.

Inara stłumiła szloch i go przytuliła. Nie była sama. Wcale nie. Nigdy.

– Ty też masz moją miłość – wyszeptała w jego skrzydła. – Mamy siebie nawzajem. – Zaczepnęła trzy głębokie wdechy. Jeden, żeby wypełnić się powietrzem. Drugi, żeby się uspokoić. Trzeci, żeby dźwignąć się na nogi. Za szczytem jaśniało światło. Nie błądy róż świtu, lecz blask wielkiego ognia.

Elo przyzwał bóstwo ognia. I całe miasto to widziało.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI



Kissen

KISSEN PIERWSZA USŁYSZAŁA DZWON. Ten ton, pieśń, którą pierwszy raz słyszała w dzieciństwie, nie dbając o jej znaczenie. Obietnicę pieniędzy, władzy, bóstwa. Rozbrzmiewała jej w kościach.

Później poczuła zapach palonego mięsa. Słyszała krzyki swoich braci, modlitwy matki. Czuła ból. Jej usta, jej dłonie, jej noga. Emanowała cierpieniem, aż do samej pięty, jakby ojciec przerąbał ją jeszcze raz.

Kissen od dawna przywykła do swoich wspomnień. Zwolniła kroku tylko na krótką chwilę.

– Jebany gnój – warknęła.

Serce podeszło jej do gardła, a wraz z nim żółć. Oby był cholernie zdesperowany, skoro ze wszystkich bóstw na świecie wezwał właśnie to. Dziką boginię, która ujarzmiła kraj. Wymacała fiolkę na swojej szyi, którą traktowała bardziej jak szczęśliwy amulet i nawet nie przypuszczała, że jej użyje. Ulżyło jej teraz, że nie zgodziła się zwrócić jej Aan.

Słup ognia wyrósł ponad nią, gdy dotarła do szczytu, na którym świątynie dzikich bogów były otwarte na morze, wiatry i sztormy. Zobaczyła dziką zwiewną suknię, płonące ręce Hseth, rozbujany dzwon, wszystko, co poprzednim razem burzyło jej dom, niszczyło jej rodzinę w ogniu. Bogini górowała nad miastem bardziej niż

kiedykolwiek wnoszące się tu wieże, a przed nią stał Elo. Kissen znajdowała się za daleko, drobna postać w cieniu samego piekła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY



Elogast

FAŁDY PŁONĄCEJ SUKNI HSETH SPŁYŃĘŁY NA BRUK, pozostawiając ślady popiołu tam, gdzie spadły. Mogłaby go spalić w jednej chwili, gdyby tylko chciała. Elo zaczerpnął tchu, czując żar w płucach. To będzie bolało.

– Przybyłem prosić o dar, bogini ognia Heseth – powiedział.

– O? – odrzekła i głos wypłynął z niej niczym płomień z paleniska, oczy jaśniały. – Zapewne chcesz nowego serca? Ładnego, świeżego i gorącego.

Elo przełknął ślinę. Nie mogła wiedzieć. Aan? Czy znajoma Kissen go zdradziła? Hseth odrzuciła głowę w tył i parsknęła śmiechem, a jej włosy popłynęły za nią, falując na ramionach. Elogast skrzywił się od gorąca, czując, jak pieką go od niego kości policzkowe.

– A co oferujesz za serce dla swojego króla? – spytała.

Elo wziął się w garść.

– Wszystko, co mam prawo dać – odrzekł.

– Musiałbyś oddać życie.

– Więc... – Elo zaczerpnął powietrza, po czym je wypuścił. – Moje życie należy do Arrena.

Powietrze się zmieniło, zgęstniało od mocy.

– Ofiara złożona! – Hseth wyszczerzyła się w uśmiechu, zęby miała białe i połyskujące. Elo utrzymał nerwy na wodzy, choć przeczucie mówiło mu, że coś jest bardzo nie w porządku. – Jakże smakowicie. Drogi rycerzu, ja miałam wątpliwości, ale on wiedział, że się uda.

Przyłożyła dłonie do ziemi i lekko je uniosła. Pod nimi wyrosło gniazdo z gałązek, podpałka, która zajęła się ogniem pod łukiem jej świątyni. Świątyni, która miała kształt paleniska. Elo cofnął się, wyciągając miecz przed siebie, gdy gniazdo pękło z traskiem. Gałązki wyrosły, tworząc kształt Hestry. Jej chwila trwała krótko. Wśród języków ognia rozłożyła ramiona, zmieniła kształt, wydłużyła się, stała się kimś, kogo Elo rozpoznał.

Arren z ciałem z patyków i ognia.

– Elogaście – przemówił Arren, a oczy świeciły mu jak rozżarzone węgle.

– To jakaś sztuczka? – zapytał Elo, omal nie wypuszczając miecza. Ręce znowu mu drżały. Arren. Dlaczego tu był?

Podbródek Arrena powędrował do góry. W jego piersi płonął ogień, który Hestra umieściła tam w gnieździe z gałązek. Nie dogasał. Był jasny i mocny. Żywy.

– Twoje życie, twoja krew, twoje serce, Elo. – Uśmiechnął się tak, jak tylko Arren potrafił. – Obiecałeś.

Mimo szalejącego wokół ognia Elogastowi zmroziło krew w żyłach. Arren był jego przyjacielem. Jego bratem. Postanowił poświęcić dla niego wszystko. Dla swojego króla. Nie dla słabego i zbolatego człowieka, którego widział u siebie w domu. Ten Arren stał prosto, zuchwale, uśmiechał się. Woda rozmawia z wodą, tak powiedziała Aan. Ogień najwyraźniej rozmawiał z ogniem. Aan go nie zdradziła.

To był Arren.

– Coś ty zrobił? – wyszeptał Elo.

Odwiedził go w domu, błagał o pomoc, powiedział, że umrze, żeby Elo wrócił do Blenradenu. Wrócił tam, gdzie wciąż stały świątynie, gdzie można było znaleźć Hseth.

– Oferta złożona, ofiara obowiązuje – oświadczyła bogini i zwróciła oczy z powrotem na Elo. – Złamane serce może być potężniejsze niż takie, które wciąż jest całe. Na szczęście zdołałeś przysłać go do mojej jedynej świątyni w Middrenie, żeby to zrobić.

– Arrenie – powiedział Elo głosem ochrypłym z gorąca. – Co ty wyprawiasz?

Arren odwrócił się do niego z powrotem z twarzą rozświetloną pustką ziejącą tam, gdzie powinno być jego serce.

– Nasz lud potrzebuje bogów – powiedział. – Ludzie rozpaczliwie ich pragną, licząc na ratunek przed codziennością. – Rozłożył drzewne ręce. – A zatem staję się tym, czego chcą. Staję się królem, jakiego potrzebują poddani.

Elo nie mógł uwierzyć w to, co słyszy i widzi. Cofnął się.

– Nie, Arrenie, to nie jesteś ty. To niemożliwe. – Arren uśmiechnął się. – To Hestra – ciągnął Elo w desperacji – która knuje z Hseth. Pamiętasz Mertagha, pamiętasz, co zrobił, kiedy nie rządziłeś tak, jak sobie życzył? Cofnij to. Pozwól, że ci pomogę.

– Pomożesz? Od dawna nie potrzebuję twojej pomocy, Elo – powiedział Arren. Jego uśmiech zgasł. Ruszył naprzód, dumny, pewny siebie, i stanął twarzą w twarz ze swoim dawnym rycerzem. – Moi ludzie podejmują działania przeciwko mnie. Zbyt wiele trzeba czasu, żeby zadomowić się w ich sercach, w ich woli, w ich wierze, tak jak Hseth w Talicji. Chcę, żeby Middren był wielki, chcę, żeby się zjednoczyli pod moim przywództwem, moim sztandarem, jak wtedy, gdy odwróciliśmy losy wojny. Potrzebuję władzy, Elo.

– Masz władzę – odrzekł Elo. Jego skóra była bardzo gorąca, wszystkie metalowe części jego rynsztunku rozgrzewały się od samego stania w pobliżu płomieni Hseth i Arrena. Miecz mógł trzymać tylko dzięki temu, że rękojeść z usuniętą ozdobą wciąż była owinięta tkaniną.

– Za mało. Za mało! Nie rozumiesz? Znałeś mnie jako Arrena, ale teraz jestem królem. Moja podobizna wisi w każdej oberży, odmawiają błogosławieństwa w moim imieniu. Niosący Słońce, tak nazwał mnie mój dwór. Nigdy wcześniej nie rozumiałem władzy. Byłem żaloszny, niekochany, nieznany. Ty byłeś wyjątkiem. – Zaśmiał się gorzko. – Tylko ty pamiętasz to dziecko, którym byłem, ale teraz jestem kimś zupełnie innym. Mogę być kimś nowym! Hseth i Hestra to widzą. Wykorzystały swoje chwile. Ja muszę wykorzystać moje. – Iskry strzeliły mu z ramion. – Łotry pragnące mojej śmierci spłoną.

– To byłeś ty. – Ból. Elo czuł ból, w piersi, w ramieniu i w kościach, każdego dnia. Ból, bo niemal stracił Arrena, ból tysięcy śmiertelnych ofiar, jego matek uciekających z kraju, w którym go wychowały. Ale Arren był punktem stałym, pewnym. Ta udręka przeniknęła go do głębi, od stóp do głów. – Ty spaliłeś rezydencję Craierów, prawda?

Arren zamrugał i jego płomienie zafalowały z zaskoczenia.

– Owszem – potwierdził. – Lessa Craier mogła wszystko zepsuć.

– Cały ród, Arrenie, jego poddani, dzieci. – Inara była niewinna, o niczym nie wiedziała. Ją też by spalił.

Arren zmarszczył brwi. Jego płomienie zamigotały, przygasły i podniósł wzrok na Hseth. Był Arrenem i nie-Arrenem zarazem. Był człowiekiem, którego Elo nie znał.

– Robimy, co musimy – powiedziała Hseth.

Arren odwrócił się z powrotem do Elo.

– Robimy, co musimy – powtórzył.

Elo nie mógł tego dłużej znieść. Wzniósł miecz i rzucił się do ataku, ale fala gorąca bijąca od Hseth odrzuciła go w tył. Przez chwilę wydawało się, że Arren cierpi, ale znowu postąpił naprzód.

– Nie chciałem, żeby tak było, Elo – oświadczył. – Ale twoje serce to moja ofiara dla mocy Hseth, dla jej siły. Będę pierwszym człowiekiem, który zostanie bogiem, nieśmiertelnym, silnym, nieprzywiązanym do żadnej świątyni. Zmiażdżę ten bunt, zanim się rozwinie, i pokażę im, co moc uczyni dla nas w Middrenie. – Jego serce rozsiało silny blask i zrobił krok naprzód. – Razem, przyjacielu, ty i ja. Zawsze.

Bogowie kochają męczenników.

Elo czuł, jak jego własna wola odpływa, odbierając mu determinację, pozostawiając jedynie ból.

– Chciałeś położyć kres bogom – powiedział cicho.

– Kres chaosowi! – odparował Arren głosem, który mieszał się z głosem Hestry niczym kłęby dymu mieszające się podczas pożaru. Powyżej płomienie Hseth spłynęły niebieską barwą przez jej ciało, kołysane jej dumą. – Hseth zjednoczyła wszystkie zdruzgotane ziemie Talicji. Jedno bóstwo, jeden cel. Wiara może czynić cuda, sam mi tak powiedziałeś. Byłeś o tym tak mocno przekonany, że zostawiłeś wszystko za sobą.

– Mówiłem, że ludzie powinni mieć wolność wyboru.

– Wybiorą mnie albo są głupi – warknął Arren. – Głupi jak moja matka, moi bracia i siostra. Głupcy, którzy nigdy nic we mnie nie widzieli. Wszyscy nie żyją. – Był wysoki, wyższy niż Elo, ale poza jego zasięgiem, ponad nim. – Ofiarowałeś mi swoje serce, Elogaście. Przyjmujemy twoją ofiarę. Ludzkie serce za boskie. Dla Hseth, aby społa moje serce z sercem Hestry.

Elo zamrugał i w tym momencie Hseth ruszyła, a jej dłoń wylądowała na jego piersi. Jej wola pochwyciła go, przygwoździła. Dojmująco bolesna.

– Będzie warto, rycerzu – powiedziała Hseth, zagłębiając palce. Arren patrzył, jak Elo krzyczy, jego twarz z gałązek pozostała niewzruszona. – Warto ponieść naszą potęgę świata. Będą nas opiewać w opowieściach, wspanialszych nad wszystkie bóstwa. Będą pragnąć chwały, bogactw, imperium, nowych pieców i kuźni, ognia, krwi i gniewu, ofiar i bogów jako królów, na zawsze związanych. – Przywarła twarzą do jego twarzy, jakby chciała go pocałować. – Dzięki tej ofierze mogę mu zapewnić niewyobrażalną władzę. Jesteś ostatnim, co kocha Arren, i co postanowił odrzucić.

Dłoń parzyła. Elo czuł zapach własnego ciała, gdy jej dłoń zanurzyła się, przytłaczająca.

– Przestań!

Niewidzialna siła odrzuciła Hseth do tyłu. Zatoczyła się i zamarła, dzika bogini trzymana na dystans. Elogast poczuł podmuch wiatru. Chłodne powietrze chłostane

skrzydłami nad sobą.

Nic ci się nie stało, nie jesteś ranny, możesz się ruszać, możesz uciekać.

Elo cofnął się i wyswobodził z nieruchomej płomiennej dłoni, ale nie uciekł. Uderzył mieczem i bryddytowa krawędź odcięła rękę. Hseth zawyła, a wtedy na boginię rzucił się ktoś, kto składał się z rudych włosów, ciała i gniewu.

– Kissen! – krzyknął.

Dwa zamachy długim mieczem Kissen odepchnęły Hseth w tył. Z wściekłości włosy stanęły bogini dęba, a jej ogniste ciało uformowało się na nowo tam, gdzie Elo i Kissen zadali jej rany.

– Idźcie, Arrenie, Hestro! – krzyknęła Hseth. – Ja się tym zajmę!

Złożone z gałązek i płomieni ciało Arrena rozpadło się. Król zniknął w kłębie dymu o zapachu krwi. Kissen obróciła się i złapała Elo, który opadł na jedno kolano. Ból był oślepiający, wszechogarniający. Wciąż czuł palce Hseth w swojej piersi, jej dłoń chcącą pochwycić jego serce.

Kissen wyciągnęła fiolet, którą trzymała pod napierśnikiem, i przełamała ją. Na jej dłonie polała się srebrna woda. Woda Aan. Święta. Błogosławieństwo w szklanej fioletce. Przycisnęła dłoń do jego poparzonego ciała – gorąco schłodziło się z potwornego do znośnego – i palcami dotknęła jego warg, żeby połknął odrobinę wody. Cokolwiek żar Hseth zrobił z jego wnętrznościami, woda załagodziła to, oczyściła, uleczyła. Doszedł do siebie i na twarz Kissen wypłynęła ulga. Odrobiną wody spryskała własną szyję i twarz. Jedną dłoń skrywała w bryddytowej rękawicy, teraz naciągnęła drugą. Miała na nich naszyte bryddytowe płytki.

– Ty naiwny głupcze – powiedziała, podciągając go na nogi. Pomimo wody z bólu ledwie mógł oddychać. Uwaga Hseth skupiła się na szczycie schodów, na Inarze, która szła w ich stronę, nakładając strzałę na cięciwę łuku.

– Co z ciebie za istota? – spytała bogini, lecz Inara nawet nie drgnęła. Napięła łuk i wypuściła strzałę. Hseth machnęła dłonią i drzewce spłonęło w powietrzu. Bogini cofnęła rękę, zbierając płomień do uderzenia. Elo wzniósł miecz, jęknął, gdy zaboląła go oparzona pierś, i zadał potężny cios w jej szatę. Podziałało. Wrzasnęła i cofnęła się, odwracając uwagę od Inary. Ogniste odzienie stanowiło część jej ciała, niczym płaszcz dzwonu. Bryddytowe ostrze mogło je przeciąć.

Hseth machnęła ręką w kierunku Elo i Kissen, a on zatrzymał ją klingą. Jego ubranie zasyczało i stanęło w ogniu, ale woda Kissen ochraniała mu pierś. Hseth warknęła z bólu, lecz nacisnęła mocniej na krawędź ostrza, raniąc się, żeby go dosięgnąć.

Kissen rzuciła nożem, później drugim i trzecim, w dłoń, w ramię, w twarz. Hseth cofnęła się, żeby chronić swoje oczy, i Kissen złapała Elo.

– Uciekaj, Elogaście! – poleciła. Wyciągnęła małą tykwę z fałd płaszcza i szerokim zamachem cisnęła ją prosto w ogień bogini.

Tykwa trafiła w cel i eksplodowała deszczem bryddytowych odłamków, rozrywając szatę Hseth. Kissen zgarnęła połę płaszcza, owijając nim siebie i Elo. Wcześniej pokryła go dodatkową warstwą ochronną, cienką, pomarszczoną skórą, która powstrzymywała większość płomieni, ale nie mogła osłonić przed bryddytowym odłamkiem. Dwa z nich przedarły tkaninę, jeden lekko zadrasnął kostkę Elo, drugi uderzył Kissen w ramię.

Hseth zawyła. Atak bardziej ją rozwścieczył, niż skrzywdził. Jej ogień rozprzestrzenił się jak płomienne sieci po kamiennej posadzce. Inara podbiegła bliżej, a pożoga cofała się przed jej stopami, jakby ją odpychała. Skedi leciał nad dziewczynką.

– Nadciągają rycerze! – zawołał. Po tych słowach nad jego skrzydłami poszybowała strzała wystrzelona przez jednego z dwóch rycerzy, którzy wspięli się na szczyt tuż za Iną. Nie wiedzieli, do czego strzelają: do latającego bożka, do bogini płomieni czy do Elogasta.

Elogasta lub Kissen.

Nie widziała strzał. Skupiła się na Hseth. Elo odciągnął ją na bok akurat w chwili, gdy strzały uderzyły w miejsce, w którym klęczeli. Rycerze ostrzegawczo zadęli w rogi i ten dźwięk pomieszał się z biciem dzwonu; Hseth zbierała swoje moce. Spróbowała znowu uderzyć, ale Inara wypuściła kolejną strzałę w oko bogini, odwracając jej uwagę. Grot zranił jej policzek i dał Elo czas, żeby złapać także Inarę, gdy Hseth odpowiedziała buchnięciem ognia. Płomienie z rykiem pomknęły w ich stronę, ale w ostatniej chwili umknęły przed ich jęzorami.

Elo, Kissen i Inara zatrzymali się przed świątynią boga śmierci. Tam dosięgnęły ich kolejne płomienie ognia bogini, omiatając kolumny. Szybko jednak opadły, uwagę Hseth odwróciły bowiem strzały wypuszczane przez rycerzy stojących na grzbiecie wzniesienia. Widzieli oni coś wielkiego i gorącego, a choć nie wiedzieli, co to jest, wiedzieli, że powinni strzelać. Byli mniej przygotowani na gniew Hseth. Machnęła rękami w ich stronę i posłała wściekły ogień przez niebo, niosący się niczym dźwięk dzwonu. Granie rogów umilkło, gdy dwaj rycerze padli na ziemię. Trzeciego i czwartego, którzy byli za nimi, pochłonął huk płomieni. Elo odwrócił się. To była jego wina.

– Elo, twoja pierś – powiedziała Ina. Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia, gdy wpatrywała się na wypalone znamię boskiej dłoni. Gdy klątwa Lethen rozleje się przez ramię Elo, napotka je, zetkną się obie. Skedi sfrunął i przykucnął przy nich, ciężko dysząc.

– Kissen ją zabalsamowała, nie przejmuj się – odrzekł Elo, nie patrząc na Skediego, gdy kłamał.

Każdy oddech wydawał mu się uściskiem Hseth, gdy jego poparzona skóra się rozciągała. Kissen nie słuchała. Wpatrywała się w boginię i skuliła, gdy ta znów uderzyła ogniem w świątynie, w której się schowali. Rozległ się wrzask kolejnego rycerza i poniósł się echem ponad dźwiękami wiatru, fal i dzwonu. Ucieczka była niemożliwa, musieli zmierzyć się z Hseth. Trzeba było chorągwi rycerzy i veigów, żeby zabić boga wojny, a ta bogini była czymś zupełnie innym. Czymś nieokiełznanym. Gdyby chciała uciec, zrobiłaby to. Zamiast tego wołała bez końca czekać na swoje ofiary.

– Zabierz stąd Inarę – powiedziała Kissen. – W jakieś bezpieczne miejsce.

– Kissen... – Ból w piersi niemal go oślepił.

– Nie możesz walczyć w takim stanie – stwierdziła rzeczowym tonem. – Możliwości wody Aan nie są nieograniczone. – Wkurzył się, że jest taka spokojna, że nie obrzuca go przekleństwami. – Chodzi jej o ciebie, Elo, i nie bez powodu. Wiesz już, czym się stał ten głupi król, i możesz coś z tym zrobić. Stanowisz zagrożenie. Ja jestem tylko bogobójczynią. – Jej oczy zapłonęły ogniem Hseth. – I zabijam bóstwa.

Nie mogła wygrać. Nie mogła stanąć do takiej walki. Nie przeciwko Hseth. Inara pokręciła głową i złapała Kissen za ramię.

– Już próbowałam mnie przepędzić – powiedziała. – Skedi i ja możemy pomóc.

Kissen uścisnęła jej rękę.

– Wiem, że możecie – powiedziała. – Ale nawet gdyby udało nam się pokonać Hseth, zaroiliby się tu od rycerzy. Jeśli teraz odejdziecie, będziecie mieć szansę, dopóki są zajęci czymś innym. Udajcie się do Lesscji, znajdźcie tych buntowników i naprawcie, co trzeba, zanim padnie kolejne miasto.

Popatrzyła na Elo. Znał to spojrzenie – kogoś, kto już postanowił o swoim losie.

– Powiedziałaś, żebym nie oddawał swojego życia – powiedział, ujmując jej dłoń. Co on uczynił? Głos miał ściśnięty, oddech chrapliwy z bólu. – Chcesz, żebym patrzył, jak sama to robisz?

– To nie jest poświęcenie – odrzekła, polewając sobie resztą wody Aan ramiona i skronie. Srebrzyła się przez jej włosy, brwi, oczy. Uśmiechnęła się do Iny. – To zemsta. – Kissen znowu spojrzała na Hseth, tak jasną, że przyćmiewała świt. – To szansa, na którą nigdy nie liczyłam. – Elo miał rację. To Hseth spaliła jej rodzinę, a on doprowadził do ich spotkania.

– Obiecałaś – powiedziała Inara, rozpaczliwie szukając argumentów, żeby Kissen została.

– To jest większe niż my obie, *liln* – powiedziała Kissen, rozpinając wewnętrzny płaszcz, ciężki od bogobójczych narzędzi. – Tak zrobił mój ojciec. Nienawidziłam tego i przepraszam. Ty możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, ale gdybym cię teraz nie uratowała, co by ze mnie była za ochroniarka? – Woskowełniany płaszcz opadł z brzękiem schowanych w nim przedmiotów. Podała go Inie, zostając w cienkiej zewnętrznej warstwie. – Będzie ci to potrzebne, żeby pokonać demony – powiedziała i spojrzała na boga niewinnych kłamstewek. Staął na tylnych łapach i oboje na siebie patrzyli. Kissen westchnęła.

– Tylko nie wpadnij w żadne tarapaty, Skedicecie. A ty, Elo, jeśli pozwolisz, żeby coś jej się stało, przysięgam na wszystkich bogów, których zabiłam, że będę cię nawiedzać po kres twoich dni.

– Umiem sobie wyobrazić gorsze rzeczy – odparł.

Uśmiechnęła się, błyskając złotym zębem, po czym się nachyliła. Pocałowała go raz, szybko, i wstała.

– Na szczęście – powiedziała.

– Kissen! – krzyknęła Inara, próbując przyciągnąć ją z powrotem, ale ta odsunęła się i wyszła na plac świątyni, podwinąwszy rękawy, by pokazać blizny po oparzeniach na rękach. Elo jej nie zatrzymywał. Wszystko, co znał, się zmieniło. Kissen miała niezłałatwione porachunki z bogami.

I on też.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY



Kissen

KISSEN RUSZYŁA NA SPOTKANIE Z TĄ, przez którą stała się taka, jaką teraz była.

Kiedy Middren przypadnie bogom... Tak powiedziała Ennerast. Czy właśnie to miała na myśli? Bunt, tego boga-króla i ognistą boginię z Talicji? Do spółki rozerwą krainy na strzępy. Kissen nie zamierzała na to pozwolić.

Kiedy pierwszy raz próbowała przyzwać Hseth, było to w talicjańskich świątyniach przy porcie. Maimee wysłała ją na pierwsze żebry ze skórą wciąż wrażliwą od blizn. Pobito ją za to, że uderzyła w dzwon, bo świątynny mistrz należał do tych, którzy wierzyli, że oparzenia przynoszą pecha.

Za drugim razem była na talicjańskiej granicy z Pato tuż przed tym, jak poprosił Aan o fiolkę. Wśród śniegów, tam gdzie kończył się Middren, a zaczynała Talicja, dzwoniła i dzwoniła w jednej ze świątyń wzniesionych dla Hseth w górach, ryzykując, że wywoła lawinę. Pato przyszedł po nią i wyjaśnił, dlaczego nie przybyło żadne bóstwo: miała w sercu jedynie mordowanie.

Teraz nie musiała przywoływać bogini. Mogła iść prosto do niej.

Gdy wyszła spod osłony świątyni, podniosła swój skórzany płaszcz, pozyskany w drodze wymiany od jednej z wiedźm, które robiły takie dla talicjańskich strażaków. Hseth uderzyła ją płomieniem, który omiótł skórę niczym wrzące powietrze podczas wycieku lawy. Dar Aan chronił jej rękę, gardło i twarz przed żarem. Nie mogło to

trwać wiecznie, ale może wystarczająco długo, żeby Kissen poturbowała boginię, która zabiła jej rodzinę.

– Uciekajcie! – krzyknęła.

Elo usłuchał. Poderwał Inarę i puścił się szybkim biegiem, z mieczem w dłoni, pędząc ku schodom i przepychając się przez pozostałych rycerzy, w ogóle nie zważając na swoje rany. Ciągnąc Inarę, uchylił się przed mieczem jednego z rycerzy i odepchnął go na bok własną bronią. Kolejny spróbował złapać Inarę, lecz Elo odrzucił go kopniakiem. Skedi leciał z nimi, używając swojego poroża i skrzydeł do odwracania uwagi, ochrony i prowadzenia ich we właściwym kierunku.

– Podstępne szelmy! – warknęła Hseth i znowu zmieniła kierunek płomieni, żeby ich pochłonęły. – Wracaj tu, rycerzu. Wywiąż się z oferty!

Elo biegł tuż przed ścianą ognia, ale dwaj rycerze, którzy uciekali za nim, nie mieli tyle szczęścia i ogarnęły ich płomienie. Kissen wykorzystała to, że Hseth jest zajęta czymś innym i ruszyła w stronę bogini, uderzając mieczem, lecz była w stanie dosięgnąć tylko jej łydki. To jednak wystarczyło. Hseth zatoczyła się, a Kissen złapała ją za nogę bryddytowymi rękawicami, wykorzystując cały swój ciężar, żeby pociągnąć boginię w dół. Hseth złamała rękę i zawyła, czując bryddyt parzący jej łydkę, płomienie trysnęły w powietrze. Teraz już wiedziała, jakie to uczucie, oparzenie. Zrobiła zamach, ale Kissen już się odturlała i kordelasem odcięła jeden z palców bogini, zabierając go ze sobą.

Teraz Hseth skupiła na niej całą uwagę. Zaskrzeczała w gniewie, nienawykła do bólu. Krew płynęła z jej rany, gęsta, cuchnąca i gorąca. Krew jej ofiar. Rysy miała przerażające, inne niż twarz za płomieniami, którą pamiętała Kissen z dzieciństwa. Bardziej ludzką, bardziej cielesną. Bardziej jak twarz jej matki.

Tak, w każdym calu wyglądała jak kobieta z Talicji, z rozczochranymi włosami i poskręcanyimi warkoczami, szerokimi ramionami, silnymi nogami i orlim nosem. Wyglądała jak królowa. W Talicji nie było królowych, królów, władców. Do czasu Hseth.

Ośmielasz się przeciwstawić woli bogini?, powiedziała Hseth i jej myślomowa wdarła się do głowy Kissen, topiąc jej osłonę łatwo niczym szron. Kissen starała się nie pozwolić zasiać w sobie lęku. Musiała zachować spokój, odwracać jej uwagę, oddalać ją od Inary, Skediego i Elo. *Ty, którą pobłogosławił płomień? Jeśli pozwolisz mi go teraz załatwić, zapewnię ci szybką śmierć.*

– Już błagasz o litość? – spytała Kissen, powoli odsuwając się w bok, dalej od schodów, utrzymując na sobie wzrok Hseth. Ramię ją kłuło w miejscu, gdzie trafił w nie odłamek bryddytu.

– A zatem śmierć będzie powolna – oświadczyła bogini. – Dorwę rycerza i małą, a potem wrócę po ciebie.

Zwróciła się ku schodom. Kissen się tego spodziewała. Z całą siłą, jaką miała, rzuciła jedną z pozostałych tykw z czarnym ogniem i bryddytem prosto na drogę bogini. Tykwa eksplodowała pod nogami Hseth i strzeliła w nią drobinami bryddytu. Bogini wrzasnęła, po czym odwróciła się do Kissen i odrzuciła ją w bok wierzchem dłoni szybciej, niż bucha ogień na płamie oleju. Bogobójczyni runęła jak długa.

Siła uderzenia i upadek sprawiły, że Kissen zakręciło się w głowie, ale zanim drugi zamach Hseth zdążył pozbawić ją zmysłów, wyprowadziła pchnięcie mieczem w górę, przebijając dłoń bogini. Ta zasyczała, cofając rękę, jakby zadrapał ją kot.

– Chcesz mnie zatrzymać, mała śmiertelniczko? Zjadałam dzieci większe niż ty, zanim słońce weszło w poranek twoich narodzin.

Kissen dzwignęła się na nogi, próbując nie pokazywać, jak ciężko jej się oddycha. Pomacała swój pas. Jeszcze jedna bomba. Jeśli Hseth podejdzie za blisko, może jej zadać gorsze rany, a przecież ciało veigi goi się o wiele dłużej niż ognisty korpus bogini. Byłoby po wszystkim, a zyskałaby dla Elo i Inary ledwie tyle czasu, żeby zginęli nieco później.

– Już raz ci uciekłam, pieprzona zdziro. Znowu to zrobię. – Nie było tu Skediego, który by powiedział, że kłamie.

Hseth nachyliła się bliżej, wykrzywiając usta jak milutka dziewczynka, która ma drobny problem, wyraźnie niezłękniiona.

– Czy ja cię znam? – spytała. – Spaliłam tak wielu ludzi. Zostawiłam ci też ładne blizny. Szkoda, że musiałaś je zniszczyć klątwami innego bóstwa.

Hseth ruszyła. Kissen cofnęła się, ale zbyt wolno. Bogini złapała ją za sztuczną nogę i uniosła veigę w powietrze, tak wysoko, że znalazły się twarzą w twarz. Drugą dłoń przyłożyła do jej policzka, gdzie kiedyś umarła klątwa bogini urody.

– Słodka mała klątwa – powiedziała. – Nie pasuje do ciebie. – Uśmiechnęła się i posłała ogień do swojej ręki. Chciała wypalić bliznę. Powietrze falowało z gorąca. Woda Aan chroniła twarz Kissen, ale nie jej nogi. Bogobójczyni nie krzyczała, więc Hseth podsycała ogień i metalowe płyty Yatho rozgrzały się, wypalając ciało jej prawej nogi.

– Może przyda ci się taka do kompletu – powiedziała Kissen przez zaciśnięte zęby. Machnęła mieczem i trafiła Hseth w nos. Bogini rzuciła ją i veiga upadła ciężko w pobliżu krawędzi klifu. Uderzyła się w ramię i szybko przeturlała, żeby zmniejszyć ból. Upuściła długi miecz, ale wciąż miała kordelas. Nie zważając na skaleczenie, chwyciła się wystających z ziemi głazów, byle tylko nie przelecieć przez krawędź

urwiska. Nie było tu balustrady, która by ją zatrzymała i nie pozwoliła runąć do morza.

Hseth dotknęła rozcięcia, które zrobiła Kissen, a jej oczy zrobiły się większe z zaskoczenia.

– Zrobiłam ci krzywdę, dziewczynko? Rana dość szybko zniknie.

Innych, które zadała jej Kissen, już nie było. Odsunęła rękę i ruszyła naprzód.

Noga Kissen pokryła się pęcherzami przy metalowej protezie. Drażek jej sztucznej nogi był wygięty i zdeformowany. Chwiejnie wstała na nogi, podpierając się na kordelasie.

– Zabiłam kogoś, kogo lubiłaś, o to chodzi? – Hseth skurczyła się do niemal ludzkich rozmiarów, a jej język był językiem ognia. – Kochanka czy coś? Biedactwo.

Kissen знаła bogów. Wiedziała, że nie pamiętali zabitych ani ich nie obchodziło, kiedy z pierwszej śmiertelnej ofiary robiły się setki. Pohamowała swój gniew, ukierunkowała go. Została jej jeszcze jedna tykwa z czarnym ogniem i bryddytem, trzy noże i kordelas.

– Płakałaś, maleństwo? – spytała Hseth. – Błagałaś?

Kissen zaczęła biec. Pamiętała, że jej proteza jest uszkodzona i nie zapewnia równowagi, nie zważała na rwący ból w ramieniu. Rzuciła nożami, jednym, drugim. Hseth roześmiała się i okrążyła ją, niemal tanecznym ruchem wymijając ostrza, drwiąc. Kissen pozwoliła przyprzeć się do muru, osaczyć. Później skontrowała – jej ostatni nóż poleciał ku lewemu bokowi bogini, ostatnia tykwa ku prawemu. Hseth zrobiła unik przed nożem, ale przed drugim pociskiem już nie zdołała się uchylić. Tykwa trafiła ją prosto w pierś. Wybuchła w jej ciele, zmieniając śmiech bogini w wycie dymu i stali. Poleciała z niej krew i zasyczała na kamieniach.

To nie wystarczyło. Kissen cofnęła się, powstrzymując odruch wymiotny na wspomnienie zapachu własnej krwi na rozżarzonej metalu, skwierczenie ciała swojego ojca. Wycelowoła dobrze, trafiła Hseth w środek, ale bryddyt tylko ją zranił, wgrzając się w jej pierś niczym sól. To za mało. Kissen nie była w stanie zdziałać mieczem tyle, ile bombą, a obrażenia nie były trwałe. Skończyły jej się sztuczki.

I Hseth o tym wiedziała.

– Która nędzna, śmieszna wiocha to była? – szepnęła z oczami płonącymi gniewem. Kissen zdołała dojść do swojego miecza. Podniosła go i wsunęła kordelas do pochwy. Miała nadzieję, szczerą nadzieję, że wyrządzi większe szkody. Ale wciąż skupiała na sobie uwagę bogini. To przynajmniej było osiągnięcie godne uwagi, w wypadku starego bóstwa, dzikiego bóstwa, powiązanego nie z zielenią, a z ogniem. Postanowiła być z tego dumna. Im dłużej przyciągała złość Hseth, tym dłużej Inara i Elo byli bezpieczni. – Miała chociaż nazwę?

Kissen się przygotowała. Nie bała się śmierci, ale nie lubiła bólu. Znała go. Nie był przyjemny.

– Wieś nazywała się Senkørsa – odrzekła.

Hseth przechyliła głowę w bok, demonstracyjnie się namyślając. Wreszcie machnęła lekceważąco ręką.

– Te stare rudery – powiedziała ze śmiechem. – Z ich powodu tak kwilisz? Dawno temu runęły do morza. Nie były nic warte. Zupełnie nic.

Tym razem wzięła Kissen z zaskoczenia. W jednej chwili wytworzyła w swoich palcach ognistą włócznie i błyskawicznie rzuciła się naprzód. Wykonała włócznie kolisty zamach w stronę gardła veigi. Kissen odepchnęła ją, raz, drugi, z całą siłą, jaka jej została. Trzymała broń blisko, używając do obrony obu rąk. Atakowanie swoim ogniem bryddytu sprawiało Hseth ból, ale nie na tyle, żeby przestała. Przód miała skrwawiony, szatę i włosy – płomienne i dzikie. Kissen ustąpiła pola. Ręka bogini z włócznie była prosta i silna, jej ogień jasny i prawdziwy. Kissen przyjmowała ciosy i cofała się, cofała.

– Czy nie podarowali mi tam rodziny? – zastanawiała się Hseth. – A, oczywiście. Pupilków Osidisena. A to stary głupiec. – Uśmiechnęła się i zamachnęła włócznie tak szybko, że zmieniła się w świetlistą plamę. Uderzyła, przełamała gardę Kissen i rozerwała jej skórzaną kirys aż do ramienia, wgrzyła się w ciało ogniem ostrym jak klinga. Kissen zobaczyła błysk ognia, zanim go poczuła. Krzyknęła przez zaciśnięte zęby i złapała ognisty grot dłonią w rękawicy. – Zapominam, jak się nazywali ci, których spale – powiedziała Hseth. – Ledwie pamiętam morskiego boga, który naruszał moje granice, podmywał klify. Potrzebował całych lat, żeby domki z waszej wioski wpadły do morza, jakby to mogło odciągnąć świat od potęgi, którą zapewniam ja.

Wioski nie było. Zamordowali jej rodzinę dla bogactwa i sukcesu i nic na tym nie zyskali. Wszystko na marne.

Kissen mocniej zacisnęła dłoń na włócznie i wyciągnęła ją ze swojego ramienia, po czym za pomocą miecza roztrzaskała ją na dwoje.

– Nazywali się Tidean, Lunsen i Mellsenro – powiedziała, gdy płomień włócznie zniknął. Rzuciła się naprzód ze swoim mieczem, a Hseth ponownie wykształciła broń, żeby odeprzeć atak. – Kilean była moją matką, a Bern moim ojcem. To byli prości ludzie i nikogo nie skrzywdzili.

– Byli głupcami i zginęli jako głupcy – odparła Hseth, parując jej ciosy. Wykonała obrót i uderzyła mocno, lecz tym razem Kissen była gotowa. Odskoczyła w bok, by cios ją ominął, po czym cięła rękę bogini. Hseth obnażyła swoje roziskrzony zęby

i spróbowała przebić jej brzuch, ale Kissen odepchnęła się protezą i skoczyła za gardę boskiej przeciwniczki. Udało się. Była blisko. Pchnęła ostrze głęboko, w stronę serca.

Hseth na to czekała. Wszystkie płomienie jej ciała zwróciły się do środka, pozostawiając skórę białą, spopielającą. Skierowały się tam, gdzie wniknął miecz, rozgrzewając go ponad rozsądek, ponad czucie, topiąc zadające jej ból ostrze.

– Ten świat jest mój – oświadczyła Hseth. – Komu potrzebny bóg wojny, kiedy ma boginię ognia? Bóstwo bogactwa, kiedy sam może je stworzyć? Nieważne, co się pali, żeby podsyć twój ogień. Jesteś małą, okaleczoną, poturbowaną istotą ludzką. Nie masz żadnego znaczenia.

Żar był zbyt wielki, nawet pomimo wody Aan. Kissen czuła, jak łzy napływają jej do oczu i parują. W jej uszach rozbrzmiewało bicie dzwonu, raz po raz, gdy falujące ciśnienie powietrza naciskało dźwiękiem. Hseth była zbyt potężna. Veiga nie miała szans, żeby przebić jej serce, choćby próbowała przez tysiąc lat.

A jednak nie musiała go przebijać. Musiała być sprytna.

– Nawet wielcy bogowie nie są zbyt bystrzy. – Kissen uśmiechnęła się, puściła broń i złapała Hseth za spopielale ręce. Metal wszyty w rękawice zetknął się z ciałem bogini, parząc je, zasklepiając. Nawet bóstwo ognia nie mogło uciec przed bryddytem. Hseth krzyknęła, gdy Kissen zamknęła ją w miłosnym uścisku, choć ogień próbował wrócić na jej nieosłoniętą skórę. – Nawet drobne życie jest coś warte.

Znalazły się już na skraju kompleksu świątyń, tam dokąd przywiodła je veiga. Teraz skoczyła i przeciągnęła boginię za krawędź urwiska, trzymając ją bojowymi rękawicami. Jej własny ciężar sprawił, że pomknęły w dół przez powietrze, wśród wiatru, który targał płomienie bogini, jej szatę, włosy, rozrzucał je. Hseth krzyknęła, gdy wpadły do morza w uścisku wody i ognia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY



Inara

INARA WIDZIAŁA UPADEK. POKONALI ZNACZNY DYSTANS przez miasto, trzymając się prostych ulic wiodących wzdłuż urwisk. Elo nie znał Blenradenu tak dobrze jak Kissen. Wybrał najszybszą trasę. Nie miał oporów przed wyrządzeniem krzywdy rycerzom, którzy próbowali ich zatrzymać. Większość z tych, których napotkali, była tak oszołomiona światłami na niebie, że nie zwracali na nich uwagi. Także pielgrzymi zgromadzili się w porannym słońcu nad brzegiem i patrzyli z przestraszeniem w górę, ku świątyniom dzikich bogów.

– Spójrzcie! – zawołał jeden, wyciągając rękę.

Inara odwróciła się. Zobaczyła jasne światło, wirujące i spadające na tle ściany klifu, ściągane ciężarem drobnej postaci widocznej wśród płomieni.

– Kissen – szepnęła. Światło uderzyło w powierzchnię morza i zgasło. – Musimy wrócić. – Zatrzymała Elo. – Musimy ją znaleźć – poprosiła. Łzy napłynęły jej do oczu. Najpierw jej matka, teraz Kissen.

Elo ciężko dyszał, a jego twarz nabrała wyglądu kamiennej płyty. Popatrzył na klif, rozdarty, a później w dół na Inarę.

– Nikt by nie przeżył takiego upadku – powiedział Skedi, mocno trzymający się ramienia Inary. – Nie w ramionach bogini płomieni. Nawet Kissen.

Elo pokiwał głową. Koszula mu się rozchyliła, ukazując straszliwe oparzenie po spotkaniu z boginią ognia. Dziewczynka widziała to wówczas, kolory jego ofiary, gdy próbowała wziąć jego serce. Wielka moc jego miłości do Arrena, bijąca od niego blaskiem w dłoni Hseth, szafirowym i srebrzystym z rozżalenia. Roztrzaskanym, wybuchającym. Wspomnienie tych kolorów było gorsze niż blizna po ranie.

– O to nas prosiła – stwierdził Elo ochrypłym głosem. Teraz jego kolory wirowały, szafir poznaczony złotymi plamkami strachu i czerwono-brązowymi bólu. Ból narastał.
– Żeby nas uratować, Ina. Była świadoma, co robi.

„Była” powiedział. Odeszła. Kissen odeszła.

– Bądź silna – powiedział i pociągnął ją naprzód. Jego głos był spokojny, ale kolory nie. Rozpadały się, wirowały i mieszały z bólu po stracie. Mimo wszystko szedł. Poczula, że nie może się oprzeć. Najpierw jeden krok, później drugi. Uciekać, Kissen poprosiła, żeby uciekali.

Inara odegnała łzy, zagryzła wargi. Przyjdzie na nie czas później, kiedy będą bezpieczni. Tak by jej powiedziała Kissen.

Elo poprowadził ją ku stajniom na skraju miasta, dalej w dół klifu. Z zawrotną prędkością pokonywali kolejne zakręty, próbując znaleźć bramę, lecz gdy wreszcie na jedną natrafili, była strzeżona. Elo pociągnął dziewczynkę do tyłu, przywarli do muru. Inara odzyskała dech, starając się być jak najciszej.

– Elogast!

Inara mocno ścisnęła jego rękę. To był głos mężczyzny. Usłyszał ich. Skedi przygotował kłamstwo, lecz Elo podniósł rękę.

– Panie Elogastie, wiem, że tu jesteś.

Był to Benjen. Skoro wiedział o ich obecności, niewinne kłamstewko mogło nie mieć wystarczającej mocy. Widocznie domyślił się, jaki Elo ma plan ucieczki, nie wiedząc, że jego mentor przybył po śmierć. Elo wyprostował się pomimo rany i puścił rękę Inary.

– Znajdźmy inną drogę – szepnęła dziewczynka. – Proszę, Elo, nie mogę stracić także ciebie.

Pomimo bólu Elo uśmiechnął się.

– Jeszcze nie spisuj mnie na straty. Jest sam?

Skedi wzbiał się ponad dachy, po czym opadł z powrotem. Jego więź z Inarą wciąż się utrzymywała, ale luźniejsza, teraz, gdy rozumieli się nawzajem, pozwalała im na większą swobodę.

Jest sam.

Kolory Elo się zmieniły. Pewność miała u niego chłodny różowy odcień. Wyszedł, całkowicie obnażając miecz, a Inara mu na to pozwoliła.

– Nie mam czasu na szermierkę z tobą, Benjenie – powiedział. – Przepuść nas.
Dziewczynka wyrzała za róg. Benjen także był przygotowany, trzymał nowy miecz.
– Nigdy nie sądziłem, że okażesz się podstępny oszustem, Elogaście – powiedział.
– Pozwalającym komuś zająć mnie od tyłu. Ani zdrajcą. Gdzie twoi towarzysze?
Kissen. Myśl o niej wywoływała ból w duszy Inary.
– A gdzie twoi? – odparował Elo.
Benjen skrzywił się.
– Zajęci problemami z bóstwem. Sądząc po oparzeniu na twojej piersi, ty zacząłeś te problemy. Poddaj się, Elo. Dla twojego króla.
Elo parsknął śmiechem.
– Mojego króla – powiedział. – Król, który zdradza własnych ludzi, nie jest moim królem. – Jego głos brzmiał pewniej niż kiedykolwiek wcześniej. – Czy król, który krzywdzi niewinnych, jest twoim?
– Elogaście... – Benjen się zawahał. – Król Arren robi to, co musi.
– To, co musi... – powtórzył Elo. – Dobrze, wezmę więc z niego przykład. – Wzniósł ostrze. – Panie Benjenie, wziąłem do ręki miecz i teraz wszyscy powinniście się bać.
Benjen skoczył naprzód, biorąc zamach mieczem od lewej do prawej, by zadać cios, który przetnie Elo na wylot. Inara przycisnęła dłoń do ust, żeby powstrzymać krzyk. Elo cofnął się lekkim krokiem, oszczędzając siły. Sparował uderzenie, odpychając miecz przeciwnika, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i wepchnął własny miecz w powstałą lukę. Ostrze błysnęło, tnąc Benjena po nogach, tam gdzie znajdowały się szczeliny w jego zbroi.
Benjen upadł. Uderzył o ziemię ze szczękiem, spróbował wstać i przekonał się, że nie daje rady. Spróbował jeszcze raz, podpierając się mieczem, lecz Elo kopniakiem wytrącił mu broń z rąk, aż poleciała na drugą stronę ulicy. Elo schował swój miecz. Stracił kamienny wyraz twarzy i teraz kierował nim gniew.
– Chodź – powiedział do Inary, odwracając się tyłem do rycerza.
Podbiegła do niego, zdumiona łatwością i brutalnością, z jaką powalił przyjaciela. To nie był Elo piekarz. To był Elogast wojownik.
– Powiedziałeś, że prędzej zginiesz, niż zdradzisz swojego króla – powiedział Benjen. – Mówiłeś mi... Mówiłeś!
– Co z nim? – spytała.
– Będzie żył albo umrze, jak zechce – odrzekł ponuro Elo. – Nie jestem Kissen. Ja zabijam ludzi.
– Elo, wracaj! – zawołał Benjen. – Twoje życie, twoja krew, twoje serce. Przysięgałeś!
Elo się nie odwrócił. Jego kolory pozostały niezachwiane.

– Tam! – wykrzyknął Skedi, gdy przemieszczali się przez stajnie, kryjąc się w wiatach. Poszli za nim tam, dokąd pofrunął, i znaleźli trzy pasące się klacze i wałacha. Żaden z wierzchowców nie miał siodła ani uprzęży.

– Mogę coś wykombinować – stwierdził Elo, krzywiąc się przy zdejmowaniu kurtki.
– Dawno nie jeździłem na oklep.

– Czekaj. – Inara sięgnęła do płaszcza Kissen, macając folki, koraliki i inne przedmioty, aż znalazła to, czego szukała, ostatnie z grudek owsa z miodem, sumiennie wydzielanych wierzchowcowi veigi podczas wędrówki. Podniosła je. Pierwsza podeszła jedna z klaczy, niezbyt poruszona otwartą raną i mizernym wyglądem Elo. Rozglądał się za czymś, co mogłoby posłużyć za wodze. Jak długo to potrwa? Czy klacz pozwoli im się ukraść, czy też będzie wierzgać i stawać dęba jak Nogi? Kopnięcie w pierś to byłby dla Elo koniec.

– Tethis?

Inara obróciła się. Skedi, który siedział obok niej, i patrzył na klacz tak, jakby był w stanie powstrzymać ją przed wierzganiem, teraz się skurczył, ale nie dość szybko, żeby się ukryć. Inara znała ten głos, słyszała go bez końca przez pierwsze dni pielgrzymki: Berrick. A obok niego stała Batseder.

Wyglądali na zdronzonych, lecz całych i zdrowych, i mieli ze sobą konia, porządnie podkutego i spokojnego, wciąż osiodłanego. Batseder spoglądała to na nią, to na Elogasta, to na Skediego, który usiłował udawać, że go nie ma. Już go zobaczyli. Nie zdoła zbyć ich kłamstwem.

– To bóstwo, prawda? – odezwała się Batseder, a jej kolory otuliły ją blaskiem lęku, lecz nie zaskoczenia. Inara przypomniała sobie, że Batseder nie widziała Skediego, kiedy uciekali łodzią.

– Proszę – zaczęła Ina, zanim zdążyli powiedzieć coś jeszcze. – Proszę, bądźcie cicho.

Batseder zamrugęła. Blask złagodniał.

– Piekarzu – zwrócił się Berrick do Elo i się uśmiechnął. – Moje pierożki, ulepszyłeś je i... – Zatrzymał się i mina mu zrzęda, gdy zobaczył oparzenie na piersi Elo.

– Musimy ruszać – powiedział Elo. Znalazł na bramie kawałek sznurka i robił właśnie wędzidło z drewnianego kołka. – Mamy kłopoty.

– Tethis, co się stało z Enną? – spytała Batseder, patrząc na nią podejrzliwie.

Inara przełknęła ślinę pomimo ściśniętego gardła. Skedi szukał jakiegoś wyjaśnienia. *Nie sądzę, żeby moje kłamstwa podziałały*, stwierdził.

Prawda podziała, odparła Ina. Wzięła Batseder za rękę.

– Nie nazywam się Tethis – oznajmiła – tylko Inara Craier.

– Craier?

– Jestem dziedziczką rodu Craierów, a król chce naszej śmierci. Enna jest... była bogobójczynią o imieniu Kissen. Zginęła, chroniąc nas. – Batseder cofnęła się. – Elogast jest rycerzem, który pomaga mnie i Skedicethowi odnaleźć dom.

– Byłem rycerzem – poprawił Elo.

Klacz była zmęczona. Podniosła łeb, gdy próbował założyć jej wędzidło. On też szybko tracił siły.

– Musimy się wydostać z Blenradenu – ciągnęła Inara, ściskając palce kobiety. – Najszybciej, jak się da. Proszę. Pomóżcie nam.

Batseder zacisnęła wargi. Wymieniła spojrzenia z Berrickiem.

– Nie dotarlibyśmy tutaj, gdyby nie... Kissen i pan Elogast. Oczywiście, że wam pomożemy. – Przyciągnęła ich konia. Zwierzę nie miało nic przeciwko temu. – Weźcie Peonię. Uniesie dwie osoby. Kupiliśmy ją, kiedy pozostali zawrócili.

Inara zawahała się. Czy mogli to zrobić? Poszperała w płaszczu Kissen w poszukiwaniu monet, ale pierwszą rzeczą, na jaką się natknęła, były małe cążki, których Kissen używała do regulowania nogi. Zamarła, czując, że zaraz może się załamać i pogrążyć w rozpacz.

Berrick poklepał ją po ramieniu.

– Nic za nią nie chcemy – oświadczył. – Myślisz, że garbarka i szewc nie są w stanie zarobić na trakcie? – Batseder podała dziewczynce wodze.

– W jukach ma paszę.

Berrick podniósł ją i posadził na grzbiecie konia.

– W porządku? – spytał.

– Nic mi nie będzie – zapewniła Inara ze ściśniętym gardłem. Skedi sfrunął jej na ramię. – Nam – poprawiła się.

Elo zostawił klacz w spokoju. Utykał od skaleczenia na kostce. Wziął się w garść i położył rękę na ramieniu Berricka.

– Pomożesz mi? – spytał. Berrick skinął głową i ukląkł, podsuwając dłonie pod jego but, aby ułatwić mu wspięcie się na konia. Elo usiadł w siodle za Inarą, wokół buchały z niego kolory bólu. – Nie zapomnimy waszej życzliwości – powiedział głosem chrapliwym z wysiłku, jaki musiał włożyć w powstrzymanie się od krzyku.

– Ani my waszej.

Elo zawahał się, po czym dodał:

– Tam leży ranny człowiek. Pomóżcie mu. Proszę. Jeśli możecie.

Oboje pokiwali głowami. Elo spiął wierzchowca. Popędzili przez teren stajni. Peonia była zachwycona, że galopuje, dudniąc kopytami o kamienie i mijając dwoje czy troje innych pielgrzymów, którzy właśnie przybyli tu o poranku. Cofnęli się, gdy koń przemknął z tętentem obok, podobnie jak strażnicy przy zewnętrznej bramie, którzy

właśnie przyjmowali zapłatę od jakiejś staruszki, jakimś cudem nieświadomi chaosu rozgrywającego się w mieście za nimi.

Mijali zagrody i ruiny, podczas gdy słońce wносиło się na niebie coraz wyżej. Utrzymywali szybkie tempo, mimo że nic nie świadczyło o pościgu. Zapadł już wieczór, gdy znaleźli puste domostwo, w którym pozostawili Nogiego. Cierpliwy koń pasł się na trawie przed stajnią, zadowolony, że czeka na swoją panią. Panią, która nie przyjdzie.

Elo zsunął się z Peonii i omal nie upadł na kolana. Przed wywrotką uratowało go przytrzymanie się siodła. Z rany na jego piersi sączyło się osocze, do którego przyklejała się koszula. Cokolwiek było w wodzie, której użyła na nim Kissen, przestawało już działać.

Skedi zeskoczył na ziemię, podbiegł do rycerza i urósł do rozmiarów wilka, żeby ten mógł się na nim oprzeć. Elo złapał sierść między skrzydłami Skediego i stanął prosto.

Inara zeskoczyła z klaczy i podprowadziła ją do Nogiego. Koń Kissen zarżał cicho, kierując pysk w stronę dziewczynki, po czym spojrzał ponad jej ramię i zarżał jeszcze raz, szukając veigi.

– Ona nie przyjedzie – powiedziała Inara i uwiązała Peonię obok niego.

Nie zrozumiał jej. Znowu zaczął się paść. Dziewczynka westchnęła i wróciła do Elo.

– Usiądź – powiedziała, ruszając w krzaki po siodło Kissen, jej sprzęt kuchenny, jej hipgin.

– Musimy jechać dalej – powiedział Elo.

– Jechać? Jak długo? Aż padniesz i dorwą nas demony? Aan powiedziała, że może spowolnić działanie klątwy, ale nie zatrzymać. Czy dziś w nocy wrócą?

– Tak – zdołał wydusić Elo. – Mogła jedynie ograniczyć liczbę, którą klątwa przyzwie.

– W takim razie zostajemy.

Elo, wciąż trzymając się Skediego, osunął się, jakby jej słowa pociągnęły go na ziemię. Inara podbiegła, pomogła mu wstać i razem z bożkiem poprowadzili go do schronienia, jakie dawała szopa. Słońce zachodziło. Nie mieli wiele czasu.

– Znajdź bandaże – zwróciła się do Skediego, odkorkowując hipgin. Widziała, co zrobiła Kissen. Spryskała nim oparzenie Elo.

Oddech miał płytki i szybki, ale z każdym ruchem jego pierś się rozciągała i odcisk dłoni pulsował na sercu. Wziął od niej gin i zdobył się na długi, głęboki łyk, podczas gdy Inara szarpała jego koszulę, odciągając ją od rany krwawiącej tam, gdzie wcześniej przylepiła się tkanina.

– Potrzebny ci uzdrowiciel – powiedziała, gdy Skedi przyniósł opatrunki. Rozwinęła bandaż i usiłowała nie zwymiotować, gdy przycisnęła go do piersi mężczyzny, owijając

go dookoła; wokół gęstniały nocne cienie. Nie mieli tyle czasu co latem, wiosenne wieczory nadciągały zbyt szybko, a klątwa Lethen nie odpuści z powodu obrażeń. Widziała, jak czarny tusz rozciąga się na skórze Elo.

– Musisz zabrać Skediego, Nogiego i Peonię na bezpieczną odległość – powiedział, przytrzymując bandaż, żeby mogła zawinąć go ciasniej. Przeciągnęła opatrunek przez jego plecy, po czym na piersi przełożyła rolkę z jednej ręki do drugiej, aby nałożyć kolejną warstwę.

– Beze mnie nie przeżyjesz nawet godziny – powiedziała.

– Nie możecie jechać do Sakre – ciągnął Elo. – Znajdź Canovana. Twoja matka... należała do buntowników. Może działali razem.

– Mówisz tak, jakbyś już nie żył – stwierdziła ze złością. Dostyc, dostyc śmierci.

Elo zgrzytnął zębami.

– Nie mogę zginąć – odrzekł i popatrzył na płaszcz Kissen. – Muszę żyć.

Pogrzebał w rzeczach veigi w poszukiwaniu jakichś narzędzi, których mógłby użyć. Wyciągnął jakieś fiołki z papierem w środku, sznur paciorków. Było oczywiste, że zupełnie nie wie, jak się je stosuje. Bardziej ucieszył go cienki, obciążony łańcuszek z bryddytu.

– Przetrywamy to – powiedział. Zdawało się, że kieruje to zapewnienie w równym stopniu do siebie i do niej. – Musimy.

Inara podała mu końce bandaża do oderwania i związania ze sobą. Wydawała się wpatrzona w symbol klątwy. Człowiek i bóstwo umieścili ją tam, by powstrzymać misję Elo, nie pozwolić, by człowieczy król zyskał moc boga.

Tak jak ona. Widziała kolory, tak jak bogowie, umiała przełamać wolę innych bóstw. Zatrzymała Hseth.

Skupiła się na klątwie. Odczuwała ją tak, jak widziała kolory Elo, jako splot woli. Woli Canovana i Lethen – ciemne krwiste czerwienie, szarości i zielenie, żółty lęk w małych rozbłyskach niczym blask lampy. Wewnątrz wola Aan świeciła jak krople wody wśród cierni, wyraźna i jasna.

Skedi podniósł wzrok. To samo zrobił Elo. Słońce opadało za górami. Elo wziął oddech najgłębszy, jaki mógł, wyciągnął miecz z pochwy i mocno stanął na nogach, gotowy do walki.

– To jak węzeł obietnicy – powiedziała Inara. – Jak obietnica, którą Kissen dostała od Osidisena. Zasupłana. Kolory są jak sznurki.

– Ina – powiedział Elo – dobądź miecza.

Oba konie cofnęły się przed narastającym cieniem, wyczuwając zmianę w powietrzu, gdy ostatnie światła dogasły.

Mała rozplątywaczka, tak ją nazwała Aan. Przełamała wolę Skediego, powstrzymała ruch boga rozstajów dróg. Nie pozwoliła się zbliżyć wielkiej bogini ognia. To była taka drobna klątwa. Maleńki, ukryty węzeł. Przyciągający do nich potwory.

W jej myśli wdarł się warkot, zapach krwi, mchu i kości. Inara podniosła wzrok. Pięć bestii, nie osiem, wpełzało z zarośli ponad dziesięć kroków dalej. Nie wyszeptała podziękowań do Aan – i tak było ich więcej, niż mogli pokonać bez pomocy Kissen.

– Nie ruszaj się – powiedziała do Elo.

Przełknął ślinę.

– Ina...

– Zaufaj mi i nie ruszaj się.

Elo zaczerpnął tchu i skinął głową. Inara przycisnęła dłonie do jego ramienia. Skrzywił się, ale wciąż to tam czuł. Węzeł, klątwę. Wolę. Użyła własnej, żeby być bezpieczna, żeby go ocalić, ocalić ich oboje. Użyła woli miłości: do Kissen, do Skediego, do swojej matki. Woli, która zatrzymała boginię ognia. Szmaragdowy był u niej kolorem miłości, chabrowy i fioletowy – siły. Oplotła swoje kolory wokół klątwy i pociągnęła.

Klątwa zaczęła ustępować, odchodząc od jego skóry jak strup. Elo jęknął z bólu, ale wytrzymał. Potwory zbliżały się. Pociągnęła mocniej. Napis zaczął uciekać, korzenie wychodziły z ramienia, owijając się wokół jej palców jak trujące rośliny i czarny atrament. Jak uczepione trzymały się ich rozedrgane krople wody Aan.

Klątwa wpadła w jej rękę jako kula cienia, a w tej samej chwili stwory przypuściły atak. Elo wstał i wyprowadził proste uderzenie mieczem w pysk jednego z nich, rozcinając go przez sam środek. Kolejny podpełzł śladem tamtego i przeskoczył nad rozpadającym się ciałem. Elo osłonił Inarę i trafił bestię ostrzem, odrzucając ją w bok.

– Skedi! – krzyknęła dziewczynka. Wiedział, czego chce. Chciała kłamstwa. Bożek pochwycił łapkami klątwę z jej rąk i poderwał się do lotu.

– Jest tutaj! Jest tutaj! – krzyknął, odfruwając w wieczorny mrok z klątwą wijącą się w jego uścisku. Stwory zaskamlały, zdezorientowane, po czym odwróciły się i ruszyły za nim.

Skedi rzucił klątwę na odległym polu, a następnie pofrunął z powrotem, podczas gdy stwory skoczyły na nią i na siebie nawzajem. Nie mając innych ofiar, wrywały ze swych kończyn płaty cienistego ciała, gryzły się i szarpały. Elo patrzył, trzymając się za ranne ramię. Było zakrwawione, pierś także, ale plecy i drugie ramię stały się czyste. Klątwa zniknęła.

Odwrócił się i spojrzał na Inarę z zaskoczeniem. W dogasającym świetle patrzyła na własne ręce, a później znowu zwróciła wzrok ku Elo.

– Nie jestem bezbronna – powiedziała. – Jestem groźna. I pójdę z tobą pomścić moją matkę, pomścić Kissen. Ostatni raz dałam się zostawić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY



Kissen

KISSEN NIE PAMIĘTAŁA UDERZENIA O WODĘ, a jedynie ogień. Związaną z nim udrękę. Hseth wściekała się i parzyła, okładała ją, ale ona nie puszczała, nie pozwoliła sobie na to. Woda nie mogła wystarczyć do uśmiercenia ognistej bogini.

Znajdowały się jednak w morzu i bogini musiała się mierzyć z czymś więcej niż woda.

Osidisenie!, zawołała Kissen.

To nie było jego morze, ale i tak przybył z północy natychmiast, w jednej chwili, gdy wszystkie oceany otworzyły mu drogę. Umiał docenić szansę, kiedy o niej usłyszał.

Woda się zmieniła. Kissen pozostało z młodości dosyć instynktu, żeby wiedziała, że czas odpuścić. Puściła Hseth i odepchnęła się od niej. Zanim bogini zdołała się poruszyć, morze wokół niej zakipiało i uniosło się, uderzając z obu stron wolą Osidisena, wystarczającą, aby zgasić ją w jednej chwili.

Hseth przepadła. Pozostał po niej tylko spalony krwawy strzęp wśród fal. W Middrenie, w Talicji wszystkie jej świątynie z pewnością się waliły, dzwony pękały, płomienie gasły.

Morski bóg był przy Kissen, ruchliwy mrok w wodzie, który widziała nawet, gdy pociemniało jej w oczach. Mężczyzna o szarych oczach i brodzie z piany. Osidisen.

– To ty – powiedział, płynąc obok niej. Jego oblicze się zmieniło i przez chwilę miało rysy jej ojca, wyraźne jak przed tyloma laty. Pamiętał.

Osidisen patrzył, jak kobieta tonie i ostatnie pęcherzyki powietrza wzbijają się ku powierzchni, na której tańczyło słońce. Kissen wiedziała, że umiera. Lecz przynajmniej nie w płomieniach.

Dziwną istotą się stałaś, dziewczynko, powiedział Osidisen. Nazwano cię na moją cześć, a mnie nienawidzisz. Kis-sen-na. Zrodzona z miłości morza. Czy mimo wszystko wolisz umrzeć z goryczy?

Kissen zamknęła oczy. Była zbyt słaba i oszołomiona, żeby się ruszyć, prawa noga jej ciążyła. Sama nie mogła się uratować, ale nie poprosi go o pomoc. Nie Osidisena. Nie zużyje resztki życia swojego ojca. Obietnica umrze wraz z nią. Bogu mogło się to nie podobać, niespełniony dar, ale i tak popłynie dalej. Tylko tyle mogła zrobić. Trzymać się życzenia ojca i go zirytować.

Obiecałaś.

Głos, który rozbrzmiał w jej głowie, nie należał do Osidisena, lecz Inary. Inary, dziwnej dziewczynki, samej w niebezpiecznym świecie na krawędzi upadku, bez rodziny, pełnej strachu i gniewu.

Nie, Kissen nie pozostawi Inary, nie w takich okolicznościach. Nie z taką goryczą. Jej ojciec by tego nie chciał.

Osidisenie, zawołała, otwierając oczy. Obietnica na jej piersi zakwitła morskim światłem, zielonym, stłumionym i głębokim.

Osidisen czekał.

Ratuj mnie.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej rodzinie, całej. Moim kochającym, inteligentnym i niezłomnym rodzicom, którzy bardzo ciężko pracują. Wychowaliście mnie z wielką miłością i udostępniście przestrzeń, żebym sama sobie stawiała wyzwania, i pomagaliście wszystko składać, kiedy rozbijałam się o swoje granice. Postaram się nie uderzać w nie zbyt mocno.

Mojej siostrze, która jest źródłem mojej siły, i braciom, którzy podnoszą mnie na duchu i ściągają na ziemię. Dziękuję, za te wszystkie tygodnie, które pozwoliliście mi spędzić na pochłanianiu albo wylewaniu z siebie opowieści gdzieś po kątach domu, aż zajdzie księżyc i wszędzie słońce, za wszystkie te strony, o których lekturę ciągle Was błagałam. Dziękuję, że pomogliście mi uwierzyć, że mogę być tą, którą jestem. Dziękuję też mojej babci, która akceptowała mnie i kochała mimo całej mojej dziwności, a także Jane i Kath za rysunki i słowa zachęty. Dziękuję również ludziom, którzy nie będą mogli tego przeczytać, ale byłiby bardzo dumni.

Loulou Brown, ty mi powiedziałaś, że jestem pisarką, kiedy miałam czternaście lat, a cała reszta to szczegóły. Dziewczynki wcześniej się uczą, że trudno o poważne traktowanie, ale mi pokazałaś, że pierwszy krok robi się dla siebie. Czas, który mi poświęciłaś, sprawił, że poczułam swoją siłę, i bez twojego wsparcia nie zaszłabym tak daleko. Dziękuję.

Juliet Mushens, cierpliwa, pełna pasji i determinacji. Dziękuję, że nie postawiłaś na mnie krzyżyka, twoje rady i wskazówki były kluczowe. Dziękuję także za stworzenie tak uroczej społeczności pisarzy, którzy wspierają się nawzajem, od samego początku był to zaszczyt.

Dziękuję, ma się rozumieć, Natashy Bardon, za wnikliwość i oddanie, oraz włożoną pracę, która dodała tej książce kolorytu, struktury, jaskrawości i pomogła powołać ją do życia. Jestem bardzo dumna, że mogłam z tobą pracować.

A także reszcie ekipy z HarperVoayger, Elizabeth Vaziri, Leah Woods, Laurze Cherkas, Vicky Leech Mateos, Terence'owi Cavenowi oraz wielu osobom, których nie poznałam. Spełniacie marzenia i ciężko pracujecie, a ja doceniam wszystko, co robicie. Dziękuję też Tomowi Robertsowi za jedną z najpiękniejszych okładek, jakie widziałam, i wspomniałym redaktorkom merytorycznym: Annie Katz, Jennifer Owens i Helen Gould. Wasza praca była ogromnie ważna.

Podziękowania dla moich przyjaciół, kumpli, Alice, Laury, Lauren, Abhayi, Aileen, Kate, Xin, Josha, Alexów, Grega i wielu innych – zawsze wspieraliście mnie bez wątpliwości czy wahania, i nie wiem, jak Wam dziękować. Wszyscy inspirujecie mnie przez cały czas. Yemi – dziękuję Ci też za podpłomyki, to był ostatni element, którego potrzebował mój rycerz i ja.

Dziękuję też pisarzom, którzy zmienili moje życie poprzez swoje dzieła i przyjaźń, daliście mi mądrość, radość i żarliwą miłość. Bardzo wiele się nauczyłam od wszystkich nadzwyczajnych ludzi, których wymieniam tutaj: El Lam, Elizabeth May, moi Scotowie z Kalifornii, Saara El-Arifi, Katalina Watt, Kate Dylan, Tasha Suri i honorowa pisarka Carly Suri. Poznanie części z Was przed laty, a części przez ostatni rok, przyniosło mi istne oświecenie.

Dzięki też Tobie, Ali, za życzliwość, humor i miłość. To był dla mnie zaszczyt dzielić z Tobą ten dziwny czas poprzez rozmowy na odległość i chaotyczne notatki głosowe. Jeśli myślisz, że teraz jestem stuknięta, to jeszcze poczekaj.

Dziękuję sobie, mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu. Dziękuję za wredny, szaleńczy upór. Będzie jeszcze potrzebny. To dopiero początek.